

SPIS TREŚCI

Karl R. Popper

Opinia publiczna a zasady liberalne 3

Tadeusz Donecki

Droga i wybór 11

Piotr Kapczyński

Gospodarka jako wyzwanie programowe dla
opozycji 22

Wywiad z Bogdanem Borusewiczem

Potrzebna jest wytrwałość 32

Jędrzej Branecki

Filozofia publiczna Waltera Lippmanna ... 62

Michael Charlton

SDI - czy "wojny gwiazdne" mogą przynieść
pokój? 90

jot

Na marginesie artykułu Charltona 117

Rozmawiają Ireneusz Krzemiński i Paweł Śpiewak

Życie w Polsce... 121

Richard Pipes

Cerkiew w służbie państwa 140

Tadeusz Zakrzewski o trzech książkach

Wolne wybory w PRL? (Na marginesie książki
Andrzeja Sadowskiego) 166

"Poland after Solidarity" - idea społe-
czeństwa obywatelskiego 175

"Solidarność" a ruchy wewnątrzpartyjne.. 184

Wiktor Woroszyński

Z dzienników węgierskich 1956-1986 193

Karl R. Popper

OPINIA PUBLICZNA A ZASADY LIBERALNE

Celem poniższych uwag jest dostarczenie materiału do debaty na międzynarodowej konferencji liberałów. Zamierzam dać po prostu podstawy do dobrej ogólnej dyskusji. Ponieważ mogłem przyjąć, iż poglądy liberalne są dominujące wśród mojego audytorium, chodzi mi raczej o rzucenie wyzwania popularnym założeniom wspierającym te poglądy, niż o ich zaaprobowanie.

1. MIT OPINII PUBLICZNEJ

Powinniśmy wystrzegać się licznych, często przyjmowanych bezkrytycznie, mitów dotyczących "opinii publicznej".

Istnieje, po pierwsze, klasyczny mit *vox populi vox dei*, przyznający głosowi ludu rodzaj ostatecznego autorytetu i nieskończonej mądrości. Jego współczesnym odpowiednikiem jest wiara w słuszność zdrowego rozsądku tej przysłowiowej postaci, jaką jest "człowiek z ulicy", jego głos wyborczy i poglądy */his vote and his voice/*. Charakterystyczne, że zwroty "człowiek z ulicy" i "głos ludu" - odnoszące się do zbiorowości - wyrażane są w liczbie pojedynczej. A przecież ludzie, dzięki Bogu, rzadko są jednomyślni; różni ludzie na różnych ulicach różnią się między sobą w takim samym stopniu, jak każda grupa ważnych osobistości w sali konferencyjnej. I chociaż od czasu do czasu wypowiadają się oni mniej więcej zgodnie, to jednak to, co wtedy mówią, niekoniecznie musi być mądre. Mogą mieć rację, ale mogą też mylić się. "Głos" może być bardzo stanowczy w kwestiach obciążonych mnóstwem wątpliwości /np. prawie jednomyślna i ślepa akceptacja żądania bezwarunkowej kapitulacji [Niemiec - przyp. tłum.]/. Z drugiej strony, "głos" ten może być niezdecydowany w sprawach, w których właściwie nie ma wątpliwości /np. pytanie, czy przebaczyć szantaż polityczny i masowy mord/. Może kierować się dobrymi intencjami, lecz być nieroztropnym /np. reakcja opinii publicznej, która zniszczyła plan Hoare-Laval/1/. Istnieją też przypadki, kiedy w grę nie wchodzi ani

Tekst pochodzi z tomu: Karl R. Popper, *Conjectures and Refutations. The Growth of Scientific Knowledge*, New York 1968. Artykuł ten był po raz pierwszy przedstawiony na szóstej konferencji Mont Perlerin Society w Wenecji, we wrześniu 1954 roku.

dobre intencje, ani rozważa /np. poparcie misji Runcimana; poparcie paktu monachijskiego z 1938 r./2/ /.

Niemniej jednak wierzę, że w miecie *vox populi* jest ukryte ziarenko prawdy. Można to sformułować w następujący sposób: pomimo że informacje będące w posiadaniu zwykłych ludzi są ograniczone, wielu z nich to często ludzie mądrzejsi niż ci, którzy tworzą rząd, a jeśli nie mądrzejsi, to kierujący się lepszymi czy bardziej wielkodusznymi względami /np. gotowość obywateli Czechosłowacji do walki w przeddzień Monachium; wspomniana reakcja na plan Hoare-Lavalala/.

Jedną z form tego mitu /czy też może filozofii skrywającej się za tym mitem/, która wydaje mi się szczególnie interesująca, jest doktryna głosząca, że "prawda jest jawna" /*truth is manifest*/. Według tej doktryny - jak ją rozumiem - brak dobrej woli, stroniczość czy uprzedzenie prowadzą do błędu; jednak prawda, jeżeli tylko nie jest tłumiona, w sposób naturalny zawsze wychodzi na jaw. Tak to rodzi się wiara, że wolność, poprzez zniesienie ucisku oraz innych przeszkód, musi z konieczności doprowadzić do Rządów Prawdy i Dobroci /*Regin of Truth and Goodness*/, do "Elizjum stworzonego przez rozum i ozdobionego najczystszyimi przyjemnościami" - mówiąc słowami końcowego zdania *Szkicu obrazu postępu ducha ludzkiego poprzez dzieje Condorceta*.

Świadomie nadmiernie uprościłem ten ważny mit, który można także sformułować w ten sposób: "nikt, kto został obdarzony prawdą, nie może jej nie rozpoznać". Proponuję nazwać to "teorią racjonalistycznego optymizmu" /*the theory of rationalist optimism*/. Teorię tę - wraz z większością swoich politycznych kontynuatorów oraz intelektualnych przodków - podziela oświecenie. Podobnie jak mit *vox populi*, jest teoria ta kolejnym mitem jednorodności /*univocal voice*/. Jeśli ludzkość jest Istotą /*Being*/, którą powinniśmy wielbić, to jednorodny głos ludzkości powinien być naszym ostatecznym autorytetem. Lecz nauczyliśmy się, że jest to tylko mit, nauczyliśmy się także nie wierzyć w jednorodność.

Reakcją na ten racjonalistyczny i optymistyczny mit jest romantyczna wersja teorii *vox populi* - doktryna o autorytecie i wyjątkowości ludu *volonté generale*, ducha ludu, geniuszu narodu, grupowego rozumu czy instynktu krwi. Nie ma potrzeby powtarzać tutaj krytyki jaką Kant i inni - w tym i ja - skierowali przeciwko tym doktrynom irracjonalnego rozumienia prawdy osiągamym apogeum w Heglowskiej doktrynie o przebiegłości rozumu. Twierdzi ona, że rozum wykorzystuje nasze namiętności jako instrumenty do intuicyjnego czy instynktownego uchwytowania prawdy. Czyni to niemożliwym ludzkie błędzenie, szczególnie jeśli podąża się raczej za swoimi namiętnościami niż za rozumem.

Ważną i ciągle jeszcze wpływową odmianą tego mitu jest mit opinii publicznej XIX-wiecznych liberałów, który można określić mianem mitu o rozwoju /*progress*/ opinii publicznej. Jego ilustracją może być cytat z powieści Anthony Trollope'a *Phineas Finn*. Autor opisuje los parlamentarnego wniosku w sprawie obrony praw irlandzkich dzierżawców. W wyniku głosowania rada ministrów zostaje pokonana większością dwudziestu przeciw trzem głosom.

"- A teraz - mówi członek Parlamentu Mr Monk, - szkoda, że nie jesteśmy ani trochę bliżej praw dzierżawców

niż byliśmy przedtem.

- Ależ jesteście bliżej.

- W pewnym sensie - tak. Taka debata i taka większość sprawi, że ludzie zaczną myśleć. Nie - 'myśleć' to za duże słowo, ludzie z reguły nie myślą. Ale to wszystko sprawi, że zaczną wierzyć, iż coś w tym jest. Ci, którzy uważali wcześniej, że prawodawstwo dotyczące tej kwestii jest nierealne, teraz będą sądzić, że jest to tylko niebezpieczne lub może nie więcej niż trudne. I tak w miarę upływu czasu zacznie się patrzeć na tę sprawę jak na jedną z wielu możliwych, później - prawdopodobnych i w końcu zostanie ona włączona do listy tych nielicznych przedsięwzięć, które kraj uważa za absolutnie konieczne. To jest sposób tworzenia opinii publicznej.

- Nie jest więc stratą czasu - zauważył Phineas - zrobienie pierwszego wielkiego kroku w tej sprawie.

- Pierwszy krok został zrobiony dawno temu - powiedział Mr Monk. - Zrobiony przez ludzi, na których patrzone jak na demagogów, prawie jak na zdrajców. Ale jest rzeczą wielką podejmowanie jakichkolwiek kroków prowadzących nas naprzód."

Rozwinięta tutaj przez Mr Monka, radykalno-liberalnego członka Parlamentu, teoria, może być nazwana "awangardową teorią opinii publicznej" / *avant-garde theory of public opinion*/ lub też teorią "postępowego przywództwa" / *theory of the leadership of the advanced*/. Teoria ta głosi, że pewni przywódcy czy twórcy opinii publicznej - poprzez książki, pamflety, listy np. do "Timesa" czy też wystąpienia i wnioski parlamentarne - są w stanie przeforsować idee początkowo odrzucone. Opinia publiczna jest w tym przypadku pojmowana jako rodzaj społecznego odzewu na poglądy i działania arystokratów umysłu, tworzących nowe koncepcje, idee i argumenty. Traktuje się ją jako powolnego, nieco pasywnego i z natury konserwatywnego, niemniej zdolnego do intuicyjnego dostrzegania racji reformatorów, zatem jako mało labilnego, lecz nieprzejednanego i autorytatywnego rozjemcę w debatach prowadzonych przez elitę. Bez wątplenia jest to inna forma naszego mitu, jakkolwiek na pierwszy rzut oka może wydawać się, że wiele z angielskiej rzeczywistości stosuje się do niego. Nietypowe żądania reformatorów często osiągały cel w ten właśnie sposób. Lecz czy wygrywały tylko słuszne żądania? Skłaniam się do przekonania, że w Wielkiej Brytanii nie tyle prawdziwość twierdzenia, czy mądrość propozycji ma szansę poparcia, lecz raczej odczucie niesprawiedliwości, która może i musi zostać naprawiona. Charakterystyczna jest, przynajmniej w odniesieniu do przeszłości, w r a ż l i w o ść m o r a l n a / *moral sensitivity*/ opinii publicznej i sposób jej mobilizacji, taki, jaki został opisany przez Trollope'a, jej wyczulenie na niesprawiedliwość raczej, niż na faktyczną prawdę. Sprawą sporną pozostaje stopień, w jakim opis Trollope'a odnosi się do innych krajów. Ryzykownym byłoby też twierdzenie, że nawet w Wielkiej Brytanii opinia publiczna pozostanie tak wrażliwa jak w przeszłości.

2. OPINIA PUBLICZNA JAKO ZAGROŻENIE

Opinia publiczna - jaka by ona nie była - stanowi poważną siłę. Może zmieniać rządy, nawet niedemokratyczne. Liberalowie powinni przyglądać się każdej takiej sile z pewną dozą podejrzliwości.

Dzięki swej anonimowości opinia publiczna jest nieobliczalną formą nacisku /*irresponsible form of power*/ i dlatego szczególnie niebezpieczną z liberalnego punktu widzenia /np. segregacja rasowa i inne problemy rasowe/. Środek zaradczy w jednym kierunku jest oczywisty: niebezpieczeństwo wpływu opinii publicznej wywieranego za pośrednictwem państwa zostanie zredukowane przez minimalizację kompetencji państwa. Nie stanowi to jednak zabezpieczenia wolności zachowania i poglądów jednostek przed bezpośrednim naciskiem opinii publicznej. W tej sytuacji jednostka potrzebuje silnej ochrony ze strony państwa. Te sprzeczne wymogi przynajmniej częściowo spełnia pewnego rodzaju tradycja - o czym dalej.

3. ZASADY LIBERALNE - ZBIÓR TEZ

1/ Państwo jest złem koniecznym: zakres jego władzy nie może być rozszerzany poza to, co jest niezbędne. Można nazwać to zasadą "liberalnej brzytwy" /*Liberal Razor*/ /przez analogię do "brzytwy Ockhama" - sławnej zasady głoszącej, iż byty i treści nie mogą być pomnażane ponad to, co konieczne/.

Aby wykazać niezbędność państwa nie muszę odwoływać się do poglądu Hobbesa na człowieka - że *homo homini lupus est*. Przeciwnie, jego niezbędność może być wykazana nawet jeśli przyjmujemy, że *homo homini felis*, czy nawet *homo homini angelus* - innymi słowy, nawet jeśli przyjmujemy, że dzięki powszechnej delikatności czy anielskiej dobroci nikt nie krzywdzi nikogo. Lecz w takim świecie ciągle byłiby słabsi i silniejsi. Słabsi nie mieliby legalnego prawa do tolerancji ze strony mocniejszych, lecz winni byłiby im wdzięczność za nią. Wszyscy uważający taki stan rzeczy za niezadowolający i ci, którzy uważają, że wszyscy powinni mieć prawo do życia oraz że każdej osobie trzeba zagwarantować prawo do ochrony przed potęgą silnych, zgodzą się, że potrzebujemy państwa, które ochrania prawa wszystkich.

Jak widać, państwo pozostaje ciągłym niebezpieczeństwem, czy też /jak odważyłem się to nazwać/ złem, jakkolwiek koniecznym. Jeśli bowiem państwo ma wypełniać swoją funkcję, musi mieć w każdym przypadku większą siłę niż jakkolwiek obywatel czy instytucja publiczna. I chociaż możemy stworzyć pewne instytucje w celu zmniejszenia niebezpieczeństwa złego wykorzystania tych sił, to jednak nigdy nie będziemy w stanie całkowicie wyeliminować tego zagrożenia. Przeciwnie, wydaje się, że większość ludzi będzie musiała zawsze płacić za ochronę ze strony państwa, nie tylko w formie podatków, lecz nawet w formie doznawanego, np. ze strony urzędników, upokorzenia. Rzecz w tym, aby nie zapłacić za to zbyt wiele.

2/ Różnica pomiędzy demokracją a tyranią polega na tym, że w pierwszym przypadku rząd można zmienić bez przelewu krwi. W drugim natomiast jest to niemożliwe.

3/ Demokracja jako taka nie może przyznawać żadnych przywilejów i uprawnień obywatelowi i nie powinno się od niej tego oczekiwać. W rzeczywistości demokracja nie może zrobić nic - jedynie obywatele mogą działać /również ci, którzy tworzą rząd/. Demokracja stanowi nie więcej jak tylko ramy, w których obywatele mogą działać w mniej lub bardziej zorganizowany i konsekwentny sposób.

4/ Jesteśmy demokratami nie dlatego, że większość ma zawsze rację, lecz dlatego, że tradycje demokratyczne są najmniejszym złem, jakie znamy. Jeśli większość /lub opinia publiczna/ zdecyduje na rzecz tyranii, demokrata nie musi z tego powodu przepuszczać, że ujawniła się jakaś fatalna niekonsekwencja jego poglądów. Zda sobie raczej sprawę, że tradycja demokratyczna w jego kraju nie była wystarczająco silna.

5/ Instytucje bez tradycji niczego nie gwarantują. Są one zawsze ambiwalentne, w tym sensie, że przy braku silnych tradycji mogą służyć celowi przeciwnemu od zamierzonego. Opozycja parlamentarna, na przykład, jest - z grubsza rzecz biorąc - zobowiązana do tego, aby zapobiegać zagarnięciu pieniędzy podatników przez rządzących /majority/. Dobrze jednak pamiętam przypadek pewnego państwa Europy południowo-wschodniej, ilustrujący ambiwalencję tej instytucji - tam opozycja dzieliła zdobycze z rządzącymi.

6/ Utopia Liberalna /*Liberal Utopia*/ - to znaczy państwo zaplanowane jako *tabula rasa*, bez żadnych tradycji - nie jest możliwa. Zasada liberalizmu wymaga bowiem, aby ograniczenia wolności konieczne w życiu społecznym były zmniejszone i skompensowane jak tylko jest to możliwe /Kant/. Lecz jak taką aprioryczną zasadę możemy zastosować w życiu? Czy powinniśmy przeszkodzić pianście w ćwiczeniach, czy pozwolić mu na przeszkadzanie sąsiadowi w rozkoszowaniu się cichym popołudniem? Wszystkie tego typu problemy mogą być rozwiązane w praktyce jedynie poprzez odwoływanie się do istniejących zwyczajów oraz do tradycyjnego poczucia sprawiedliwości - do prawa zwyczajowego, jak jest to nazywane w Wielkiej Brytanii oraz do bezstronnego orzeczenia sprawiedliwości przez sędziów. Wszystkie prawa mające moc zasad powszechnych, muszą w celu zastosowania być odpowiednio zinterpretowane. A interpretacja wymaga reguł rzeczywistej praktyki, których dostarcza tylko żywa tradycja. Dotyczy to szczególnie powszechnych i wysoce abstrakcyjnych zasad liberalizmu.

7/ Zasady liberalizmu mogą być określone jako zasady szacowania /*principles of assessing*/ oraz modyfikowana lub przeobrażenia raczej, jeśli to konieczne, istniejących instytucji niż zastępowania ich innymi. Można to wyrazić również przez stwierdzenie, że liberalizm jest raczej wiarą w ewolucję niż w rewolucję /chyba, że dochodzi do konfrontacji z tyranją/.

8/ Do najważniejszych elementów tradycji możemy zaliczyć to, co nazywamy "kręgosłupem moralnym" /*moral framework*/ zgodnym z instytucjonalną strukturą prawną /*legal framework*/ społeczeństwa. Zawiera się w tym pojęciu tradycyjne społeczne poczucie sprawiedliwości, uczciwości czy też stopień wrażliwości moralnej osiągniętej przez dane społeczeństwo. Ten "kręgosłup moralny" jest podstawą możliwości osiągnięcia tam, gdzie jest to konieczne, sprawiedliwego lub słusznego kompromisu pomiędzy sprzecznymi interesami. Nie jest on oczywi-

ście niezmienny, lecz zmienia się stosunkowo wolno. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż zniszczenie tradycji /jej zniszczenie było świadomie zamierzone przez nazizm/. Zniszczenie jej ostatecznie prowadzi do cynizmu i nihilizmu lub do zlekceważenia i rozpadu wszystkich ludzkich wartości.

4. LIBERALNA TEORIA SWOBODNEJ DYSKUSJI

Wolność myśli i wolność dyskusji są podstawowymi wartościami liberalnymi, nie wymagającymi żadnego uzasadnienia. Niemniej jednak mogą być one uzasadnione pragmatycznie w kategoriach roli, jaką odgrywają w poszukiwaniu prawdy.

Prawda nie jest jawna, niełatwo ją odnaleźć. Poszukiwanie prawdy wymaga co najmniej:

- a/ wyobraźni,
- b/ prób i błędów,
- c/ stopniowego odkrywania naszych uprzedzeń z pomocą a/ i b/ oraz krytycznej dyskusji.

Tradycja racjonalistyczna Zachodu, wywodząca się ze starożytnej Grecji, jest tradycją krytycznej dyskusji - badania i testowania twierdzeń i teorii poprzez próby ich obalenia. Krytyczna i racjonalistyczna metoda nie może być mylona z metodą dowodu, czyli końcowego ustalenia prawdy. Nie jest to także metoda gwarantująca zgodę. Jej wartość polega na tym, że uczestnicy dyskusji do pewnego stopnia zmieniają swoje zapatrywania i rozejdą się jako ludzie mądrzejsi.

Twierdzi się często, że dyskusja jest możliwa między ludźmi mającymi wspólny język i przyjmującymi wspólne podstawowe założenia. Sądzę, że jest to błędne twierdzenie. Jedyne, co jest potrzebne, to gotowość nauczenia się czegoś od partnera w dyskusji, a w tym zawiera się autentyczna chęć zrozumienia tego, co chce on powiedzieć. Jeśli mamy do czynienia z taką gotowością, to dyskusja będzie tym bardziej owocna im bardziej poglądy partnerów różnią się. Wartość dyskusji zależy zatem głównie od różnorodności współzawodniczących ze sobą poglądów. Jeśli wieża Babel nie istnieje, to powinniśmy sami ją zbudować. Liberał nie marzy o idealnej jednomyślności. Pokłada nadzieję we wzajemnym wzbogacaniu poglądów i wynikającym z tego dalszym rozwoju myślenia. Nawet jeśli ku powszechnemu zadowoleniu rozwiążemy jakiś problem, to w konsekwencji tworzymy nowe problemy, które zobowiązują nas do ich rozpatrzenia. Nie należy tego wcale żałować.

Jakkolwiek poszukiwanie prawdy drogą swobodnej i rozumnej dyskusji jest sprawą publiczną, to rezultatem tej dyskusji nie jest powstanie opinii publicznej /cokolwiek przez to pojęcie rozumiemy/. Chociaż nauka może mieć wpływ na opinię publiczną, a ta z kolei może oceniać naukę, to jednak opinia publiczna nie jest wytworem naukowej dyskusji.

Na polu polityki zwyczaj racjonalnej dyskusji stwarza tradycję rządzenia drogą dyskusji, zwyczaj respektowania innego punktu widzenia, wzrost poczucia sprawiedliwości, gotowość zawarcia kompromisu.

Pokładamy więc nadzieję w tym, że tradycje zmieniane oraz rozwijające się drogą krytycznej dyskusji i w odpowiedzi na nowe problemy, mogą zastąpić większą część tego, co nazywane jest zwyczajną opinią publiczną, a również przejąć jej funkcje.

5. FORMY OPINII PUBLICZNEJ

Istnieją dwie podstawowe formy opinii publicznej: zinstytucjonalizowana i niezinstytucjonalizowana.

Przykłady instytucji służących opinii publicznej lub mających na nią wpływ: prasa /np. listy do redakcji/, partie polityczne, stowarzyszenia takie jak Mont Pèlerin Society, uniwersytety, wydawnictwa, rozgłośnie radiowe i telewizyjne, teatr, kino.

Przykłady niezinstytucjonalizowanej opinii publicznej: to, co mówią ludzie w miejscach publicznych na temat aktualnych wydarzeń, na temat cudzoziemców, "kolorowych". Także to, co nawzajem mówią o sobie ludzie przy stole /także to może zostać zinstytucjonalizowane/.

6. KILKA ZAGADNIEN PRAKTYCZNYCH: CENZURA I MONOPOLIZACJA KSZTAŁTOWANIA OPINII

W tym miejscu nie stawiam żadnych tez - jedynie problemy.

W jakim stopniu problem cenzury zależy od autocenzury?

Jak daleko monopole wydawnicze ustalają zasięg cenzury? Jak dalece myśliciele posiadają swobodę druku własnych poglądów? Czy jest możliwa całkowita swoboda publikowania? I czy swoboda taka powinna istnieć?

Wpływ i odpowiedzialność inteligencji w sprawach: a/ rozpowszechniania idei /np. socjalizm/, b/ akceptacji zniewalających często wzorów /np. sztuka abstrakcyjna/.

Wolność uniwersytetów: a/ problem ingerencji państwa, b/ ingerencji prywatnej, c/ ingerencji opinii publicznej.

Kierowanie /czy posługiwanie się/ opinią publiczną. "Urzednicy do spraw stosunków społecznych" /public relations/.

Problem przedstawiania okrucieństwa w gazetach /szczególnie w komiksach/, w filmach, itd.

Problem smaku estetycznego. Standaryzacja i niwelacja różnorodności.

Zagadnienie propagandy i reklamy kontra rozpowszechnianie informacji.

7. KRÓTKA LISTA PRZYKŁADÓW POLITYCZNYCH

Lista ta zawiera przypadki warte szczegółowej analizy.

1/ Plan Hoare-Lavala i jego niepowodzenie spowodowane nie-rzadnym oburzeniem opinii publicznej.

2/ Abdykacja Edwarda VIII /3/.

3/ Pakt monachijski.

4/ Bezwarunkowa kapitulacja. /.../

5/ Brytyjski zwyczaj akceptowania trudności bez narzekania.

8. PODSUMOWANIE

Opinia publiczna, ta nieuchwytna i niesprecyzowana istota, przejawia czasami naturalną przenikliwość czy też wrażliwość moralną, większą od tej, jaka cechuje sprawujących aktualnie władzę. A jednak stanowi ona zagrożenie dla wolności, o ile nie jest powściągnana przez głęboką tradycję liberalną. Jest niebezpieczna jako arbiter w sprawach gustu i nie do zaakceptowania jako sędzia prawdy. Niemniej czasami może odegrać rolę światłego sędziego w realizowaniu sprawiedliwości /np. przywrócenie wolności niewolnikom w koloniach brytyjskich/. Może być ona niestety "kierowana". Niebezpieczeństwom z tym związanym można przeciwdziałać jedynie przez umocnienie tradycji liberalnej.

Opinia publiczna musi być odróżniona od propagowania swobodnej i krytycznej dyskusji, która powinna być regułą w nauce, w której jest miejsce na dyskusję nad problemem sprawiedliwości i innymi zagadnieniami moralnymi. Taki rodzaj dyskusji wpływa na opinię publiczną, ale nie jest ona ani jej rezultatem, ani nie jest też pod jej kontrolą. Korzystny wpływ tych dyskusji będzie tym większy, im uczciwiej, szczerzej i zrozumialej będą one prowadzone.

KARL R. POPPER

/tłum. Jarosław Gutowski/

PRZYPISY REDAKCJI

/1/ 9 XII 1935 r. premier Francji Pierre Laval i brytyjski minister spraw zagranicznych sir Samuel Hoare podpisali w Paryżu tajne porozumienie zawierające projekt uregulowania konfliktu włosko-abisyńskiego, na podstawie którego Etiopia miała odstąpić Włochom Ogaden i części dwóch innych prowincji, zaś Włochy w zamian miały przekazać część Erytrei Południowej z dostępem do morza. Treść porozumienia przedostała się do prasy i wywołała oburzenie opinii publicznej we Francji i Wielkiej Brytanii. Hoare podał się do dymisji, a gabinet Lavala upadł miesiąc później. W kilka miesięcy później Włochy zajęły Etiopię i okupowały ją do 1941 r.

/2/ Walter Runciman, członek rządu brytyjskiego, w sierpniu 1938 r. przybył do Pragi z misją pośredniczenia między Czechami a Hitlerem żądającym przyłączenia do Rzeszy terytoriów zamieszkałych przez Niemców sudeckich. Mediacje zakończyły się fiaskiem. Po gwałtownym przemówieniu Hitlera 12 grudnia w Norymberdze, w rejonach sudeckich wybuchło pronieemieckie powstanie. Pod presją Wielkiej Brytanii i Francji Czechosłowacja wyraziła zgodę na odstąpienie żądanych przez Niemców terytoriów.

/3/ Edward VIII /1894-1972/, syn Jerzego V, król Wielkiej Brytanii, wkrótce po objęciu tronu w 1936 r. zmuszony do abdykacji na skutek sprzeciwu kół rządowych i kościelnych w związku z zamierzonym małżeństwem z dwukrotnie rozwiedzioną Amerykanką Walerią Simpson. Abdykował na rzecz brata, Jerzego V.

Tadeusz Donecki

DROGA I WYBÓR

Trzeba sięść spokojnie, zdjąć marynarkę, rozwiązać krawat i upatrzeć się w szachownicę. I powtarzać sobie "Jestem Polakiem" bez piosenki o utanie i bez mętnej metafizyki. Jesteśmy zbyt wiele warci, zbyt zdolni i lotni, narażeni na zbyt wiele zasadzek, żeby powalać sobie na harce po różnych "Dzikich polach".

Andrzej Bobkowski, Szklce piórkim

Wspólne poszukiwania i wybory polityczne warunkowane są zarówno przeszłością i doświadczeniem, jak i pewnym planem, namysłem nad przyszłością. Drugie wynika organicznie z pierwszego. Kiedy pytamy o naszą środowiskową kondycję polityczną, niezmiennie spoglądamy wstecz, szukając korzeni naszej dzisiejszej refleksji nad Polską i naszym w niej miejscem. Dziś, kiedy z takim trudem przychodzi nam budowa koncepcji politycznych nośnych społecznie i zgodnych z naszymi podstawowymi przekonaniami, patrzymy tym uważniej w niedaleką przeszłość szukając odpowiedzi na najważniejsze pytania. Skąd przychodzimy, jakie są nasze rzeczywiste motywacje i intencje, co sprawiło, że stanowimy wspólnotę? Czy jest to tylko kwestia pokoleniowa, czy także świadomy wybór polityczny wyrosły ze wspólnych doświadczeń? I na czym ten wybór polega, co wybraлиśmy i dlaczego, a co odrzuciliśmy?

Retrospekcja ta jest subiektywna. Choć odnosi się do środowiska związanego z "Przeglądem Politycznym", jest przede wszystkim spojrzeniem autora, jego wyobrażeniem zbiorowej ewolucji i dojrzwania tej grupy. Stąd - być może - użycie liczby mnogiej jest pewnym nadużyciem, zaś niektóre uogólnienia zdadzą się niektórym kontrowersyjne, nieuzasadnione lub niepotwierdzone własnymi doświadczeniami. Ryzyka tego jestem świadom.

Urodziliśmy się w dość szczęśliwym czasie. Los oszczędził nam doświadczenia wojny i stalinizmu. Większość z nas przychodziła na świat wraz ze zmianami po śmierci Stalina. Poznański Czerwiec, październikowe plenum i węgierska rewolucja poznać mieliśmy wiele lat później - z relacji uczestników tamtych wydarzeń i nielegalnych wydawnictw. Klęska Paździer-

nika nie była naszą własną przegraną, tak jak nadzieje z nim związane nie były naszymi nadziejami - miało to wiele lat później odegrać w naszym życiu istotną rolę. Gomułka kojarzył się wyłącznie ze śmiertelnie nudnymi i długimi przemówieniami.

Dla części z nas pierwszym doświadczeniem politycznym był Marzec - choć "doświadczenie polityczne" jest wyrażeniem nieco na wyrost. Spostrzeżenie, że milicjant nie tylko przeprowadza dzieci przez ulicę i ściga przestępców, ale potrafi bić i rzucać gazy, było zaledwie pierwszą literą wyczoną z elementarza polskiego życia politycznego.

Większe znaczenie dla nas /i całego pokolenia/ miał wymiar obyczajowo-kulturowy Marca, a ściślej roku 68 i szeroko pojętej kontestacji młodzieży. Nie dotyczyły nas - i nie byliśmy ich świadomi - rozgrywki polityczne Moczara czy ostatnie boje rewizjonistów, fascynowały zaś, na początku lat siedemdziesiątych, etyka buntu, kontestacja młodych, dzieci-kwiaty, Woodstock, życie bez autorytetów. Nie można tego w żadnym razie nazwać polityką. Kogo zresztą obchodzi polityka w wieku lat 16? Skaładało się to jednak na pierwszą, spontaniczną i odruchową próbę odrzucenia komunizmu - jako upiornej nudy, bezruchu i konformizmu. Nie było na horyzoncie autorytetu, który mógłby ukierunkować te odruchy. Kościół także wydawał się stary, zinstytucjonalizowany, nie mieścił się w naszym etosie. Zresztą niektórzy z nas byli już wtedy zeświecczeni, nie na modłę państwową, ale kontestacyjną właśnie.

Między innymi dzięki temu, że ujścia dla swej aktywności szukaliśmy poza płaszczyzną oficjalną, udało się nam wejść w dorosłe życie bez specjalnych kompleksów, z czystym kontem, bez obciążeń i zaszłości, które były udziałem wielu starszych działaczy opozycji. Nie musieliśmy rewidować swego stosunku do Marksa, ani rzucać legitymacji partyjnych, bo historia i rzeczywistość nie zmusiły nas do flirtu z komunizmem. Nie nasza to zasługa, a raczej zbieg okoliczności. Pierwsze lata naszej młodości to coraz powszechniejsze zaniekanie złudzeń co do intencji władzy oraz sensu ideowego zaangażowania się w społeczną działalność pod jej patronatem. Nikt nie dawał się już nabrać na autentyzm ZMS-u, mało kto wierzył w świetlaną przyszłość drugiej Polski - krótko mówiąc, intuicyjnie odczuwaliśmy zjawisko, które później nazwano kryzysem ideologii.

Nasze odpolitycznienie nie było jednak pełne. W grudniu 1970 uczyliśmy się w liceach lub kończyliśmy "podstawówki". Właśnie w Gdańsku i Gdyni. Wydarzenia tamtych dni to była już zupełnie inna jakość w porównaniu z gonitwami studentów i milicji pod Operą i Żakiem. Jeśli kilkunastoletni umysł może cokolwiek z polityki zrozumieć, to lepszej /w sensie dosadności i jaskrawości/ jej lekcji dostać nie mogliśmy. Nie ma słowa przesady w tych wszystkich wypowiedziach, które tak bardzo podkreślają znaczenie Grudnia dla gdańskiego pokolenia "Solidarności" i w ogóle najnowszej historii Polski. Po raz pierwszy z taką ostrością władza komunistyczna pokazała nam swe prawdziwe oblicze i nie pozostawiła praktycznie wyboru; wszyscy czuliśmy to samo: odrazę do milicji i strach przed nią, nienawiść do władzy za to co zrobiła i za to, że mieniła się robotniczą, a także wielką, choć wtedy nienazwaną, solidarność.

Grudzień stał się jednym z fundamentów naszej elementarnej edukacji politycznej. Przygotowaniem do niej były u nie-

krórcy rodzinne rozmowy o dwudziestoleciu międzywojennym, Piłsudskim czy powstaniu warszawskim, u innych religia z odważnym księdzem, u innych jeszcze zwykła bieda w domu. Grudzień ujawnił masowość nastrojów niechęci czy wręcz nienawiści do komunizmu, radykalizował je. Ale najważniejszym było to, że dramatyzm wydarzeń wstrząsnął nami, świadomością tragedii, śmierci ludzi została w nas trwały ślad. Takich rzeczy się nie zapomina. Kto przeżył Grudzień w Trójmieście mając kilkanaście lat, widział płonący Komitet, strzelających ale i rozszarpywanych milicjantów, czołgi na ulicach i zalew kłamstwa w gazetach, ten dojrzał politycznie bez porównania szybciej niż rówieśnicy pozbawieni podobnego doświadczenia.

Wydarzenia z roku 1970 ukierunkowały nas również ideowo - choć nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Obrzy jak z Lentza: robotnicy w kombinezonach, uzbrojeni w młoty, łomy, klucze francuskie wychodzący przez fabryczne bramy na ulice; tłumy skandujące "Chleba i pracy!" /choć chleb nie podrożał, a pracy było dość/, "Precz z czerwoną burżuazją!" i śpiewające "Międzynarodówkę" i "Warszawiankę". Płonące Komitet i Dworzec Główny, Delikatesy i siedziba NOT-u, rozbite sklepy, książki i zabawki pływające po Raduni, pijani stoczniowcy rozdający nam pomarańcze, strajk, a później masakra w Gdyni. I w tym wszystkim my, dzieci nieledwie, tak bardzo identyfikujący się z tymi w kombinezonach i tak bardzo nienawidzący tych w mundurach. Była to dla nas szokująca precyzja szczegółów klisza z tych wszystkich głupawych czytanek i lekcji z historii ruchu robotniczego i rewolucji, wtłaczających nam do głowy, że demonstrować zawsze mają rację, że policja to służusy reżimu, że równość, że wolność, że rewolucja...

Byliśmy przygotowani do rewindykacyjnego charakteru przyszłych ruchów społecznych i egalitaryzmu ich haseł i programów - realizowały przecież sprawę przegraną w Grudniu. Grudzień spowodował, że w jakimś sensie nasza młodość polityczna była zdecydowanie lewicowa. Byliśmy za robotnikami, czy wręcz z nimi, przeciw władzy, która jawiła się nam właśnie jako ta przysłowiowa "czerwona burżuazja". Politycznych zachowań uczyliśmy się na ulicy, a rozruchy i walki, niezależnie od ich tragicznego żniwa, były dla nas swoistym świętem, misterium, czymś jaskrawo różnym od szarości powszedniego dnia. Wrodzona antysowieckość, która również znalazła swój upust w Grudniu /malowaliśmy wtedy na ścianach domów słowo "Katyń", choć nie do końca wiedzieliśmy, co ono znaczy/ i powszechna niechęć do komunizmu nie przeszkadzały nam w przejściu klasycznie rewolucyjnych haseł i wyobrażeń. Czuliśmy jednoznaczną sympatię do robotników rozbijających sklepy z luksusowymi towarami, palących samochody czy zrzucających je z mostu "Błędnik" na torowisko kolejowe.

Nie mieliśmy pojęcia, jakie mechanizmy powodują, że jesteśmy w większości biedni, że masło pojawia się na stole tylko w niedzielę, a szynka wyłącznie od wielkiego święta. Funkcjonowały stereotypy: że okrada nas Rosja i rodzimi promienci, a nawet prywaciarze. Indoktrynacja robiła swoje; chociaż każdy wiedział, że na Zachodzie jest dużo lepiej, nikomu nie przychodziło do głowy, żeby negocjować socjalizm jako taki. Takie słowa jak burżuazja, kapitalizm, prywaciarz miały dla nas jednoznacznie pejoratywny wydźwięk również w późniejszych latach, gdy zaczęliśmy wchodzić w aktywność polityczną. Grudniowe doświadczenia połączyły to odczucie.

Przyjście Gierka i pierwsze lata "pożyczkowej" prosperity zahamowały na jakiś czas polityczne dojrzewanie pokolenia. Byliśmy młodzi, wybieraliśmy się na studia, a życie wydawało się znośniejsze i weselsze. Część z nas poznała Zachód, a wyraźny skok cywilizacyjny w kraju nie tylko dawał nadzieję na przyszłość, ale wznagał też aspiracje. Nie zmieniało to jednak specjalnie stosunku do władzy i systemu - kontakty z cywilizacją zachodnią, pośrednie i bezpośrednie, a także pomarcowe dążenie do pokoleniowej niezależności powodowały, że oficjalne życie, modele kariery i ułomny polski konsumpcjonizm nie pociągały nas specjalnie. Byliśmy za młodzi, by wejść w układy i układziki gierkowszczyzny, a wystarczająco dorośli, by dostrzec kłamstwa i sztuczne nadęcie propagandy.

Czerwiec 76 przeszedł jakby trochę obok nas. W Trójmieście nie wrzało, choć początki ruchu były wyraźne. Byli Borusewicz, Bądkowski, rodzące się środowisko późniejszego Ruchu Młodej Polski, ale to wszystko nie było jeszcze w pełni naszą sprawą. Aranżowanie, dość nieudolne i prostackie, wieców /"potępiamy warcholów!"/ i chamstwo ówczesnej propagandy, pamięć Grudnia i wewnętrzna nieufność do wszystkiego, co oficjalne, wystarczyły jednak, by Radom i Ursus odczuć jako potwierdzenie słuszności negacji rzeczywistości, jeszcze nieartykułowanej i nieuzbrojonej w refleksję, ale wyraźnej. Kiedy na horyzoncie pojawiła się więc opozycja, byliśmy niejako gotowi na jej przyjęcie - nie intelektualnie z pewnością, ale uczuciowo.

Potrzeba aktywności społecznej była chyba wpisana w nasze osobowości. Długowoślo i muzyczna kontestacja przestała wystarczać - wchodziliśmy przecież w dorosłe życie - ale negacja jako sposób widzenia rzeczywistości pozostała. Rosnąca wiedza, choć ciągle niewielka i wybiórcza, niezmiennie dostarczała argumentów pierwotnemu przekonaniu o nikczemności komunizmu, Związku Sowieckiego i polskiej władzy. Nie odbiegała ta wiedza specjalnie od potocznej - był tam Piłsudski z wojną polsko-bolszewicką, 17 września i Katyń, stalinowskie zbrodnie, "polskie miesiące" oraz wszystko to, co miało związek z niedostatkiem i zacofaniem cywilizacyjnym. Opcje ideowe były kwestią przyszłości, chociaż pewne wybory miały już miejsce. Była więc w nas wspomniana "dziecięca choroba lewicowości" i radykalnego egalitaryzmu, był dystans do Kościoła, ruchów katolickich i autorytetów z nimi związanych /wielu z nas było niewierzących - funkcjonował nawet ateistyczno-antyklerykalny i libertariański styl życia/, była też wyraźna odczuwalna, choć słabo uargumentowana niechęć do powstających środowisk narodowych, w Gdańsku głównie RMP. Miłosz, pisząc o endecji w *Rodzinnej Europie*, nazwał swój stosunek do niej "uczuleniem na wszystko co ma zapach narodowy i rodzaj fizycznego wstrętu do ludzi wydzielających ten zapach". Odczuwaliśmy coś podobnego, choć to odczucie miało w naszym wypadku abstrakcyjny charakter i odnosiło się do przeszłości, a nie do współczesnych; nie były i nie są wyjątkami nasze koleżeńskie kontakty z narodowcami. Nacjonalizm kojarzył nam się z antysemityzmem i Ciemnogrodem, w czym sporą zasługę miała szkoła i oficjalna historiografia. W archaicznym ale popularnym wówczas sporze między zwolennikami Piłsudskiego i Dmowskiego opowiadaliśmy się za Marszałkiem, nie wnikając zresztą w niuanse historii. Niechęć do "idei narodowej" fundowała się więc głównie na tradycji; pewne jest jednak, że nie widzieliśmy się w szeregach jej wyznawców i to również

determinowało nasz wybór.

Nie każdy z nas miał okazję zetknąć się bliżej z opozycją przed Sierpniem. Krótko trwała przygoda gdańskiego Studenckiego Komitetu Solidarności, lokalna inteligencja była, z nielicznymi wyjątkami, mało rewolucyjna i pozbawiona autorytetów, "bibuła" dochodziła początkowo nieregularnie. Ci wszyscy, którzy zdecydowali się dotrzeć do ludzi już zaangażowanych, orientowali się głównie na szeroko pojęte środowisko KOR-u i WZZ-ów. Fascynował nas etos moralny i osobowy tych ludzi, odwaga jawnego występowania, opozycyjny staż. O kierunkach kontaktów decydował również przypadek: osobista znajomość, trafienie na tego, a nie innego kolportera, pierwsze spotkanie z grupą samokształceniową, prowadzoną nie przez "młodopolaków", a właśnie Borusewicza. Było też w tym trochę snobizmu. Publikacje "Krytyki" i "Głosu", a także "Biuletynu Informacyjnego" stały na wyższym poziomie niż pisma innych ugrupowań i to musiało imponować. Do nielicznych docierała "Res Publica", która później tak wyraźnie wpłynęła na nasze widzenie polityki - wtedy jednak nie odgrywała dla nas takiej roli. KOR stał się więc autorytetem i punktem odniesienia. Brak przygotowania politycznego powodował, że właściwie bez większych zastrzeżeń przyjmowaliśmy treści i idee tworzone przez to środowisko. Ten bezkrytyczny stosunek wpływał mniej z aprobaty ideologicznej /jeszcze wtedy niewiele ideologia nas obchodziła/, a bardziej z fascynacji formułą i w ogóle możliwością działania "anty". Okazało się, że można być - jak to określił Macierewicz - aktywnym społecznie poza konspiracją i kolaboracją, i że można osiągnąć swymi działaniami konkretne cele. W równym stopniu ekscytowały nas artykuły o eurokomunizmie i Praskiej Wiośnie, co manifestacje trzeciomajowe z bogoojczyźnianą oprawą.

Gdyby pokusić się o naszkicowanie wizerunku politycznego naszego pokolenia, czy ściślej naszej grupy, w przededniu Sierpnia, wyróżniłoby trzeba następujące sprawy:

- lewicujący egalitaryzm i radykalizm, wynikający z doświadczenia Grudnia, wpływu szkoły i propagandy /niezależnie od niechęci do nich/, braku możliwości porównania rzeczywistości ustrojowej PRL choćby z Polską przedwojenną oraz kontakty z lewicowymi środowiskami opozycyjnymi, głównie KOR-owskimi;
- głęboko odczuwana potrzeba niezależności i sceptyczny stosunek do oficjalnych autorytetów, wynikająca m.in. z przyjęcia etosu młodzieżowej kontestacji i wyraźnego kryzysu ideowo-moralnego świata dorosłych;
- daleko idące aspiracje i nadzieje dotyczące zarówno awansu cywilizacyjnego, jak i własnego, pobudzone przez górkowską propagandę i coraz liczniejsze kontakty Polaków z Zachodem;
- pragnienie zmiany zastanej rzeczywistości bez równoczesnej precyzyjnej wizji oczekiwanego ładu po zmianie oraz brak zorientowań ekonomicznych przy odczuwaniu rzeczywistości gospodarczej jako nieznośnej i wynaturzonej;
- naturalne i powszechne w Polsce antyrosyjskość i antykomunizm /w dużej mierze stereotypowe/.

Z takim багаżem wchodziliśmy w "Solidarność". I nie byliśmy tym oryginalni. Wspólnie z innymi młodymi działaczami

NZS-u, działaczami związkowymi średniego szczebla i pracownikami aparatu związkowego nie bardzo wnikaliśmy w niuanse gry politycznej; nie przekonywała nas idea porozumienia społecznego, umowy i kompromisu. Czuliśmy się niezagrażeni, a czasem podnieceni ewentualnymi niebezpieczeństwami, a i jakimś sensie bezkarni. Sporo już napisano o tej formacji ludzi - wiele krytycznych ocen odnosi się także do nas. Aktywne uczestnictwo w "Solidarności" dało nam jednak także okazję weryfikacji pewnych mitów tyczących takich spraw jak demokracja, wola większości, świadomość społeczna, opinia publiczna czy jawność. Niezależnie od upojenia atmosferą solidarnościowej wolności i rewolucji pojawiać zaczęły się pierwsze wątpliwości i wahania, nie zawsze artykułowane i uświadamiane, ale z czasem coraz wyraźniejsze. Był to również czas nadrabiania zaległości politycznych - nasza wiedza polityczna, wciąż rozchętana, powoli rosła. Pojawiły się nowe pytania, z coraz większym sceptycyzmem przypatrywaliśmy się ideowym propozycjom i sporom. To właśnie w tych dniach, trochę na uboczu naszych codziennych zajęć i wrzawy, rodziło się przekonanie o niemożności pełnej identyfikacji politycznej i ideologicznej z dotychczasowymi autorytetami, głównie KOR-em. Od zwątpienia do poszukiwania czegoś nowego był tylko krok. To "nowe" było chyba w nas jakoś zakodowane, bardziej na zasadzie predyspozycji, niż refleksji. Im bardziej "Solidarność" jako propozycja ideowa i dawne lewicowe ciągoty przestawały nam odpowiadać, tym częściej pojawiały się w naszych rozmowach słowa-klucze /których prawdziwego znaczenia ledwie domyślaliśmy się/: wolny rynek, indywidualizm, liberalizm, konserwatyzm. Gdzieś na horyzoncie pojawiały się nazwiska-haśła: Aron, Hayek, Tocqueville. "Res Publica" stała się najbardziej poszukiwanym przez nas pismem, pojawił się zamysł założenia własnego /stan wojenny przerwał prace nad pierwszym numerem/.

Upadek "Solidarności" i jego okoliczności stały się momentem decydującym. Po początkowej gorączce "powstańczej" i gwałtownym, trochę przesłaniającym widzenie rzeczywistości, wybuchu nienawiści do komunizmu, nadszedł czas wzmoczonego namysłu, rozliczenie się z przegranej i własnego w niej udziału. Jedno zaczęło wydawać się pewnym: pomstowanie na nikczemność władzy i dostrzeganie w niej jedyne źródła naszej przegranej nie tylko jest politycznie bezpłodne, ale wręcz rozbija intelektualnie. Pogląd ten zdobywał coraz więcej zwolenników, szczególnie w środowiskach, które niedwuznacznie nawiązywały do tradycji i idei prawicowych, narodowych i konserwatywno-liberalnych. Rychło okazało się, że nasz zwrot na prawo nie był niczym oryginalnym - większość inicjatyw politycznych i pism, które z taką intensywnością zaczęły powstawać już w pierwszych miesiącach stanu wojennego, kategorycznie odżegnywała się od idei socjalistycznych, lewicowych - nawet w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Zjawisko to nie było wyłącznie pochodną przegranej "Solidarności", chociaż związek jest tu bardzo wyraźny. Nie przekreślając w żadnym wypadku wartości związanych z powstaniem i funkcjonowaniem niezależnego ruchu zawodowego i społecznego, dostrzegaliśmy coraz wyraźniej, że nie ze wszystkimi chcemy i możemy się identyfikować. Egalitaryzm, demokratyczna obsesja, nieprzemysłany radykalizm, a czasem wręcz głupota wielu działaczy, wiara w zbawcze działanie samorządu

pracowniczego, idealizacja klasy robotniczej, skrajnie rewindykacyjny charakter wielu postulatów, niepodjęcie odpowiedzialności za gospodarkę - wszystko to było już dla nas nie do przyjęcia. Wiele posunięć i koncepcji części ukrywających się przywódców, włącznie z ideą strajku generalnego mającego przywrócić *etat quo ante bellum*, również budziła nasze wątpliwości, zarówno co do sensu, jak i możliwości ich realizacji; zbyt wiele działań w podziemnej "Solidarności" stanowiło prostą kontynuację negatywnych tendencji z czasów legalności.

Nasz krytycyzm był w dużej mierze mądrością po szkodzię i tyczył także nas samych. Rosło jednak przekonanie, nakierowane w przyszłość, że powtórka sierpniowego eksperymentu nie tylko nie jest możliwa, ale wręcz niepożądana. Nie wdając się tu w szczegóły stwierdzić można, że "Solidarność", pozostając dla nas pięknym wspomnieniem, stała się równocześnie zamkniętym rozdziałem w sensie ideologiczno-programowym. Doświadczenie 16 miesięcy jest dziś bardziej doświadczeniem negatywnym: uczy jak i czego nie należy robić, choć pokazuje równocześnie, że można coś zrobić.

Sceptycyzm w stosunku do "Solidarności" w mniejszym stopniu dotyczy polityki tej organizacji i sposobów jej realizowania. Nie przekonały nas argumenty tych polityków i intelektualistów, którzy odpowiedzialność za 13 grudnia przerzucają z komunistów na elity "Solidarności", doszukując się zasadniczych błędów w taktyce i strategii Związku i dopatrując się źródła nieszczęścia w niepojętym radykalizmie związkowców. Nikt jednak do dnia dzisiejszego nie wskazał - w przekonujący sposób - co należało zrobić, by uchronić nas przed tragicznym finałem /tragicznym - choć dzisiaj wyraźnie widać, że mogło być dużo gorzej/.

"Solidarność" wyrastała z konkretnej materii społecznej, była spadkobierczynią konkretnej historii. Stanowiła szczytowe osiągnięcie Polaków, będąc równocześnie odbiciem ich kultury politycznej i świadomości społecznej. Tworzyły Związki, a później przewodzili mu, elity, które korzeniami tkwiły w komunizmie, uwikłane w sieć anachronicznych idei i kategorii, często sprzecznych i w konsekwencji uniemożliwiających przerwanie socjalistyczno-etatystycznej pętli. Dotyczy to nie tylko elit - na "dole" było pod tym względem jeszcze gorzej /wbrew temu, co twierdzi Wierzbicki w *Wyłach ataw - Antologia Polaka*/. Wydaje się prawdopodobne, że przez większość Polaków wewnętrznie sprzeczne hasło "Socializm tak - wypaczenia nie!" było przyjmowane z dobrą i naiwną wiarą.

"Solidarność" nie była ruchem jednorodnym ideowo - jej powstanie zbiegło się z przełomem światopoglądowym o wymiarze uniwersalnym, dostrzegalnym także w Polsce, szczególnie przez młodą opozycję. Od końca lat siedemdziesiątych coraz wyraźniejsze było przechodzenie - jak to określił Adam Zagajewski - od anarchii do hierarchii, od awangardy do katedry. "Hierarchia - pisał - okazywała się pożyteczniejsza niż anarchia, jako że obiecywała o wiele wyższy stopień koncentracji energii każdego rodzaju: kulturalnej, politycznej, spirytualnej. Działała jak tama, spietrzająca wody strumienia." Odkrywanie zapoznanych wartości jednych prowadziła do kofekcji, innych do idei narodowej, jeszcze innych do liberalizmu. Drogi te spletały się ze sobą i krzyżowały - dopiero przyszłość miała konkretować kierunki poszukiwań. Była

to zbiorowa /po części pokoleniowa/ próba budowy ładu opartego o tradycyjne wartości w opozycji do ładu totalitarnego. "Solidarność", niezależnie od jej generalnego wizerunku ideowego, była też ekspresją owych poszukiwań i dodatkową ich stymulacją.

Liberalne skrzydło nowej generacji znalazło się w dosyć trudnej sytuacji. Pozbawione instytucjonalnego wsparcia w odróżnieniu od katolików, bez możliwości odniesienia się do rodzimej tradycji politycznej /co było udziałem narodowców i lewicy/, siłą rzeczy szukało odniesień gdzie indziej, głównie w tradycji i współczesności politycznej Zachodu i dokonujących się właśnie wtedy "rewolucji neokonserwatywnej" i odrodzeniu liberalizmu w Europie i Ameryce. To pierwsze spotkanie z liberalizmem miało miejsce na poziomie zupełnie elementarnych prawd. Dobrze określił to włoski politolog Giovanni Sartori, mówiąc /cytuje za Jerzym Jedlickim/, że "coraz większa liczba intelektualistów w Europie Wschodniej odkrywa na nowo, choćby nawet nie wiedząc o tym, liberalizm jako taki /.../. Odkrywają oni polityczne przesłanie /to jest, w mojej interpretacji, esencję/liberalizmu: że władza nieograniczona jest złowieszczą i do ścierpienia trudna; że sądy i sędziowie muszą być prawdziwie niezależnymi; że konstytucje nie po to są, by opisywać aktualną strukturę państwa, ale mają być zespołem określonych gwarancji, które rzeczywiście powściągają i krępują dysponentów władzy".

Żyjąc w rzeczywistości totalitarnej czy, jak chcą niektórzy, quasitotalitarnej byliśmy niejako skazani na taką właśnie elementarną recepcję liberalizmu. Jego rudymtarne zasady - wolność jednostki, prawa człowieka, rządy praw - stały się podstawą ruchów demokratycznych, zarówno w Polsce, jak i na świecie. Przyjęcie tych zasad było zaledwie punktem wyjścia, sądzić należy, że dla wszystkich młodych orientacji, które właśnie tworzyły się. Liberalizm postrzegano wtedy /pod koniec lat siedemdziesiątych/ jako ruch polityczny i intelektualny - żeby posłużyć się określeniem Jedlickiego - który na Zachodzie wyznaczał ramy i reguły gry politycznej, zgodne z zasadą *check and balance* i z zasadą kompromisu. I my również, parę lat później, liberalizm traktowaliśmy nie jako program społeczno-polityczny i gospodarczy, ale jako osobowościową predyspozycję, styl myślenia oraz wstępny kanon zasad politycznych.

Im bardziej wnikaliśmy w myśl liberalną, tym bardziej rosły nasze obawy, że w polskiej rzeczywistości liberalna postawa może sprowadzać się do klerkizmu i akademickiej dyskusji. Na ile istotne mogły być dla nas spory liberałów wolnego świata dotyczące zasięgu interwencji państwa opiekuńczego, stopnia wolności konkurencji, niuansów liberalnej koncepcji człowieka itd. - dla nas, żyjących w państwie nieograniczonej władzy policjanta i funkcjonariusza partyjnego? Ile warta jest nasza gotowość do kompromisu i zasada złotego środka, jeśli otaczająca nas rzeczywistość jest bezkompromisowa? Mogłoby się wydawać, że jedynie sensowne jest przyjęcie najszerszej wersji liberalizmu, w której znaczy on tyle co antytotalitaryzm.

Uznaliśmy, że istnieje możliwość bardziej konkretnego odniesienia się do myśli liberalnej - wymaga ona jednak daleko idącej i na bieżąco weryfikowanej reinterpretacji jej klasycznej wersji. Najtrudniejszym bowiem problemem stała się

stosowalność koncepcji liberalnych w polskich warunkach i ich użyteczność w rozwiązywaniu specyficznych polskich problemów politycznych. Mechaniczne przenoszenie koncepcji i programów funkcjonujących w społeczeństwach zachodnich na nasz grunt było i jest niemożliwe. Przyjęcie liberalizmu jako ideologicznej podstawy politycznego działania w państwie komunistycznym jest bezprecedensowym eksperymentem, wymagającym nowego spojrzenia na tradycję liberalną i poszukiwania specyficznych i oryginalnych koncepcji i sposobów ich zastosowań. Zmuszało to nas do sceptycznego spojrzenia na nasze fascynacje i ostrożnego rozpatrywania liberalnych propozycji politycznych.

Myśl liberalna powstawała i funkcjonuje do dziś w społeczeństwach kapitalistycznych, o demokratycznej strukturze władzy. To określało jej kierunki i determinowało charakter proponowanych przez nią rozwiązań politycznych i ekonomicznych. Liberalizm nie powstawał jako recepta na komunizm, dzieła klasyków nie mówią nam, jak uprawiać liberalną politykę w warunkach totalitaryzmu. Brak w Polsce tradycji obywatelskich i politycznych, utrwalonych praw i obyczajów, bez których - jak to podkreśla Popper - nie można sobie wyobrazić liberalnego społeczeństwa. Są one bowiem, obok swobód ekonomicznych, gwarancją wolności. Stan państwa i kondycja polskiego społeczeństwa każą z dużą powściągliwością oceniać szanse zmiany tej sytuacji i nasze własne możliwości. Pozostają one nadal kwestią przyszłości, odległej być może, ale - naszym zdaniem - realnej. Nowe kategorie w myśleniu politycznym Polaków, powolna zmiana stylu tego myślenia, pozwalają żywić taką nadzieję.

Nigdy nie pokusiliśmy się o projekt dalekosiężnego i precyzyjnego programu. Użyteczność takich przedsięwzięć budziła i budzi nadal poważne wątpliwości. /"Liberalizm nie jest jakąś niezmienną wiarą - pisał Alan Grimes - jakimś nieruchomym dogmatem, dogmatyzm bowiem pociąga samoograniczenie się. Jest on postawą roboczą wobec problemów społecznych, postawą podkreślającą rolę rozumu i pomysłowości. Gdyby poprzestawał on na wczorajszych wnioskach, rychło by uległ autorytatywnym ograniczeniom nakładanym na wczorajsze reguły /.../ W miarę tego jak instytucje społeczne zmieniają się, nowe zasady wyzwolenia muszą być stwarzane w oparciu o konieczności potrzeby odczuwanej obecnie. Liberalizm przedstawia być w istocie liberalny, gdy wytarte slogany zastępują mu badawcze poszukiwania, gdy polegają zaczyna na wczorajszych formułkach jako odpowiedziach ostatecznych". /Dopracowaliśmy się jednak pewnych spostrzeżeń i założeń, które można sprowadzić do kilku punktów:

- jednym z głównych źródeł zapaści cywilizacyjnej Polski jest etatyzm; bez zasadniczej zmiany w sferze własności środków produkcji i ograniczenia omnipotencji państwa Polska nie ma szans wyjścia z kryzysu;

- gwarantami prawidłowego funkcjonowania gospodarki są własność prywatna, wolny rynek i swobodna konkurencja wolnych wytwórców. Propozycje reform i presja społeczeństwa i jego elit powinny iść w tym kierunku;

- wszelkie pomysły związane z "trzecią drogą", "nieburżuazyjnym społeczeństwem obywatelskim", "socjalizmem z ludzką twarzą" itp. są utopią i polityczną fikcją, niezależnie od ich pochodzenia. Idea *civil society* w tradycyjnym znaczeniu.

tego terminu /a więc jedynym pozytywnie sprawdzonym/ jest immanentnie związana z wolnościami ekonomicznymi;

- społeczeństwo polskie w dużej części nastawione jest egalitarnie, wciąż powszechnie jest przyzwolenie na etatystyczną wszechwładzę i nadopiekuńczość. Jednym z głównych zadań opozycji jest zmiana tego nastawienia;

- Polakom potrzebne są reformy - muszą oni jednak równocześnie domagać się praw. Celem naczelnym pozostaje wolność. "Wolność - pisał Tocqueville - zawsze daje tym, co ją potrafią zachować, dobrobyt, a często bogactwo; ale zdarzają się okresy, w których wolność chwilowo utrudnia korzystanie z tych dóbr, a bywa i tak, że ich przejściowe używanie może zapewnić jedynie despotyzm. Ludzie, którzy w wolności cenili tylko takie dobra, nigdy jej długo nie zachowali. /.../ Kto w wolności szuka czegoś innego niż ona sama, ten został stworzony na niewolnika".

Coraz powszechniejsze staje się przekonanie, że walka z komunizmem musi być równoległe walką o nowy kształt społeczeństwa. Nawet zwycięska rewolucja może okazać się kolejną przegraną, jeśli nie odegra się ona w warunkach przemiany społecznej świadomości. "U ludów źle rządzonych - że zacytuje jeszcze raz wielkiego Francuza - łatwo budzi się pragnienie, by rządzić się samodzielnie; ale takie umiłowanie niezależności, zrodzone ze szczególnego i przejściowego zła, które niesie ze sobą despotyzm, nigdy nie jest trwałe: przemija wraz z przyczyną, która mu dała istnienie; ludzie sądzą, że kochają wolność, tymczasem okazuje się, że jedynie nienawidzili władcy i pana". I w Polsce również nienawiść do komunizmu nie musi wcale oznaczać umiłowania wolności.

Jesteśmy wciąż na etapie poszukiwań. Wstępne założenia i kierunki myślenia dają nam pewne wyobrażenie ram politycznej aktywności, które tworzą wystarczająco szeroką i równocześnie konkretną płaszczyznę, by skupić grupę ludzi aktywnych, mniej lub bardziej identyfikujących się z liberalizmem. Naszą ambicją stało się uszczegółowienie koncepcji i uruchomienie obywatelskich i politycznych inicjatyw je realizujących.

Wyraźnej przemianie ulega etos polityczny opozycji naszej generacji. Do niedawna radykalni, rewolucyjni, wierzący w możliwość i sens gwałtownego przewrotu /niejeden z nas jeszcze w stanie wojennym działał na rzecz strajku generalnego/, lekceważący zagrożenia płynące z przyjęcia etyki bojkotu, oporu i życia poza prawem, dziś gotowi jesteśmy dać rangę takim pojęciom i kategoriom jak odpowiedzialność polityczna i obywatelska, rachunek sił, kultura polityczna, rozsądek i umiarkowanie, wyobraźnia i umiejętność przewidywania skutków. Przyjęcie takich preferencji wynikło nie tylko z naszych polskich doświadczeń, ale również z doświadczeń liberalizmu światowego, nawiązującego dziś w większym stopniu do tradycji, bardziej sceptycznego i powściągliwego, czerpiącego z dorobku takich myślicieli jak Monteskiusz czy Tocqueville i odchodzącego od optymizmu i wiary w wyłącznie dobroczynne skutki postępu liberalizmu oświeceniowego.

Wyrzeczenie się radykalno-rewolucyjnej wizji polityki nie jest rezultatem przegranej "Solidarności" ani zawaolowana formą kapitulancja, jak to sugerują niektórzy. Uważamy, że właśnie bezmyślny radykalizm i utopijne idee są wyrazem po-

litycznej i intelektualnej bezsilności. Gotowość do kompromisu i niewiara w zbawcze skutki gwałtownego przewrotu nie muszą oznaczać ustępstwa wobec komunizmu. Wynikają z przekonania, że możliwe jest prowadzenie walki z komunizmem skuteczniejsze, niż dotychczas - wymaga ono jednak nowych metod. Znamy granice kompromisu. Wciąż aktualne pozostają słowa Jerzego Jedlickiego, zawarte w esej *Antynomie liberalnej koncepcji wolności*, napisane sześć lat temu:

"Te trzy zasady - osobistego bezpieczeństwa, swobody przekonania i pluralizmu ideowego - stanowią nasze minimum. Te zasady z żadnymi innymi dobrami nie wchodzi w kolizję. Dalecy od wszelkiego radykalizmu, od zarozumiałego absolutyzowania i narzucania innym naszej hierarchii wartości, stale gotowi do ważenia różnych racji i do szukania między nimi kompromisu, dlatego właśnie musimy uznać, że te trzy zasady, które są w a r u n k i e m kompromisów, same przedmiotem kompromisu być nie mogą.

Mogą być źródłem niepokoju, to prawda. Wszelka wolność, pozostawiając sumieniu człowieka ciężar odpowiedzialności i wyboru, jest źródłem jego wewnętrznej rozterki i bywa źródłem niepokoju społecznego. Ten zaś niepokój jest źródłem twórczości, źródłem zmiany, źródłem życia. Nie każdy to lubi, to fakt. 'Tak jak zasadą rządu despotycznego jest lęk - pisał Monteskiusz - tak celem jego jest spokój: ale to nie jest pokój, to cisza owych miast, w których mury już wkracza nieprzyjaciel'. My nie chcemy pracować dla tej ciszy".

Liberalizm w Polsce przestaje powoli być domeną Don Kichotów typu Kisielewskiego, czy ekstrawaganckich intelektualistów, takich jak Korwin-Mikke. Staje się ruchem o sporej dynamice i uzasadnionych ambicjach politycznych. Wiele inicjatyw, nawiązujących do liberalizmu i neokonserwatyzmu, wskazuje, że być może liberałowie już wkrótce staną się ważącym elementem w polskim krajobrazie politycznym.

TADEUSZ DONECKI

Piotr Kapczyński

GOSPODARKA JAKO WYZWANIE PROGRAMOWE DLA OPOZYCJI

Obecny kryzys gospodarczy PRL ma przyczyny systemowe. Bez znaczących zmian ustrojowych, polegających na reprivatyzacji gospodarki, wprowadzeniu do niej mechanizmów rynkowych i przebudowie centralnych instytucji, wątpliwe jest jego rozwiązanie. Nie ma już takich jak w 1956 i 1970 roku możliwości zmian w polityce gospodarczej, które zapewniłyby na dłuższy czas stabilizację polityczną w kraju. Zmiany o charakterze ustrojowym mogą wymóc na władzy jedynie siły społeczne stojące w opozycji do istniejącego systemu. Ma on charakter zamknięty, nie posiada bowiem żadnych mechanizmów pozwalających przekształcać go stosownie do woli społeczeństwa. Stąd szczególna rola, a co za tym idzie także odpowiedzialność, opozycji. Bez podjęcia tej odpowiedzialności opór opozycji wobec władzy postrzeganej przez nią jako totalitarna, dawanie świadectwa wartościom, pozostaną jedynie symbolicznymi gestami. Idea pluralizmu nabiera politycznej treści dopiero wówczas, gdy głoszące ją ugrupowania potrafią dostarczyć odpowiedzi na stojące przed społeczeństwem problemy, wskazać drogi realizacji społecznych aspiracji.

Analiza doświadczeń "Solidarności" wskazuje, że bez przekształceń struktur w gospodarce wątpliwe jest uzyskanie konsensusu głównych sił społecznych, w tym również warstw średnich i skłonnych do reform grup aparatu władzy. Uzyskanie takiego konsensusu warunkuje wyjście z politycznego pata w jakim znajdujemy się dzisiaj i pozwoli uzyskać ewolucyjne i pokojowe przekształcenie systemu.

Poniższe rozważania ograniczają się do poszukiwania skuteczniejszej strategii działania opozycji. Pominięto w nich analizę polityki władz i ocenę ich politycznej i moralnej odpowiedzialności za wydarzenia ostatnich lat, a także, znaczącą przecież, rolę radzieckiej ingerencji w przebieg polskiego konfliktu/1/.

* * *

Pisząc o historii Paweł Jasienica wielokrotnie podkreślał, że dla losów narodów równie ważna jest mądrość rządzących jak i opozycji. Kwestia odpowiedzialności, będąca zasadniczym kryterium oceny działalności politycznej, przybrała współcześnie, w związku z powstaniem państw o systemie totalitarnym, nowy, bardziej złożony kształt. Tym co konstytuuje opo-

zycję - a ściślej mówiąc, opozycję demokratyczną - wobec systemu totalitarnego, jest odrzucenie pretensji rozumu ludzkiego do poznania prawdy ostatecznej, jako uzurpacji. Białochwalczą wiarą w poznanie prawd absolutnych, w praktyce zawsze musi oznaczać redukcję jednostki do roli wykonawcy owych prawd, będących rodzajem świeckiej eschatologii, przebranej w szaty prawd obiektywnych, historycznych lub prawd natury. W imię przywrócenia podmiotowości jednostki opozycja odrzuca komunizm jako ideologię totalną, kwestionuje legitymację panującego systemu, uznając wszelkie rządy ideologiczne za uzurpatorskie. W tym sensie opozycja demokratyczna jest z definicji antykomunistyczna /czy jak woli propaganda - antysocjalistyczna/. Problem legitymizacji rządów komunistycznych na tym jednak się nie kończy. Właściwie legitymacja ideologiczna władzy komunistów jako depozytariuszy wiedzy absolutnej i ostatecznej, powinna im /przy założeniu, że w nią wierzą/ wystarczyć. Jednak - nie wiadomo, czy to na skutek dostrzeganej w rządzonych społeczeństwach ciągle utrzymującej się "fałszywej świadomości", czy to w wyniku własnych wątpliwości wynikłych z nieprzystosowalności życia do teorii - ideologdy przodującego systemu usiłują dostarczyć szeregu dodatkowych uprawomocnień ustroju. Twierdzą oni na przykład, że komunizm realizuje, lub zmierza do realizacji wartości etycznych i należy z tego względu akceptować go, pomijając równocześnie samą tezę o naukowym i obiektywnym charakterze teorii. Jest to jednak nadużycie, gdyż uznanie nadrzędności wartości etycznych oznacza równocześnie uznanie podmiotowości jednostki, ponieważ moralność nierozzerwnie wiąże się z dokonywaniem wyborów przez teże jednostkę. Ponadto uznanie nadrzędności wartości etycznych oznacza również swobodę wyboru najlepszej z perspektywy tychże wartości drogi ich praktycznej ich realizacji, a w konsekwencji możliwość odrzucenia samej doktryny komunistycznej w imię ich urzeczywistnienia. Na podobne sprzeczności natrafiamy rozpatując próby legitymizacji władzy komunistycznej poprzez realizację interesu klasy robotniczej, interesu ogólnospołecznego, narodu bądź państwa, rozwoju gospodarczego, wychodzenia z kryzysu itp. Wypada w tym miejscu wyrzucić słowa uznania dla pomysłowości ideologicznej twórców tych koncepcji, a także słowa podziwu dla komunistycznej hipokryzji, która-paradoksalnie - okazuje się hołdem składanym cnotie przez występki.

Wszystko to jednak nie zmienia, a raczej potwierdza fakt, iż niezależnie od tego, jak mało atrakcyjna intelektualnie i społecznie byłaby współcześnie owa dziewiętnastowieczna ideologia, to właśnie ona konstruuje naszą rzeczywistość, gdyż tworzące tę rzeczywistość struktury polityczne, gospodarcze i społeczne są jej projekcją, a także stanowi ona uprawomocnienie grupowych interesów aparatu władzy. Ideologia jest wpisana w struktury systemu i powiązane z nimi interesy społeczne, stąd też będzie ona funkcjonować tak długo, jak struktury te będą istnieć.

Z jej punktu widzenia problem odpowiedzialności rządzących i opozycji za losy narodu nie mógłby w ogóle stać się przedmiotem rozważań, nie mógłby zaistnieć, ponieważ ani kategorie moralne /a odpowiedzialność jest jedną z nich/ ani pojęcie narodu w niej nie występują. Proletariusz bowiem nie ma ojczyzny, naród jest elementem fałszywej świadomości, a opozycja nie ma racji bytu. Praktyka życia odbiega jednak bardzo od ideologicznych pryncypiów. Ideologia zderza się z

logiką życia, praktyka rządów komunistycznych pełna jest dialektycznych sprzeczności, stanowi wypadkową potrzeby realizacji wskazań ideologicznych i potrzeby realizmu - potrzeby przetrwania systemu. Stąd też cykliczność występowania kolejnych odwilży i przymrozków. Zmiany te nie stanowią jednak, jakby się mogło wydawać, jedynie błędnego koła. W trakcie tych cykli dojrzewa i zmienia się społeczeństwo, które swą postawą ogranicza swobodę manewru władz. Tym też możemy wyjaśnić powolną ewolucję praktyki rządów komunistycznych, rosnącą rozbieżność między tą praktyką a ideologicznymi pryncypiami, fakt zaistnienia w tym systemie opozycji i jej możliwość wpływania na sytuację społeczną i polityczną.

Sposób w jaki opozycja postrzega istniejący system, a także własną w nim rolę, wywiera decydujący wpływ na podejmowane przez nią wybory polityczne. Jej świadomość określiły w znacznym stopniu okoliczności powstania, którego celem było odtworzenie niezależnego, autentycznego życia społecznego. Ze względu na upolitycznienie w istniejącym systemie całej sfery życia publicznego, powstające niezależne ugrupowania społeczne były siłą rzeczy zmuszone do funkcjonowania w opozycji do systemu, do obrony własnej niezależności, a także swego istnienia. Stanowiły one wyłom w monolitycznych strukturach i z tego względu sam fakt ich istnienia stanowił już pewną wartość. W momencie przekształcania się niezależnych ugrupowań społecznych w masowy ruch, zarysowały się przed nim dwie odmienne opcje polityczne, dwa sposoby pojmowania odpowiedzialności politycznej. Pierwszą opcję stanowiła kontynuacja koncepcji "samoorganizacji społecznej". Tej autotelelicznej koncepcji towarzyszyło przeświadczenie, że zmiany w sferze społecznej wymuszają niemal automatycznie przemiany w sferze politycznej i gospodarczej. Nie posiadając bezpośredniego wpływu na gospodarkę, nowopowstały ruch społeczny przez dłuższy czas nie dążył do jej przekształcenia ani do wzięcia odpowiedzialności za jej stan.

Druga opcja, rzadko występująca w myśli politycznej tamtego okresu, polegała na postrzeganiu zdobytej podmiotowości społecznej, uzyskanego wpływu politycznego jako środka do przekształcenia gospodarki, do wzięcia odpowiedzialności za sprawę, na które ruch mógł mieć jedynie pośredni wpływ.

* * *

Porozumienia sierpniowe stanowią największe zwycięstwo w walce o uzyskanie przez społeczeństwo swojej podmiotowości. Oceny tej nie zmieniają późniejsze niepowodzenia.

Jednak Sierpień, będący najsilniejszym doświadczeniem politycznym w życiu większości Polaków, dodatkowo jeszcze postrzegany przez wielu jako największe dokonanie i sukces życiowy, zdaje się determinować sposób dzisiejszego myślenia politycznego, sposób patrzenia na obecną sytuację. Fascynacja zwycięstwem zdaje się przesłaniać wielu działaczom opozycji fakt zajęcia w międzyczasie zmian, które co najmniej utrudniają w obecnej sytuacji powtórzenie schematu zmasowanej presji i stołu rokowań. Wiara w powtórne nadejście mitycznej "godziny zero" ogranicza wnioski z wielorakich przecięż doświadczeń do stwierdzenia konieczności lepszej organizacji presji społecznej i u jednych do radykalizacji, a u innych umiarkowania żądań.

Musimy sobie uzmysłowić, że w latach siedemdziesiątych

postawy obydwu stron konfliktu społecznego były kształtowane przez całkiem odmienne od dzisiejszych doświadczenia, a mianowicie przez tragedię Grudnia 70, konflikty z okresu pierwszych miesięcy 1971 roku i Czerwca 76. Wówczas, wobec cyklicznego powtarzania się kryzysów, odpowiedzialni działacze społeczni poszukiwali rozwiązań, które z jednej strony pozwoliłyby zapobiec przelewowi krwi, a z drugiej usunąć same przyczyny kryzysów. Zapowiedzią realności takich możliwości były słynne wizyty Gierka w styczniu i lutym 1971 roku u stołeczniowców Szczecina, Gdańska i łódzkich włóknieniarów. Ta /szybko zresztą zarzucona/ praktyka stanowiła nie tylko nowy model rozwiązywania konfliktów, ale w przypadku nadania jej zinstytucjonalizowanego charakteru mogłoby stanowić nowy model sprawowania władzy. Owo epizodyczne doświadczenie, kryjące w sobie wiele niewiadomych, pozwalało obu stronom łączyć z nim różne, często wzajemnie wykluczające się oczekiwania. Obie strony zainteresowane były w uniknięciu rozlewu krwi. Władze liczyły na to, że drogą pewnych ustępstw, głównie ekonomicznych, uda się im zneutralizować polityczną siłę robotniczego wybuchu, natomiast działacze społeczni upatrywali w tym doświadczeniu szansę zinstytucjonalizowania presji społecznej na władzę. Bez twórczego wykorzystania lekcji wcześniejszych kryzysów przez niezależne ugrupowania lat siedemdziesiątych sukces Sierpnia byłby trudny do osiągnięcia. Hasło "zakładajmy komitety zamiast je palić" otwierało drogę do korzystnego nie tylko dla robotników, ale także dla kraju rozwiązania przyszłego konfliktu - do zawarcia umów społecznych. Umowy te, niezależnie od późniejszych wydarzeń, stanowiły dla obu stron szansę na pozytywne rozwiązanie, jakim było uniknięcie wyniszczającego konfliktu, oznaczały zwycięstwo takiego myślenia politycznego, które realizuje interes całego narodu.

Dzisiaj, po klęsce "Solidarności", idea umów społecznych nie stanowi w sytuacji kryzysowej pozytywnej alternatywy, w tym sensie, w jakim stanowiła je w 1980 roku. Nadal co prawda żyjemy w stanie kryzysu ekonomicznego posiadając chorą gospodarkę, nie mamy wpływu na nasze państwo, jesteśmy bezsilni wobec bezprawia i niesprawnej administracji, ale równocześnie pozbawieni jesteśmy złudzeń co do politycznej skuteczności masowego ruchu społecznego, będących naszym udziałem dziesięć lat temu. Władze, czyniąc wszystko, by nie dopuścić do powtórzenia wydarzeń z Sierpnia 80, zmieniły swoją taktykę. Dopuścili do kontrolowanego pluralizmu organizacyjnego w postaci nowych związków zawodowych, PRON-u, różnych instytucji doradczych, konsultacyjnych i dyskusyjnych. Rozluźniły kontrolę prasy, głównie tej o węższym zasięgu. Pozwala im to w jakimś stopniu kanalizować nastroje frustracji i stanowi dla władz zarówno swego rodzaju system "buforowy", jak i system "wczesnego ostrzegania". Ich legitymacja od 13 grudnia nie miała już być sukcesem gospodarczy czy "jednością moralno-polityczną narodu", lecz "wychodzenie z kryzysu", "normalizacja" i związana z tym "linia walki i porozumienia", co w praktyce oznaczało rozbudowę i większą rolę aparatu represji. Inne aniżeli w latach siedemdziesiątych jest społeczeństwo. Wówczas załamanie gospodarcze stanowiło dla niego zaskoczenie, wstrząs. Społeczne rozdrażnienie dodatkowo pogłębiała propaganda sukcesu, rozbudzająca aspiracje materialne, których władze nie potrafiły zaspokoić. Społeczeństwo, dalekie w swej większości od czynnego zaangażowania politycznego,

miało jednak, po wymuszonych na władzy w 1970 i 1976 r. ustępstwach, poczucie swej siły. Stąd w sierpniu 1980 r., wobec całkowitej w powszechnym odczuciu dyskredytacji formuły rządów Gierka, z entuzjazmem podchwyciło wypracowane w końcu lat siedemdziesiątych przez niezależne ugrupowania formy samorganizacji społecznej, która umożliwiała wywarcie skutecznej presji na władze i artykulację społecznych żądań. Idea umów społecznych jawiła się Polakom jako droga prowadząca prosto do emancypacji społecznej i politycznej. Dzisiaj jednak pamięć ówczesnego sukcesu przesłonięta jest doświadczeniem grudnia 1981 r., świadomością, że nawet tak potężny ruch, jakim była "Solidarność" nie zdołał poprawić ich bytu. Obecna sytuację przeciętny Polak odbiera jako uciążliwszą aniżeli dziesięć lat temu, jest bardziej krytyczny. Wyraźniej dostrzega tkwiące w anachronicznym systemie przyczyny zła, braku perspektyw na poprawę osobistego losu, rozumie konieczność zmian systemowych. Jest jednak bardziej sceptyczny w ocenie możliwości wpływu na zmianę polityki władz oraz szans prowadzenia skutecznej niezależnej działalności politycznej i społecznej.

Odpowiedzialna myśl polityczna nie może ignorować negatywnych doświadczeń ostatnich lat. Bez analizy ich przyczyn, bez pozytywnej wizji rozwiązania problemów kraju, w tym ewentualnego wybuchu społecznego, niemożliwa jest odpowiedzialna działalność polityczna. Sprowadzenie przyczyn niepowodzeń do złej woli władz pomija fakt, że realizują one cele określone przez ideologię, interesy aparatu i tzw. uwarunkowania geopolityczne oraz że cele te są sprzeczne ze społecznymi aspiracjami. Z kolei rozpatrywanie źródeł klęski "Solidarności" w perspektywie rozrachunkowej jest politycznie jałowe.

Opinia upatrująca przyczyny porażki "Solidarności" w jej zbytym radykalizmie wydaje się wyjaśniać tylko część zagadnienia. Gdyby Związek przyjął postawę bardziej umiarkowaną, ograniczył swe żądania i presję wywieraną na władze, nie przyczyniłoby się to do zwiększenia w sposób jednoznaczny jego bezpieczeństwa. Niezależne związki zawodowe mogły istnieć i funkcjonować jedynie kosztem ograniczenia władzy i interesów nomenklatury. Sam fakt istnienia "Solidarności" stanowił dla niej zagrożenie. Bezpieczeństwo Związku było ściśle uzależnione od kosztów, jakie musiałaby ponieść władza w przypadku jego likwidacji, a o rozmiarach kosztów decydował zakres poparcia społecznego jakim się on cieszył.

Możliwości sterowania Związkiem były w dużej mierze ograniczone. Nabierał on z czasem charakteru radykalizującego się, spontanicznego ruchu społecznego. Powstrzymywanie tej dynamiki było na dłuższą metę mało realne. Byłoby to możliwe jedynie w imię jakiejś perspektywy rozwiązania problemów, które tę radykalizację powodowały. Takiej perspektywy niestety Związek nie posiadał. Powstrzymując, w imię stabilizacji niesprawnego systemu i nieudolnych rządów, uzasadnione w powszechnym odczuciu żądania, przywódcy związkowi ryzykowaliby utratę autorytetu, a Związek - siłę poparcia społecznego, czyli pośrednio bezpieczeństwa. Postępując w ten sposób "Solidarność" ani nie uniknęłaby frustracji wywoływanych gwałtownym zaostrzeniem się kryzysu gospodarczego, ani też nie uzyskalaby akceptacji władz, gdyż tę mogła osiągnąć jedynie za cenę własnej niezależności. Ryzykowałaby więc podwójnie - zarówno utratą poparcia społecznego jak i likwidacją jej jako legalnej organizacji.

Początkowe zwycięstwa dały "Solidarności" siłę, której nie wykorzystała, gdyż nie potrafiła ich zagospodarować. Musiała iść do przodu, jednak kolejne sukcesy zwiększały jedynie napięcie pomiędzy jej społeczną potęgą, a duszą ją gospodarczą i polityczną bezsilnością. Pozostawała jej "ucieczka do przodu", postrzeganie siebie samej jako ruchu rewolucyjnego i wyzwolenczego, jako pokojowej rewolucji antytotalitarnej /przykładem *Posłanie do narodów Europy Wschodniej*/. W jej sile, dopiero dzisiaj możemy to dostrzec, tkwiły przesłanki jej słabości i klęski. Wysuwając program rewindykacji ekonomicznych Związek uzyskiwał szerokie poparcie społeczne, ale równocześnie rozbudzał w społeczeństwie aspiracje materialne, których realizacji - mimo swej potęgi - nie był w stanie wymóc na państwie. Koncentrował swą uwagę bardziej na kwestii podziału niż wytwarzania, na sprawach o dużym rezonansie społecznym, ale nie prowadzących do rozwiązania zasadniczych problemów. Zajmował się reglamentacją, krytyką i zwalczaniem - w jego przekonaniu nadmiernego - eksportu, defraudacjami, korupcją, ukrywaniem przez władzę zapasów towarów itp.

Coraz silniejsza presja społeczna nie przynosiła dalszych ustępstw władz, lecz konsolidację aparatu i uszytwnienie jego postawy. Samoorganizacja dawała ludziom poczucie niezależności i wolności, ale nie mówiła jak uzyskaną niezależność i wolność spożytkować dla dobra ogółu i własnego.

Wraz ze wzrostem poczucia siły ruchu i spadkiem autorytetu władz narastały oczekiwania w stosunku do powszechnie uchodzącego za słabe państwa i wiara w możliwość wyegzekwowania żądań drogą wzmagania presji. Wymuszając nadopiekuńczość państwa, ruch - nie uświadamiając sobie tego - pośrednio legitymizował jego omnipotencję. Samoświadomości ruchu nie sprzyjały różne, głoszone skądinąd przez znanych i cieszących się autorytetem autorów, teorie o jego unikalności, o przewyciężeniu dylematów Wschodu i Zachodu /"trzecia droga"/, o jedynej w dziejach udanej rewolucji robotniczej, o rewolucji w imię krzyża, o Polsce dokonującej skrótu historycznego i znajdującej się w awangardzie procesu dziejowego/2/.

Wszystkie te teorie, wpływające korzystnie na samoocenę Związku, stwarzające okazję do zamasztysej twórczości ideologicznej, w niczym nie przybliżały rozwiązania stojących przed Związkiem problemów, a jedynie zaciemniały ich obraz. Również rozpowszechnione wśród uczestników ruchu manichejskie widzenie świata, a także nadużywający symboliki narodowej, historycznej i religijnej sposób komunikowania, utrudniały szukanie rozwiązań odpowiadających specyfice powstałej po Sierpniu sytuacji politycznej /3/. Zafascynowanie własną siłą, powszechne przekonanie o nieodwracalności zachodzących zmian, wzmocniły rewolucyjną dynamikę ruchu. Za propozycjami utworzenia rządu pozapartyjnego, wolnych wyborów do Rad Narodowych i Sejmu stało przekonanie, że władze nie są na tyle silne, by cofnąć bieg wydarzeń. Idea zagwarantowania przez siły niezależne interesów radzieckich w Polsce mogła zostać odczytana przez polskich komunistów jako próba wyeliminowania ich z gry. Zdecydowali się oni na rozgrywkę siłową, na wykorzystanie jedyne go atutu, jakim jeszcze dysponowali w kraju, zanim nie utracili kontroli również nad wojskiem i milicją, chociaż byli pełni obaw wobec potęgi masowego ruchu społecznego i niepewni własnej oceny sytuacji ani rezultatu starcia.

Pozostaną bez ostatecznej odpowiedzi pytania o to, czy "Solidarność" była skazana na klęskę i czy w ówczesnej sytuacji mogła wybrać jakieś lepsze, realne rozwiązanie. Nie zmienia to jednak faktu, że Związek nie był świadomy istniejących zagrożeń, wobec czego nie poszukiwał pozwalających ich uniknąć rozwiązań. Wobec zaostrzenia się konfliktu i nie-realności wygrania konfrontacji z wojskiem i milicją, wydaje się oczywiste, iż należało dążyć do skierowania energii ruchu na to pole, na którym zmiany stwarzałyby szansę stabilizacji. W utrzymywaniu zmian o charakterze gospodarczym zainteresowane byłyby również siły społeczne zajmujące w zasadniczym konflikcie stanowisko neutralne, a cofnięcie tych zmian byłoby dla władz trudne. Niestety, gospodarka przez dłuższy czas leżała poza obszarem zainteresowań Związku. "Solidarność" unikała angażowania się w jej naprawę i podjęcia cząstkowej choćby odpowiedzialności, której, jak się obawiała, nie byłaby w stanie sprostać. Związek poszedł w kierunku rewindykacyjnego ruchu populistycznego. Jego przywódcy zignorowali fakt, iż sama presja rewindykacyjna w żadnym kraju nie doprowadziła w ostatecznym efekcie do poprawy położenia materialnego świata pracy. Często natomiast rezultatem silnych postaw roszczeniowych był zastój i co za tym idzie spadek poziomu życia. W dłuższej perspektywie o dochodach pracowników decyduje przede wszystkim sprawność systemu gospodarczego.

Już na długo przed Sierpniem było oczywiste, że system gospodarczy PRL jest niesprawny, że władze zarządzają gospodarką nieudolnie i że nie są ani koncepcyjnie, ani politycznie zdolne do przeforsowania reform, które musiałyby ograniczyć ich omnipotencję, z centralizmem i nomenklaturą włącznie. Oczywiste było również, że stabilizacja polityczna nie jest możliwa bez stabilizacji gospodarczej i że bez zmian ekonomicznych nie jest możliwy pluralizm, zarówno społeczny, jak i polityczny. Ponadto, powstałe w związku z przejściem od centralistycznego do rynkowego modelu gospodarczego, samodzielne podmioty ekonomiczne osłabiłyby polaryzację polityczną. W zantagonizowanym, biegunowym układzie społecznym pojawiłyby się trzeci uczestnik, pełniący w starciach dwóch pozostałych rolę swoistego amortyzatora. Rynkowy mechanizm gospodarczy neutralizowałby siłę presji rewindykacyjnych i stwarzałyby przesłanki do rozwoju społeczeństwa obywatelskiego i ustanowienia "państwa prawnego".

"Solidarność" była jedyną siłą społeczną zdolną wymusić na władzach przebudowę struktur gospodarczych, lecz niestety przez dłuższy czas nie dostrzegała wagi tego zagadnienia. Dopiero w połowie 1981 roku, wobec zaostrzającego się kryzysu ekonomicznego, poparła wysunięty przez "Sieć" /sieć samorządów pracowniczych największych zakładów w Polsce/ program usamorządowienia gospodarki.

Również przed Sierpniem niezależna publicystyka nie dostrzegała potrzeby, a przede wszystkim realnych w ówczesnej sytuacji możliwości, reprivatyzacji i urynkowienia gospodarki. Ci niezależni publicyści, którzy głosili potrzebę skoncentrowania się na kwestiach gospodarczych Stefan Kisielewski, Stefan Kurowski czy Janusz Korwin-Mikke funkcjonowali jako outsiderzy i nie wywierali większego wpływu na programy opozycyjne.

Dla historyków myśli społecznej wyjaśnienie przyczyn niewypracowania, przez ugrupowania stawiające sobie tak poważne cele jak niepodległość, demokracja parlamentarna, obrona interesów świata, spójnego programu przemian gospodarczych, będzie stanowić nie lada problem. Powinno być przecież oczywiste, że współcześnie sprawna gospodarka stanowi fundament niepodległego bytu narodowego i państwowego. Nie jest znany w historii żaden przypadek funkcjonowania demokracji parlamentarnej bez własności prywatnej w gospodarce i bez prawa do indywidualnej inicjatywy gospodarczej. Wszelka obrona interesów świata pracy bez sprawnej gospodarki jest na dłuższą metę skazana na niepowodzenie. Czyż poważnym jest zarzucać władzy /zgodnie zresztą z prawdą/ brak kompetencji i politycznej woli przeprowadzenia zasadniczych reform gospodarczych i równocześnie ograniczać się samemu do stwierdzeń o ich niezbędności. Przecież wypracowanie spójnego programu ekonomicznego ma nie tylko znaczenie w przypadku zaistnienia korzystnej, umożliwiającej daleko idące zmiany, sytuacji, ale jest ważnym instrumentem wywierania presji na politykę władz i czynnikiem przekształcającym świadomość społeczeństwa, przygotowującym je do przyszłych zmian.

Można przypuszczać, iż nieobecność w publicystyce niezależnej programów zasadniczych zmian systemu ekonomicznego wynika z dość mechanicznego nawiązywania do tradycji istniejących przed 1945 r. w Polsce nurtów politycznych, które nie miały do czynienia z molochem gospodarki centralno-państwowej. Wiąże się to prawdopodobnie również z brakiem swego rodzaju odwagi ideologicznej poruszania problemów niejednorodnych w społecznym odbiorze, takich jak kwestia własności prywatnej, różnic majątkowych, bezrobocia, konkurencji, przymusów ekonomicznych itp. Jest to jednak chowanie głowy w piasek, gdyż niektóre z tych problemów już teraz są obecne w naszym życiu, a z czasem prawdopodobnie wokół nich ogniskować się będzie życie polityczne. Nieskuteczność gospodarki państwowej potwierdziła się zarówno w państwach komunistycznych jak i Trzeciego Świata a także Zachodu.

Odejście od tego modelu w Polsce nie będzie możliwe bez świadomych decyzji politycznych, gdyż jego struktury stanowią w naszym systemie podstawy struktur politycznych. Złudzeniem jest przekonanie, że przebiegający w sposób spontaniczny oddolny proces reprivatyzacji gospodarki może w ramach obecnych rozwiązań instytucjonalnych wyказаć wyższość własności prywatnej nad państwową. Tzw. sektor nieuspołeczniony funkcjonujący w ramach gospodarki socjalistycznej jest równie jak ona, chociaż objawia się to w odmienny sposób, chory. Jest bardziej nastawiony na konsumpcję aniżeli inwestycje. Funkcjonuje nie w oparciu o ekonomiczny mechanizm rynku, lecz w oparciu o rynek przepisów i rozporządzeń biurokratycznych. Rozwój różnych form gospodarki niepaństwowej - podobnie jak niezależnych instytucji społecznych - jest bardziej przejawem rozkładu systemu totalitarnego, aniżeli powstania systemu gospodarki wolnorynkowej i ustroju demokratycznego. Wobec osobistego ryzyka i niepewności ekonomicznej w niezależnym życiu społecznym i gospodarczym praktycznie uczestniczyć mogą tylko ci, którzy gotowi są zdecydować się na nie. Program "społeczeństwa niezależnego" /"podziemnego"/ w sytuacji braku inicjatywy politycznej ugrupowań opozycyjnych, musi sprowadzić się do propozycji "sposobu na życie" w tym systemie, a nie jego zmiany.

W poszukiwaniu skutecznej strategii działań opozycyjnych przydatność doświadczeń narodów, które posiadają efektywnie funkcjonujące gospodarki rynkowe jest ograniczone. Nie ma bowiem historycznego precedensu przejścia od państwowego do rynkowego modelu gospodarczego. /Po roku 1945 w Niemczech i Japonii zastąpienie centralnie kierowanej przez państwo gospodarki kapitalistycznej wolnorynkową przeprowadzone zostało w specyficznych okolicznościach - w warunkach okupacji tych państw przez zachodnich aliantów./ W państwach zachodnich instytucje i tradycje gospodarki wolnorynkowej powstawały w wyniku kilkunastowiecznego procesu historycznego. Stanowią cywilizacyjny dorobek wielu pokoleń. Natomiast w krajach Dalekiego Wschodu /Japonia, Tajwan, Singapur, Korea Południowa/ decydującą rolę w rozwoju wolnego rynku odegrała aktywna polityka państwa, co w przypadku Polski, będącej krajem komunistycznym i niesuwerennym, jest niemożliwe. Inicjatywa przekształceń ustrojowych może w obecnych polskich warunkach wyjść jedynie ze strony ugrupowań opozycyjnych i zostać zrealizowana, ze względu na brak mechanizmów demokratycznych, głównie drogą społecznej presji na władze.

Mechaniczne przeniesienie na nasz grunt instytucji gospodarki rynkowej nie może spowodować poprawy gospodarczej. Rynek, podobnie jak demokracja, nie może sprawnie funkcjonować bez właściwej infrastruktury społecznej - tradycyjnej przedsiębiorczości, poszanowania prawa, sprawnej kadry menadżerskiej i administracyjnej. Ponadto proces reprivatyzacji przy braku poważniejszych krajowych kapitałów prywatnych byłby trudny do przeprowadzenia w krótkim okresie czasu. Ze względu na niewystępowanie w gospodarce państwowej realnego właściciela, nie funkcjonują w niej mechanizmy ekonomiczne zabezpieczające interes własności państwowej, stanowiącej dorobek pracy całego narodu /4/. Istnieje niebezpieczeństwo, iż w przypadku nieprzemyślanego wycofania się państwa z funkcji bezpośredniego podmiotu gospodarczego, nastąpiłyby nieuzasadnione ogólnospołeczne racjami ekonomicznymi /np. korupcja/ przepływ majątku państwowego w prywatne ręce. Taki żywiołowy proces mógłby mieć katastrofalne konsekwencje gospodarcze i społeczne - fortuny zdobyte dzięki skorumpowanej państwowej administracji gospodarczej, bankructwa, bezrobocie, spadek poziomu życia, silne konflikty społeczne itp. Niezbędny jest wzmocniony wysiłek koncepcyjny na rzecz reform systemowych, by zmniejszyć ryzyko poniesienia w trakcie przekształcania systemu nadmiernych i niezasadnionych kosztów społecznych, a tym samym niepowodzenia samego przedsięwzięcia.

* * *

W polityce nie ma gotowych recept. Nowe sytuacje przynoszą nowe możliwości i nadzieje, ale także nowe rozczarowania i zagrożenia. Stanowią wyzwanie dla sprawdzonych w przeszłości sposobów myślenia i postępowania. Szanse nie dostrzeżone w porę, zlekceważone lub błędnie odczytane tracą się bezpowrotnie.

Zmiany, związane z polityką Gorbaczowa, zachodzące obecnie w Związku Radzieckim stanowią szansę na zmianę sytuacji w Polsce, stanowią również wyzwanie dla niezależnej myśli politycznej. Towarzyszy im duży rozgłos i wiele spekulacji, chociaż dotąd nie wiadomo dokładnie do czego zmierzają i jakie przyniosą skutki.

Niezależnie jednak od tego, jak bardzo sceptycznie oceniłbyśmy perspektywę zasadniczych reform w ZSRR, nie ulega wątpliwości, że rządy Gorbaczowa stanowią cezurę w radzieckiej historii. Oznaczają koniec zastoju i stagnacji ery Breżniewa. Społeczeństwo raz wytracone ze stanu bezwładności łatwo do niego nie wróci, a jeżeli - to już nie takie same.

Zważywszy, że rozwiązanie problemów naszego kraju jest w dużym stopniu uzależnione od tzw. uwarunkowań geopolitycznych, niepokoić musi perspektywa rozminięcia się korzystnej koniunktury zewnętrznej ze społeczną gotowością jej wykorzystania. Zmiana obecnego kursu politycznego Moskwy może napaść na skutek upadku ekipy Gorbaczowa, względnie osiągnięcia postawionych przez nią celów - umocnienia własnej pozycji, przeprowadzenie wymiany pokoleniowej ludzi aparatu władzy, uzyskanie zmiany twardego stanowiska Zachodu - lub pod naciskiem zachowawczego aparatu.

W Polsce, wyznaczany kolejnymi kryzysami, cykl życia politycznego ma charakter autonomiczny. Obecnie większość społeczeństwa przytłacza świadomość nieskuteczności dokonanego wysiłku i poniesionych kosztów podczas burzliwych wydarzeń ostatnich lat. Władze wyczerpały ofensywne treści leżące u podłoża decyzji wprowadzenia stanu wojennego. Aparat władzy w znacznym stopniu odreagował poczucie strachu, nienawiści i upokorzenia z okresu "Solidarności". Nie ma on już co prawda poczucia bezpośredniego zagrożenia, ale nie ma też już złudzeń, że stan wojenny usunął gospodarce przyczyny kryzysu. Nawet oficjalne ośrodki badania opinii publicznej potwierdzają powszechność oczekiwania reform przez społeczeństwo. Również władze muszą uświadomić sobie i uznać, że alternatywą strukturalnych reform gospodarczych jest dalsza degradacja ekonomiczna i ekologiczna kraju, spadek poziomu życia, co może doprowadzić do spirali buntów i przemocy. Dzisiejsza Polska nie posiada możliwości powtórzenia politycznych rozwiązań poprzednich kryzysów.

Bez perspektywy zmian ustrojowych wszyscy, zarówno władze jak i społeczeństwo, mogą w wyniku kolejnego wybuchu społecznego okazać się przegrani oraz odpowiedzialni za jego skutki.

kwiecień 1987

PIOTR KAPCZYŃSKI

PREYPISY

- /1/ Patrz zamieszczony kwietniowym numerze "Kultury" wywiad z płk Ryszardem Kuklińskim.
- /2/ Patrz: Leszek Nowak, *Polska droga do socjalizmu*, WlW, Poznań 1980.
- /3/ Patrz: Jadwiga Staniszkis, *Forma myślenia jako ideologia*, "Przegląd Polityczny" 1985, nr 6.
- /4/ Patrz: Jadwiga Staniszkis, *Własność, racjonalność, dynamika, struktura*, "Przegląd Polityczny" 1984, nr 4.

POTRZEBNA JEST WYTRWAŁOŚĆ

wywiad
z Bogdanem Borusewiczem

"Przegląd Polityczny": Twoja polityczna biografia liczy blisko dwadzieścia lat, czyli ponad połowę twego życia. Co spowodowało, że zaczęła się ona tak wcześnie?

Bogdan Borusewicz: Kiedy zaczynałem działać, trudno mówić o pobudkach ideowych czy politycznych, miały one raczej charakter moralny. To, że znalazłem się w opozycji, a potem w podziemiu, wynika z jednej strony z konstrukcji mojej osobowości, a z drugiej z sytuacji zewnętrznej, która determinowała nas do działania. Bardzo ważnym momentem w życiu moim i moich rówieśników był Marzec 68. Bo chociaż wcześniej tradycje domowe, rodzinne /w moim przypadku Wilno i Wileńszczyzna/ uświadamiały nam kłamstwa szkolnej wersji historii, to było to jednak za mało, aby skłonić nas do działania. Spowodowały wszakże moje zainteresowanie historią - zacząłem szukać prawdy. Podobnie było z wieloma rówieśnikami. Marzec był dla nas szokiem. Na ulicy zobaczyliśmy, jak wyglądają mechanizmy władzy. Mój "teoretyczny" sprzeciw znalazł potwierdzenie w tym, co widziałem. Kłamstwa prasy na temat tych demonstracji wzbudzały nie tylko niesmak, ale także oburzenie i złość. Zorganizowałem wtedy niedużą akcję ulotkową. Na skutek donosu wpadłem i zostałem aresztowany. Udało mi się uciec: poszukiwano mnie listem gończym bez podania przyczyny jako groźnego przestępcę. Po paru dniach powróciłem do więzienia i odsiedziałem półtora roku z wyroku trzyletniego.

Pobyt w więzieniu utwierdził mnie w przekonaniu, że tej władzy trzeba się przeciwstawić. W tym czasie miałem już dość mocną motywację do działania i dosyć dużą wiedzę na temat tego, co działo się w Polsce od czasu drugiej wojny światowej. Teraz poznałem kościec systemu - organy ścigania i represji. Poznałem z bliska obłudę i bezczelny fałsz propagandy; wobec tego nie mogłem pozostać obojętny. Podobnie w życiu codziennym nie mogę nie zareagować na bicie leżącego czy kobiety... To cecha charakteru, ale także i kwestia uczciwości w stosunku do samego siebie. Był to więc rodzaj odruchu moralnego.

Marzec 68 był pierwszym "zakretem" w historii PRL, w którym brałeś udział...

We wtorek odbyła się na Targu Węglowym nieduża demonstracja /ok. 1000 osób/ zakończona dość "wyważoną" interwencją milicji. O wiele większa demonstracja miała miejsce w piątek, 15 marca w okolicach Politechniki i Opery. Trwała od 15.00 do zmroku. Były kamienie, milicja szarżując używała pałek i gazów, a olbrzymi tłum skandował: "Gestapo". Wrażenie było silne.

Czy znalazłwszy się potem w więzieniu byłeś tam jedynym politycznym?

Byłem jedynym "marcowym". Prócz mnie siedziała grupa pięciu chłopaków z Wrzeszcza, którzy stworzyli podziemną niby wojskową organizację i nazwali ją "Gdańska Młodzieżowa Grupa Wywiadowcza". Była to w zasadzie zabawa /ukradli 100 sztuk naboju i zamek do karabinu i planowali przy użyciu saletry wysadzić w powietrze konsulat radziecki/, ale potraktowano ich bardzo surowo. Dostali potężne wyroki - ich przywódca, Jakuba Szadaja /21 lat/ skazano na 10 lat więzienia, Leszka Wróblewskiego /18 lat/ na 7 lat, Jurka Wolszczaka /18 lat/ na 5 lat, Wasilka /23 lata/ na 2,5 roku, Janusza Jastrzębskiego /19 lat/ na 1,5 roku; pozostali odpowiadający z wolnej stopy otrzymali wyroki w zawieszeniu. Wszyscy aresztowani zostali 3 kwietnia 68 r., w sprawie mieli w Sądzie Wojewódzkim w Gdańsku w listopadzie tegoż roku.

W latach siedemdziesiątych zaczęły się kształtować organizacyjnie różne środowiska opozycyjne w Polsce. Jak doszło do tego, tworzącego nową jakość polityczną, przetamu?

Posiadając pewną wiedzę doszliśmy do wniosku, że trzeba szukać ludzi o podobnych doświadczeniach i zbliżonych poglądach. Wspólnie powinniśmy tę wiedzę pogłębiać. Zaczęliśmy spotykać się, dyskutować, tworzyć grupy samokształceniowe. Chciałem zobaczyć, ilu nas jest. Myślałem o stworzeniu środowiska ludzi podobnie myślących, co było konieczne dla higieny psychicznej - byliśmy przecież przez cały czas poddawani obróbce propagandowej i człowiek nieraz zadawał sobie pytanie, czy może ci kłamcy mają rację, może stanowią większość... Nie miałem wtedy głębokich motywacji i planów politycznych. Była to raczej kontestacja moralna. I rozprzeżrzeniało się to w sposób naturalny. Dyskusje, spotkania, pęd do prawdy historycznej /o wiedzę socjologiczną było znacznie trudniej/.

To był wstęp. I kiedy przyszedł rok 76, demonstracje w Radomiu i Ursusie, ja już znajdowałem się w pewnych układach środowiskowych. Nie byłem całkiem znikąd. Studiowałem na KUL-u w Lublinie, byłem uczestnikiem grupy samokształceniowej przy duszpasterstwie ojca Ludwika Wiśniewskiego. Podobna grupa istniała w Gdańsku, przy kościele jezuitów, gdzie ks. Sroka umożliwił spotkanie się młodzieży, która potem utworzyła RMP. A więc w czerwcu 76 mieliśmy już ukształtowane środowisko, zarówno w Lublinie, jak i w Gdańsku. Na wiadomość o represjach zaczęliśmy zbierać forsy i pojechałem do Radomia. Nie znaleźmy tam nikogo. Trzy razy jeździłem na próżno. W czasie czwartej podróży, mając ze sobą zebrane około 30 tys. złotych, których nie miałem komu wręczyć, zdecydowałem się na krok rozpaczliwy. Poszedłem na cmentarz i zapytałem tamtejszego pracownika, czy zna rodziny robotników, którzy zginęli w czasie tych demonstracji. Facet najpierw mnie wylegitymował, potem myślałem, że zadzwoni na milicję, ale w końcu

go przekonałem, wyjaśniłem, o co chodzi i dał mi kontakt. Następnym razem zdecydowałem się pójść do sądu, gdzie odbywały się procesy robotników. Tam spotkałem grupę warszawską i tak nawiązaliśmy kontakt, a potem współpracę. Było to 15 września. Koledzy z Warszawy zmierzały już wtedy w kierunku nowej w Polsce taktyki - chodziło o jawność opozycji. Dotychczas jeżeli ktoś w Polsce chciał działać, to zakładał tajną organizację. Ja też byłem za takim stylem działania, ale Warszawa pokazała, że można inaczej. Do KOR-u więc nie wszedłem przez przypadek, choć przez przypadek dałem nazwisko. Staraliśmy się w Gdańsku znaleźć kogoś starszego i z autorytetem, ale nie udało się. Nasze kontakty były skromne. Ja się do tego nie paliłem, m.in. dlatego, że miałem jeszcze nie ukończoną pracę magisterską, ale byłem najstarszy, więc nie było wyjścia.

Czy więc twoje wstąpienie do KOR-u nie miało motywacji ideowej?

Nie, nie miało, lecz był to pierwszy krok w kierunku podziału środowiska gdańskiego, z którym współpracowałem. Potem, gdy powstały ROPCio i RMP, nadszedł czas alternatyw ideowych. Mnie bardziej od narodowej demokracji odpowiadała tradycja PPS-owska.

Działalność KOR-u polegała na osiąganiu konkretnych i częstokroć wyników. Cała praca do czasu wypuszczenia ludzi zamkniętych w 76 roku była walką o pełną amnestię dla robotników Radomia i Ursusa. Skuteczność tej działalności wykazała, że ma ona sens na dłuższą metę. Powstały pisma, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Studenckie Komitety Solidarności, organizacje chłopskie, a potem "Robotnik" i Wolne Związki Zawodowe. Okazało się, że można w tym systemie działać w miarę skutecznie na wielu polach.

KOR przyjął koncepcję samoorganizowania się społeczeństwa i działania poza strukturami władzy. Ta koncepcja wydawała się wówczas naturalna i w zasadzie jedyna. Patrząc na to z dzisiejszego punktu widzenia można pomyśleć, że - być może - nie była to jedyna możliwość.

W momencie powstawania KOR-u dyskutowaliśmy: organizacja tajna czy jawna. Pomysł jawnej organizacji wziął się od dysydentów rosyjskich, od Ruchu Obrony Praw Człowieka w ZSRR, ruchu, który został rozbity.

Pomysł samoorganizacji społeczeństwa nie wziął się jednak znikąd. Ma on swoje oczywiste korzenie ideowe...

Zasadniczy trzon KOR-u stanowili ludzie chcący działać społecznie, a nie politycznie, ludzie nie mający skryształizowanych poglądów politycznych. Ludzie, którzy takie poglądy mieli, należeli do wyjątków - choć nadawali ton.

Tak, ale jednocześnie czytelna była wizja docelowego modelu społeczeństwa zorganizowanego w oparciu o więzi środowiskowe dla obrony swoich interesów.

Dla mnie był to kierunek, w jakim powinniśmy iść. Tworząc jakąś grupę wśród robotników nie wzywaliśmy więc do wstępowania do związków lub partii, aby coś zmienić, ale mówiliśmy, że należy robić obok, niezależnie. Ten model nadawał kierunek naszej działalności.

A więc w myśl tego, wartość tkwi w samoorganizacji społeczeństwa, a

państwa im będzie mniej, tym lepiej.

Ale tego państwa, a nie państwa jakieokolwiek.

Czyli: pozostawmy państwo niejako w nawiasie - ono jest nie do aniesienia - i niech pozostanie, jakim jest...

Tak, ze względu na geopolitykę.

... i my nie jesteśmy zainteresowani przemianami tego państwa, byle bytoby go mniej.

Byle nam nie przeszkadzano.

Od roku 1978 zaczęła wychodzić "Krytyka". Z powodu jej fascynacji eurokomunizmem, "socjalizmem z ludzką twarzą", praską wiośnią, była odbierana jako pismo lewicowe, a jednocześnie dla dużej części opozycji miała ona duże znaczenie opiniotwórcze...

Pismem KOR-u był "Komunikat" Potem zaczęto traktować jako reprezentacyjny dla środowiska "Biuletyn Informacyjny". Miał on cechę właściwą całemu KOR-owi: nie optował za jakąś ideologią czy kierunkiem politycznym. Zajmowaliśmy się konkretnymi sprawami, które trzeba załatwić, a "Biuletyn" zawierał konkretne informacje na ten temat. Wokół "Krytyki" skupiła się część środowiska KOR-owskiego. W ramach KOR-u zresztą każdy mógł robić to, co chciał - jeżeli chciał założyć pismo, czy nie! Tak było np. z "Robotnikiem".

Czym był podyktowany pomysł dotarcia do środowiska robotniczego?

Świadomością, że to środowisko jest siłą zdolną coś zmienić. Uważaliśmy, że trzeba pomóc zorganizować bazę dla działaczy robotniczych - po to, żeby sami byli w stanie podjąć działania we własnej obronie i abyśmy nie musieli działać zewnątrz. Była między nami jednomyślność co do tego, że należy dążyć do zorganizowania się wszystkich środowisk społecznych, aby uzyskać możliwość arykulacji swoich interesów i podjęcia samoobrony. Sądziliśmy, że nasza rola ograniczy się do pomocy, np. w postaci sprzętu drukarskiego.

Czy klasa robotnicza była dla was "wiodącą siłą" historii?

To funkcjonowało. Wiedzieliśmy o tym, że robotnicy są uśpioną siłą - jedną zdolną dokonać zmiany. To wynikało z doświadczenia Grudnia 70.

Czy w KOR-ze byli robotnicy?

Nie, nie było.

Jak wyobrażaliście sobie polityczny efekt zaktywizowania tej "uśpionej siły"?

Nie było takich rozważań.

Czy nie chodziło o uzyskanie instrumentu nacisku na władzę?

Myślę, że było to niedopowiedziane i wpływało z doktryny lewicowej części członków KOR-u. Dla nich sprawy robotnicze ze względów ideowych były sprawami kluczowymi. W Radomiu i Ursu-

sie nie udało się nawiązać trwałych kontaktów. To byli ludzie przeważnie przypadkowi, a często z marginesu, lumenproletariatu. Tacy byli aktywni w demonstracjach. Poza tym, z przyczyn politycznych, na ofiary represji wybierano często osoby uprzednio już karane. Ci zaś, którzy siedzieli i byli bici, wychodzili mocno zastraszeni. Tak więc problem, jak dotrzeć do robotników, był ciągle otwarty. KOR miał skład inteligencki. Działaliśmy równocześnie w kilku kierunkach - chłopci, studenci - i tam po pewnym czasie inicjatywy rozwijały się samorzutnie. Z robotnikami sprawa była trudniejsza - więcej problemów stwarzało wytworzenie robotniczej elity.

Jak z tego wynika, chodziło o to tylko, aby robotnicy zorganizowali się. Nie podpowiadaliście im programu i nie mieliście koncepcji, co będzie z tą siłą, gdy zacznie się budzić. Oczekiwaliście, że robotnicy sami wyartykułują swoje cele, czy tak?

Tak. Ale to dotyczyło wszystkich grup społecznych. Każda z tych grup najlepiej wie, co ją boli i sama powinna bronić swoich - różnych przecież - interesów.

Czy WZZ-y były działaniem w tym samym kierunku?

Był to najbardziej niewdzięczny i najtrudniejszy kierunek. Zaczęliśmy od powielenia tego, co robili już chłopci: od wydawania pisma środowiskowego. Tak powstał we wrześniu 1977 roku "Robotnik". Na początku nie było żadnych pomysłów, co w nim drukować. Koncepcja pisma i sposób pisania kształtowały się w miarę wydawania kolejnych numerów. Decyzja okazała się słuszna. Wokół tego pisma zaczęło tworzyć się i organizować środowisko robotnicze. "Biuletyn Informacyjny" przychodził do Gdańska w kilkudziesięciu egzemplarzach i rozchodził się wśród "swoich". "Robotnik" był pismem, które można było przeczytać w ciągu pół godziny i przekazać dalej. Środowisko zaczęło się rozszerzać. Kolportowaliśmy go także wśród inteligencji i studentów - w ten sposób doszło do pewnych kontaktów międzyśrodowiskowych, z których jedne były udane, inne nie, ale ważne, że w ogóle do nich doszło. Najpierw chodziłem z tym pismem do wyrzuconych z pracy w 76 roku, potem znalazło się dojście do Stoczni przez Kazimierza Szocha, u którego poznałem Anię Walentynowicz. Zjawił się Krzysiek Wyszowski, który miał dużą dynamikę i różne fajne pomysły. Wszystko rozrastało się. W Gdańsku zaczęło tworzyć się środowisko KOR-owskie. /Dotąd jedynym środowiskiem było tutaj RMP, do którego nie wszedłem./ Zacząłem prowadzić grupę samokształceniową złożoną głównie ze studentów Politechniki. Dodatkowego dynamizmu nabraliśmy, gdy wynikła sprawa zmiany konstytucji. Zebraliśmy wówczas około 70 podpisów pod protestem. Była to pierwsza akcja na tak dużą skalę. Robili ją przede wszystkim na Uniwersytecie koledzy z RMP, a na P.G. studenci elektroniki - Antek Meżydło i Stasiu Śmigiel. Poprzez listy w tej sprawie dotarłem do Gwiazdy i Bańkowskiego. Równocześnie coraz więcej ludzi przychodziło do mnie na adres zamieszczony w "Robotniku".

W tym, co mówiłeś dotychczas, uderza swoista bezkonfliktowość tych różnych podziałów w opozycji i taka ewolucyjna bezbolesność przechodzenia od jednych form organizacyjnych do innych - od reakcji moralnych do działalności w ramach bardziej skrupulatnych rachunków politycznych. Tymczasem wiadomo, że podziały i konflikty były wówczas bardzo ostre.

To były podziały pionowe, a nie poziome. I nie występowały

przy przechodzeniu z jednej formy działania do drugiej. W pewnym momencie zaistniały dwa zespoły ludzi mających w zasadzie ten sam cel. Chodzi o KOR i ROPCiO. To nieuniknione, że dochodziło między nimi do kontrowersji. Miały one częściowo charakter personalny, a częściowo dotyczyły taktyki i postaw politycznych.

Czy można też mówić o różnicach programowych?

Myślę, że nie. Cele i programy w zasadzie pokrywały się. Więcej było różnic niedopowiedzianych - kto skąd przychodzi. Podejrzewano się nawzajem o zapędy totalitarne, prawicowe albo lewicowe.

Uważam, że podział na "lewicę" i "prawicę" był dość sztuczny. Ale tak się złożyło, że w KOR-ze było dużo ludzi wywodzących się z przedwojennego PPS-u, oraz takich, którzy otarli się o marksizm po wojnie, lub przez wiele lat uważali siebie za ludzi lewicy. Program jednak i cele oba środowiska miały ten sam: walka na rzecz praw obywatelskich, na rzecz podmiotowości społeczeństwa. Sprawy tradycji ideowej większe znaczenie miały dla pokoleń starszych, w naszym, jak mi się wydaje, ulegały zatarcia. Następujące później kontrowersje były konsekwencją poszukiwania przez ludzi swojej tożsamości ideowej i politycznej.

Czy w waszych kalkulacjach politycznych brałiście pod uwagę władzę PRL?

Nie dokonywano rachunku, wiadomo było, że władza jest silna ale w pewnym momencie przestała ona nas obchodzić. Mieliśmy margines swobody działania, represje ograniczały się w zasadzie do zamykania na 48 godzin. Sankcje były wyjątkiem.

Moczulski już w 1978 r. miał program polityczny idący dużo dalej, nie ograniczający się jedynie do kwestii obrony swobód obywatelskich. Mówił o niepodległości, rozważał kontekst międzynarodowy sytuacji w Polsce. Czy KOR o tych sprawach nie myślał?

KOR stawiał sobie i realizował zadania cząstkowe. Skupiał się na konkretnych działaniach, które mogły dać widoczny rezultat, co dawało z kolei ludziom poczucie sensowności działania. Sprawy niepodległości głośno nie podnosiliśmy, choć oczywiście o niej pamiętaliśmy. Przecież nie chodziło tylko o to, żeby kogoś wyciągnąć z więzienia czy komuś pomóc - chodziło o to, żeby zmienić Polskę. A chociaż według mnie stawianie wówczas hasła niepodległości było utopią, zmusiło to innych do głośniego określenia się w tej sprawie. Stawiając takie hasło, nie można jednak mówić, że niepodległość przyjdzie ot, tak sobie, nie wiadomo skąd. Trzeba też powiedzieć, jakimi środkami można ją osiągnąć. Te środki trzeba mieć. I dlatego na początku KOR w ogóle nie zajmował się sprawami zbyt ogólnymi. Dopiero później, gdy przemienił się w Komitet Samoobrony Społecznej, zaczął się w to włączać, wydawać oświadczenia dotyczące rocznic historycznych, sytuacji społecznej i naszej narodowej kondycji.

W jakim stanie znajdowało się wówczas społeczeństwo, jak je ocenialiście?

To były czasy opadającej, ale jednak hossy okresu gierkowskiego. Działał model konsumpcji chętnie aprobowany przez społeczeństwo. Wydawało się, że są perspektywy na to przynajmniej

żeby sobie nieźle w tej Polsce żyć. Kolejka po mieszkania skróciła się do lat pięciu-siedmiu, można było kupić "malucha", wyjechać za granicę. Był to okres takiej "małej stabilizacji", ale na znacznie wyższym poziomie, niż za Gomułki. Myślę, że to społeczeństwo chętnie widziałooby przedłużenie tego stanu i wcale nie było zainteresowane burzeniem porządku. Podobnie, jak sądzę, myśleli robotnicy.

Partia miała wpływy wśród robotników, nie miała też wśród nich dla siebie konkurencji. Dawała możliwość awansu - robotnik, który się wybijał, szedł do partii, do szkoły partyjnej i otwierała się przed nim kariera. Jak mi się wydaje, było to więc społeczeństwo podobne do obecnego społeczeństwa węgierskiego, gulasz-komunizmu, gdzie nie ma czasu na zbędne rozmowy, bo się je.

Czyli istnienie opozycji nie było oczywistością, nie odczuwano jej potrzeby?

Myślę, że wielu ludzi, w tym i robotnicy, nie zdawało sobie sprawy z potrzeby zmian w ogóle. A jeżeli już, to horyzont tych zmian był ograniczony - do swojego stanowiska pracy, wydziału, zakładu. Nie sądzę jednak, żeby w naszym społeczeństwie powszechna była wówczas świadomość konieczności zreformowania całości systemu. Nie docierano do świadomości, że żyjemy na kredyt, że marnuje się olbrzymie pieniądze.

Można spotkać się z poglądem, ostatnio wygłosił go Andrzej Walicki, że powstanie instytucjonalnej opozycji, otwarcie wrociej wobec systemu, w ogólnym bilansie zaszkodziło społeczeństwu, bo doprowadziło do polaryzacji postaw i zmusiło do dokonywania fałszywych wyborów moralnych w sytuacji, gdy otworzyły się właśnie realne możliwości zreformowania systemu od wewnątrz...

Możliwe, że Walicki chciał reformować, ale teraz jest w Australii i system pozostawił nam. Póki nie było opozycji, władza mogła dowolnie manipulować bezbronnym społeczeństwem.

Jak byś ocenił wpływ opozycji w społeczeństwie w latach 1978-80?

To zależy od ośrodków. W Warszawie były znaczne, szczególnie wśród inteligencji. Tak samo w innych miastach, gdzie zaczęła kiełkować opozycja - miała charakter inteligentki. Wyjątkiem był Gdańsk po 78 roku, bo do tego czasu środowisko opozycyjne tutaj też miało charakter studencko-inteligentki. Myślę, że ogólnie w skali całego kraju aktywnych działaczy opozycji było kilkuset - do tysiąca. Ważna była rola pism opozycyjnych. Najpierw były to "Komunikaty" przepisywane na maszynie. Początkowo silnie przestrzegano zasady legalności i toczyły się długie dyskusje, czy można używać powielacza, bo to jest przecież nielegalne... /Mnie to nawiasem mówiąc nie odpowiadało, bo takim legalistą nigdy nie byłem./ Po raz pierwszy powielacza użył Andrzej Czuma drukując pismo "U Progu" /ukazało się anonimowo/. Spowodowało to fakt, że i nasz "Komunikat" zaczął się ukazywać na powielaczu. To był poważny przełom w mentalności. /Do dziś "Karta 77" w Czechosłowacji nie używa powielaczy i jest to problem wzbudzający tam kontrowersje. Do wydawano? "Komunikat KOR" - przepisywany na maszynie miał nakład do stu egzemplarzy, powielony na powielaczu /od 4 numerów - 400-500 egzemplarzy. "Biuletyn Informacyjny" osiągnął nakład 2 tysięcy, "Robotnik" miał na początku tysiąc, potem dwa, a

później jego nakład wahał się od 5 do 10 tys. A gdy w lipcu 80 zaczęły się strajki, osiągnął 30 tys. egzemplarzy. Wychodził jeszcze "Głos" mający nakład około 2 tys. i "Krytyka". Z ROPCIO związana była "Opinia" mająca też chyba 2 tys. nakładu. RMP wydawało w 1 - 2 tys. egzemplarzy "Bratniaka", zaś Moczulski "Drogę". Oprócz tego pojawiały się różne efemerydy. Pisma lokalne powstały późno - my zaczęliśmy wydawać "Robotnika Wybrzeża" /wyszło 7 numerów w nakładzie 1 tys. egz. każdy/. Poza tym wychodziły okazyjne ulotki. Sumując myślę, że można mówić o kilku tysiącach /do dziesięciu/ odbiorców tych wydawnictw.

Ważną rolę odgrywała "Wolna Europa", która informowała o opozycji, czytała nasze wydawnictwa, zwiększając w ten sposób ich rezonans. Zresztą sędzę, że rola tego radia była - do Sierpnia - olbrzymia. W czasie strajku bowiem RWE blokowało sporo informacji z obawy, aby nie stał się przyczyną załamania się systemu i gwałtownego wybuchu.

*Czy jako działacze opozycji czuliście się mocno prześladowani przez mi-
licję? Jaka była skala represji?*

Przeważnie zatrzymania na 48 godzin i rewizje. Mielśmy świadomość, że mamy możliwości działania. Represje były przykre, utrudniały pracę, ale nie były aż tak niebezpieczne, żeby nasza działalność nabrała cech heroicznych. To już była inna władza, niż ta stalinowska. Opozycja była jawna. Dzięki temu coraz więcej osób odważało się wypowiadać krytykę i manifestować swoje przekonania. Przy niewielkiej skali represji to zjawisko narastało. I w pewnym momencie stało się jasne, że władza nie ma żadnej bazy społecznej prócz kadry policyjnej, wojskowej i partyjnej. Oczywiście te trzy grupy plus rodziny, plus pewna grupa rencistów, emerytów i burokratów, stanowią do 10% całego społeczeństwa. Okres jawnej działalności "Solidarności" ujawnił, w jakim kierunku to społeczeństwo optuje i dlatego myślę, że opozycja nie podzieliła społeczeństwa, a tylko poma- gała w ujawnieniu się przepaści między nim a władzą.

*W okresie "Solidarności" ujawnił się jednak rozdźwięk między poglądami
społeczeństwa, a jego postawami. Program ekonomiczny "Solidarności" jest
np. dowodem na głębokie zbałamucenie ówczesnej świadomości społecznej.*

"Solidarność" na początku nie miała żadnego programu ekonomicznego. Kontrolerskie wokół tego programu, które miały miejsce na Zjeździe, były wynikiem sporów między dwiema grupami ekspertów: jedni byli nastawieni liberalnie i chcieli pójść gospodarkę na żywioł, inni chcieli ją kontrolować. "Solidarność" nie zdążyła wykształcić swego poglądu na gospodarkę. Ruszył w tę stronę ruch samorządowy, ale działacze "Solidarności" patrzyli na niego z rezerwą. I to był nasz błąd. Wytworzyła się bowiem taka sytuacja, w której osiągnęliśmy olbrzymie swobody polityczne, a w gospodarce nic się nie zmieniło. Była ona nadal skoncentrowana w rękach władzy, a ta nic nie robiła, żeby ją udoskonalić, nie dążyła do żadnych strukturalnych zmian. Należało zająć się tym od początku - była szansa, żeby to zrobić, potem było już za późno - władza broniła swego monopolu do upadłego.

*Wracając jeszcze do sytuacji sprzed Sierpnia, jaki był twój udział
wplyw opozycji na władzę?*

Był niewielki. Małe represje wynikały z kalkulacji. Sędzono,

że bezpieka poprzez swoich agentów kontroluje sytuację i jest w stanie zapobiec działaniom bardziej masowym.

Czy stopień infiltracji był duży?

Mogę mówić tylko o własnym środowisku. Trochę tego było, ale kiedy następowała seria wypadków, rewizji, zatrzymań, to człowiek zaczynał zastanawiać się - dlaczego? Policja przeceniła swoje możliwości i to, sądzę, było powodem takiej tolerancji. Poza tym był to okres "odprężenia" międzynarodowego. Wizerunek liberała jaki nadano Gierkowi był potrzebny do uzyskania kredytów z Zachodu dla unowocześnienia gospodarki i podniesienia stopy życiowej. To się udawało - Czesi np. mieli z tymi kredytami kłopoty. Był to więc okres sprzyjający rozwojowi opozycji - złożyło się na to wiele wewnętrznych i międzynarodowych warunków. Zastosowano przeciwko nam półśrodki, podczas gdy np. Breżniew wszystkim ludzi z Ruchu Obrony Praw Człowieka powsadzał - Sacharow był jedynym wyjątkiem. Reszta była w więzieniach, obozach, szpitalach psychiatrycznych albo została zmuszona do wyjazdu za granicę. Zresztą trudno porównywać sytuację naszą i rosyjską. Nam bardzo pomagała i pomaga świadomość tego, jak wyglądała Polska przedwojenna, a potem silna tradycja państwa podziemnego, Armii Krajowej. To w tej chwili już znikła, ale gdy miałem 10 - 12 lat, było bardzo silne.

Można więc powiedzieć, że swoisty "liberalizm" władzy dopomógł w ukształtowaniu się opozycji. W tym okresie stosunkowo tanim kosztem można było nabyć umiejętności, które wielu z nas bardzo się potem - w stanie wojennym i później - przydały. Można też stwierdzić, że nawet w stanie wojennym skala represji, choć znaczna, nie była tak wielka, jak można było oczekiwać...

Nie, niezupełnie tak. Jednak dużo ludzi siedziało i przesiadywało te swoje dwa, trzy lata. Oczywiście, w Rosji taksa jest wyższa. Pierwszy raz dostaje się trzy, a drugi siedem lat. Ale w tej chwili sytuacja w Polsce jest już inna. Władze uznają działalność opozycyjną za nielegalną, ścigają nas, ale jest to już, można powiedzieć, działalność masowa. I władza o tym wie. Można by było spacyfikować sytuację robiąc, załóżmy, to, co Kadar po powstaniu węgierskim: wprowadzić na dwa lata terror, ale taki, w którym ginie kilkanaście tysięcy ludzi. Lecz związane są z tym koszty. Każdy rządzący, o ile nie jest zbrodniarzem czy człowiekiem ograniczonym i głupim, stara się tych kosztów uniknąć, bo ponosić musieliby wszyscy - także i oni.

Czy w latach siedemdziesiątych miały miejsce jakieś kontakty KOR-u z Kościołem?

Minimalne. Z tej strony nie odczuwaliśmy żadnego poparcia. Sytuacja wyjątkowa była w Krakowie, gdzie tamtejszy SKS był przyjmowany przez kardynała Wojtyłę. Istniały związki z duszpasterstwami, ale ich istota, że tak powiem, była naturalna i nie wynikała ze świadomych założeń. Wiesz, że aktywnych w tym czasie było kilku księży. Ks. Zieja, już wówczas bardzo zaawansowany wiekiem, ks. Kamiński, jego przyjaciel /ale nie był zbyt aktywny, słabo go znałem/, no i ks. Małkowski, którego zresztą z powodu działalności spotykały duże przykrości ze strony Prymasa.

Teraz jest zupełnie inna sytuacja. Wtedy w Gdańsku zbicie

raliśmy się przez jakiś czas u jezuitów na ul. Mickiewicza, ale ks. Sroka został w związku z tym karnie przeniesiony. Ojciec Ludwik Wiśniewski miał też różne nieprzyjemności w Lublinie. Mówiąc o Kościele dopowiem, że środowisko KOR-owskie duże oparcie znalazło w warszawskim KIK-u, we władzach którego działał wtedy Henryk Wujec.

Wyszynski, jak się zdaje, nie był do KOR-u przyjaźnie nastawiony?

Nie wiem.

A czy miały miejsce jakieś kontakty między wami a władzą, czy istniały osoby funkcjonujące w obu tych układach i stanowiące rodzaj centrum politycznego?

Nie, nie znam takich osób. Moczulski opowiadał, że jakieś próby rozmów z władzą były, ale nie pamiętam szczegółów. Kontakty ograniczały się do policyjnych przesłuchań. Choć policji czasami też nie brakowało finezji. Pamiętam, kiedy Edwinowi Myszkowi, który był agentem w WZZ-ach, powiedziałem, iż czuję się zmęczony, to podczas jednego z zatrzymań zaproponowano mi, żebym ograniczył swoją działalność. "Nie chcemy, żeby pan całkiem zaprzestał, bo wiemy, że to niemożliwe, ale proszę ograniczyć, a my to docenimy". O innych prócz tego typu kontaktach moich kolegów z władzą nie słyszałem. I myślę, że gdybym słyszał, to ci ludzie przestaliby być moimi kolegami.

Były to więc dwa odrębne światy?

Tak, dwa odrębne światy. Część ludzi aktywnych w KOR-ze, np. Jacek Kuroń, próbowała jeszcze przed Marcem działać w strukturach oficjalnych, czyli w partii. I te doświadczenia wiodły do wniosku, że to nie ma sensu, że nas nie powinna obchodzić ani walka frakcyjna, ani w ogóle władza. Powinniśmy robić swoje.

Ale wiadomo było przecież, że te światy muszą się w pewnej chwili spotkać...

Raczej - zderzyć.

Więc myśleliście o tym, braliście pod uwagę ewentualność kolejnego kryzysu w PRL. Czy przygotowywaliście się jakoś na tę ewentualność? Czy wasza działalność była obliczona na przyspieszenie tego kryzysu?

To wszystko było bardzo mgliste. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że sytuacja gospodarcza jest aż tak zła. To się ujawniło dopiero po Sierpniu. Nie mieliśmy więc świadomości, że kryzys jest tuż, tuż. Tak było do lipca 80 r. Wtedy jeden po drugim zaczęły wybuchać strajki na tle ekonomicznym, a partia przyjęła taktykę gaszenia ich przez podwyżki płac. To ograniczało czas trwania strajków, ale jednocześnie takie gaszenie, to jak polewanie ognia mieszanką wody i benzyny, a to się pali... Wcześniej w KOR-ze o kryzysie mówiło się i dyskutowało, ale nie podporządkowywaliśmy temu naszej działalności. Kiedy nie zna się terminu, zostaje wyczekiwanie.

Niekoniecznie. Można było starać się ten moment zderzenia przyspieszyć.

Jak?

Na przykład podniecając nastroje społeczne...

W tej chwili jest to możliwe, ale wtedy? Jakimi środkami? Mieliśmy za sobą doświadczenia Marca 68 i Grudnia 70. Analizowaliśmy je, a wnioski przydały się nam w Sierpniu. Przede wszystkim dążyliśmy do tego, aby nie dopuścić do podziału między inteligencją i robotnikami. Drugi wniosek - w przypadku kryzysu nie należy wychodzić na ulice. Czyli trzeba siedzieć w zakładach pracy. I po trzecie - nie wchodzić w struktury władzy, tylko zakładać własne. Dlatego po paru dniach okazało się, że zasadniczym celem strajku sierpniowego jest powołanie wolnego związku zawodowego.

Zakładaliście więc, że gdy już do kryzysu dojdzie, będziecie mieli możliwość oddziaływania na ludzi, wpływania na bieg wydarzeń. Czy już wtedy myśleliście o strajku jako o metodzie walki politycznej?

Nie, to przemyślenie, to była zdobycz już z czasu, kiedy strajk trwał. O takich dyskusjach, które by teoretycznie rozważały te problemy, nie słyszałem.

W jakim stopniu, twoim zdaniem, opozycja była autorem Sierpnia, na ile przyczyniła się do jego sukcesu?

Sukces ma zawsze wielu ojców. Teraz można w gazetach przeczytać, że np. ojcem Sierpnia był VIII Zjazd PZPR i krytyka, którą tam ostro podobno wypowiedziano... Opozycja niewątpliwie przyczyniła się do przebiegu i wyników Sierpnia. Wystarczy spojrzeć na nazwiska czołowych działaczy "Solidarności" z tamtego okresu - to jest widoczne szczególnie w Gdańsku - iłu wśród nich było ludzi związanych wcześniej z opozycją.

Reżyserem było życie. Bezprecedensowa sytuacja, w której niespodziewanie mimo wszystko znaleźliśmy się, wymagała podejmowania szybkich decyzji.

Czy wasze włączenie się w strajk było automatyczne?

Co to znaczy "włączenie się"? W lipcu pomagaliśmy przez informację. U Kuronia było centrum informacyjne. Tam spływały wiadomości o strajkach w różnych miejscach kraju, od ludzi, z którymi znaliśmy się z lat poprzedniej działalności i przekazywane były w świat. Jacek odgrywał wówczas olbrzymią rolę, siedział cały czas przy telefonie. Zorganizowano dyżury, informacje wysyłało na Zachód i one stamtąd wracały do kraju. Żyliśmy w wielkim napięciu. Z początku wydawało się, że z tego wyniknie coś więcej, ale po podwyżkach zarobków te strajki wygaszały, represji większych nie było i w pewnej chwili napięcie zaczęło opadać, malało zdenerwowanie. Koledzy z Warszawy zaczęli wyjeżdżać na urlopy...

Nie dążyliście więc do naognienia sytuacji, do aktywizacji ludzi?

Nie. Ograniczyliśmy się do rejestrowania zjawisk i informowania o nich. To oczywiście wspierało strajki, bo wiadomość, że jakiś zakład kilka dni strajkował i ludzie dostali 500 zł podwyżki, mobilizował innych. Ale nie mieliśmy na celu rozszerzania fali strajków - informowaliśmy po to, żeby

wszyscy wiedzieli. Ze swej strony władza - Gierek - nie dopuszczwała do jakiegokolwiek użycia siły. Żądania ludzi załatwiano szybko poprzez zwiększoną produkcję Wytwórni Papierów Wartościowych w Warszawie. Po dwóch tygodniach władza oswoiła się z tym.

Czy te strajki lipcowe miały jakąś formę organizacyjną?

Szczątkową. Byłem wtedy w Gdańsku, nigdzie nie wyjeżdżałem. Wiedziałem o strajkach, wiedziałem, że ludzie słuchają radia i wydawało mi się, że rośnie atmosfera strajkowa, ale w Trójmieście nic kompletnie się nie dzieje. Czekałem na to, że coś się tutaj zacznie i myślę, że koledzy z Warszawy też czekali.

Na początku sierpnia właściwie nie było już strajków, ale psychologiczne skutki wydarzeń jakoś się w ludziach kumulowały.

Oczywiście. W Gdańsku zajmowaliśmy się wtedy obroną ludzi wyrzuconych z pracy za to, że byli związani z opozycją. Wyrzucono czterech młodych chłopaków ze Stoczni Północnej, w lutym wyrzucono Kołodzieja ze Stoczni Gdańskiej, potem wzięli się za Wałęsę i jego grupę. W Elektromontażu była próba strajku storpedowana przez bezpiekę, bo w grupie Wałęsy był agent. Później przyszła kolej na panią Anię. Najpierw ograniczono jej możliwości poruszania się po terenie stoczni, potem wysłano ją do pracy w magazynie położonym daleko od stoczni, a wreszcie po chamsku odebrano jej przepustkę i wyrzucono. Wtedy uznałem że nie można dłużej czekać - trzeba się zdecydować. Zacząłem spotykać się i rozmawiać o tym z paroma młodymi chłopakami, którzy pracowali jeszcze w stoczni. Powiedziałem im, że teraz pora na nich, że są znani policji i że jeżeli teraz nie zareagują, to czeka ich taki sam los, jak panią Anię. Działając więc w jej interesie, działają jednocześnie we własnym interesie. Ci chłopcy - Borowczak, Felksi i Prądzyński - zrozumieli, o co mi chodzi. Felksi powiedział w tej rozmowie, że on już chciał zrobić strajk wcześniej. Dyskutował o tym z robotnikami na statku i w pewnej chwili powiedział: "no to schodzimy i robimy strajk". Wszyscy patrzyli, kto zejdzie, a ponieważ nikt tego nie zrobił, to i on nie zszedł, żeby nie być pierwszym. Ten przykład posłużył mi do wytłumaczenia im, jak należy postępować.

Czyli ty decyzję już podjąłeś. Dlaczego?

Dlatego, żeby nie zostać wyciśniętym ze środowiska robotniczego.

Gest samoobrony?

Nie. Kiedy na początku 1980 r. zaczęli wyrzucać z pracy robotników związanych z opozycją, było to sygnałem, że władza ma nową koncepcję. Wcześniej godzili się na opozycję o charakterze inteligentckim, ale opozycję w środowisku robotniczym uznali za rzecz niebezpieczną. Wyrzucali ludzi na chama, nie oglądając się na przepisy. To była systematycznie przeprowadzana operacja.

Czym kierowałeś się formułując pierwsze postulaty strajkowe? O ile pamiętam były trzy: powrót pani Ani do stoczni, podwyżka płac i pomnik poległych w 1970 roku.

Nie ma strajku bez postulatów, a te powinny mieć dwie cechy: muszą być krótkie i nośne. Gdyby to była tylko sprawa pani Ani, trudno byłoby o masowość akcji. Pomnik miał znaczenie symboliczne i bliskie wielu robotnikom. Chodziło o upamiętnienie tamtej tragedii, o przypomnienie jej nam i władzy, o przypomnienie, że ta władza nie jest wcale taka robotnicza. Pieniądże to postulat oczywisty.

Czy w Warszawie znano twoje plany?

Nie, obowiązywała całkowita konspiracja. Także tutaj niewiele ludzi wiedziało, że zdecydowaliśmy się na strajk. Chodziło o bezpieczeństwo, w razie przejęcia tej informacji nie mieliśmy żadnych szans na powodzenie.

Czy Wałęsa wiedział?

Tak. Został poinformowany na spotkaniu u Piotra Dyka. Wywołałem wtedy na podwórze ludzi, którzy mieli wiedzieć i powiedziałem im.

Zakładacie więc, że Lech wejdzie do stocznii?

Tak, ci chłopcy chcieli wsparcia. Zdecydowali się zainicjować strajk, ale byli młodzi i bali się, że nie będą w stanie go poprowadzić. Wałęsa był potrzebny i konieczny. Mając trzydzieści parę lat był mniej więcej równy wiekiem "starym" pracownikom. Miał dać przykład.

Kiedy zapadła decyzja o dacie strajku?

Dokładnie już nie pamiętam - na kilka przed, w sobotę, albo w niedzielę. Najpierw miał to być wtorek, ale ze względu na to, że nie zdążyliśmy z ulotkami o pani Ani, przesunąłem termin na czwartek. Ulotki drukowaliśmy we dwóch - ja i Piotr Kapczyński. Po tym spotkaniu u Dyka wróciłem tylko na chwilę do domu i od tej pory ukrywałem się. Ulotki kolportować miały trzy dwuosobowe grupy. Szefem jednej był Karandziej, drugiej Leszek Zborowski. Trzecim kolporterem był Tomek Wojdakowski. Pamiętam, że ktoś wtedy zaspiał... Pakiety z ulotkami wręczyłem im krótko przed akcją. Nie znali ich treści. Ich zadanie polegało na tym, aby w czwartek rano, od godz. 5.00 do 6.00 rozprowadzać te ulotki wśród ludzi jadących do pracy kolejkami SKM. Ulotki były tak sformułowane, aby w razie wpadki nie odkrywały naszych zamiarów. Opisywały historię pani Walentynowicz i wezwanie do jej obrony. Ale wezwania do strajku chyba nie było - o formie obrony miano dopiero zdecydować w stoczni. Oprócz kilku tysięcy ulotek były jeszcze trzy transparenty z żądaniami - przygotowali je bracia Petryccy, studenci Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Tak więc inicjujący strajk wyposażeni byli jak należy.

Było dla mnie jasne, że strajk musi się zacząć z samego rana. Tłumaczyłem chłopakom, że muszą gromadzić wokół siebie ludzi, rozdawać ulotki w szatni, wzywać do gromadzenia się i kiedy zgromadzi się kilkadziesiąt osób, to wtedy iść.

Czy taki scenariusz podpowiadała ci intuicja, czy też miałeś już jakąś wiedzę na ten temat?

To nie było aż tak mądre i skomplikowane. My w KOR-ze nie prowadziliśmy studiów. Byłem w tym momencie zdany jedynie na siebie i tych chłopaków, którzy też przecież umieli myśleć, kombinować. To są inteligentni ludzie.

Czy w tym momencie miałeś świadomość zmiany, jaka się dokonuje w twoim działaniu opozycyjnym, czy to był dla ciebie przełom, przejście do nowej formy zaangażowania?

Nie, to była konsekwencja, kontynuacja tego, co robiłem przedtem, tyle że za pomocą innych środków. Przecież w Gdańsku od 77 roku organizowaliśmy manifestacje w rocznice Grudnia. Pierwszy raz przyszło kilkadziesiąt osób, na drugi rok było już kilkaset i musiałem nawet przemówienie palnąć, gdyż okazało się, że dla takiej ilości uczestników same modlitwy już nie wystarczą. W roku 79 było już parę tysięcy ludzi, ale zostałem aresztowany i przewieziony do Warszawy. Siedziałem 9 dni. Widać było, że te demonstracje znajdują coraz większe poparcie ludzi...

Tak, ale chodziło w nich o pamięć, o przeszłość. Spotykamy się, żeby upamiętnić...

Nie tylko, także po to, żeby zaznaczyć naszą obecność. Ta pamięć nakierowana była w przyszłość.

To jednak coś innego, niż strajk, który oznacza pójdęcie w nieznaną.

Masz rację, to było pójdęcie dużo dalej. Ale w tamtej sytuacji innej drogi nie widziałem. Petycje, listy - to już nie było to, już nie skutkowało. Wałęsa jeszcze w marcu usiłował wywołać strajk w Elektromontażu, ale, jak mówiłem, w tej grupie był agent i bezpieka znała wszystkie ich zamiary. To się nie powiodło. Także dlatego, że to był mały zakład, pracowało tam 200-300 osób, a w takim strajku na początku zostaje 10% załogi, więc mieli małe szanse. Utworzyli Komisję Robotniczą /wzorowaną w nazwie na hiszpańskich Comission Obreros/. Siedem osób podpisało oświadczenie... Stocznia to co innego. Tu, jak się zaczęło, to nabrało dużej dynamiki.

Kiedy opowiadałeś o pierwszych postulatach, odniosłem wrażenie, że tworząc je, myślałeś przede wszystkim o ich aspekcie instrumentalnym; miały być środkiem do wywołania strajku.

Tak. Bo dla nas zasadniczym celem była obrona pani Ani.

Kiedy zorientowałeś się, że gra idzie o większą stawkę?

Gdy zaczęły stawać inne zakłady i delegacje z nich zaczęły przybywać do stoczni. W niedzielę Ukonstytuował się Międzyzakładowy Komitet Strajkowy i wtedy już wiedziałem. Wracając do początku, w noc poprzedzającą strajk pracowałem, nad ranem zawiozłem ostatnie ulotki kolejkowej i poszedłem spać. Obudzony się po południu zadzwoniłem do Warszawy i Kuroń powiedział mi, że jest strajk w stoczni. Wiedziałem, że się udało.

Czy planowaliście strajk okupacyjny?

To nie tak. Założyliśmy, że strajk musi doprowadzić do

przywroćenia pani Ani do pracy, nie wiedzieliśmy, ile czasu to potrwa. Wiedzieliśmy, że nie można wychodzić na zewnątrz. I kiedy okazało się, że tego nie da się załatwić w ciągu jednego dnia, wówczas ci, którzy byli w stoczni podjęli decyzję, że tam zostają. Nie można było wyjść bez sukcesu. Albo sukces, albo więzienie - taka była alternatywa. Dlatego trzeba było zostać. Kiedy dyrekcja i władze zorientowały się w nastrojach, chciały ten strajk jak najszybciej zlikwidować. Ja wszedłem do stoczni nocą z piątku na sobotę. Podczas negocjacji z dyrekcją siedziałem koło Wałęsy. Znacznie wcześniej dyrektor zρέcznie zapytał, czy reprezentowane są wszystkie wydziały. Okazało się, że nie. No, to jest niedemokratycznie - powiedział dyrektor. Wszyscy przytakneli i zrobiono wybory na wydziałach, z których ludzi nie było. I wtedy w skład delegacji weszli ludzie dyrekcji oraz tacy, którzy chcieli te pięć stów jak najszybciej zahapać i pójść do domu. Kiedy więc uzgodniono już ostatni postulat - forszę, powiedziałem kolegom: trzeba zapewnić bezpieczeństwo strajkującym. Na to dyrektor powiedział, że musi porozumieć się z Fiszbachem. Pojechał i minęły dodatkowe dwie godziny. Wrócił i mówi: załatwione, Fiszbach obiecał. Któryś z chłopaków krzyknął głośno, że musi być oficjalny podpis wojewody, ale już panowała ogólna radość, galimatias, Wałęsa przy mikrofonie. Dyrektor mówi: kończymy strajk, a Lechu na to: tak, kończymy. Poszło to od razu na cały zakład a dyrektor od razu po tym zamknął radiowęzeł. Wszyscy wstali od stołu i wtedy wpadła na salę pani Krzywonos z MPK i skoczyła do Lecha z krzykiem: sprzedajcie nas! Teraz wszystkie małe zakłady jak pluskwy wyduszają! Wałęsa pyta, co robić. Mówię, że nie wiem, że to chyba koniec. Ręce mi już opadły. Więc Wałęsa ponownie chwycił mikrofon: kontynuujemy strajk solidarnościowy! /ktoś szczęśliwie podpowiedział to słowo/. Lecz radiowęzeł był już wyłączony. Wtedy kobiety - Osowska, Alina Pienkowska i pani Ania pobiegły do bram, żeby zawracać ludzi do stoczni. Podziwiałem je wtedy bardzo. My oklapiliśmy, siedzieliśmy w sali myśląc, że to koniec, że i tak wygraliśmy dużo i więcej się nie da, bo ludzie wychodzą, a one stanęły przy bramach na bezkach i krzyczały, że strajk jeszcze się nie skończył. Chłopcy zaczęli zamykać bramy, a tu szturm stoczniovcw z tęczkami... Trwało to około trzech godzin. Krzyki: łamistrajki! Zamieszanie. Byli już wtedy w stoczni delegaci z kilkunastu zakładów. Jedynym nagłośnieniem był megafon z jedną kolumną pod główną bramą, a największy tłum walił przez trzecią bramę. Pięciu chłopaków trzymało ją, ale jak poszedł szturm, to nie dali rady. Ludzie szli do domu, mając 1500 zł więcej. Powstała dziwna sytuacja - strajk niby zakończył się, ale my pozostaliśmy w środku, policja może w każdej chwili wkroczyć, bo jest nas niewiele... To była najgorsza noc. W niedzielę zaczęli przybywać jednak ludzie z innych zakładów.

Zapomniałem powiedzieć o jeszcze jednej sprawie. Zanim strajk wybuchł, jeden z chłopaków powiedział mi, że w stoczni mówi się o tym, że strajk będzie dwudziestego. Inny wyjaśnił, skąd ta wiadomość - po prostu któryś ze stoczniovcw, jego kolega, pracując na statku krzyknął: strajkujemy dwudziestego! I to w ciągu jednego dnia obiegło całą stocznię. Była to ważna informacja, świadcząca o strajkowej atmosferze w stoczni.

Można przyjąć, że na początku twoja obecność w strajku była rzeczą

naturalną. Jako działacz opozycji pomogłeś przecież wydatnie w jego związaniu. Z chwilą jednak, gdy strajk uzyskał własną tożsamość, czy nie stałeś się tam osobą z zewnątrz?

Nie było podziału między opozycją a kierownictwem strajku. Nie czuło się tego, gdyż opozycja to przecież nie byłam tylko ja, ale także robotnicy, którzy strajk zainicjowali.

Działacze i członkowie Wolnych Związków Zawodowych?

Tak. Środowisko opozycyjne, które staraliśmy się tu stworzyć, miało inny charakter, niż w Warszawie. W znacznej części stanowili je robotnicy pracujący w różnych zakładach, do tego ludzie z kadry technicznej, jak np. Gwiazdowie. Jest natomiast faktem, że partia, przy użyciu propagandy, usiłowała nas z tego środowiska wycisnąć. Nie tylko mnie, ale i cały MKS w którym znaleźli się ludzie z WZZ-ów. Nie ukrywam bowiem, że my robiliśmy dobór osób do MKS-u. Zналиśmy się, wiedzieliśmy, co należy robić, a inni się nie znali. Ci ludzie z WZZ-ów byli odważni i trochę już zaprawieni w bojach, no i byli pierwsi - oni to wszystko zaczęli. A to jest bardzo ważne, kto rozpoczyna, bo potem trudno już tych, którzy rozpoczęli, wyprzedzić /choć usiłowano to robić/. W Stoczni Remotowej komitet strajkowy został założony przez ZMS i ta organizacja nim kierowała. Podobnie w Stoczni Północnej, gdzie kierownictwo strajku przejęli działacze partyjni. Tego samego próbowano w porcie. Od soboty, czyli w drugim okresie strajku, cała taktyka władz polegała na tym, żeby wycisnąć MKS, czyli opozycję ze strajku. Temu służyły rozmowy Pyki z delegatami różnych zakładów. Jednak przez cały czas punktem centralnym była Stocznia Gdańska, a w niej centralnym ośrodkiem był MKS. I tego, mimo różnych zabiegów propagandowych, nie udało się przeskoczyć. Byliśmy oczywiście dla władzy niewygodni, próbowano działać przeciw nam operując się na odruchach antyinteligenckich - to jednak do ludzi nie docierało, a MKS-u nie można było obejść.

Co wówczas działo się z KOR-em?

Przestał funkcjonować. Nie byłem od tego czasu na żadnym spotkaniu KOR-u - aż do chwili tego ostatniego, na którym KOR rozwiązał się. Udział KOR-u w tamtych wydarzeniach był wytworem oficjalnej propagandy. Od 14 do 31 sierpnia wszystko co najważniejsze rozgrywało się w Stoczni Gdańskiej.

Nie było więc, mówiąc umownie, "programu KOR-owskiego" realizowanego przez "Solidarność"?

Nie. W KOR-ze nastąpiły takie podziały, że to było niemożliwe. Potem próbowano zrobić coś obok "Solidarności", nazywało się to Kluby Rzeczpospolitej Samorządnej, ale do tego nikt chyba nie miał serca, gdyż wszystkie siły i czas ludzi, którzy mogliby w tych klubach działać, zaangażowane były w "Solidarność".

A czy środowisko KOR-owskie skłonne było traktować "Solidarność" jako własne dziecko?

Jak już mówiłem, każdy sukces ma wielu ojców. Dyskusja na temat roli osób i instytucji w przygotowaniu i przebiegu Sierpnia była zrozumiała, bo stanowiła pochodną walki i ściernia się różnych tendencji w samej "Solidarności". To są sprawy skomplikowane - np. rola Kościoła. Wpływ wizyty papieża, a z drugiej strony kazanie prymasa Wyszyńskiego, wzywające do pracy - gdyby to był pierwszy tydzień strajku, to nie wiadomo, jakie miałyby ono konsekwencje. Ale Sierpień to nie tylko strajk, to także negocjacje. Brali w nich udział zupełnie inni ludzie, eksperci. Przyjeżdżając do stoczni, Mazowiecki i Geremek dlatego właśnie zostali naszymi ekspertami, aby unieemożliwić władzy wbiecie klina między robotników a inteligencję. Eksperci okazali się bardzo przydatni. My byliśmy tak zmęczeni, że nie podołalibyśmy trudom negocjacji, które - te oficjalne i te zakulisowe - trwały wiele dziesiątków godzin.

Powstanie "Solidarności" i kształt, jaki przybrała - szeroki, mieszczący w sobie rozmaite, czasem nawet sprzeczne ze sobą propozycje programowe - doprowadziło z czasem do sytuacji, w której różne grupy przedsierpniowej opozycji poczuły się "Solidarnością" zawiedzione i szukały czegoś innego. Twierdzisz, że ze względu na wewnętrzne podziały, KOR przestał istnieć. Nadal jednak działali ludzie, którzy KOR stanowili. Jaki był rzeczywisty wpływ ich pomysłów na kształt "Solidarności"?

W pierwszym okresie na nas w Gdańsku spoczywało zarówno kierownictwo tego ruchu, jak i do nas należała odpowiedź, jaki ma on być w przyszłości, jaki ma mieć statut, itp.

Czyli szansa, która pojawiła się, przerastała aktualne możliwości organizacyjne i koncepcyjne?

Oczywiście. Także i fizyczne. Należało dbać przede wszystkim o to, żeby ten ruch nie został przejęty przez władzę. Wiedzieliśmy, że takie próby będą miały miejsce. Broniliśmy się za pomocą kilku zasad. Pierwsza to jawność, unikanie rozmów w cztery oczy. Projekt statutu przygotowali prawnicy, m.in. Jan Olszewski. Potem dyskutowaliśmy go u pani Walentyńnicz, której mieszkanie było w tym czasie miejscem do spotykania się i pogadania /MKZ dopiero się tworzył/. Wprowadziliśmy poprawki, wiele swoją inwencją i dynamiką wniósł Jacek Kuroń. Byliśmy bardzo zmęczeni. Nazwa "Komisje Zakładowe" była, jak się zdaje, moim pomysłem. Chodziło o nawiązanie do doświadczeń hiszpańskiej lewicy - po to, aby w przypadku starcia ustawić się lepiej propagandowo. Takich różnych pomysłów było zresztą dużo. W tym też czasie zarówno partia wspólnie z policją, jak i różne grupy ludzi, dla których byliśmy niewygodni ze względu na naszą przeszłość /która doprowadziła do powstania "Solidarności"/, usiłowały wypchnąć nas poza "Solidarność". To było dla mnie oburzające.

Były to według ciebie tylko rozgryski ambicjonalne?

Część ludzi, którzy weszli do "Solidarności", uległa partyjnej propagandzie i my staliśmy się dla nich zasadniczym przeciwnikiem. Wyglądaliśmy na zwartą grupę o wspólnych celach politycznych. Jeżeli ktoś nie rozumie procesów społecznych i tego, że zjawiska masowe mają pewną własną dynamikę, to najprostszym dla niego wytłumaczeniem wszystkiego jest klucz mafijny, spiskowy. Dla takich ludzi powstania listopa-

dowe, styczniowe oraz warszawskie wywołali Żydzi, ewentualnie masoni, żeby krew polską upuścić. Znaleźliśmy się pod naciskiem części ludzi z "Solidarności" - zarzucali nam zbytni radykalizm, przez który /i ze względu na naszą przeszłość/ jesteśmy niestrawni dla władzy, a z nią przecież trzeba jakoś współżyć. Z drugiej strony uważali, że jesteśmy za mało radykalni, bo nie chcemy np. wolnych wyborów, nie żądamy, żeby wieszać i karać...

Ale były i inne grupy - Wałęsa, eksperci nie związani z KOR-em...

One były mniej widoczne. Z chwilą, gdy wydawało się, że władza cofnęła się zupełnie, ujawniły się oczywiście w "Solidarności" spreczne koncepcje: iść szybciej czy wolniej. Dotyczyły konkretnych spraw, jak choćby półgodzinnego strajku w październiku 80 roku. Mazowiecki przyjechał wtedy do Gdańska mówiąc, że jeżeli ten strajk o rejestrację odbędzie się, to Moczar przejmie władzę i prawdopodobnie dojdzie do radzieckiej interwencji. To są ludzie o innych doświadczeniach. Ja nigdy z tą władzą nie negocjowałem przy okrągłym stoliku i wtedy okazało się to zaletą. Uważałem, że strajk ten jest potrzebny. A później? - No tak, należało wykazać znacznie więcej rozsądku. Do grudnia - stycznia, to znaczy dopóki MKZ Gdańsk był wiodący w tworzącym się Związku, pilnowaliśmy, żeby nie było żadnych ekscesów antysowieckich, żadnego "skoku na bank", wolnych wyborów itp. Przecież w sierpniu skreśliłem z listy postulatów ten, który mówił o wolnych wyborach. To byłby postulat 22. I przysporzyło mi to sporo wrogów. Z drugiej strony uważam, że wpis do protokołu Porozumienia dotyczący kierowniczej roli partii był z naszej strony zupełnie niepotrzebnym ustępstwem. To nie było konieczne, a miało swoje złe konsekwencje - kryzys rejestracyjny. Ten pierwszy półgodzinny strajk mógłby odbyć się dopiero gdzieś w styczniu i wielu napięć można było uniknąć lub choćby przesunąć je w czasie.

Jaka była, mówiąc ogólnie, sytuacja opozycji podczas tych szesnastu miesięcy? Czy opozycja była "Solidarnością"?

Opozycja roztopiła się. Należałoby zadać pytanie, czy "Solidarność" była opozycją...

To jest inne pytanie. Chodzi mi o to, czy istniała poza "Solidarnością" opozycja mająca własną tożsamość polityczną.

Nie. Jedynie Moczulski usiłował działać w tym kierunku. Inni nie. Nawet RMP, będąc zwartą grupą, roztopił się i w zasadzie wszyscy pracowali na "Solidarność". Podobnie nikt z KOR-u nie pracował w "Solidarności" na rachunek KOR-u. Koncepcje tej pracy rodziły się znacznie później, dopiero w połowie 81 roku. Ja w tym udziału już nie brałem.

Czy już "konflikt bydgoski" nie ujawnił odmiennych wizji tego, czym "Solidarność" ma być?

W Związku był to konflikt czysto teoretyczny. Chodziło o to, czy Związek ma być rządzony demokratycznie czy autorytarnie.

Ale przecież jedni byli na strajkiem generalnym, a inni byli tam pracownikami.

Tak się tylko tobie wydaje. Chodziło o to, że wysłana do Warszawy grupa negocjacyjna z Wałęsą i Gwiazdą na czele podjęła decyzję o odwołaniu strajku bez konsultacji i upoważnienia - i to wywołało kontrowersje.

Narodziło jednak wokół tego wydarzenia sporo sprzecznych opinii, a wśród nich jest i taka, że gdyby wówczas zdecydowano się strajkować, to były szanse na sukces.

Potem można było to rozważyć, ale w przeddzień nie spotkałem ludzi, którzy by parli do tego strajku. Dominował strach przed nim. Konflikt wśród nas dotyczył tego, czy tamta grupa miała prawo podjąć decyzję odwoławczą. Z dystansu mogło to wyglądać na krytykę samej decyzji, ale tak nie było. Ja byłem wówczas w Gdańsku, w MKZ-cie, gdzie przebywała grupa działaczy stanowiących - na wszelki wypadek - awaryjne kierownictwo Związku.

No właśnie, w tej grupie był, zdaje się, też Bujak, który ponoć po decyzji odwoławczej usiłował dodzwonić się do Warszawy choć wezwał do strajku, ale to zostało przez kogoś udaremnione.

Gadanie. Zresztą spytaj Bujaka, nie mnie. Wszyscy bali się tego strajku, ja też - taka była atmosfera. Dyskutowaliśmy, co robić na wypadek wprowadzenia stanu wyjątkowego.

Chciałbym wrócić jeszcze do pytania o sytuację opozycji. Władza sama zapędziła się w pułapkę własnej propagandy. Usiłując ludzi opozycji wycisnąć z "Solidarności", zgubiła tę prawdę, że tylko z tymi ludźmi można było rozmawiać, gdyż tylko oni mieli doświadczenie i pewną wizję polityczną i wiedzieli, jak rzecz może się potoczyć i jak skończyć. To było zaślepienie - z naszej strony zresztą też. Były np. próby ze strony Kani - jego sekretarz, Rogulski, jak mówił mi Lis, próbował w pewnym czasie nawiązać z nami kontakt, spotkać się, ale nikt tej propozycji nie podchwycił. Błędem było też niepoparcie "poziomek", tzn. ruchu struktur poziomych w partii czy ruchu w milicji - z tym, że oni tego poparcia nie chcieli. Tak więc można było robić różne ruchy, które by dzieliły tamtą stronę. A oni oczywiście ciągle wykonywali takie ruchy, które dzieliły nas, np. próba podziału na "Solidarność" "robotniczą" i "nierobotniczą". No i pewne - choć małe - sukcesy osiągnęli. Były też sytuacje żenujące. Oburzało mnie, gdy ktoś wstawał i mówił, że ja czy kolega byliśmy w KOR-ze tak, jakby to była rzecz naganna.

Ty, choć wliczyłeś się aktywnie w "Solidarność", zachowałeś sobie jednak pewien margines swobody, dystans - nie ujawniłeś wszystkich swoich opozycyjnych ścieżek, całości sprzętu, którym dysponowałeś, kontaktów, itd. Skąd ta rezerwa?

To było celowe, nigdy np. nie zapuszczałem brody ani wąsów. Zdawałem sobie sprawę, że władza albo upadnie i rozsypie się /druga połowa 81 roku/, albo zdecyduje się na atak. Nigdy do końca nie wierzyłem w trwanie długiego okresu przejściowego.

Jak zapatrywałeś się na szansę przetrwania "Solidarności"? Czy miało jakąś koncepcję układu, realnego politycznie i stabilizującego sytuację?

Najmądrzej odpowiedziałbym mówiąc, że nie wierzyłem - bo

mówię to *ex post*. Ale wtedy jasnego zdania nie miałem. Uważałem, że należy tak działać, aby nie stawić przeciwnika przy murze, żeby zawsze mógł wycofać się z twarzą. Należało utrzymywać "Solidarność" ale i władzę - przynajmniej tak długo, jak istnieje Związek Radziecki. W pewnych momentach należało nawet tę władzę podtrzymywać. To wynikało z konieczności politycznej.

Ten układ współistnienia był jednak silnie konfliktowy. Czy twoim zdaniem istniały sposoby, aby nadać mu charakter trwały, systemowy i aby obie strony nie tylko ze względów taktycznych zainteresowane były w jego podtrzymaniu?

Nie, tu w zasadzie nikt nie miał dobrych pomysłów.

Sytuację stabilizowała przede wszystkim obawa przed konfrontacją, wojną domową. Dlaczego terenem współdziałania nie stała się gospodarka?

Bo ona wówczas zaczynała być właśnie terenem konfliktu. To było nieuchronne. "Solidarność" znajdowała się pod naciskiem mas członkowskich; rosnąca pauperyzacja obciążała także jej konto, a tymczasem władza, która oddawała politycznego pola tak dużo, trzymała całą gospodarkę twardo w rękę. Jeżeli chodzi o konflikty, to uważałem, że całkowicie uniknąć ich się nie da i traktowałem je jako coś tyleż niebezpiecznego, co stałego. Obawiałem się natomiast strajku generalnego, gdyż wiedziałem, że "Solidarność" nie jest do niego przygotowana.

Czy w ogóle myślano o tym, jak takie starcie mogłoby wyglądać i co "Solidarność" powinna w takim wypadku robić?

Tak, pamiętam, że przed rozwiązaniem konfliktu bydgoskiego ta sprawa była omawiana w redakcji "Solidarności" u Mariusza Wilka, gdzie zebrało się kilka osób z MKZ-u. Tę dyskusję zresztą nagrywano i miała być opublikowana.

Czy myślano o starciu zwycięskim?

Skąd, to były pomysły na przetrwanie. Jeżeli wjeżdżają czołgi, to aby je pokonać, trzeba mieć broń przeciwpancerną - inaczej trzeba się wycofać. W tej rozmowie jako zasadniczy i właściwie jedyny środek walki wymieniano strajk generalny. Reszta to rzeczy dodatkowe: zmiany nazw ulic, ukrycie sprzętu, palenie akt osobowych itd. Ale my wówczas to starcie wiązaliśmy z interwencją radziecką. /Zostały wtedy o dwa tygodnie przedłużone manewry wojskowe, w których brali udział Rosjanie./ Próbowaliśmy też zorganizować alarmowy system ostrzegania, ale myśleliśmy o tym dość naiwnie, uwzględniając także telefony, co jak się potem okazało było błędem. Zostały przygotowane matryce ulotek, które później zostało częściowo wykorzystane.

Braliście pod uwagę możliwość stawienia oporu czynnego?

Na ten temat nie dyskutowaliśmy. Sądziliśmy, że takie decyzje trzeba będzie podejmować w konkretnych sytuacjach, w zależności od rozwoju wydarzeń. Aby taki opór planować, należałoby najpierw zgromadzić środki. Poza tym nie wzięliśmy np. pod uwagę możliwości nadawania programów radiowych, co dzi-

siaj jest oczywiste. A wtedy nikt nie wpadł na pomysł, że można po prostu na MKZ-cie wybudować maszt i normalnie nadać. Wdaliśmy się za to w długotrwały i jałowy spór o dostęp do środków masowego przekazu - spór, który napsuł nam wiele krwi.

Wynikało to z postawy "Solidarności", jej filozofii swobodnego legalizmu, w której z tego typu działania nie było miejsca. Dostęp do środków przekazu należało więc uzyskać od państwa, drogą rewindykacji, bo to się po prostu należało.

Tak, to poszło w tę stronę. Poza tym - nie chciano zaostrezzać sytuacji.

W jakim stopniu, twoim zdaniem, elity polityczne - intelektualisci, członkowie przedsiernpniowej opozycji, ekspreci - mogą czuć się odpowiedzialne za polityczne błędy, które Związek popełnił? Do jakiego stopnia "Solidarność" była sterowalna?

Była sterowalna, dopóki myśmy nią sterowali z Gdańska. Potem doszło do tego, że nawet Wałęsa nie był w stanie gasić strajków i nie chciał nawet jeździć i próbować. Może inaczej wyglądało to z perspektywy Warszawy, ale ja patrząc stąd, już przy okazji konfliktu bydgoskiego zorientowałem się, że "Solidarność" przestała być sterowalna. Zespół kierowniczy był świeży, nowy, a równocześnie dużą rolę odgrywały kierownictwa regionalne. Łącznie w regionach sterowało Związkiem kilka tysięcy ludzi, nie było więc możliwości - przy tej ilości ludzi podejmujących różne decyzje - nadać "Solidarnośćci" jeden kierunek.

Co więc należało zrobić, aby przeprowadzić "Solidarność" przez 13 grudnia?

Kierowniczy ośrodek musiałby być bardziej aktywny i mieć rolę wiodącą. Nie powinien czekać na wybuch strajków w regionach - ale wcześniej podejmować rolę rozjemcy i negocjatora. To nieprawda, że winę ponosi tu tylko inteligencja. Nie znam dokładnych danych, ale wiem, że w kierowniczych gremiach Związku nie było wielu przedstawicieli inteligencji.

Można więc postawić jej zarzut nieobecności.

Jak się chce, to wszystko można zarzucić. Co to znaczy - "nieobecność"? Inteligencja była obecna w "Solidarności", ale to był i jest ruch robotniczy. Jej trzon stanowili robotnicy i oni spośród siebie wybierali ludzi do związkowych władz. Zresztą cały ten podział jest sztuczny, bo np. Bujak to kto? - robotnik czy inteligent?

Wrócmy jednak do pytania, co należało, co można było zrobić?

Trzeba było mówić o niebezpieczeństwie. Narażać się na gwizdy i utratę popularności, ale mówić - nawet za cenę utraty głosów wyborców. Po pierwsze, że istnieje Związek Radziecki i że groźba interwencji jest realna. Ilekroć o tym mówiliśmy, z miejsca podnosiły się głosy: proszę nie straszyć... Należało mówić, że to mocarstwo ma swoje interesy w Polsce, która jest dlań pomostem nad Łabę. Należało uświadamiać, że otoczeni jesteśmy przez wrogie kraje, które boją

się i działają na naszą szkodę, a na korzyść tych, którzy chcą nas zniszczyć. Należało uzmysławiać ludziom, że istnieje wojsko i policja - nie ruszone przez "Solidarność". To było przecież widoczne, że Jaruzelski tworzy z wojska enklawę. Tam nie wolno było czytać gazet "Solidarności", a "Żołnierz Wolności" wypisywał takie rzeczy, że mogło je przedrukowywać z powodzeniem "Rude Pravo" w celu indoktrynacji swojego społeczeństwa. To środowisko celowo zostało od nas odgródzone - po to, aby w odpowiednim czasie mogło reagować jak Marsjanie, którzy nagle znaleźli się na Ziemi.

Czy Wałęsa nie mówił o tym?

Nie. Szedł z prądem w zależności od tego, jak sala reagowała.

Kto w takim razie z osób wpływowych "siedzi pod prąd"?

Ci ludzie zostali w znacznej mierze z "Solidarności" wyciśnięci. Mam optykę gdańską, nie wiem, jak było w Warszawie, Poznaniu czy Łodzi. Mogę więc tylko powtórzyć, że dopóki zespół kierujący strajkiem sierpniowym przewodził "Solidarności", to starał się o tym pamiętać. Chodziło generalnie o uświadomienie sobie naszych ograniczeń. I nic innego nie można było zrobić.

Czy myślisz, że inne ułożenie stosunków z władzą wchodziło w grę?

Nie, to znaczy dopóki był Kania, to może tak - ale tego akurat nie dostrzegliśmy. Z chwilą jednak, gdy do władzy doszedł Jaruzelski, oznaczało to przygotowanie do rozprawy z "Solidarnością".

Podsumujmy więc błędy. Brak wsparcia dla struktur poziomych w partii, brak działań w kierunku "rozmiękania" policji i wojska oraz nieświadomość społeczeństwu granic możliwości działania. To wszystko?

Chyba tak. Dodać trzeba jeszcze próby usuwania partii z zakładów pracy - pomysły całkowicie oddolny. Spowodowały one z tamtej strony olbrzymi ruch, władza uznała to za rzecz bardzo dla siebie niebezpieczną. A tu ktoś wpadł na pomysły, że trzeba partię wyrzucić z zakładu do dzielnicy, bo powinna ona być organizacją terytorialną a nie zakładową. Tymczasem w czym nam ta partia w zakładzie przeszkadzała? W niczym. To chyba wzięło się z potrzeby upokorzenia przeciwnika, chęci rzućcia go na kolana.

Był to jednak przeważnie radykalizm czysto werbalny.

Tak, ale mógł być - i był - odczytywany przez władzę jako zagrożenie. Poza tym umiejętnie wykorzystywała go do walki z nami partyjna propaganda. To było zupełnie niepotrzebne.

Ale czy nie było tak, że powstrzymywanie nastrojów radykalnych mogło jedynie w najlepszym razie odwlec konflikt w czasie - przecież sytuacja gospodarcza była tragiczna?

Tak, ten konflikt wydawał się nieuchronny, ale wcale nie musiało do niego dojść już w grudniu 81 roku. Jeżeli "Solidarność" przetrwałaby tę zimą, to kolejnym terminem starcia byłaby następna zima. Czyli mielibyśmy jeszcze rok. Ale,

powtarzam, myślę że konflikt był nieuchronny. Radykalizacja werbalna była olbrzymia, a w związku z brakami na rynku zaczęła przybierać coraz poważniejsze rozmiary. Widywałem ludzi autentycznie wściekłych.

Czy jednak nie przesadzasz z tą radykalnością ludzi? Przecież nie było w nich determinacji - ona pojawiła się dopiero po 13 grudnia.

Ale działały namiętności, instynkty. Przez pół roku niczego praktycznie nie można było kupić, władza wydawała się nieobecna, a "Solidarność" potężna. Więc albo ona załatwi nam tę sprawę, albo do czego jest nam ona potrzebna...

"Solidarność" przy całym swoim bojowym nastawieniu i krzykliwym radykalizmie nie dążyła ani do obalenia ani do przejęcia władzy. Działała z pozycji rewindykacji. Tymczasem władza, jak się wydaje, dość szybko przygotowała scenariusz rozprawy z "Solidarnością", który potem zrealizowała, spychając Związek do podziemia. Kiedy twoim zdaniem spadła ostateczna decyzja i czy zachowanie się "Solidarność" miało wpływ na jej podjęcie?

Przygotowania operacyjne bezpieka poczyniła już w listopadzie 80 roku. Wtedy powstały listy osób do internowania. Te same listy służyły im potem 13 grudnia i stąd tak dużo pomyłek. /Dlatego internowano przeważnie tych ludzi, którzy "Solidarność" zakładali, choć potem we władzach Związku nie znaleźli się./ Te listy z pewnością potem aktualizowano, ale w swej zasadniczej części powstały wówczas.

Między dwiema turami Zjazdu bezpieka zakupiła łomy. Tę informację podaję tutaj po raz pierwszy - wskazuje ona na to, że w tym czasie przygotowania nabrały konkretyzacji. Potem, w październiku 81, wstrzymano wypuszczanie z wojska roczników, którym kończyła się służba. Te roczniki znalazły się w wojsku jeszcze przed Sierpniem i władza określała je jako w miarę "nieskażone". To już był sygnał wyraźny - przynajmniej dla mnie. /Oficjalnie podano, że zatrzymano tych żołnierzy, aby oczyścili lasy z wiatrołomów. Jednak było jasne, że nie pracują jako drwale - to było kilkadziesiąt tysięcy ludzi i rzecz dawała się sprawdzić./ Następnym sygnałem było wprowadzenie, chyba w listopadzie 81 roku, wojskowych grup operacyjnych. To po prostu kopia Chile, gdzie Pinochet też przed dokonaniem przewrotu wprowadził takie grupy do zakładów pracy i rozesłał po terenie. Miało to charakter rozpoznania, ustalenia, kogo należy aresztować, jakimi środkami działać itd. Myślę więc, że kupno łomów przez bezpiekę oznaczało, że zapadła decyzja o zniszczeniu "Solidarność", decyzja polityczna.

Czy przebieg Zjazdu miał na to wpływ?

Nie wiem. Na pewno jednak grudniowa narada w Radomiu czy ostatnia krajówka niczego nie zmieniły. Wszystko już było przygotowane, a reszta to pic propagandy. Musieli to zrobić w zimie przed świętami. Jeżeli wówczas odczytanoby wszystkie te sygnały, o których mówiłem, można było ich blokować. Jak? - Groźbą wojny domowej.

Czy władza przewidywała skalę oporu, na jaki natrafi jej uderzenie?

Tak, dlatego przecież zmobilizowała wszystkie środki. Brała pod uwagę silny opór, ale tylko taki, który może przełamać milicją. Armia nie była przygotowana.

Sądziś więc, że silny opór stawiany przez "Solidarność" 13 grudnia dałby pozytywne efekty?

Nie będę gdybał. Nie wiem.

Gdyby jednak od siebie wtedy zależała możliwość zorganizowania takiego oporu, czy podjąłbyś decyzję?

Uważam, że "Solidarność" była tak bezcenną naszą wartością, że w jej obronie ja bym taką decyzję podjął.

Ale wtedy nic w tym kierunku nie robiłeś.

A dlaczego miałem robić? Ja już wtedy za losy "Solidarności" nie czułem się odpowiedzialny... Trzeba było robić wszystko, żeby czegoś takiego jak 13 grudnia uniknąć. Jednym z elementów zapobieżenia temu winna być świadomość obu stron, że w razie wprowadzenia środków nadzwyczajnych, te środki mogą nie przynieść oczekiwanego rezultatu. Jeżeli kreuje się taką organizację jak "Solidarność" i jeżeli czuje się wobec niej odpowiedzialnym, to trzeba być przygotowanym na różne rozwiązania. A więc i na starcie też, jeżeli nie w sprzeczcie, to przynajmniej organizacyjnie i politycznie. Trzeba uświadomić ludzi, rozmawiać z nimi o tym, mówić jak mają zachowywać się i co robić. Chodzi o to, żeby szok wywołany ekstremalną sytuacją - stoją milicjanci z karabinami i nie wiadomo, czy będą za chwilę strzelać - był jak najmniejszy. Nie jestem zwolennikiem przelewu krwi. Żadnej. Ale jeżeli masz do czynienia z gangsterem, który chce cię rąbnąć nożem, to trzeba się jakoś zasłonić i bronić. Uciec nie było dokąd. A więc taką sytuację też trzeba było rozpatrywać i to nie tylko w gronie pięciu osób. O takiej możliwości należało pisać i głośno mówić. Dlatego, powtarzam, fatalnie się stało, że nikt nie odczytywał tych poważnych sygnałów, nikt ich nie interpretował. I jeszcze jedno - gdy mówię, że taką decyzję o oporze bym wydał, zdecydował się na to, to mówię o tym *ex post*. Zresztą - ja się na to, wchodząc wtedy do Stoczni Gdańskiej, zdecydowałem. I jeżeli byłoby więcej ludzi, myślę że zdołalibyśmy utrzymać się do tej 6.00-7.00 rano, kiedy już zbierały się tłumy pod pomnikiem w rocznicę Grudnia 70. I wtedy znaleźlibyśmy się w zupełnie innej sytuacji, bo stocznia-symbol by trwała. Nie zostałaby zdobyta - przynajmniej tymi środkami, którymi dysponowano, czyli batalionem policji i dwoma czołgami, z których jeden tylko był zdolny do staranowania bramy. Z załogą drugiego pływającego, który odciągnął wagony barykadujące bramę od strony Stoczni Północnej, rozmawiałem i tylko ich dowódca strzelałby do nas. A przecież cała załoga była dobrana... To nie są rzecz jasna żadne dowody, ale dowód można było zdobyć jedynie w praktyce.

To byłaby ryzykowna gra.

A czy sądziś, że takiej ryzykownej gry nie będzie? Władza nauczyła się działać siłą. Doświadczyła już tego, że wprowadzenie siły zamiast działań politycznych przynosi efekty. W związku z tym będzie to robić. My z kolei mamy doświad-

czenie, że cofnięcie się spowodowało przegraną i teraz dopiero może być niebezpiecznie. Tak więc fakt, że wtedy cofnęliśmy się, nie oznacza, że uniknęliśmy niebezpieczeństwa konfrontacji.

Więc 13 grudnia to twoim zdaniem przegrana?

Oczywiście. A co - może to było "taktyczne cofnięcie się" Związku?

Nie, ale też nie wszystko zostało przegrane. Z wielu względów Polska dzisiejsza jawi się w korzystniejszym świetle niż ta przedsiębiorcza.

Zgoda. Już od początku 82 roku podjęliśmy odpowiednie działania, dlatego "Solidarność" nie została zniszczona. Inny ma tylko, rzecz jasna, zasięg, formy działania i struktury. Ta różnica w wyglądzie Polski jest rzeczywiście olbrzymia, ale to nam nie wystarczy.

Wróć jeszcze raz do poprzedniej kwestii: czy brak czynnego oporu był według ciebie błędem?

Trochę inaczej - błędem było zadeklarowanie, że oporu nie będzie. Żeby stawiać czynny opór, należy taką decyzję podejmować na miejscu, oceniając szanse i stopień determinacji ludzi. Widziałem, że ci ludzie nie mają determinacji nawet żeby strajkować. Bali się, ale to normalne. Nie było w nich determinacji dlatego jednak, że wszyscy ich przywódcy zwywali, że by oporu nie stawiać.

Czy nie sądzisz, że czynny opór mógłby doprowadzić do sowieckiej interwencji?

Po okresie 5-6 dni - tak przynajmniej było na Węgrzech. W tym czasie można by jeszcze z tą władzą rozmawiać. Jeżeli groźba interwencji stałaby się bliska, a władza zorientowała by się, że nie jest w stanie sama opanować sytuacji, musiała by zacząć rozmawiać. We własnym interesie. Decyzji o interwencji nie podejmuje się automatycznie. Każde rozwiązanie, które nie narusza interesów sowieckich jest lepsze, niż wojna w 36-milionowym państwie.

Wróć jeszcze do pytania, czy ja bym taką decyzję podjął. Muszę powiedzieć, że nie wiem - nawet w tej chwili. Mimo iż uważam, że groźba tego oporu - głośno wypowiedziana - miała sens. Będąc w podziemiu znalazłem się w podobnej sytuacji w październiku 82 roku, kiedy wybuchł strajk w Stoczni Gdańskiej. Wtedy stanęliśmy przed decyzją ostateczną. Gdybym wszedł wówczas do stoczni, starałbym się już iść "na całego". Jeżeli wtedy przynajmniej dwóch moich kolegów poparłoby mnie, zdecydowałbym się. Ale samemu podejmować tak odpowiedzialną decyzję, brać odpowiedzialność za ewentualny przelew krwi - to jest zbyt wiele. TKK sparaliżowana była wizją powstania warszawskiego, jego skutkami. I dlatego nie wiem, czy taką decyzję sam byłbym w stanie podjąć w sytuacji, gdy inni mówią - nie. Nie wiem, chyba nie. Jeżeli bym jednak, z drugiej strony, widział że ludzie zdecydowani są walczyć, to wtedy myślę że tak. Gdybym był już w stoczni, doszłoby do starcia, ZOMO zaczęłoby strzelać, to wówczas jestem pewien, że bym się na to zdecydował. Na zimno jednak bardzo trudno taką decyzję podjąć - wziąć na siebie takie ryzyko, nie będąc prze-

cież pewnym wynikiem. Kiedy się wygra, to o ofiarach pamiętają tylko rodziny, lecz gdy się przegra...

Słowo mówisz o TKK - nie zrealizowała ona swego zasadniczego celu, jakim była reaktywacja legalnej "Solidarności".

TKK podtrzymywała opór, ale i z drugiej strony, ten opór powstrzymywała: właśnie przez to, że w pewnych momentach nie podejmowała decyzji. A nie podejmowała, bo... jesteśmy tylko ludźmi i odpowiedzialność za decyzje, które mogą spowodować przelew krwi, jest tak duża, że to nas to łamało - mnie też. Wejść do zakładu po to, żeby nie zwyciężyć, to lepiej w ogóle nie wchodzić. Wiedzieliśmy, że władza swoje oddziały wywoczyła i najprawdopodobniej zdecydowałaby się na rozwiązania siłowe. To już nie czasy Gierka.

Jaki był zasięg oddziaływania TKK na społeczeństwo?

To zależy kiedy: w stanie wojennym - masowy, potem fala opadała, chociaż - paradoksalnie - struktury wzmacniały się.

Można zarzucić TKK, że nie miała rozeznania w nastrojach społecznych i że jej decyzje przeważnie z tymi nastrojami rozmijały się.

Na początku TKK w ogóle decyzji nie musiała podejmować - opór był samoistny. Tak samo było w naszym rejonie. Zorganizowaliśmy się, ale nie odczuwaliśmy np. zbyt dużego nacisku SB bo ta miała pełno roboty z masą grupek tworzących się spontanicznie. Potem to się zmieniło i ciężar działania spadł na nas. Gdyby TKK wywalczyła "Solidarność", nikt nie mówiłby o jej błędach. W każdym innym wypadku można powiedzieć, że błędy popełniła. Jednak przywrócić "Solidarność" można było tylko ryzykując walną rozprawę. To był dylemat zasadniczy, reszta to sprawy drugorzędne.

Twierdzisz, że była szansa?

Tak - w stanie wojennym, bo potem nastroje opadały.

Chodzi o strajk generalny?

Oczywiście, wielokrotnie widziałem taką szansę. Ona pojawiła także zresztą i w roku 84, po podwyżce cen na wiośnię. Rok 82, jeżeli chodzi o opór, był właściwie samograjem. Nie trzeba było żadnych impulsów z naszej strony, wystarczyło nim tylko trochę pokierować. TKK pobudzała go i kierowała nim, ale tylko do pewnego poziomu, choć możliwości pójścia dalej oczywiście były, np. w czasie dwudniowego spontanicznego strajku w Stoczni Gdańskiej po delegalizacji "Solidarności".

Czy ten strajk miał rzeczywiście duże znaczenie, przecież w skali kraju był bodaj jedynym?

Stocznia Gdańska nie jest przecież taka wyjątkowa i to był dowód, że w innych stoczniach też była sytuacja strajkowa. Istniała możliwość powtórzenia modelu Sierpnia, a to jest istotne w masowym odbiorze.

Jednak historia w tym samym kształcie nie powtarza się.

W czasie tego strajku bezpieczeństwa założyła obserwację stoczni dopiero o godzinie dziesiątej. Milicja z Słupska wyjechała dopiero w nocy, a ruchu wojsk w ogóle nie było.

Co byś nazwał w działalności TKK realizmem politycznym, a co uznałbyś za błędy polityczne?

Realizm polityczny także może być błędem. Celem działania TKK było przywrócenie "Solidarności" i ten cel nie został osiągnięty. Ale stworzyliśmy "Solidarność" tajną, uratowaliśmy struktury i wypracowaliśmy nowe formy działania pozwalające nam przetrwać. Ich siła polityczna jest znaczna - musi brać ją pod uwagę i władza, i Kościół.

Jednak wpływ tajnej "Solidarności" na społeczeństwo maleje.

Myślę, że tak jest w istocie, ale oczywiście nie dzieje się to w takim tempie i zakresie, jak mówi o tym władza. Siłą polityczną są wielkie zakłady przemysłowe wielkich miast i tam mamy nadal największe wpływy. "Solidarność" nadal jest liczącą się siłą, jest organizacją o olbrzymim ludzkim potencjale. Jesteśmy nadal dla władzy niebezpieczni, gdyż mamy wpływy w niewrażliwych dla niej punktach - wielkie zakłady, wielkie miasta i środowiska młodzieżowe.

Mamy za sobą apogeum wolności i apogeum represji, kiedy to możliwości manewru politycznego były praktycznie zerowe. Teraz zaś wygląda na to, że polityka znów staje się możliwa. Czy odnosisz takie wrażenie?

Nie. Zdaje się, że chcesz mówić o radach, tak? One są próbą przebicia się "Solidarności" w jawność. Są dwie możliwości. Albo władza uzna, że to dla niej niebezpieczne i wtedy uderzy, albo... nie będą niebezpieczne i umrą śmiercią naturalną, co władza zaakceptuje. Obawiam się tutaj kompromitacji. Rada Krajowa ma na pewno większe możliwości, może w imieniu "Solidarności" ustosunkowywać się do różnych posunięć władzy - prawnych, gospodarczych itp. Może zająć się sprawą przymusowego zapisywania ludzi do neozwiązków zawodowych. Czyli może pisać oświadczenia i zabierać głos. Natomiast nie bardzo wiem, co mają robić rady regionalne. Myślę, że ich powstanie jest przedwczesne. Przecież ludzi, którzy działają jawnie, ogranicza represja. Teraz i tutaj - człowiek najbardziej wolny jest w podziemiu.

Czy rady regionalne powstają spontanicznie?

Tak, z wyjątkiem Warszawy, gdzie członkowie RKW wyszli z podziemia, zamieszkali w swoich domach i nie przestali nazywać się RKW, oświadczając, że będą działali nadal.

Skoro, jak mówisz, ich powstanie było przedwczesne - a podobnie myśli wiele osób - to czy nie było możliwości przyhamowania tego?

Nie, dlatego że są ludzie "niezagospodarowani", mający chęć działania i w momencie politycznego "poluzowania" ich ochota do działania wzrosła. Nie powinniśmy nikomu zakazywać aktywności.

Na ile, twoim zdaniem, realne jest niebezpieczeństwo, że klęska ra! może być tożsama z końcem "Solidarności"?

Instytucje podziemne działają nadal. W razie ataku ciągle istnieje TKK.

Czy lepszych pomysłów niż rady nie było?

Ja nie miałem. Był jeszcze jeden - schować się. Ale czy on był lepszy - tu nastąpiła liberalizacja, a my chowamy się. To by nas ośmieszyło. Rada Krajowa "Solidarności" była pomysłem wspólnym i z dawnej TKK wszyscy, z wyjątkiem Frasińskiego, uważali, że takie ciało jawne należy natychmiast powołać. Władka twierdził, że należy poczekać.

Co w tej chwili jest władzą "Solidarności"?

To jest pytanie o kompetencje. Dla mnie Wałęsa i TKK oczywiście. Stosunek i rozdział kompetencji między Radą i TKK będą układały się w zależności od postępowania władzy. Im większe będą represje, tym bardziej wzmocniona zostanie TKK. Jeżeli represje nie będą się wzmacniać, TKK przyjmie rolę tajnego biura wykonawczego. Jeżeli zaś chodzi o kwestie ideowe, to przecież w związku zawodowym jest miejsce dla różnych grup politycznych, a "Solidarność" jest nadal związkiem zawodowym.

Czy nie uważasz, że rady są próbą zmonopolizowania tradycji Związku przez jedno środowisko polityczne?

Myślę, że jedyną obroną przed wyeliminowaniem było działanie w podziemiu. Rada powstała z ludzi TKK, a nie na zasadzie doboru - "lewica", "prawica". Jeżeli ktoś wcześniej mówi, że działalność TKK nie ma sensu, wychodzi z podziemia i idzie do domu, to nie może mieć potem pretensji, że nie jest zaproszony do ciała tworzonego na bazie działaczy podziemia. Weź listę członków Rady Krajowej i określ, kto jest z lewicy, a kto z prawicy - potrafisz? Ja nie.

W stanie wojennym nastąpiła jednak specyficzna segmentacja środowisk politycznych, które stały się bardziej hermetyczne.

Ale nie według podziału lewica - prawica. Dla mnie, jak i dla moich kolegów, bliższy jest człowiek, który działał ze mną w podziemiu, niż ten, z którym razem kiedyś byliśmy w KOR-ze. Rada dlatego nie jest liczna, aby nie zatracić swojej operatywności. Forsowałem konieczność jej powstania z dwóch powodów. Po pierwsze ze względów propagandowych, aby uniemożliwić władzy zbieranie śmietanki po amnestii. Władza obnosiła wtedy głębię liberała, Jaruzelski chciał występować jako szef najbardziej demokratycznego państwa Europy Wschodniej i to trzeba było uniemożliwić, bo ta maska oddziaływała i na nasze społeczeństwo, i na Zachód. Udało się, musiała pokazać inną głębię, musiała grozić. Drugim powodem było to, żeby ludzie nie musieli wychodzić z podziemia z podniesionymi rękami, żeby mieli możliwość kontynuowania działania. To jest psychologicznie ważna sprawa. Po amnestii w 84-tym staliśmy się kolegów którzy wyszli nakłonić, aby stworzyli coś takiego, ale bez skutku.

Czy inicjatywa władz powołania Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa wzbudziła wśród was jakieś dyskusje, czy też od razu najbliżej stanowiące negatywne?

W naszym środowisku nie było to nigdy przedmiotem sporu.

Jaki jest obecnie twój program działania?

Należy podtrzymywać opór, robić to, co służy przetrwaniu "Solidarności". Myślę, że powinniśmy kontynuować dotychczasową pracę i próbować działania jawnego. Musimy być uparci. Żadnymi programami rzeczywistości nie zaczaruujemy.

Wróćmy jeszcze raz do kwestii, co według ciebie jest w tej chwili "Solidarnością". Współczesna opozycja stanowi bogaty wachlarz ugrupowań, pism, organizacji i środowisk. Czy potrafiłbyś wskazać, które z nich "Solidarnością" są, a które nie?

Nie będę stawał się w roli inkwizytora. "Solidarność" jest strukturą bardzo pojemną. To, czy ktoś działa w ramach "Solidarności", czy poza nią, zależy w gruncie rzeczy od jego własnej deklaracji, od jego wewnętrznego przekonania. Nie ma obecnie ustalonego członkostwa, to jest w tej chwili dużo bardziej płynne niż za czasów działalności legalnej.

Czy napotkałeś ostatnio jakieś inicjatywy czy działania opozycyjne, które wzbudziły twój niepokój?

Niepokoi mnie to, że musimy tyle lat trwać w podziemiu, istnieć na pograniczu jawności i tajności. To jest męczące. Myślę, że w związku z tym stajemy się słabsi, mimo że jak mówiłem organizacja jest coraz lepsza. Dynamika ruchu rewolucyjnego jest jednak taka, że on nie może zbyt długo trwać. Poparcie z jakim się spotykamy i tak jest ewenementem społecznym; doświadczamy go przecież tyle lat, mimo że nie oferujemy ludziom perspektywy szybkiego zwycięstwa.

Komu w tej chwili w Polsce zależy na istnieniu niezależnego związku zawodowego? Czy to jest jeszcze nośny społecznie i politycznie pomysł?

Robotnikom zależy - to jest ich organizacja i oni upatrują w niej możliwości polepszenia swojej sytuacji.

Ty też tak sądzisz?

Tak, myślę że istnienie takiego związku, jak "Solidarność" tę szansę stwarza. Oczywiście większą szansę dawałoby istnienie niezależnego wojska albo suwerennego państwa, ale to inna sprawa...

Czego w tej chwili powinniśmy żądać?

Reformy gospodarczej, decentralizacji zarządzania, uruchomienia mechanizmów rynkowych.

Czy jednak w postulaty daleko posuniętej reformy gospodarczej nie stoją w konflikcie z postulatami związków zawodowych?

Dobre pytanie. Myślę, że w tym tkwi sprzeczność, jednak "Solidarność" potrafiła to pogodzić. Nie jest tak, że społeczeństwo nasze broni się w ogóle przed wyrzeczeniami - ono broni się przed takimi, które nic nie dają. To rzecz naturalna, że większość patrzy przede wszystkim na własną kieszeń. Tragedią dzisiejszej sytuacji jest to, że z gospodarką nie można nic zrobić, bo społeczeństwo nie ma już zaufania do

partii, która kieruje tym krajem. Nawet gdybyśmy dostali zagraniczne kredyty, nie ma żadnych gwarancji, że nie zmarnuje ona po raz kolejny i pieniędzy i ludzkiego wysiłku. Nie wydaje mi się więc, aby w ramach obecnego układu udało się zmusić ludzi do efektywnej pracy. A to jest konieczne; bez tego kredyty na nic się nie zdadzą. W naszym społeczeństwie tkwią olbrzymie rezerwy aktywności. Ludzie nie mają motywacji do dobrej pracy i tak będzie, dopóki nie będą mieli wpływu na sytuację i dopóki nie będą ufali tym, którzy nimi kierują.

Można jednak wyobrazić sobie sytuację, którą znamy zresztą z innych krajów, np. Ameryki Południowej, że zacznie funkcjonować mniej lub bardziej wolny rynek, ale struktury państwa nie zmienią się, pozostaną autorytarne.

To nie jest kierunek, w którym powinniśmy iść. Bez swobód obywatelskich taka reforma nie ma sensu.

Czy obecna sytuacja gospodarcza doprowadzi twoim zdaniem do kolejnego kryzysu politycznego?

Rezerw nie ma, całość gospodarki jest w fatalnym stanie, ale wybuch nie grozi, gdyż mamy to szczęście, że od trzech lat notujemy znakomite plony w rolnictwie. Katastrofa w budownictwie, choć ogromna, dotyczy jednak tylko pewnej części ludności, sytuacja żywnościowa natomiast jest sprawą całego społeczeństwa. Z jednej więc strony siła policji, a z drugiej urodzaj oddalają od nas perspektywę kryzysu. Jak jednak będzie dalej, trudno powiedzieć. Wszystkie inne gałęzie gospodarki są w strasznym stanie. Bank Handlowy nie ma już pieniędzy. Polska stała się drugim po Peru krajem na świecie, który praktycznie przestał spłacać odsetki od swoich długów. A przecież nawet odblokowanie polityczne naszego państwa na Zachodzie nie wiąże się automatycznie z odblokowaniem finansowym. Ci, którzy chcieliby ewentualnie z nami handlować, nie chcą na tym tracić.

Chciałem nadać naszej rozmowie tytuł "Odpowiedzialność i polityka", bo o tym w gruncie rzeczy rozmawialiśmy.

Ten zwrot kojarzy mi się z tytułem książki, którą kiedyś czytałem: *Miłość i odpowiedzialność* autorstwa - wtedy jeszcze kardynała - Wojtyły.

Dostrzegasz analogie między miłością i polityką?

Trochę tak jest - dlatego, że to co robiliśmy i robimy, tak nas niespodziewanie ogarnęło i wciągnęło, że jesteśmy tym już chyba naznaczeni na całe życie. Niezależnie od tego, jak potoczy się ono dalej, to jednak istotniejszych i bardziej wających w naszym życiu doświadczeń już pewnie nie będzie.

Dziękuję za rozmowę.

Jedrzej Brancki

FILOZOFIA PUBLICZNA WALTERA LIPPMANNA

Walter Lippmann był instytucją w amerykańskim dziennikarstwie i życiu publicznym. Jego komentarze formowały styl myślenia i bieżące osady polityczne trzech generacji Amerykanów. Sprawując rząd nad opinią publiczną, musiał być respektowany i kokietowany przez polityków. Ale bohaterem niniejszego szkicu stał się Lippmann za sprawą swego drugiego wcielenia - jako moralista i myśliciel polityczny. Potrafił bowiem zacerpnąć niekiedy głębszego oddechu, zdystansować się do biegu wydarzeń, by przemyśleć gruntownie problemy współczesnej demokracji. Powstało w ten sposób kilkanaście żywo napisanych i żywo odbieranych książek, spośród których kilka zalicza się bezspornie do klasyki myśli politycznej XX wieku.

SEDZIA I UCZESTNIK

Lippmann nie był typem myśliciela gabinetowego, skrupulatnie konstruującego swój system w oderwaniu od żywych problemów swego czasu. Odwrótnie, jego książki odpowiadały na konkretne pytania, wyłaniające się w konkretnych sytuacjach historycznych, z których każda dostarczała mu kolejnego punktu widzenia na sprawę współczesnego społeczeństwa. Biografia Lippmanna rzuca interesujące światło na jego twórczość i dlatego zasługuje na szersze potraktowanie.

Wielkość przepowiadano Lippmannowi już od lat młodszych. Nie ciążyło mu to, bowiem zawsze ufał we własne siły. Ambicje jego rodziców były skromniejsze - chcieli wychować gentlemana. Miał temu służyć dobór właściwych szkół i coroczne wyprawy do muzeów Europy. Z Europy, konkretnie z Berlina, emigrował dziad Waltera, Harvis Faum, niechętny pruskim porządkom, jakie zapanowały po roku 1848. /1/ Walter Lippmann przyszedł na świat 23 września 1889 roku i wyrastał w nowojorskim środowisku inteligencji żydowskiej, środowisku otwartym, asymilującym nowe idee, stanowiącym zupełnie odrębny składnik amerykańskiego tygła

aniżeli ortodoksyjno-judaistyczne getta, zasilane przez masowe uchodźstwo z terenów Wschodniej po pogromach z lat siedemdziesiątych XIX wieku. Sachs Collegiate Institute - renomowana szkoła do której uczęszczała, należała do tych instytucji kształceniowych, które były narzędziami amerykańskiej, przegotowywały do zajęcia miejsca w amerykańskim esablishmencie. Zwieńczeniem tej edukacji był Harvard, który w owym czasie (1906-1910) kipiał, wciągał w gorączkowy rytm życia klubowego, kreował późniejszą elitę businessu, gwiazdy nauki, kultury i polityki. Lippmann, mając za partnerów m.in. Johna Reeda i Tomasa Stearnsa Elliota, należał do liderów środowiska, błysnął na łamach studenckiej prasy, zwrócił na siebie uwagę nauczycieli. Pierwszym mistrzem Lippmanna był William James, ówczesna znakomitość Harvardu. Jego pragmatyczny, pluralistyczny styl filozofowania wywarł "wyzwalający" wpływ na młodą generację młodzieży amerykańskiej. Kolejna sława - George Santayana, uczynił Lippmanna swoim asystentem i utwierdził jego autoperfekcjonizm - dążenie do doskonałości, jako naczelny motyw życia kierowanego przez rozum.

Wbrew oczekiwaniom i zachętom ze strony mistrzów z Harvardu, Lippmann odrzucił pokusę kariery akademickiej. Po czterech latach obcowania z książkami i dyskusowaniami idei, rozpierała go żądza czynu, zapragnął zmienić świat. W maju 1910 roku opuścił Harvard i rozpoczął profesjonalną karierę dziennikarską, najpierw jako reporter "Bostonian Common", potem w redakcji "Everybody", gdzie przypadła mu rola komentatora Wall Street. Pierwsze artykuły sygnowane jego nazwiskiem pojawiły się w roku 1911, gdy liczył 21 lat. Dwa lata później miał w jego życiu miejsce krótki epizod pracy w administracji miejskiej w Schenectady, mogący być ewentualną odskocznią do kariery politycznej. Próba ta rozczarowała Lippmanna i na trwałe określiła jego wybór życiowy - upodobał sobie rolę aktywnego komentatora, czerpiącego satysfakcję z wpływu, jaki wywierał na sposób myślenia ludzi i bieg wydarzeń, unikając podejmowania roli polityka. W tymże 1913 roku zwrócił na siebie szerszą uwagę, wydając pierwszą książkę: *A Preface to Politics*, błyskotliwie transponującą teorię Freuda na obszar zachowań politycznych (w kilka lat później Lippmann poznał Freuda osobiście, ten zaś przedstawił go Adlerowi i Jungowi). W 1914 roku Lippmann wszedł do składu redakcyjnego nowopowstałego tygodnika "New Republic", adresowanego do "uwrażliwionych politycznych elit"; oznaczało to awans z dziennikarskiego czeladnika na mistrza, potwierdzony godnym uposażeniem w wysokości 60 dolarów tygodniowo. W czasie podróży do Europy był świadkiem wybuchu I wojny światowej. Miało to go zbliżyć do polityki, na razie jednak utwierdzał swoją pozycję wśród ludzi pióra: w latach 1914-15 wydał kolejne dwie książki, *Drift and Mastery* oraz *The Stakes of Diplomacy*. Tytuł drugiej świadczył, iż Lippmann wkroczył na teren analiz politologicznych sytuacji międzynarodowej, w czym osiągnął z czasem niebywałą maestrię. Jego głos liczył się w toczącej się wówczas w USA debacie na

temat neutralności kraju. Wraz z macierzystą redakcją, Lippmann okazywał jawną sympatię aliantom, polemizował z izolacjonistami i pacyfistami, uzasadniając celowość zaangażowania się Stanów Zjednoczonych w wojnę. W lutym 1917 roku napisał jeden z ważniejszych swoich artykułów, wyłożone w nim credo polityczne koncentrowało się wokół hasła "wspólnoty atlantyckiej" (*Atlantic Community*), które wprowadził na trwałe do międzynarodowego słownika politycznego. Właśnie owa wspólnota narodów demokratycznych, której członkiem były Stany Zjednoczone Ameryki, została zagrożona w wyniku ataku Germanów. Ameryka powinna wystąpić w obronie wspólnoty atlantyckiej i stać się gwarantem późniejszego *just and lasting peace*. W tym wskazaniu na Amerykę jako na siłę sprawczą demokratycznej rekonstrukcji świata i siłę stabilizującą powstały układ międzynarodowy, Lippmann był bardzo bliski wilsonowskiej dewizie: *The world must be made safe for democracy*. Zbliżenie z ekipą Wilsona było nieuchronne. Już wiosną 1916 roku, kiedy Wilson potwierdził udział Ameryki w *League to Enforce Peace* (prototyp Ligi Narodów), Lippmann gloryfikował ten krok jako "moment zwrotny w dziejach nowożytnego świata". Łączył ich idealizm - udział USA w wojnie był poświęceniem koniecznym dla naprawy świata. Lippmann uchylał się od służby wojskowej, wyznaczył sobie wyższą misję: "poświęcenie całej energii i czasu na studiowanie warunków pokoju". I rzeczywiście w tym celu powołany został do służby publicznej. Za pośrednictwem pułkownika House'a, doradcy Wilsona, wszedł do pięcioosobowego zespołu, przygotowującego na zlecenie prezydenta poufne materiały na konferencję pokojową. Zespół rozrastał się błyskawicznie i wkrótce liczył 126 geografów, historyków, politologów i ekonomistów, głowiących się nad problemem granic w powojennej Europie. Koordynując te skomplikowane prace, Lippmann kontaktował się m.in. z Beneszem, Marsarykiem i Paderewskim. Opracowany przez zespół materiał przetworzony został w historyczne 14 punktów prezydenta Wilsona, ogłoszone 8 stycznia 1918 roku. W roku 1918 Lippmann został oddelegowany, w randze kapitana, do służby w aparacie propagandy na terenie Europy. Redagował biuletyny zrzucane za linią frontu. Było to kolejne doświadczenie życiowe zapładniające późniejszą refleksję teoretyczną. Intrzygi osobiste wyeliminowały go ze składu amerykańskiej delegacji towarzyszącej Wilsonowi na konferencję pokojową w Paryżu, więc wrócił do USA.

Lata wojny przyniosły jeszcze jeden zwrot w życiu Lippmanna: poślubił w maju 1917 roku Faye Albertson, córkę lewicującego pastora z Bostonu, osiedlając się w Waszyngtonie, gdzie jego dom stał się wkrótce znaczącym ośrodkiem życia towarzyskiego.

Kiedy w marcu 1919 roku Lippmann ponowił działalność publicystyczną na łamach "New Republic", uderzał w niej sceptycyzm co do realności "14 punktów" i perspektywy osiągnięcia trwałego pokoju w Europie. Wymienił bezlitośnie i proroczco przyszłe punkty zapalne, w tym Wolne Miasto Gdańsk i "korytarz polski", cytował

raport ekonomiczny Keynesa, portretujący Wilsona jako ślepego i głuchego Don Kichota. Jak wiadomo, Senat USA nie zaakceptował warunków traktatu pokojowego i tym samym udziału USA w Lidze Narodów - "nowa dyplomacja" Wilsona legła w gruzach.

W roku 1922 Lippmann uległ namowom i przeszedł do "New York World", wpływowej liberalnej gazety wydawanej przez Ralpha Pulitzerza. W tym samym roku ukazała się *Public Opinion*, najbardziej znaczące dokonanie teoretyczne Lippmanna. W wieku 33 lat był już uznana gwiazdą dziennikarską, a jego książki miały szeroki krąg czytelników. Przez następne 9 lat napisał dla "New York World" około 1200 artykułów, w tym kilka, które wpłynęły bezpośrednio na decyzje Waszyngtonu (np. sprawa zaniechania interwencji w Meksyku w roku 1927) i kilka takich, które weszły na stałe do światowej klasyki dziennikarstwa (m.in. słynne pouczenie prezydenta Coolidge'a, iż "nie jest zwyczajem w Ameryce, by oficjele rządowi decydowali o tym, co należy, a czego nie należy pisać w gazetach").

W drugiej połowie lat dwudziestych "New York World" jako jedna z nielicznych gazet amerykańskich, podjęła otwartą krytykę faszyzmu. "Nie ufamy Mussoliniemu - pisał Lippmann w roku 1925 - i uważamy jego reżim za naczelną zagrożenie dla pokoju w Europie..." Spotkanie z Mussolinim w roku 1929, pomimo starań dyktatora, nie odmieniło tego poglądu.

W roku 1929 ukazała się, stając się natychmiastowym bestsellerem, książka *A Preface to Moral* (Wstęp do moralności) - manifest pokolenia rozczarowanego ideałami swej młodości. Wkrótce potem nastąpił krach na Wall Street rozpoczynający Wielki Kryzys. Niezależnie od tego kryzys przeżywał też "New York World", ale Lippmann mógł oczywiście przebierać w intratnych propozycjach. Wybrał "New York Herald Tribune", cieszący się największym poważaniem dziennik nowojorski, będący organem republikanów - co odzwierciedlało ewolucję jego poglądów. Pozostał wierny tej gazecie przez następne 36 lat i z nią właśnie związany był najbardziej fenomen dziennikarstwa Lippmanna. Jako autor stałej rubryki (*column*) *Today and Tomorrow* był prekursorem i zarazem niedościgłym mistrzem gatunku dziennikarskiego określanego mianem *personal journalism*, wysoko cenionego w kręgu wolnej prasy zachodniej. Osiągnął sukces niebywały: w ciągu roku prawo przedruku jego kolumny wykupiło 100 gazet o nakładzie 10 milionów egzemplarzy, w następnych latach liczba ta wzrosła do 150 gazet. Sam Lippmann przypisywał to rosnącej złożoności życia publicznego, rodzącej zapotrzebowanie na typ zaufanego przewodnika, wprowadzającego czytelników po tym skomplikowanym świecie, redukującego ową złożoność, porządkującego i wartościującego fakty ze stałej perspektywy.

W rzeczywistości perspektywa analityczna Lippmanna nie była zupełnie stała - pokazały to lata wojny, a także epizod, który jeszcze bardziej to uwydatnił, wystawiając wszystkich komentatorów politycznych na ciężką próbę. W Ameryce rozgorzał spór o sposoby walki z kryzysem. Lippmann, rozczarowany do Hoovera,

który nie miał żadnego programu, przeniósł stopniowo swe nadzieje na F.D.Roosevelta, którego wcześniej charakteryzował jako "przyziemnego jegomościa, który chciałby bardzo zostać prezydentem, nie mając po temu żadnych kwalifikacji". Przez dłuższy czas pióro Lippmanna było zasadniczym atutem propagandowym w ekipie Roosevelta, propagował nim Nowy Ład, pomimo, że narażał się tym na ciągłe konflikty w redakcji i poróżnienie z wieloma przyjaciółmi. Później, zaniepokójony, czy Roosevelt nie nadużywa zaufania, głosował piórem przeciw jego reelekcji w 1936 roku, a w roku następnym rozliczył krytycznie cały eksperyment prezydenta w książce *The Good Society* - powrócąc do tego epizodu w dalszej części szkicu, pokazując związki Lippmanna z myślą neoliberalną. Pomimo sukcesu książki był to dla niego przykry rok - rozwód z Faye i związek z Helen Armstrong, żoną swego bliskiego przyjaciela, stworzył wokół niego atmosferę towarzyskiego skandalu i skłonił nową parę do przeniesienia się z Nowego Yorku do Waszyngtonu.

Kolejna podróż do Europy, już z nową żoną, zbiegła się z rozgłosem francuskiej edycji *The Good Society* (przetłumaczonej jako *La Cite Libre*). Grupa ekonomistów i politologów z krajów europejskich fetowała przybycie Lippmanna. W sierpniu 1938 roku w Paryżu miała miejsce głośna kilkudniowa debata nad losami liberalnej demokracji - spotkanie to przeszło do historii jako Kolokwium Waltera Lippmanna.

Coroczne wojaże do Europy nastrojały go pesymistycznie. Oceniał Układ Monachijski jako ekwiwalent klęski militarnej i zapowiedź nieszczęścia. Obawy ziściły się i znowu wojna światowa, która zaczęła się w Europie podzieliła amerykańską opinię publiczną na zwolenników izolacji i zwolenników interwencji, wśród których Lippmann odegrał pierwszorzędą rolę, przypominając logikę amerykańskiego zaangażowania z roku 1917. W roku 1942 odwiedził obłożoną Anglię, spotkał Keynesa, Churchila, Eisenhowera oraz de Gaulle'a, z którym szybko połączyła go trwała więź wzajemnej sympatii, pomimo że w tym czasie de Gaulle był dla administracji amerykańskiej, utrzymującej dobre stosunki z Vichy, figurą niewygodną. W następnym roku Lippmann podsumował na gorąco swoje przemyślenia w cieszącej się wielkim powodzeniem książce *U.S. Foreign Policy. Shield of the Republic*. W roku 1944 wydał *U.S. War Aims* - i znowu bestseller! Diagnoza i recepta była w obu tych książkach daleka od wilsonizmu - wypełniała je chłodna kalkulacja narodowych interesów, szacunek sił, próba znalezienia stabilnego, tj. opartego na równowadze sił i rozłącznych sferach wpływów, układu międzynarodowego. Prowadziło to do bezlitosnej, krytycznej oceny aspiracji narodowych Polaków i innych narodowości Europy Wschodniej, których umiejscowienie w rosyjskiej sferze wpływów tak samo nie ulegało dla Lippmanna wątpliwości jak dominacja USA w Ameryce Łacińskiej. /2/

W tej perspektywie także osąd ONZ musiał być przepojony sceptycyzmem, natomiast logicznie wynikało z

niej mocne zaangażowanie Lippmanna w roku 1947 w sprawę pomocy ekonomicznej dla Europy w ramach planu Marshalla. W trakcie okolicznościowej podróży po Europie, spotkał się z Gomulką, odwiedził ponadto Oświęcim i Pragę, a w drodze powrotnej wysłuchał kasandrycznej przepowiedni Raymonda Arona, iż wojna z Rosją jest nieuchronna. Te częste podróże Lippmanna stawały się powoli instytucją - o uwzględnienie w "rozkładzie jazdy" ubiegały się wybitne postacie świata politycznego. W roku 1947 wydłużona trasa wiodła z Europy przez Turcję, Iran, Afganistan, Pakistan do Indii, gdzie spędził miesiąc, konferując m.in. z Nehru.

Nie był zwolennikiem tej strategii, którą USA realizowały w dobie "zimnej wojny", ale to jemu właśnie przypisuje się ukucie terminu "zimna wojna". Był surowym krytykiem doktryny "powstrzymywania" i pochodnych od niej interwencji w krajach Trzeciego Świata, mniej natomiast angażował się w krytykę maccartyzmu, co mu potem wypominano.

W roku 1954, w wieku 65 lat ukończył *Essays in the Public Philosophy*, swoje wyznanie wieku dojrzałego. To jedyna książka, która rozdziła się z trudem i nie przyniosła mu uznania, co przypłacił załamaniem nerwowym i pobytem w szpitalu. W konsekwencji zmniejszył intensywność pracy dziennikarskiej, lecz nie zaniechał podróży. W roku 1958, na zaproszenie ambasadora sowieckiego w USA, Mienszikowa, odwiedził wraz z żoną Moskwę, gdzie rozmawiał z Chruszczowem. Relacja z tego spotkania wzbudziła zainteresowanie na całym świecie i przyniosła mu nagrodę Pulitzera. W roku 1960 namówiono go na pierwszy wywiad w telewizji - dotąd silnie uprzedzony do tego środka przekazu. Nagrał następnie sześć kolejnych wywiadów, a niewątpliwą zachętą było 15 000 dolarów, jakie sieć CBS była skłonna zapłacić za każdy program. W latach 60-tych zbliżył się ponownie z Białym Domem, zaufał Johnowi Kennedy'emu (kolejne nawrócenie, wcześniej, jak pamiętamy, zmieniał opinie o Rooseveltcie i Wilsonie), służył głosem doradczym m.in. w okresie kryzysu kubańskiego. W roku 1961, wkrótce po prywatnej audiencji u papieża Jana XXIII, odbył drugie spotkanie z Chruszczowem - relację Lippmanna przedrukowało 450 gazet z całego świata.

W roku 1962 wygasła jego umowa z "New York Herald Tribune". Niezwykły kontrakt, jaki zaproponował Phil Graham z "Washington Post" daje wyobrażenie o pozycji Lippmanna: w zamian za dwa artykuły tygodniowo przez 8 miesięcy w roku, plus 16 artykułów rocznie dla "Newsweeka" (także wykupionego przez Grahama, z zamiarem konkurowania z "Time"), ofiarowano Lippmannowi 75 000 dolarów rocznie ("New York Herald Tribune" płaciła 35 000 dolarów) oraz apartament w Nowym Yorku, sekretariat i limuzynę do jego wyłącznej dyspozycji.

Po zamordowaniu Kennedy'ego, Lippmann podtrzymał bliską więź z Białym Domem, stając się z kolei bliskim doradcą Johnsona. To właśnie Johnson uhonorował go w roku 1964 najwyższym odznaczeniem cywilnym, prezydenckim *Medal of Freedom*, uczestnicząc w celebracji

75-lecia urodzin publicysty. Wkrótce jednak, w związku z wojną w Wietnamie, doszło do różnicy zdań, a nawet otwartego konfliktu z Johnsonem, co - bodaj po raz pierwszy w życiu - wytraściło Lippmanna z równowagi i przyspieszyło decyzję o wycofaniu się z pracy dziennikarskiej. Ostatnia rubryka *Today and Tomorrow* ukazała się 25 maja 1967 roku. Pisywał później sporadycznie do "Newsweeka" i "Washington Post", ale szybko tracił siły i nie ukończył zamierzonej książki, traktującej o problemach sprawowania władzy we współczesnym świecie.

Walter Lippmann zmarł 14 grudnia 1974 roku.

Co, oprócz wspomnianego wyżej zapotrzebowania na ten rodzaj dziennikarstwa, oprócz perfekcyjnego warsztatu i właściwego Ameryce mechanizmu reakcji gwiazd mass-mediów, zadecydowało o sukcesie Lippmanna? Istotne było chyba to, iż komentując - ganiąc lub chwając Lippmann czynił to nieodmiennie z pozycji, jak sam to nazywał *insidera*, to znaczy uczestnika, kogoś, kto czuje się częścią opisywanego świata i czuje się zań odpowiedzialny. Nadało to jego publicystyce walor konstruktywizmu, budziło respekt nawet u tych, którzy się z nim nie zgadzali, zwłaszcza, że na tle innych, jego oceny były nie tylko wzorem niezależności, ale także wstrzeźliwości i rozważnego operowania słowem.

OD PROGRESYWIZMU DO SCEPTYCYZMU

Inicjacja polityczna Lippmanna przebiegała wedle banalnego, jakże zgubnego dla zachodniej demokracji wzoru: zasoby wrażliwości, dotąd gromadzone *in potentia*, jako sprzeciw wobec abstrakcyjnego zła, wyzwoliły się w zetknięciu z realną biedą i pchnęły go ku socjalizmowi. Katalizatorem był pożar, który w roku 1908 spustoszył dzielnicę biedoty w Chelsea i udział w sformowanej przez studentów Harvardu brygadzie, niosącej pomoc pogorzelncom. Ich ubóstwo było namacalne i wyzywające, upośledzenie jaskrawe - ten świat wymagał naprawy. W maju 1908 roku Lippmann założył w Harvardzie Klub Socjalistyczny, by rozpatrzyć, jak zapowiadał manifest, "...wszelkie sposoby reformy prowadzącej do radykalnej rekonstrukcji społeczeństwa". Jeśli jednak Lippmann, śladem licznych nieopierzonych myślicieli i początkujących reformatorów, uległ sile socjalistycznej retoryki, to równocześnie zadziałały w jego przypadku mechanizmy obronne w postaci zakodowanego szacunku dla tradycyjnych wartości demokratycznych. Oczarowanie nie było bezkrytyczne - rewolucyjny patos marksizmu i jego wulgaryzacje były Lippmannowi od początku obce. Elitarny, intelektualny reformizm brytyjskich fabian - to było to! Płacił składki jako rejestrowany członek Fabian Society, stał się lokalnym apostołem tej wersji socjalizmu, ale nie jej więźniem ideowym. "Socjalizm weryfikuje się przez swoje owoce praktyczne - pisał - Jeśli można wykazać, że przedsiębiorstwo publiczne, wypróbowane w warunkach demokracji, nie przynosi zapowiadanych efektów w dziedzinie bogactwa, szczęścia i ogólnej kultury wspól-

noty, lub że przedsiębiorstwo prywatne daje większe efekty, to wtedy sprawa socjalizmu upada". Trudno w tym czasie o lepszy dowód pragmatyzmu myślowego i braku ideologicznego zadeścia u młodego człowieka - chwiała za to jego harwardzkim mistrzom.

Szybko, bo już w wydanej w roku 1913 roku książce *Drift and Mastery*, Lippmann odrzucił ideologiczny balast socjalizmu. Nie dzielił typowej dla rodzinnych socjalistów egzaltacji ludową demokracją i mądrością mas, nie był pasjonatem równości, raził go właściwy socjalistom zew grupowy i fanatyzm, a obserwacja wielkiego businessu skłaniała go do poglądu, iż uspołecznienie własności poprzez dystrybucję akcji następuje płynniej i z większą korzyścią dla efektywności gospodarowania, niż sprawiłyby to dekrety o nacjonalizacji.

Krótki i połowiczny flirt z socjalizmem można więc uznać za swoisty falstart ideowy Lippmanna. Otrzeźwienie przyszło szybko, jakkolwiek pociągnęło za sobą koszty towarzyskie - ci, którzy woleli zamknąć się w cytadeli dogmatu, napiętnowali go za odejście; w ich sekiarskiej nomenklaturze nazywało się to "zdradą".

Właściwym punktem wyjścia i horyzontem ideowym młodego Lippmanna był p r o g r e s y w i z m - amerykański ruch krytyki, odpowiedzialności i naprawy społecznej, narastający od początku XX wieku. Duch progresywistycznego reformizmu zakorzenił się w elicie umysłowej obu wielkich partii politycznych, pozostawiając wiele miejsca na indywidualne różnice zdań, przewartościowania i autokorekty. Za sprawą takich myślicieli jak Lester Ward, Herbert Croly, John Dewey i Thorstein Veblen, uważanych za patronów ideowych ruchu, szerzyła się prawdziwa herezja: przeświadczenie o technicznej możliwości, społecznej celowości, ba, moralnym imperatywie świadomej przebudowy stosunków politycznych i gospodarczych. Progresywizm zbudowany był na chwytnym hasle racjonalnego, dyskontującego postęp naukowo-techniczny programowania przyszłości. Imperatyw reformy utwierdzany był przez ostrą, demaskatorską publicystykę i literaturę (*muckracking*), odsłaniającą rozdziew pomiędzy szczytnymi ideałami Ameryki a rzeczywistością.

W czasie, gdy Lippmann sygnalizował rozejście się z socjalizmem, progresywizm łąpał drugi oddech po lokalnych utarczkach, sukcesach i porażkach pierwszej dekady XX wieku. Edycja *Drift and Mastery* zbiegła się ze sformowaniem przez Theodore Roosevelta (któremu republikanie odmówili nominacji) partii Bull Moose Progressives, a równoległy ferment kulturowy i obyczajowy, kult eksperymentu i postępu, świadczyły dobitnie o tym, że nowa, dynamiczna generacja dąży do zajęcia należnego jej miejsca w życiu Ameryki. Lippmann należał do liderów tego pokolenia. Jego łatwe zadomowienie w progresywnym tłumaczu się tym, iż ruch ten, kwestionujący mądrość niektórych starych instytucji na pewno nie był ruchem burzycielskim, nie zamierzał wyzwalać nieobliczalnego gniewu tłumów - ideałem progresywistów była pokojowa i technokratycz-

na reforma. Istniał niewątpliwy łącznik pomiędzy progresywizmem i fabianizmem. Łącznikiem było przeświadczenie, że masy nie są i nie mogą być siłą konstruktywną w Historii, że lepiej jest zrobić coś dla nich, ponad ich głowami, niż ryzykować ich wyprowadzenie na arenę polityczną i że siłą sprawczą postępu powinna być bezinteresowna elita.

W książce Lippmanna, który nosił w sobie świeże uprzedzenia, wyniesione z kontaktu ze społecznością Schenectady - niewdzięcznymi beneficjentami jego reformatorskiej pasji, technokratyczny ton pobrzmiwa z całą wyrazistością. Zamiast jałowego doskonalenia ciał ustawodawczych, sugerował silną egzekutywę, reprezentującą sobą profesjonalną znajomość rzeczy, wspieraną dodatkowo w dziele reformy przez naukę. Społeczeństwu przypadała rola czynnika kontrolującego, patrzącego rządzającym na ręce, wspieranego z kolei w tej funkcji przez niezależne sądownictwo i wolną prasę. Nieodłącznym uzupełnieniem tej wizji miał być bezinteresowny, charyzmatyczny przywódca (*leader*), instynktownie odczytujący imperatywy Historii. W owym czasie Lippmann wskazywał wyraźnie na Theodore Roosevelta. Jego konkurent, Woodrow Wilson gotów był marnotrawić energię rządu na "zawracanie biegu Historii", w imię nostalgicznego ideału *New Freedom*, obiecującego powrót w epokę drobnych producentów i wolnej konkurencji^{3/}. Elita mego pokolenia, pisał Lippmann, może zrobić lepszy użytek ze swych talentów i energii, aniżeli prowadzenie małych interesów. Jej przeznaczeniem jest śmiały eksperyment publiczny, na miarę wielkiej industrializacji i współczesnych technologii, polegający m.in., jak chciał Roosevelt, na "oswojeniu" wielkiego businessu, "humanitaryzacji" i racjonalnym ukierunkowaniu działalności korporacji.

Zapamiętajmy ów optymizm co do szansy i celowości świadomego ukierunkowania rozwoju społeczeństwa przez jego elitę. progresywistyczną gotowość podjęcia kontrolowanego eksperymentu społecznego. Taka była treść "nieromantycznego idealizmu" Lippmanna, który zarazem dystansował się od lewicowego radykalizmu, dla siebie zastrzegając rolę "odpowiedzialnego suflera" (*writing responsible advice for practical people*).

Ale już wówczas, to znaczy w przededniu I wojny światowej, w myśleniu Lippmanna obecne były zarodki zwątpienia, wyniesione z seminarium Grahama Wallace'a. Pierwszy - przekonanie o irracjonalnej naturze zbiorowych zachowań politycznych, nie kolidował na razie z progresywistyczną formułą odgórnego reformy, czyli zrobienia czegoś dla mas, ale bez ich udziału. Drugi - przekonanie o rosnącej złożoności i nieprzejrzyistości współczesnego, masowego społeczeństwa, musiał zasiać sceptycyzm co do możliwości racjonalnego sterowania tym zbiorowym molochem, rozkładał od wewnątrz wiare w naukową inżynierię społeczną. /4/

Oba te wątki odnalazły się w oryginalnej refleksji Lippmanna nad procesem formowania się opinii publicznej i wpływie opinii masowych na funkcjonowanie instytucji demokratycznych. Refleksja ta stanowiła o wewnętrznej dynamice poglądów Lippmanna, stanowiła niejako

intelektualna oś jego ewolucji - będę o tym pisał nie-co dalej.

Tu wspomnę, że, z drugiej strony, myślenie Lippmanna poddane było tym samym doświadczeniom, weryfikacjom historycznym, jakie zaważyły na losach całej formacji progresywistycznej. Wojna odroczyła ruch reform, a po jej zakończeniu okazało się, że moc perswazyjna haseł progresywizmu znacznie osłabła. Po owym nadzwyczajnym wydatku narodowej energii, potrzebnym, by ugasić pożar w Europie, Amerykanie mieli chwilowo dość szlachetnych ideałów i odważnych eksperymentów. Próżno byłoby szukać ducha eksperymentu w całej kulturze "epoki jazzu"; modne stało się hasło "powrotu do źródeł", odkryto sztukę prymitywną - afrykańską rzeźbę i czarna muzykę. Sąsiedował z tym publiczny letarg. Agitacja kilku dzienników: "Nation", "New Republic" i kilku osobistości, które próbowały odnowić ducha zaangażowania, postępu i reformy, trafiała w próżnię. Intelktualiści - Thomas Stearns, Ezra Pound, Francis Scott Fitzgerald i wielu innych - odwrócili się od polityki.

Lippmann był świadkiem tego odpiływu zainteresowań społecznych. Sam nie odwrócił się od polityki, była ona jego życiowym żywiołem, ale dokonał osobistego rozrachunku z "nieromantycznym idealizmem". Stwierdził: wracam z nieudanej krucjaty... Dojrzałość oznaczała także u niego rosnącą afirmację rzeczywistości, lepsze zrozumienie oporów, jakie rzeczywistość stawia reformatorom, większą skłonność do odnajdywania logiki i ukrytej dla oka mądrości w istniejących instytucjach.

Świadectwem tych przewartościowań, swego rodzaju epitafium dla progresywizmu, jest praca *Preface to Morals* (Wstęp do moralności), wydana w roku 1929. To niezwykła książka - erudytyjny wywód historyczny przeplata się w niej z osobistymi wyznaniami. Taki był jednak zamysł: miała pokazać dramat pokolenia dojrzewającego w epoce, w której kultura zachodnia zakwestionowała samą siebie; w epoce powszechnego upadku autorytetu, co niezmiernie utrudniało odpowiedź na pytanie "jak żyć?". Po przeciwie zabrakło dotychczasowych drogowskazów, a gład wartości i autorytetów pozostał.

Lippmann nie wierzy w możliwość rekonstrukcji jakiegokolwiek ortodoksji, religijnej czy świeckiej. Co więc radzi pokoleniu rozczarowanemu do własnej rebelii i własnych ideałów? Jeśli nie sposób znaleźć oparcia w instytucjach i autorytetach zewnętrznych, należy zwrócić się ku sobie samemu, poszukać własnej filozofii życia i własnych sposobów radzenia sobie ze światem, takim jaki jest. Przepis na "dobre życie", zawarty w *Preface to Morals* jest dla nas mniej interesujący, aniżeli Lippmannowska koncepcja "dobrego społeczeństwa", rozwinięta w następnych książkach. Poprzez stanę więc na stwierdzeniu, że odwrót od optymistycznego reformizmu nie obrócił się w cynizm, ale, z drugiej strony, wykreowana w tej książce filozofie życia, nazwana "świeckim humanizmem", dzieli zaledwie mały krok od zubożenia na problemy rzeczywistości.

Okazało się to zresztą niemożliwe w nadchodzącej dobie kryzysu, ale progresywiści przygoda dobiegła definitywnie końca (choć wysledzimy później pozostałości technokratycznego stylu myślenia). Lippmann, który zaczynał od książek będących wezwaniami do czynu, zalecać począł stoicki dystans wobec rzeczywistości, *detachment*, racjonalizuje własne pogodzenie się ze światem.

TEORIA STEREOTYPU I WNIOSKI POLITYCZNE

Podjmując wątek, który w postaci oszlifowanej i dziś uznawanej za klasyczną, rozwinięty został w książce *Public Opinion*, Lippmann dotykał w pewien szczególny sposób odwiecznego problemu stosunku między poznającym unięsem a rzeczywistością. Nowatorstwo i żywotność koncepcji Lippmanna nie zawierały się jednak w warstwie metodologicznej - w tej warstwie jego wywód poddaje się dość łatwo krytyce, z czego zresztą u nas skwapliwie skorzystano. /5/ Analiza aktów poznawczych w wydaniu lippmannowskim nie przerodziła się w głęboki filozoficzny namysł nad istotą poznania ani też w rygorystyczny traktat naukowy; była tylko wstępem do refleksji politologicznej. Tu - w sferze aplikacyjnej tkwiła jej siła. Wyściowa teza, iż istnieje nieprzezwycięzalna i narastająca przepaść między złożonością zjawisk a zdolnościami poznawczymi ludzi, zweryfikowana przez bystrego obserwatora życia politycznego, znawcę i praktyka propagandy, rzuciła nowe światło na tradycyjne problemy demokracji, otworzyła przed politologią nowe perspektywy badawcze.

W rozdziale wstępnym swej książki, zatytułowanym *Obrazy w naszych głowach*, Lippmann dowodzi, że ludzkie pojęcia o świecie nie są adekwatnymi odbiciami rzeczywistości; są fikcjami (*artefacts*), obrazami, które w gruncie rzeczy oddalają nas od realnego świata, tworząc pseudośrodowisko (*pseudo-environment*). Zachowania ludzkie są reakcjami na to pseudośrodowisko, gdyż "...prawdziwe środowisko człowieka jest zbyt rozległe, złożone i ulotne, by dawało się poznać bezpośrednio (...). Aby się w nim poruszać, zmuszeni jesteśmy je sobie rekonstruować w uproszczonej postaci. Trzeba bowiem mieć jakąś mapę, żeby poruszać się w realnym świecie". /6/

Lippmann analizuje głębiej szczególną klasę owych fikcji, mianowicie *stereotypy*. "Znakiem proźernym stereotypu jest to, iż poprzedza on użycie rozumu, jest formą percepcji i narzuca określony charakter danym naszym zmysłom, zanim jeszcze dojdą one do intelektu". Stereotypizacja myślenia jest wytworem kultury. Jak inne wytwory kultury, stereotypy stabilizują życie społeczne i usprawniają komunikację międzyludzką za cenę standaryzacji i konformizacji narzucając z góry zakres i sposób widzenia zjawisk. Stereotypy są zaprzeczeniem krytycznego myślenia, ale uproszczenia jakie niosą są funkcjonalne społecznie - ekonomizują wysiłek poznawczy w stopniu niezbędnym dla codziennego życia. Chwytny w pośpiechu jakiś rys -

pisze Lippmann - który sygnalizuje nam dobrze znany typ i resztę obrazu wypełniamy za pomocą stereotypów, które nosimy w swych głowach.

Opinia publiczna to zbiór stereotypów. Oryginalność Lippmanna tkwiła, jak wspomniałem, w ujawnieniu implikacji tego stwierdzenia dla refleksji politologicznej i socjotechniki rządzenia. Można powiedzieć, że to właśnie teoria stereotypu przyczyniła się w walnie do przełamania stereotypowego, koncentrującego się na analizie instytucji, podejścia w politologii. Teraz punkt ciężkości analizy przeniósł się na ludzi, na żywe pulsujące i emocjonalnie reagujące zbiorowości. Nowe perspektywa badawcza pozwoliła dojrzeć istotne problemy współczesnej demokracji, intuicyjnie brane pod uwagę przez polityków, ale nie dostrzegane przez skostniałą doktrynę. Zamiast skupić uwagę na kwestii metod sprawowania władzy, konkretnych warunkach powstawania opinii publicznej i wpływie opinii publicznej na proces rządzenia, doktryna kręciła się w kółko wokół problemu pochodzenia władzy, ujmując w dodatku ten problem w kategoriach metafizycznych i ahistorycznych.

Koncepcja Lippmanna uderzała w uświęcony dogmat doktryny demokratycznej: racjonalny osąd prostych ludzi w sprawach publicznych. Cała konstrukcja stawała się wątpliwa, jeśli zakwestionowany został jej filar - modelowy "światły obywatel" (*omnicompetent citizen*). Założenie to pasowało do realiów małej, zamkniętej wspólnoty antycznej, kiedy to powstające i rozwiązywane wspólnie problemy znajdowały się w polu widzenia i zasięgu pojmowania dorosłych członków społeczności. Z wyidealizowanym wizerunkiem lokalnej, samorządnej wspólnoty zespolił się także rodowód klasycznej doktryny demokracji w Ameryce. Ów stereotyp sprawił, że doktryna zignorowała zupełnie problem, jaki wyłonił się wraz z narodzinami Wielkiego Społeczeństwa. A przecież już Arystoteles przewidział to wyróżniając demokrację spośród innych form ustrojowych, zalecał, by rozmiary wspólnoty zbudowanej na zasadach demokratycznych były zawsze ograniczone, na miarę zdolności pozostających jej członków. Określał niejako warunek funkcjonalności popularnej demokracji, warunek, którego Historia nie utrzymała, jako że nieodwracalnym rysem ery nowożytnej są narodziny "społeczeństwa nowego".

Zasługą Lippmanna było uwypuklenie dylematu masowej demokracji: jaki sposób opinia publiczna, zbudowana ze stereotypów i lokalnie umiejscowionych doświadczeń zwykłych ludzi, zaprzątniętych swoimi codziennymi, osobistymi troskami, może stanowić oparcie dla decyzji politycznych, realizujących interes powszechny?

Czy uwzględnienie niezależnej prasy i innych mass-medium, jako niewyobrażalnej w dobie Arystotelesa protezy popularnej demokracji, rozwiązuje powyższy dylemat? Otóż nie, implikacje lippmannowskiej teorii stereotypu okazały się destrukcyjne nawet dla skorygowanej wersji demokratycznej mitologii, wiążącej zdolność formułowania przez szerokie rzesze inteligentnych ocen w kwestiach publicznych z wolnością słowa i druku, t.j. z szansą obiektywnego zaznajomienia mas z faktami

przekraczającymi horyzont ich codziennego doświadczenia. Oczekiwano by zbyt wiele i od prasy, i od publiczności. Skomercjalizowana, związana z tym czy innym politycznym lobby, prasa w roli źródła *trustworthy news*, *unadulterated data* to nazbyt optymistyczne założenie. Zresztą, nawet gdyby je przyjąć, możliwość kreowania racjonalnej opinii publicznej stałaby pod znakiem zapytania, a to z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego, że "...ruch opinii jest zawsze wolniejszy niż ruch wydarzeń", opinia i tym samym zdolność reagowania zbiorowości nie nadąża za rozwojem spraw, wynikających w toku rządzenia. Po wtóre, nieuleczalna stereotypizacja opinii publicznej oznacza jej irracjonalność, przewagę symboli o emocjonalnym charakterze, związaną z tym podatność na propagandową manipulację. Już w swojej młodzieńczej książce z roku 1913, Lippmann stwierdzał: żaden prawdziwy polityk nie traktuje nigdy swych wyborców jako istot rozumujących. Tylko patetyczny laik oszukuje się myślą, że jeśli poda przesłankę większą i mniejszą, to wyborca automatycznie wyciągnie wniosek w dniu wyborów. Odnoszący sukcesy polityk - dobry czy zły - działa na elementy dynamiczne, na wolę, nadzieję, potrzeby i wizje ludzi". /7/ Natura opinii publicznej jest taka, a nie inna i wymusza określoną taktykę gry politycznej. Rasowy polityk instynktownie to wyczuwa, operuje przede wszystkim na stereotypach, znając ich walory mobilizujące - trzeba, żeby dostrzegła i uwzględniła to także doktryna.

Rozprawa Lippmanna o opinii publicznej, będąc prekursorkim dziełem z zakresu socjologii polityki, oznaczała więc wzięcie w nawias całej tradycyjnej mitologii demokracji, opartej na wierze w zdrowy rozsądek i kompetencje polityczne przeciętnego obywatela. Koncepcja stereotypu, niczym chirurgiczny lancet, przecięła warstwę mitów i po tej operacji część tradycyjnego słownika demokracji, mianowicie ta, związana z oświeceniowym dogmatem poznawalności otoczenia i wyobrażeniem małej samorządnej wspólnoty, nadawała się do odrzucenia - jako nieprzydatna w erze społeczeństwa masowego. W miejsce mitycznego "zbiorowego suwerena" - rzeszy dobrze poinformowanych, aktywnie sprawujących władzę i uczestniczących w życiu publicznym obywateli, pojawiła się *p u b l i c z n o ś ć* - bierna politycznie na codzień, okazjonalnie mobilizowana, by odpowiedzieć "tak" lub "nie" w dniu wyborów czy referendum.

Trzeba jednak pamiętać, że demaskatorska pasja autora *Public Opinion* obracała się przeciw demokratycznej mitologii, a nie przeciw demokracji jako takiej. Celem było określenie realnej, operatywnej zasady, w oparciu o którą opinia publiczna powinna uczestniczyć w życiu politycznym. Należało w tym celu wyzbyć się nadmiernych oczekiwań odnośnie zbiorowości ludzkiej, zrezygnować z żądania, by decydowała ona w sprawach wymagających specjalistycznej wiedzy. Lippmann chciał bronić demokracji przed niedojrzałością ludzi. Całe pokolenie reformatorów szły fałszywym tropem, usiłując wyeliminować słabość demokracji poprzez zwiększenie dawki demokracji. Lippmann, odwrotnie, zalecał zdjęcie nadmiernego ciężaru z barków zwykłych zjadaczy chleba i przerwienie tego ciężaru na "klasę ekspertów" (*specialized class*), przy maksymalnym zasileniu ogółu w informacje o tych sprawach, które wymagają ich aktywnego udziału.

Ronald Steel twierdził, i należy się z nim zgodzić, że

jeszcze na etapie pisania *Public Opinion* Lippmann cofnął się przed zimną logiką swej argumentacji; chcąc dać szansę słabnącej, ale wciąż obecnej w jego myśleniu wierze w demokrację jako narzędzia edukacji politycznej mas, nie wyciągnął pełnych konsekwencji z własnej teorii stereotypu. Siła książki tkwiła w analizie, słabość w konkluzji, gdzie pojawił się życzeniowy styl myślenia i humanistyczne ozdobniki. Optymistyczna faza końcowa jest dysonansem na tle poprzedzających ją rozdziałów, zresztą Lippmann przyznał, że napisał kilka wersji zakończenia.

Dopiero w trzy lata później, w książce *The Phantom Public*, odważył się wyprowadzić pełne wnioski z przeprowadzonej analizy. Jeśli bierność, irracjonalność i niekompetencja są nieodłącznymi właściwościami masowej opinii publicznej, to nie pozostaje nam nic innego, jak dostosować do tego instytucje polityczne. Światła, merytoryczna opinia publiczna to po prostu złuda, fantom, projekcja naszych pobożnych życzeń. Realnie istnieją interesowne opinie pojedynczych i grupowych uczestników oraz widzów życia politycznego. Opinia Publiczna traktowana jako emanacja interesu ogólnego, jako głos Społeczeństwa, jest niebezpieczną iluzją. /8/ Opinia publiczna może jedynie pełnić rolę rezerwowej siły politycznej, pojawiającej się, a ściślej przywoływanej - na arenie politycznej epizodycznie, by potwierdzić, zanegować lub wytypować elitę sprawującą rząd. Poddanie pod rząd opinii publicznej rozstrzygnięć merytorycznych byłoby równoznaczne z wystawieniem się na niebezpieczeństwo ślepych lub przypadkowych decyzji. Decyzja powinna należeć do "insiderów", czyli tych, którzy posiadają w danej sprawie kompetentny osąd. Ich wyższość nad "outsiderami" nie polega na tym, że są z natury lepsi czy mądrzejsi, ale na pozycji, zapewniającej im wgląd w istotę danego problemu.

Ta spóźniona poprawka była aktem odwagi Lippmanna, niosła bowiem niepokojące treści. Książka, oceniona przez Arthura Schlesingera jako "błyskotliwa próbka sceptycyzmu", wywołała zakłopotanie przyjaciół i krytyków, poszła niebawem w zapomnienie - podczas gdy *Public Opinion* żyje w ciągłym nowym omówieniach i wznowieniach.

W SUKURS NEOLIBERAŁOM

Sceptycyzm i stoicki dystans - znamiona dojrzałości intelektualnej Lippmanna, ułatwiające chłodny osąd polityczny w epoce, która powolnym rytmem wydarzeń zachęcała do stabilizacji poglądów - okazały się niewystarczającym tworzywem komentarza politycznego na progu lat trzydziestych. Wielki Kryzys zburzył świat, w którym raczej reformatorów nie wydawały się bardziej przekonujące od racji tych, którzy wskazywali na funkcjonalność istniejącego porządku rzeczy. Przesłał istnieć świat, w którym poza nawias szerokiego amerykańskiego consensusu wyrzucona była stała i niewielka liczba poważnych problemów - wypadało ustosunkować się do kwestii opieki socjalnej, ustawodawstwa pracy oraz kwestii regulacji monopolu i wielkich korporacji. Spierano się o reformy, ale nie na gruncie, który palił się pod nogami. Nie było w ówczesnych dylematach dramatycznego "być albo nie być" systemu.

Chaos gospodarczy w kraju i zagranicą po krachu giełdo-

wym z roku 1929, panika w kręgach businessu, radykalizacja świata pracy - wszystko to stworzyło nową sytuację, w której zawodziły dawne punkty orientacyjne, pojawiły się nowe pytania, nowe doświadczenia, które z czasem zbliżyły Lippmanna do odnawiającej się w Europie myśli liberalnej. W niej znalazł autor *A Preface to Morals* nową płaszczyznę swej ideowej krystalizacji.

Zanim jednak do tego doszło, Lippmann znalazł się przejściowo na antypodach liberalnej ortodoksji. W roku 1932 jego wiara w samoczynną naprawę mechanizmu rynkowego wyczerpała się, uznał, że dalsza bezczynność byłaby dla systemu zabójcza: dryfowanie w kryzysie rozkładało strukturę i spójność społeczeństwa amerykańskiego, przygotowując grunt dla narodzin dyktatora, jak to miało miejsce w Rosji u schyłku I wojny światowej a później we Włoszech i Republice Weimarskiej. W dniu inauguracji prezydenckiej F.D. Roosevelta, Lippmann nie miał wątpliwości - stan był krytyczny i wymagał środków właściwych stanom wyższej konieczności. Zagrożenie demokracji usprawiedliwiałoby zawieszenie reguł demokracji. Właściwy mu sceptycyzm w ocenie rozdyktowanych ciał ustawodawczych i przekonanie do silnych osobowości przywódczych, znalazło pełne ujście: był lider i była sytuacja...

Pierwsze 100 dni Roosevelta znakomicie potwierdziło mobilizujące walory zdecydowania i konsekwentnej akcji. Lippmann przechodził w tym okresie przyspieszoną edukację ekonomiczną. Inspirowany osobiście przez Keynesa wznosił się ponad prawdy obiegu z Wall Street, pojął, że gospodarka rynkowa może być ocalona tylko za cenę porzucenia ortodoksyjnej formuły *thrift and self-reliance*. W Cambridge w 1934 roku mówił: "Zasada *laissez-faire* jest martwa, współczesne państwo przejmuje odpowiedzialność za bieg spraw gospodarczych. Zapewnienie ciągłości standardu życiowego obywateli stało się fundamentalnym obowiązkiem państwa, na równi z obroną niepodległości". Wtedy też, przejściowo, wyległo się w jego głowie pojęcie "wolnego kolektywizmu" (*free collectivism*) - demokratycznej alternatywy w stosunku do istniejącego chaosu gospodarczego i czyhającego za progiem "totalitarnego kolektywizmu". Miały on polegać na pewnych zmianach instytucjonalnych, kreujących "gospodarkę kompensowaną" (*compensated economy*), czyli gospodarkę, w której wydatki budżetowe kompensowałyby lukę w popycie prywatnym. Potrzebny był do tego rząd w dostatecznym stopniu niezależny od ulotnych, zmiennych opinii i presji grup interesu. Kompetencje Kongresu ograniczałyby się do wyznaczania pułapu wydatków rządowych. Podobnie wyglądał zamysł Roosevelta.

Nobliwy cel - obrona demokracji, uświęcał środki, w których europejscy neoliberalni upytrywali zarodki totalitaryzmu. Lippmann nie był jeszcze w owym czasie wyczulony na neoliberalne ostrzeżenia. "To, czego jesteście świadkami - uspakajał krytyków Nowego Ładu - to nie rewolucyjna narodziny nowego społeczeństwa, pod dyktando doktrynerów, ale rekonstrukcja starego społeczeństwa amerykańskiego, z uwzględnieniem nowych doświadczeń i wymogów chwili". "Eksperyment ten ma raczej swoje korzenie w pragnieniu odbudowy, aniżeli w fascynacji autorytarnym państwem i planową gospodarką" - dodawał. /9/

Z biegiem czasu ton publicystyki Lippmanna zaczął się

zmieniać. W miarę, jak ustępowały zagrożenia, system wracał do równowagi, a jednak interwencja zamieniała się w intuicyjną budowlę Nowego Ładu, pojawiał się niepokój, czy aby ów opatrnościowy lider nie nadużywa zaufania, czy aby publiczne przyzwolenie i poklask nie kreują dyktatora... Pisał wówczas: "Społeczeństwo ofiarowało panu Rooseveltowi miecz, by użył go w konkretnej bitwie. Obecnie, gdy bitwa jest już wygrana, ten miecz winien wrócić do pochwy".

Czułość Lippmanna zwraca się w nowym kierunku - dotąd wietrzył totalitarne zagrożenia w bezczynności umacniającej chaos, teraz dojrzał je w "przereagowaniu" na kryzys, w emancypującej się pod tym pretekstem egzekutywie. Lekarstwo stało się groźniejsze niż choroba. Jesteśmy już więc blisko Hayeka, Roepke'go i Misesa, na tym samym co oni tropie. Właśnie ich książki i publicystyka dopełniły dzieła. Wolność - kategoria, która nie zajmowała znaczącego miejsca w myśleniu Lippmanna, oczywiście z wyjątkiem wolności prasy, staje się kategorią organizującą jego myślenie. Ta sama sekwencja wydarzeń, którą dotąd usprawiedliwiał jako zdrowy, obronny pragmatyzm układała się teraz w całość o nowym znaczeniu, w zawołowany zamach na demokrację i przedsięwzięcie kolektywizmu. Nowa perspektywa nadała z gruntu odmienną interpretację tym samym faktom - nastąpiło to w słynnej książce *The Good Society* (Dobre społeczeństwo), nad którą Lippmann pracował w latach 1933-37. Dzieło to pośredniczyło, jak wspominałem, w zawiązaniu się międzynarodowego kręgu neoliberalnego, wraz z nim niegdysiejszy członek Fabian Society stał się spadkobiercą i kontynuatorem odmiennej tradycji myślowej, dopisał sobie nowy szereg ideowych przodków.

Wzrosła nie tylko cena jednostkowej wolności i godności. Tak samo nobilitowany zostaje rynek. Ten prozaiczny, niedoskonały i kłopotliwy dla etyka mechanizm ekonomiczny okazuje się być atutem i fundamentem wolnego społeczeństwa, tworem delikatnym, podatnym na łatwe zniszczenie w wyniku nieumiejętnej ingerencji, wymagającym pielegnacji. Zbliżenie z neoliberalami, najpierw pośrednie, od roku 1938 bezpośrednie, pozbawiło Lippmanna resztek progresywistycznego stylu myślenia - chociaż niektórzy twierdzą, że nie do końca. Jeszcze w *A Preface to Morals*, książce zakwalifikowanej przeze mnie jako epitafium dla progresywizmu, czytelny jest etyczny dystans, wręcz niechęć wobec ubogiego ducha przedsiębiorcy, napiętnowany zostaje instynkt posiadania i bogacenia się. Do odrzucenia kwalifikuje się w tamtej książce całe, przebrzmiałe "credo naiwnego kapitalizmu", rozmiągające się głęboko z rzeczywistą naturą nowoczesnej gospodarki - jakże można powierzyć wyrafinowane technologie klasie naiwnych, żądnych bogactwa, źle wykształconych, polegających na instynkcie businessmanów? /10/ Jakże odległy był autor *A Preface to Morals* od Hayeka, który właśnie rehabilitował konkretną, jednostkową wiedzę i autonomię działania małych ludzi, nazywając ich krzątającą gospodarza "procedurą odkrywania", widząc w tym rekojmię stałego postępu, gwarancję, iż "przyszłość otrzyma pełną szansę"!

The Good Society - książka będąca pomostem ku neoliberalizmowi, zawierała więc silne przewartościowania. Adam Smith nie jest już zdezaktualizowanym myślicielem, głosiцеlem przebrzmiałego credo, lecz autorem wiekopomnego odkrycia: zaudzieczamy mu zrozumienie, że podział pracy jest najbardziej

twórczą zasadą dziejów, dźwignią postępu, główną osią rozwojową cywilizacji zachodniej. "Dziejową misją liberalizmu było odkrycie wagi i znaczenia podziału pracy" - pisze Lippmann. /11/ Liberaliści jako pierwsi opracowali teorię rynku, świadomi, że jest to najlepszy stymulator i regulator podziału pracy. Ich dzieło jest jednak niedokończone i tu właśnie widział Lippmann przesłanie swojej książki: chciał pokazać, jak należałoby pogodzić wymogi nowoczesnej gospodarki rynkowej z wielowiekowym dziedzictwem kulturowym Zachodu, dziedzictwem wolności i godności zakodowanym w prawach i instytucjach.

Projekt liberalnej rekonstrukcji społeczeństwa zawarty jest w drugiej części książki. Pierwsza część *The Good Society*, wzorem innych traktatów neoliberalnych z pierwszej połowy XX wieku, demaskuje różne odmiany mitu "społeczeństwa kierowanego" (*directed society*) - mitu, który zawiądnął umysłami po roku 1870 i pchnął świat na bezdroża. Jeśli wcześniej odruchowo szukano lekarstwa na wszelkie bóle i wrosnące dawce wolności, w emancypacji społeczeństwa i gospodarki od arbitralnej władzy, to od kilku pokoleń taką instynktowną przesłanką myślenia i działania stała się wiara w państwo, centralizację, planowanie i naukową organizację jako siły sprawcze postępu. Kolektywistyczny dogmat głęboko zakorzenił się w umysłach i, co gorsza, jego wyznawcy przywłaszczyli sobie monopol na prawdę historyczną, sprawiedliwość i nowoczesność.

Kolektywizm ma różne twarze, ale ich wspólnym mianownikiem jest według Lippmanna jakaś doza planowania gospodarczego. Szeroka definicja planowania i utżsamienie planowania z kolektywizacją sprawiło, że w jednym worku, z napisem "kolektywizm", znalazła się cała gama antyrynkowych eksperymentów XX wieku. Obok wnikliwej analizy "skończonych" systemów totalitarnych - komunizmu i faszyzmu, zestawiającej zapowiedzi doktrynalne i rzeczywistość tych systemów, wykazującej ich nacjonalistyczno-wojenną naturę, Lippmann skomentował znane sobie próby zaszczepienia planowania w społeczeństwach demokratycznych. Ta część książki zdradza dobrą znajomość prac Misesa i całego zbioru p.t. *Collectivist Economic Planning*, zredagowanego przez Hayeka w 1935 roku. Powtarza się tu znany z książek europejskich neoliberalistów, wywód na temat niemożności pogodzenia planowania i reguł demokracji. Pisze Lippmann, zawieszając czasowo wątki podjęte w *Public Opinion*: "...Do istoty procesu demokratycznego należy ciągle odpowiedzialność rządzących przed opinią publiczną; tam zaś, gdzie opinia publiczna nie może się swobodnie kształtować i zmieniać, nie sposób mówić o demokracji. Koncepcja planowania, ze swej istoty, zakłada pierwszeństwo jakiegoś projektu, do którego następnie próbuje się dopasować społeczeństwo. Wynika z tego jasno, że prawdziwie demokratyczne społeczeństwa nie mogą mieć planowej gospodarki, jeśli zaś pragną planowania, wtedy muszą wyrzec się odpowiedzialnego rządu". /12/

Ujawnienie antydemokratycznych następstw planowania przygotowało rozprawę Lippmanna z klasą zjawisk określanych przez niego mianem "stopniowego kolektywizmu" (*gradual collectivism*). Jest to wydłużona i nie zawsze czytelna droga, która jednak wiedzie nieuchronnie do tego samego punktu, do jakiego zmierzają otwarcie systemy totalitarne - do stanu społecznego zniewolenia. Nie ma tu już miejsca na niesławnej pamięci

"wolny kolektywizm", koncipowany przez Lippmanna w pierwszych latach Nowego Ładu - każda forma kolektywizmu rodzi, prędzej czy później, te same skutki. Każda reklamuje się jako wyższa faza rozwoju społeczeństwa, a w istocie, będąc zaprzeczeniem zasady swobodnego podziału pracy, jest równoznaczna z regresem człowieczeństwa.

Nieświadomymi apostołami kolektywizmu w Ameryce Lyli - jak ocenia to Lippmann po latach - progresywiści. Progresywizm zinterpretowany zostaje jako ideologia stopniowej kolektywizacji społeczeństwa. Za jego sprawą społeczeństwo amerykańskie znalazło się na równi pochyłej, krok po kroku kolonizowane i ubezwłasnowalniające przez aparat państwa. Warto podkreślić, że ten modelowy opis ukrytej kolektywizacji wolnego społeczeństwa, dokonującej się przez narastanie administracyjnej kontroli nad gospodarką, wyprzedził o kilka lat słynne traktaty ostrzegawcze Hayeka (*The Road to Serfdom*) i Roepke'go (*Die Gesellschaftskrisis der Gegenwart*). Lippmann odkrył wewnętrzną zasadę tego ruchu: pragmatyzm, schlebienie różnym grupom interesu, windowanie społecznych oczekiwań wobec państwa, deklaratywne, usypiające czujność, przywiązanie do haseł demokratycznych.

Ukoronowaniem progresywistycznej fali, zalewającej od trzech generacji Amerykę stał się rooseveltowski Nowy Ład. "Prawdziwa natura stopniowego kolektywizmu odsłania się nadzwyczaj wyraziście w przypadku Nowego Ładu, takiego, jaki istniał do czasu jego delegalizacji na mocy wyroku Sądu Najwyższego. Pod osłoną National Industry Recovery Act zachęcano poszczególne branże przemysłu, by organizowały się niczym jakieś agentury państwa..." /13/

Tak ostra kwalifikacja eksperymentu ekonomicznego Roosevelta, powtarzająca się później w książkach europejskich neoliberalistów i amerykańskich neokonserwatystów, raziła uczucia reformatorów w Ameryce i spowodowała gorącą debatę wokół *The Good Society*. Ukazując Nowy Ład w kontekście europejskiego totalitaryzmu, Lippmann niewątpliwie demonizował to przedsięwzięcie, nie docenił wewnętrznej siły amerykańskiego homeostatu. Z drugiej strony, alarmistyczny ton wywodu, jak to zwykle bywa, nadał jego argumentom większą nośność i moc perswazyjną.

Edując pomost między swymi obawami z okresu reform w Ameryce i obawami europejskich świadków totalitaryzmu, stosując analogiczny klucz do rozumienia i interpretacji rzeczywistości, Lippmann zachował odrębność w konstruktywnej części swego dzieła - wtedy, gdy kreślił własny projekt liberalnej rekonstrukcji społeczeństwa, czyli readaptacji kultury politycznej, obyczajów, praw i instytucji Zachodu do wymogów nowoczesnej ekonomii. Według jego definicji "...liberalizm to nie racjonalizacja *status quo*, to logika społecznego dostosowania do warunków reolucji przemysłowej". /14/ Dlatego liberalizm dziewiętnastowieczny nie daje pożądanej odpowiedzi, gdyż wtedy właśnie ta dynamiczna, oświeceniowa idea została przekształcona w dogmat, uwieczniona w zaklętym kręgu leseferyzmu i społecznego darwinizmu.

Afirmując oryginalną, nieskażoną jeszcze tymi dogmatami tradycję liberalną, Lippmann nie wyrzekł się etycznego dystansu do gospodarki kapitalistycznej. Stąd jego liberalizm, nosi swoiste piętno, określane jest mianem liberalizmu socjalnego lub etycznego. Wychodziło to na jaw przy licznych próbach zestrojenia jego głosu z reprezen-

tantami innych nurtów w ramach dwudziestowiecznej doktryny liberalnej. Wykładnikiem tych różnic była na przykład "Agenda liberalna" zaproponowana podczas Kolokwium Lippmanna w Paryżu w roku 1938 - znacznie bardziej rozległa niż u Hayeka, Misesa czy Friedmana. Autor *The Good Society* afirmuje, tak jak inni liberałowie, mechanizm rynkowy, ale wie, z drugiej strony, że rynek jest "okrutnym suwerenem" - dlatego nie można być obojętnym na ludzkie koszty gry rynkowej, nie można się pogodzić z logiką sprawiedliwości kommutatywnej. Jest miejsce dla liberalnej polityki społecznej, nakierowanej na dwa cele: wzięcie w obronę słabszych i przegrywających (t.j. humanitarna korekta rynku w formie ubezpieczeń społecznych) oraz wyrównanie szans (egalitarna korekta dystrybucji, w formie progresywnego opodatkowania dochodów, likwidacja przywilejów i monopolii oraz stworzenie powszechnych możliwości kształcenia).

Ów pozytywny program, sytuujący się w połowie drogi między leseferyzmem i zasadą *welfare state* ujawnia, tak jak inne fragmenty spuścizny Lippmanna, wewnętrzne napięcie i rozdzarcie właściwe jego filozofii społecznej. W przypadku *The Good Society*, jest to napięcie pomiędzy etosem liberalnym a aksjologicznym dystansem wobec indywidualizmu, napięcie pomiędzy liberalną wrogością wobec etatyzmu, a postulatem socjalnej korekty mechanizmu rynkowego. W konsekwencji, jest to wyczuwalna w książce sprzeczność pomiędzy ocenami Nowego Żądu, ferowanymi w części pierwszej, a konstruktywnym programem akcji liberalnej - wcale nie tak bardzo odległym od reform socjalnych Roosevelta - przedstawionym w drugiej części *The Good Society*.

WNIĄD I NAPRAWA RZĄDU DEMOKRATYCZNEGO

Lippmann nawiązał w latach trzydziestych trwały kontakt z myślą neoliberalną i słusznie jego nazwisko wymienia się w jednym szeregu z Aronem, Hayekiem, Roepke, Misesem, Berliem, Euckenem i innymi dziewiętnastowiecznymi odnowicielami liberalnego systemu wartości. Ale okresowe spotęgowanie tego wątku nie oznaczało, iż patrzyenie przez pryzmat jednostkowej wolności zdominowało od tej pory refleksję społeczną Lippmanna. Główny nurt jego zainteresowań, drażniony z różnych stron przed i po napisaniu *The Good Society*, biegł w pobliżu, ale jednak obok zainteresowań neoliberalistów.

Zajmował go przede wszystkim problem sprawowania władzy we współczesnym społeczeństwie, ściślej biorąc, poszukiwanie złotego środka pomiędzy demokratyczną procedurą polityczną, a wymogami sprawnego rządzenia. Instytucje demokracji pośredniej, parlamentarnej, ten polityczny warsztat wolnego społeczeństwa, interesował go od strony jego funkcjonalności i żywotności, zdolności reagowania na różnorakie wyzwania i zagrożenia. Stosunkowo wcześniej, jak widzieliśmy, zlokalizował jedno z tych zagrożeń w nadmiernym zaufaniu do mądrości mas, utwierdzanym przez tradycyjną mitologię demokracji. Swoimi badaniami nad opinią publiczną przyczynił się do zdemaskowania iluzji "rządów opinii publicznej" i stereotypu racjonalnego, masowego suwerena. W to miejsce zaproponował konkretny program: dopasowanie instytucji demokracji pośredniej do realnej zdolności politycznej mas. W ramach tego programu mieszczą się jego dalsze poszukiwania. Jednym

z pytań, które logicznie z niego wynikały, było pytanie o moralny i merytoryczny sens rządów większości.

Pytanie takie nasuwało się za każdym razem, gdy na amerykańskiej scenie politycznej, przede wszystkim w wyborach miejskich lub lokalnych, głosy większości nagradzały łanią demagogię, obietnice bez pokrycia, niebezpieczne utopie. Korespondencja Lippmanna pokazuje, że szczególnie mocno poruszył go lokalny casus, który nabrał rangi symbolu: proces młodego nauczyciela z Tennessee, niejakiego Johna Scopesa, przeciwko któremu w roku 1925 wytoczono zarzut, iż nauczając teorii Darwina złamał prawa stanowe, przyjęte większością głosów. Zatem w tym przypadku większość, mocą swej demokratycznie podjętej decyzji, blokowała dostęp nowych teorii nauki do sal szkolnych. Niedługo potem większość dała się uwieść faszystowskiemu dyktatorom w Europie. Osobisty werdykt Lippmanna był stanowczy: większość nie musi mieć racji - do tej konstatacji zmierzał wywód w książkach *Men of Lestiny* z roku 1927 i *American Inquisitors* z roku 1928. Nie wynikało z nich automatycznie, że w polityce należy odejść od zasady respektowania woli większości, lecz wykazywały one, że już przed II wojną światową Lippmann oddalił się od tych swoich przyjaciół, którzy skłonni byli dać *carte blanche* demokratycznej większości, lub sformowanej przez nią legislatury. "Wydaje mi się - pisał do Grahama Walla'a - że zasada rządów większości jest wynalazkiem politycznym o ograniczonym znaczeniu i wtedy, gdy jakieś większe interesy, jak na przykład interes racjonalnej edukacji, wchodzi z nią w konflikt, wtedy usprawiedliwione są próby zabezpieczenia się przed wyrokami większości". /15/ Szerszą taką stwarza sądownictwo, stojące na straży wyższego prawa.

Odnotujemy tu kolejną fazę w ewoluującym stosunku Lippmanna do demokracji. Zaczynał od stwierdzenia, że "demokracja nie jest wprawdzie konsekwencją mądrości mas, ale jest systemem edukującym politycznie masy". Obecnie - twierdził Lippmann - masowy elektorat jest już raczej nieobliczalnym żywiołem, który należy okiełznać, gdyż byłoby rzeczą zbyt ryzykowną jego edukowanie na drodze prób i błędów.

Należało tylko wyciągnąć wnioski z tego stwierdzenia i zebrać je w spójną całość - na tym polegał następny, już ostatni szczebel ewolucji ideowej Lippmanna, podsumowany przez niektórych jego krytyków krótko: jako "przełście na pozycje jawnie antydemokratyczne". Ostateczne stanowisko Lippmanna zawarte jest w pracy *Essays in the Public Philosophy* ściślej w pierwszej części tej pracy, noszącej wywowny tytuł "Zmierzach Zachodu" (*The Decline of the West*). Bezpośrednie nawiązanie do katastroficznego dzieła Oswalda Spenglera nie było przypadkowe - zamysł książki powstał pod koniec lat trzydziestych, kiedy pesymizm co do losów liberalnej demokracji był uzasadniony, przepowiednia Spenglera zdawała się spełniać. "Zacząłem pisać - wspomina Lippmann - przymuszony wewnętrzną potrzebą, by uczynić dla siebie samego bardziej zrozumiałą alarmującą bezradność liberalnej demokracji Zachodu wobec realiów naszego wieku". /16/ Demokracja znowu znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, znowu zaskoczona obrotem sprawy, zdemonstrizowana, zupełnie nieprzygotowana, by stawić czoła takim samym wyzwaniom.

Prace nad książką dobiegały końca w atmosferze "zimnej wojny"; faszyzm został pokonany, instytucjonalna budowa demokracji trzymała się mocno, choć na nieco okrojonym obszarze, gospodarka Zachodu wchodziła w okres długotrwałej prosperity. A jednak, spenglerowski podtytuł został podtrzymany - zagrożenie trwało, ponieważ utrzymywały się nadal te same źródła wewnętrznej słabości demokracji.

"Po raz drugi za życia jednego pokolenia, państwa demokratyczne nie zdołały zapobiec rujnującej wojnie, a kiedy w końcu, za ogromną cenę, zdołały pokonać wroga, nie były w stanie zdyskontować zwycięstwa, by podyktować warunki pokoju. (...) Czyż można zaprzeczyć, że liberalne demokracje są chore, że cierpią na chroniczną niemoc, niezdolne stawić czoła rzeczywistości, zapanować nad własnymi problemami, bronić swych żywotnych interesów i, być może, zapewnić swoją dalszą egzystencję jako wolne i demokratyczne państwa? Bez wątplenia, kryzys Zachodu trwa nadal..." /17/

W kilkadziesiąt lat po triumfalnym zakończeniu I wojny światowej, które miało otwierać wielką kartę pokoju i demokracji, społeczeństwa zachodnie, zbudowane na jej zasadach, znajdowały się wciąż w defensywie. Lippmann nie ma wątpliwości, gdzie należy zlokalizować przyczyny tego permanentnego kryzysu. Słabość liberalnej demokracji jest pochodną głębokiego zniekształcenia relacji rządzący-rządzani (*a functional derangement of the relationship between the mass of the people and the government*). Masy uzyskały szeroką formalną władzę, której nie są w stanie faktycznie wykonywać, rządy utraciły prerogatywy, które są im niezbędne, by efektywnie rządzić. Demokracja cierpi na uwiad rządu, osłabienie: egzekutywy. /18/

Dramatyczne epizody XX wieku uwydatniły niewydolność rządu demokratycznego, ale narastała ona stopniowo już w ubiegłym stuleciu wraz z rozszerzaniem prawa wyborczego i wzrostem roli ciał przedstawicielskich. Był to jednak proces niewidoczny, ponieważ stabilny wiek XIX - tak to przynajmniej ocenia obserwator zza Atlantyku - nie stwarzał sytuacji krytycznych, wystawiających demokratyczną egzekutywę na ciężkie próby. Stopniowe osłabianie rządów nie narażało żywotnych interesów demokracji, nie było też okazji, by zdemaskować bezwład i omyłność opinii publicznej. Wręcz odwrotnie: pojawiły się racjonalizacje tego stanu rzeczy, jak choćby zdogmatyzowane przez liberałów mniemanie, iż "dobry rząd to słaby rząd". Zmniejszenie prestiżu rządu, jego autoritetu (*intrinsic majesty*) wywodzącego się z epoki, gdy był to "rząd Jej Królewskiej Mości", wydawało się czymś naturalnym, zgodnym z logiką demokracji. Popularny mit związał siłę i żywotność tego wzoru ustrojowego z mądrością zwykłych ludzi, degradując zarazem rolę egzekutywy - w imię hasła "*public men are servants of the people*".

Fałsz tej mitologii i wewnętrzna choroba demokracji ujawniły się dopiero po roku 1917. Opinia masowa wielokrotnie odegrała rolę siły negatywnej, destruktywnej, blokującej lub opóźniającej reakcje obronne społeczeństw zachodnich. Lippmann ilustruje to na przykładach, dowodząc tezy, iż "...przeważająca opinia publiczna myliła się tragicznie w krytycznych momentach" - wraca więc, poprzez historyczne

fakty, do swych teoretycznych konstatacji z lat 20-tych: immanentną cechą opinii publicznej jest konserwatyzm i bezwład, na co nakłada się niekompetencja i niezdolność wzięcia pod uwagę mniej dotykalnych lub mniej przyjemnych realiów rzeczywistości.

Krytyczny osąd współczesnej, masowej demokracji, zawarty w ostatniej książce Lippmanna zbiera w całość te wątki jego twórczości, które śledziliśmy dotąd (jedyne epizod *The Good Society* wyłamuje się z tego ciągu myślowego, gdyż wtedy niepokoiły Lippmanna zbyt szerokie prerogatywy rządu w zakresie kierowania gospodarką). Ostateczna diagnoza brzmi następująco: treścią wewnętrzną, negatywnej ewolucji systemu demokratycznego, ewolucji usankcjonowanej przez popularną mitologię, było naruszenie oryginalnej zasady rozdziału i równowagi władz, prowadzące w konsekwencji do ubezwłasnowolnienia rządu przez opinię publiczną i rozbrojenia demokracji w obliczu totalitarnych zagrożeń.

Droga naprawy wiedzie w odwrotnym niż dotąd kierunku, ku rewitalizacji rządu. Celem musi być przywrócenie naturalnego związku pomiędzy zbiorowością obywateli i ciałami przedstawicielskimi, a władzą wykonawczą. Władza wykonawcza powinna być aktywną władzą w państwie, stroną "zadająca i proponująca" (*asking and proposing power*). Zgromadzenie przedstawicielskie to przede wszystkim strona "udzielająca przyzwolenia" (*consenting power*). Istnienie obu władz w równowadze jest nie tylko fundamentem wolności i porządku, ale również warunkiem funkcjonalności systemu - dopiero wtedy, gdy poszczególne elementy struktury instytucjonalnej, ograniczając się i uzupełniając, będą także wpływać na siebie rewitalizująco, demokratyczny system rządzenia odzyska zagubioną sprawność.

Odbudowa naturalnego układu instytucjonalnego wymaga odnowy słownika demokracji, gdyż język, przy pomocy którego opisywano dotąd mechanizmy tego systemu był jaskrawym przejawem dezorientacji i źródłem iluzji. I tak, opinie i werdykty głosujących (*the voters*) nie mogą być utożsamiane z racjami narodu (*The People*) i nie przybliżamy się - wbrew pozorom - do tej tożsamości, mnożąc mechanicznie populację głosujących.

Istnieje coś takiego, jak identyfikowalny w danej sytuacji interes publiczny (*Public Interest*), nieredukowalny do partykularnych, zlokalizowanych i interesownych opinii masowych. Uchwytany jest dla kogoś, kto potrafi "widzieć jasno, myśleć racjonalnie, chłodno, działać bezstronnie i dobroczynnie". Interes publiczny sytuuje się w punkcie równowagi między pragnieniami i tym, co realnie możliwe. Wobec tego, że masy chronicznie nie chcą widzieć drugiej strony tego równania, nie uwzględniają realiów, a podążają za pragnieniami, możliwość identyfikowania i realizacji interesu publicznego warunkowana jest pewnym, niezbędnym stopniem autonomizacji władzy wykonawczej. Rządzący muszą zdobyć się na dystans wobec pulsujących, obiegowych opinii. W niektórych sprawach istotnych dla całości wspólnoty - jak wojna i pokój, bezpieczeństwo, obrona wolności indywidualnej - egzekutywa nie może być hamowana przez elektorat czy legislatywę, gdyż - jak wykazały to dramatyczne doświadczenia XX wieku - prowadzi to do niemocy i klęski. Dobór rządzącego to nie to samo, co dobór reprezentanta. Nowoczesna demokracja wymaga, by społeczeństwo, w swym pluralizmie poglądów i wielości interesów,

było dobrze reprezentowane - rola reprezentantów, uczestników ciał przedstawicielskich zbliżona jest do roli adwokata broniącego racji swych klientów. Natomiast rola rządzących, choć oni także są obieralni, porównywalna jest z rolą sędziego, orzekającego bezstronnie, w duchu prawa i interesu społecznego, z dystansem wobec racji stron. Powołanie rządzących oddaje pojęcie "obowiązku wobec instytucji" /*duty to institutions*/, jest to z gruntu odmienny rodzaj odpowiedzialności niż ten, na który skazywała ich demokratyczna mitologia, widząc w nich tych, którzy "służą ludowi" /*servants of the people*/ 19/.

Oczyszczenie słownika, poprzez logiczny związek między pojęciami, odsłania, zdaniem Lippmanna, logiczne reguły demokracji. Zdrowa, funkcjonalna demokracja ma więc swoją wewnętrzną gramatykę, określającą szyk i wzajemny związek jej elementów instytucjonalnych. Co więcej, jak się dalej okaże, reguły te wynikają wprost z ogólniejszej filozofii "Dobrego Społeczeństwa".

OSTATNIE SŁOWO LIPPMANNA - FILOZOFIA PUBLICZNA

Skromna rozmiarami rozprawa *Essays in the Public...* z r. 1955, składa się z dwóch części, analizujących dwa wymiary kryzysu Zachodu: wymiar instytucjonalny, o którym była już mowa, oraz wymiar ideowy - kluczem do jego rozumienia jest pojęcie "filozofii publicznej" (*public philosophy*), wokół którego ogniskuje się druga, frapująca część książki.

Czym jest filozofia publiczna? Jest to, odpowiada Lippmann, ideowe zaplecze liberalnej demokracji, fundament liberalnego stylu życia, spoiwo społeczeństwa wolnych obywateli; to zbiór meta-zasad organizujących "Dobre Społeczeństwo". Odpływ filozofii publicznej i skrzywienie instytucjonalnego ładu demokracji to dwie strony tego samego dramatu; budowla musiała ugrzęznąć w chaosie, skoro zagubiono koncepcję architektoniczną. Dramat Zachodu polega więc na tym, że nowe pokolenia nie dostępują inicjacji w dziedzinie filozofii publicznej, że przestały do nich dopływać zasady mądrości, nagromadzone w toku budowy i rozkwitu liberalnej demokracji, że pokolenia te nie rozumieją wagi i znaczenia własnej tradycji.

W książce, która jest dojrzałym owocem jego przemyśleń, która zrodziła się po siedemnastu latach wewnętrznych zmagani, jako jego definitywny głos w sprawach publicznych, Lippmann stwierdza mocno i niedwuznacznie, że istnieje coś takiego, jak "obywatelska filozofia publiczna" (*public philosophy of civility*) - zespół ogólnych zasad i zaleceń, których nie trzeba wynajdywać i odkrywać; one już zostały odkryte i wymagają jedynie odnowienia, ponownego doprowadzenia do świadomości rządzących i rządzonych. Píše: "Istnieją prawa racjonalnego porządku społecznego - w tym sensie, iż wszyscy ludzie rozumujący jasno i rzetelnie uznają je za oczywiste" /20/.

Lippmann uczynił krok dalej i utożsamił treść filozofii publicznej z zasadami prawa natury, podjął ryzyko intelektualne, przywołując koncepcje silnie obciążoną metafizycznym balastem. W dobie oświecenia właśnie odnowiony słownik prawa natury patronował próbom uogólnienia procesu narodzin gospodarki wolnorynkowej i rządów konstytucyjnych, służył do wyartykułowania samowiedzy elit biorących udział w tym procesie, nadał pierwotny kształt ideologii liberalnej. Ideologia ta

zwracała się swym ostrzem przeciw arbitralnej władzy. Siężyła temu koncepcja wyczytanego w księdze natury "wyższego prawa", stojącego nad wola królów i ziemskimi dekretami.

Odniesienia do "wyższego prawa" (*higher law*) pojawiły się już we wcześniejszej książce Lippmanna - *The Good Society*. Zwróćmy jednak uwagę na kolejną zmianę, jaka zaszła w sposobie myślenia Lippmanna. W tamtej książce wspomina on o "wyższym prawie" z dystansem historyka; stwierdza fakt, iż na przestrzeni dziejów, począwszy od Arystotelesa i stoików, utrzymuje się przeświadczenie o istnieniu prawa wyższego niż ziemskie statuty i zarządzenia. Przeświadczenie to wydaje się trwałe, pomimo, że niewiele z niego wynika w praktyce i zostało ono po wielokroć skompromitowane w teorii - znakomity zastęp filozofów, od Benthama po Pareto rozprawili się z ideą praw natury, nadając jej piętno naiwnego, nienaukowego przesądu. Trwałość idei "wyższego prawa" i autorytet myślicieli, którzy z kolei przyjmowali jego istnienie: Arystotelesa, Tomasza z Akwinu, Grotiusa, ideologów rewolucji angielskiej i rewolucji amerykańskiej oraz wielu innych, skłania jednak do głębszego namysłu nad tym fenomenem, nakazuje wejść w istotę i trwałe przesłanie idei "wyższego prawa". Otóż, stwierdza Lippmann, tą trwałą prawdę stanowi "...zaprzeczenie, iż ludzie mogą być arbitralni w ludzkich sprawach" (*The denial that men may be arbitrary in human transactions*). Jest to, pisze dalej, "... istota wyższego prawa, duchowa esencja, bez której litera prawa jest niczym innym jak tylko formalną ozdobą przyznanych praw lub ceremonialną maską kaprysu i samowoli. Ograniczenia konstytucyjne i deklaracje praw, cały aparat odpowiedzialnego rządu i niezależnego sądownictwa (...) są surowymi i niedoskonałymi środkami, przy pomocy których ludzie usiłują wypędzić diabła arbitralności ze stosunków ludzkich" /21/.

Przywrócenie nadrzędności prawa wobec arbitralnej władzy było trwałą zasługą starego liberalizmu, otrzymaliśmy w ten sposób trwały standard oceny formalnych przepisów i zachowań politycznych. Bez internalizacji tej wyższej zasady nie może funkcjonować wolne, praworządne społeczeństwo. Ale też ta jedna jedyna meta-zasada musi wystarczyć za całe wskazanie przy budowie "Dobrego Społeczeństwa". Autor *The Good Society*, z właściwą liberałom obsesją odżegnuje się od wszelkiego projektowania społeczeństwa. Pisze: "...testament wolności nie zawiera projektu nowego porządku społecznego. (...) Nie ma żadnego planu przyszłości, przeciwnie - jest przekonanie, że przyszłość musi posiadać kształt, jaki nada jej, oczyszczona tak dalece, jak jest to możliwe, z arbitralności, energia ludzka" /22/. Tak więc "Dobre Społeczeństwo" nie ma żadnego projektu architektonicznego, co więcej, oczekiwanie na taki projekt jest sposobem myślenia, przeciw któremu stałe sprzeciwia się natura liberalna.

W świetle tego kryterium należałoby stwierdzić, że to sam Lippmann w następnej swojej książce sprzeciwił się naturze liberalnej. Autor *Essays in the public Philosophy* mówi znacznie więcej o prawidłach "Dobrego Społeczeństwa", aniżeli autor *The Good Society*. Filozofia publiczna niesie bogate treści, nieredukowalne do pojedynczej meta-zasady; w dodatku nie ukrywa swego powinowactwa z dorobkiem oświeceniowego prawa natury. Myśliciele polityczni doby Oświecenia odkryli, jak się okazuje, więcej niż jedną trwałą zasadę "Dobrego Społeczeństwa". Zgodnie z obyczajem epoki próbowali nawet

te zasady kodyfikować, ale nie mogło się to udać. Samowiedza rodzącej się wtedy liberalnej demokracji nigdy nie została *explicito* zestawiona, nie mogła sprostać powszechnemu zapotrzebowaniu na definitywny *code of conduct* postępowania, taki jak Koran czy Talmud; pozostała zasobem politycznej *maioris* i pochodną od niej *status quo* posługiwania się pewnymi procedurami i technikami - na przykład techniką równoważenia władz, która, wyrwana z kontekstu filozofii publicznej może działać na niekorzyść "Dobrego Społeczeństwa".

Wróćmy teraz do przerwane go wątku: dramat Zachodu polega na tym, że filozofia publiczna przestała być nauczycielką rządu i polityki, nie funkcjonuje w obiegu myślowym współczesnego, masowego społeczeństwa.

Idee wyznaczające consensus polityczny elit XVIII wieku, przygotowujące triumfalny pochód rządów konstytucyjnych i ekonomii rynkowej, zamiast być pielęgnowanymi jako przekonania zbiorowe, integrujące masy wokół instytucji i wartości liberalnych, uległy prywatyzacji - uтарыło się przeświadczenie, że styl i treść politycznego myślenia jest prywatną sprawą obywateli. Brak troski o formowanie integrujących przekonań doprowadził do atomizacji wielkich zbiorowości ludzkich Zachodu. Powstała publiczna próżnia, którą z czasem wypełnił, nieprzyjazny liberalnej demokracji, dogmat jakobiński (na marginesie warto zauważyć, że ma on inną treść, niż mit społeczeństwa kierowanego, uważany za główne zagrożenie w *The Good Society*). W przekroju masowym uciesy został międzypokoleniowy przekaz obywatelskiej kultury politycznej (*civility*), ustała transmisja idei i nawyków, których internalizowanie powinno być zasadniczą treścią procesu wychowawczego w liberalnym społeczeństwie. "W naszych czasach - pisze Lippmann - instytucje zbudowane na fundamencie filozofii publicznej stoją nadal. Ale są one w dyspozycji zbiorowości, którym obca jest filozofia publiczna" /23/.

Mechanizm demokracji parlamentarnej obraca się nadal, ale jego tryby się zacinają. Prawno-instytucjonalne gwarancje wolności istnieją nadal, ale nie wspomaga ich ethos wolności. Jest to pusta cytadela, ulotnił się z niej duch obywatelskiej odpowiedzialności. Stan zbiorowej amnezji rodzi deprecjację liberalnych wartości; masy - pisał Lippmann w połowie lat pięćdziesiątych - alienują się wobec instytucji liberalnej demokracji, nie będą one mogły funkcjonować dobrze w tak nieprzyjaznym sobie otoczeniu.

Odrodzenie filozofii publicznej jest więc warunkiem żywotności liberalnej demokracji i zadaniem pilnym. Takie jest przesłanie ostatniej książki Lippmanna - w pierwszej jej części zademonstrował jak w klimacie filozofii publicznej powinna przebiegać naprawa rządu demokratycznego. Dalej pokazuje jeszcze, jak na tym samym gruncie przedstawia się rozwiązanie dwóch innych problemów współczesnego społeczeństwa: reformy prawa własności i wytyczenia granic wolności słowa. Przedstawię to w wielkim skrócie.

Absolutyzacja prawa własności w XVIII i XIX wieku była przejawem wyrodzenia się tej instytucji, zaprzeczeniem filozofii publicznej, ujmującej własność jako splot praw i zobowiązań, i nadającej jej w tym kontekście racjonalne uzasadnienie. Bezkarne nadużycia własności były przejawem arbitralności w stosunkach międzyludzkich i przyczyną konflik-

tu rozdzierającego społeczeństwo. Zerwanie z filozofią publiczną zamknęło drogę wyjścia z konfliktu poprzez reformę własności, zmusiło obie konfrontujące się strony, posiadaczy i proletariąt do okopania się na swych pozycjach, bez szansy znalezienia wspólnego języka, płaszczyzny consensusu. W filozofii publicznej znajdujemy wskazanie, iż instytucja własności prywatnej powinna służyć promocji bezpieczeństwa materialnego, pomyślności i pokojowego współżycia jednostek w społeczeństwie. Ujęcie własności jako równowagi praw i obowiązków, która musi być utrzymana w zmieniających się warunkach i podporządkowana sprawie społeczno-ekonomicznego postępu, daje właściwą wskazówkę dwudziestowiecznym reformatorom.

Jeśli zaś chodzi o wolność słowa to, znowu, niebezpieczeństwo kryje się w absolutyzowaniu tej zasady, oderwaniu się od zawartego w filozofii publicznej ujęcia wolności słowa jako metody osiągania prawdy w kwestiach politycznych. Podobnie jak własność, wolność słowa nie jest wartością samą w sobie. Jej ranga wśród wartości nowożytnego społeczeństwa jest pochodną oczekiwanych pożytków. Filozofia publiczna nakazuje czynienie odpowiedzialnego użytku z tej i innych wolności. Jej zaprzeczeniem jest użytek demagogiczny - nadużycie wolności słowa, polegające na zerowniu na resentymentach, niskich instynktach i ignorancji. Nadużycie tej wolności, tak jak absolutyzacja każdej innej wolności i każdego prawa, powiększa napięcia między ludźmi. Filozofia publiczna wytycza więc granice wolności słowa, umiejscawia ją w punkcie, którego przekroczenie zagraża egzystencji instytucji wolnego społeczeństwa.

Odnowa filozofii publicznej oznaczałaby analogiczne prze wartościowanie innych pojęć wchodzących w skład słownika współczesnej liberalnej demokracji. Stworzyłoby to nowy consensus, wspólne dla różnych grup pluralistycznego społeczeństwa zasady rozwiązywania konkretnych, stojących przed nim problemów.

Czy jest to możliwe? Już raz, przypomnia Lippmann, testament cywilizacji grecko-rzymskiej, uśpiony w wiekach średnich, odnowiony został i spożytkowany w dziele budowy nowożytnej demokracji w Anglii i Ameryce. Więc rekonstrukcja filozofii politycznej dla potrzeb współczesnego społeczeństwa masowego też wydaje się możliwa, ale Lippmann zdaje sobie sprawę, że komunikowanie tej filozofii przedstawia sobą niebagatelny problem. Nie jest to bowiem prawda, która rozprzestrzenia się bez niczyjej pomocy; przeciwnie, jest to zasób mądrości nieporównanie mniej nośny aniżeli światopoglądy uproszczone, dające się zamknąć w zbiorze przykazań czy popularnej broszurze. Filozofię publiczną adresuje on bowiem do naszego rozumu i doświadczenia, a nie do naszych emocji i pożądań. Trudność jej komunikowania tkwi więc zarówno w treści przekazu jak i w zdolnościach percepcyjnych, przyzwyczajeniach myślowych i apetytach zbiorowości.

Komunikowanie filozofii publicznej, samo w sobie, powinno stanowić jedną z odmian sztuki konserwowania liberalnej demokracji. Lippmann widzi dwa sposoby zwiększenia społecznego zwiększenia prestiżu filozofii publicznej. Pierwszy to zademonstrowanie dobroczynnych efektów dotrzymywania jej wskazań w praktyce. Drugi, to zmiana klimatu dyskursu naukowo-filozoficznego. Zasady filozofii publicznej - pisze Lippmann - nie mogą triumfować, jeśli są publicznie dyskredytowa-

ne jako przesąd, pusta retoryka, obskurantyzm, metafizyczne i reakcyjne iluzje. Dlatego końcowy fragment *Essays in the Public Philosophy* adresowany jest wprost do intelektualistów, duchowych przewodników społeczeństwa; stanowi wyzwanie, by udzieliłi swego autorytetu zasadom konstytuującym "Dobre Społeczeństwo".

Książki Lippmanna należą do tego nurtu myślowego, który w istocie nobilitował wartości liberalne i przygotował zwrot w opiniach masowych. Autor *The Public Opinion* nie dożył jednak chwili, w której ów zwrot stał się powszechnie odczuwalny...

Przyznaje, że testament polityczny Lippmanna robi na mnie silne wrażenie. Oto myśliciel, który krok po kroku rozprawiał się z mitologią demokracji, który tępił bezlitośnie fikcje zalegające masową wyobraźnię, na koniec, w najbardziej dojrzałej ze swych książek, wyznaje wiarę w istnienie wyższych zasad dobrze urządzonego społeczeństwa, zasad nieredukowalnych do praw nauki czy indukcyjnego uogólnienia. Nie wystarcza, jak sądził wcześniej, biegła znajomość techniki sprawowania władzy, by ponad głowami małych ludzi poszukujących małego szczęścia, rządzić w interesie postępu i powszechnej pomyślności. Nie można też wydawać przyszłości, losu zbiorowego, na pastwę wolnej, oczyszczonej jedynie z arbitralności, inicjatywy jednostek.

Potrzebne jest spoiwo wielkiego, pluralistycznego społeczeństwa, fundamentalne porozumienie w sferze idei. Intencja Lippmanna wydaje się jasna - zdawał sobie sprawę, że bez głębokiej afirmacji zasad liberalnej demokracji "wolne i demokratyczne narody staną wobec totalitarnego wyzwania pozabawione wiary. A wtedy wynik walki będzie przesądzony..." Ale proponowana przezeń filozofia publiczna jest czymś więcej, niż sorelowska użyteczną fikcją. Trudno byłoby jednoznacznie ustalić, czy zasady filozofii publicznej są darem dziejowego doświadczenia, czy darem rozumu. Zasadniczą wagę ma sam wybór Lippmanna, akt wiary w istnienie kulturowego superego cywilizacji zachodniej, otwarte nawiązanie do tradycji prawa natury. W ten sposób wychowanek Harvardu, tej kolebki antymetafizycznego, pragmatycznego stylu myślenia, sprzeniewierzył się swoim nauczycielom, pozostawiającym mu do dyspozycji, jako tworzywo myślenia, jedynie fakt, konkretny i doświadczenie.

PRZYPISY

/1/ Szczegóły biograficzne pochodzą z pracy Ronalda Steela: *Walter Lippmann and the American Century*. An Atlantic Monthly Press Book, 1980.

/2/ Zważywszy, że Lippmann krytycznie odnosił się do aspiracji Polaków również w okresie tworzenia naszej państwowości w roku 1918, kiedy jeszcze patrzył na świat okiem wilsonowskiego idealisty, można mówić o pewnym uprzedzeniu wobec naszego narodu i jego niezrozumieniu. Dodatkowym potwierdzeniem jest tu pospieszna kwalifikacja Polski międzywojennej jako

kraju, w którym nie mogły dziwić postępy faszyzmu (*The Preface to Morals*, s.253).

/3/ Kwestia neutralności USA w czasie I wojny światowej zmieniła wskazanie: cały zastęp progresywiistów spod znaku Bull Moose Progressives (John Dewey, Jane Adams, Amos Pinchot, Frederic C.Howe, Lincoln Steffens, Lippmann, a nawet Max Eastman i John Reed) poparł elekcję Wilsona w roku 1916, jako kandydata, który zapowiadał wsparcie aliantów.

/4/ Graham Wallace, najbardziej sceptyczny z niedysyjszych fabian, ujął swe wątpliwości w książce *The Great Society* z roku 1914, dedykowanej... Lippmannowi - swemu uczniowi, w uznaniu pożytków, jakie wyniósł ze wspólnych dyskusji w Harvardzie.

/5/ Zob. Z.Gostkowski: *Teoria stereotypu i poglądy na opinie publiczną Waltera Lippmanna*. "Archiwum historii filozofii i myśli społecznej", 1959, t.V.

/6/ *The Public Opinion*, cyt. za: *The Essential Lippmann. A Political Philosophy for Liberal Democracy*. Edited by C.Rositer, J.Lare. New York, 1965.

/7/ Cyt.za: Z.Gostkowski, *op.cit.* s. 46.

/8/ *The Essential Lippmann...*, *op.cit.* s. 92.

/9/ R.Steel, *op.cit.*, s. 307 i nast.

/10/ Walter Lippmann, *A Preface to Morals*. New York, 1979, s. 243-245.

/11/ Walter Lippmann, *The Good Society*. New York, 1943, s. 174.

/12/ Tamże, s. 103.

/13/ Tamże, s. 123.

/14/ Tamże, s. 225.

/15/ R.Steel, *op.cit.*, s. 216.

/16/ Walter Lippmann, *Essays in the public Philosophy*. A Mentor Book, 1956, s. 11.

/17/ Tamże, s. 13.

/18/ Tamże, s. 19.

/19/ Tamże, s. 46.

/20/ Tamże, s. 95. Pojęcie *civility* zapożyczono zostało od E.Barkera, którego książkę *Traditions of Civility* z 1948r. Lippmann chętnie przywołuje.

/21/ *The Good Society*, *op. cit.*, str.346. Cyt. za: *Liberalism. Myśl Polityczna XIX i XX wieku*. Warszawa 1978, s. 542.

/22/ Tamże, s. 547.

/23/ *The Public Opinion*, *op.cit.*, s. 80.

Michael Charlton

SDI - CZY "WOJNY GWIEZDNE" MOGĄ PRZYNIEŚĆ POKÓJ ?

OBRONA W KOSMOSIE

Pragnienie przywrócenia przeszłości odgrywa w amerykańskiej tradycji politycznej szczególną rolę. John Dos Passos napisał o tej narodowej nostalgii: "W czasach zmian i niebezpieczeństw, gdy ludzki rozsądek błądzi po grzędawiskach strachu, poczucie łączności z pokoleniami, które odeszły, staje się liną ratowniczą rozciągniętą nad przerażającą teraźniejszością..." Prezydent Reagan nie został wybrany dlatego, że ofiarował Ameryce pesymizm, ale ponieważ jego uczucia i przekonania były ucieleśnieniem wiary w stare prawdy. Jedną z takich historycznych prawd, które uczyniły Amerykę krajem spełnionych obietnic, była witalność i bujność jej techniki. Amerykańska technika - demokratyzująca użycie swych wynalazków począwszy od elektrycznego oświetlenia Edisona po samochód Forda i współczesny komputer - rozprzestrzeniła się po całym globie, wszędzie przeobrażając rzeczywistość.

Prezydenckie przemówienie na temat "inicjatywy obrony strategicznej" /*Strategic Defence Initiative - SDI*/, zwanej "wojnami gwiazdowymi", z 23 marca 1983 r. w dużej mierze opierało się na wierze w tę starą prawdę. Reagan zaapelował do naukowców, by

"dali nam środki, dzięki którym broń jądrowa stanie się bezsilna i przestarzała, a których ostatecznym celem będzie wyeliminowanie zagrożenia stworzonego przez strategiczne pociski jądrowe."

Jednak to właśnie zagrożenie ukształtowało konstrukcję równowagi strategicznej i nuklearnego odstraszania. Prezydent wskazał nowe cele. Powróciliśmy do punktu wyjścia wielkiej debaty, zapoczątkowanej w latach sześćdziesiątych przez Roberta McNamare, zmierzającej do pełnego wyrzeczenia się obrony przed odwetem nuklearnym. Spór o to, czy koncepcja "wojen gwiazdowych" pomoże, czy też przeszkodzi w tworzeniu bardziej stabilnego świata, może okazać się czysto akademick-

"Encounter" 1986, February, March, April, "Star Wars", or Peace-in-the-Skies; tytuł pochodzi od redakcji.

ki. Obrona przed raketami balistycznymi nabrała bowiem już samoistnego rozpędu. Nie możemy sobie pozwolić na luksus czekania - prawdopodobnie przez wiele lat - na naukową ocenę jej przydatności. "Wojny gwiazdne" to sprawa bieżącej polityki.

Zasadnicze znaczenie ma osoba prezydenta. Jego przekonania zgodne są z platformą polityczną, dzięki której został wybrany. Przewidywała ona dążenie do osiągnięcia militarnej i technologicznej przewagi nad Związkiem Sowieckim, obejmując imperatyw

"prowadzenia energicznych prac badawczo-rozwojowych nad efektywnym systemem obrony przeciwrakietowej - takim, jakim już obecnie dysponuje ZSRS - oraz nad nowocześniejszymi technologiami tej obrony."

W pierwszych dniach swej kadencji prezydent postawił to zadanie wielu naukowcom. Wśród najbardziej wpływowych znalazł się błyskotliwie inteligentny emigrant węgierski, który w latach pięćdziesiątych obalił argumentację Roberta Oppenheimera podważając celowość skonstruowania bomby wodorowej przez Amerykę. Podczas szeregu spotkań z prezydentem Reaganem w 1982 r. dr Edward Teller odegrał zasadniczą rolę w zachęcaniu go do podjęcia poszukiwań nowej drogi mogącej zastąpić ponure perspektywy "obustronnie gwarantowanej zagłady", dominujące przez trzecią część wieku w rywalizacji między supermocarstwami.

EDWARD TELLER: Polityka Zachodu zmierza do zachowania pokoju. Usiłowaliśmy osiągnąć to dzięki odstraszeniu, jako że po drugiej stronie, na Wschodzie, istnieje ekspansjonistyczne, imperialistyczne mocarstwo. Pokój miał zostać zachowany dzięki oczywistemu instrumentowi odstraszenia: groźbie odwetu. Nazwano to "obustronnie gwarantowaną zagładą" /MAD/ i myślę, że od samego początku nie było wśród nas nikogo, komu by się to naprawdę podobało. Z moralnego punktu widzenia nie było to całkowicie w porządku - ani dla mnie, ani, jak sądzę, dla żadnego rozsądnego człowieka. Wydywało się jednak, że nie ma alternatywy.

Teraz alternatywa pojawiła się. Nasza rozwijająca się technika dostarcza coraz więcej możliwości realnej obrony. Nie oznacza to /i powiedziałbym nawet: nie gwarantuje/ bezpieczeństwa obrony, ale oznacza, że dzięki obronie efekty agresji mogą okazać się wątpliwe - mamy nadzieję, że bardzo wątpliwe, mimo że Kreml jest również żądny władzy jak Hitlerowcy. Jest natomiast dużo ostrożniejszy - dlatego sądzimy, że można odstraszyć go efektywną obroną. Trzeba dodać, że Sowieci pracują nad systemem obrony. Dlatego też agresja, i odwet staną się przegrane nie tylko moralnie, ale i w sensie czysto technicznym. To właśnie sprawiło, że "inicjatywa obrony strategicznej" i bardziej ogólnie - obrona, stała się zarówno możliwa, jak i konieczna.

Co odpowiada pan tym, którzy twierdzą, że "obustronnie gwarantowana zagłada" nie jest doktryną, ale faktem, nieuniknioną rzeczywistością ery nuklearnej?

TELLER: Wydawała się nieunikniona - obecnie dzięki szczegółowym rozważaniom technicznym stwierdzamy, że nie jest nieuchronna. Zawiodła, ponieważ na przestrzeni dziejów

/zwłaszcza dziejów współczesnych/ jasno dowiedziono, że polityka rządu, nie znajdująca poparcia opinii publicznej, nie może przynieść efektów.

* * *

Opinia, jaką Edward Teller pokrótce przedstawił prezydentowi Reaganowi, stwarzała nieoparte pokusy polityczne. W tym czasie katolicycy biskupi USA swymi moralnymi wątpliwościami wobec nuklearnego odstraszenia wzmogli poruszenie wywołane przez organizacje pacyfistyczne i przeciwstawiające się zbrojeniom. Zakrojone na ogromną skalę polityczne demonstracje przeciwko instalowaniu rakiet Cruise i Pershing, będących odpowiedzią Zachodu na sowiecką próbę zakłócenia równowagi nuklearnej na kontynencie europejskim poprzez wprowadzenie dużej ilości nowych rakiet "pierwszego uderzenia", SS-20, były wyrazem walki o "duszę" Europy.

Wobec niszczącej rywalizacji z Rosjanami obrona strategiczna oraz nowy laser rentgenowski i technologie nienuklearne stworzyły szanse uzyskania powszechnego poparcia opinii publicznej, niechętniej - czy wręcz wrogiej - wzajemnemu powiększeniu ogromnej siły niszczącej arsenałów nuklearnych. Tym bardziej, iż dr Teller sugerował, że zamiast "obustronnie gwarantowanej zagłady" Zachód może wprowadzić o b u s t r o n n i e g w a r a n t o w a n e p r z e t r w a n i e na korzystnych dla siebie warunkach.

Nawet zważywszy wątpliwości, czy jest to rzeczywiście poważne przedsięwzięcie polityczne, koncepcja "wojen gwiazdnych" może przekreślić wszelkie korzyści, jakie zdaniem Sowiec wynikały z ich programu modernizacji potencjału strategicznego, realizowanego w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Jeszcze bowiem przed końcem stulecia może okazać się, że ich olbrzymi arsenał rakiet stacjonarnych stał się przestarzały. Wziąwszy pod uwagę amerykańską ocenę stanu sowieckiej gospodarki jasne jest, że Rosjanie znajdują się w słabszej pozycji - jeśli nie ze względu na stan zaawansowania samych badań, to w zakresie praktycznego ich wykorzystania. W jaki sposób może więc zareagować Związek Sowiecki?

CASPAR WEINBERGER /sekretarz obrony w rządzie Reagana/ Sądzę, że jest wiele posunięć, jakich mógłby dokonać. Z pewnością mógłby przystać - z wielkimi korzyściami dla siebie zarówno ze względów ekonomicznych, jak i militarnych - na znaczne obniżenie ilości broni ofensywnych. Pozwoliłoby to obu stronom na zachowanie odstraszenia, ale za cenę znacznie mniejszych kosztów oraz znacznie mniejszego zagrożenia i ryzyka.

Jak dotąd Rosjanie nie wykazali jednak najmniejszych skłonności ku temu. Układy SALT /I i II/ nie zdołali niestety w ogóle zredukować arsenałów. Uprawomocniły jedynie ich wzrost. Sowieci w okresie od podpisania układu SALT II, nie naruszając jego postanowień /choć nie został oficjalnie ratyfikowany i wprowadzony/, ogromnie zwiększyli ilość posiadanych głowic jądrowych. Oni naprawdę potrzebują wyczerpania. Nie są w stanie wyżywić się sami, ich rolnictwo znajduje się w opłakanym stanie, ich gospodarka nie potrafi zapewnić obywatelom godziwego standardu życia.

Twierdzi pan, że potrzebują wytohnienia. Czy podziela pan przekonanie,

że mogą znajdować się w "punkcie zwrotnym" swojej historii?

WEINBERGER: Nie sądzę, aby uświadamiali, czy też byli już w stanie uświadomić sobie, że mogą znajdować się w punkcie zwrotnym i nie dostrzegam żadnych realnych zmian, czy realnych szans na zasadniczą zmianę ich polityki.

Innymi słowy pańskim zdaniem ich odwrót jest bardzo mało prawdopodobny?

WEINBERGER: Tak uważam.

Nie poświęcą więc swej pozycji w świecie na rzecz "reformy wewnętrznej"?

WEINBERGER: Nie tylko nie poświęcą swej pozycji - uczynią wszystko, by zwiększyć swój potencjał militarny, a wraz z nim całą resztę.

Dlaczego według pana istniejąca koncepcja odstraszania okazuje się /lub może okazać się/ niewłaściwa?

WEINBERGER: Wynika ona z założenia, że obie strony są absolutnie bezpieczne, gdy wystawione są na absolutne ryzyko. Jest to może prawdziwe, gdy osiągnięte zostało pełne porozumienie - nie tylko w kwestii koncepcji czy strategii, ale również ich realizacji.

Układ o obronie przeciwrakietowej i koncepcja MAD opierają się na założeniu, że należy przede wszystkim doprowadzić do równowagi /lub bardzo zbliżyć się do niej/ czy "zbilansowania" systemów ofensywnych, natomiast wykluczyć wszelkie przedsięwzięcia o charakterze defensywnym za wyjątkiem mało efektywnych, dozwolonych w ramach układu - jak system obrony naziemnej, którego efektywność waha się w granicach 50%. Niestety Związek Sowiecki nie stosuje się do żadnego z tych założeń. Naruszył on postanowienia traktatu konstruując radar w Krasnojarsku, który nie może mieć żadnego innego zastosowania, jak tylko w ramach obrony strategicznej...

Nie ma innej interpretacji?

WEINBERGER: Nie, absolutnie. Rozumiem wszystkie argumenty Rosjan, ale nie buduje się takiego radaru dla żadnej z podanych przyczyn. Można osiągnąć podobne wyniki w znacznie prostszy sposób i przy innej lokalizacji. Inna sprawa, że już w układzie o obronie przeciwrakietowej - o czym niemal każdy zapomniał - zawarto wezwanie do szybkiego zorganizowania spotkania, podczas którego zostaną podjęte decyzje dotyczące znacznej redukcji broni ofensywnych. Nigdy do niego nie doszło.

Jaką rolę ma więc odegrać SDI, skoro pragnie pan zmusić Związek Sowiecki do podobnych ograniczeń? Prawdopodobnie odpowiedzą, że posiadany potencjał /w zakresie pocisków ofensywnych/ jest konieczny, by sprostać takiemu projektowi.

WEINBERGER: Jest to przemilczanie zagadnienia reakcji Zachodu na sowiecką obronę strategiczną, nad którą Rosjanie pracują od 17 lat, podczas gdy my praktycznie rzecz biorąc do piero zaczęliśmy. Sądzę, że obrona strategiczna może odegrać

bardzo ważną rolę zarówno w procesie przywracania odstraszania, jak też w ostatecznym efekcie /o ile nam się powiedzie - a nie jesteśmy tego pewni/ w znacznym ograniczeniu zagrożenia i cienia strachu, jaki sowiecka broń jądrowa rzuciła na świat.

* * *

Słowa te uwypuklają emocjonalny charakter koncepcji "wojen gwiazdnych" - wizję uchronienia ludzkości przed atakami nuklearnymi. W przeciwieństwie do czasów, gdy po raz ostatni rozważano problem obrony strategicznej - końca lat sześćdziesiątych - dzisiaj brak jest już owego uczucia wielkoduszości, z jaką według Roberta McNamary można było traktować Sowieców. McNamara spodziewał się, że skoro Stany Zjednoczone w tak spektakularny sposób wyrywały dramatyczną przewagę strategiczną, jaką osiągnął Związek Sowiecki umieszczając jako pierwszy "Sputnika" w przestrzeni kosmicznej, czas i technologia doprowadzą do "konwergencji" koncepcji i ustalona zostanie granica nasycenia bronią jądrową, której Rosjanie nie będą chcieli przekroczyć. Symbolem tej wielkoduszości była decyzja McNamary o zlikwidowaniu - dla umożliwienia porozumienia - amerykańskiej obrony strategicznej, wówczas prawdopodobnie bardziej zaawansowanej.

Wraz z nastaniem kadencji Cartera zapanowało zdecydowanie przekonanie, że Związek Sowiecki nie wierzył, by koncepcja przewagi militarnej zdezaktualizowała się wobec wprowadzenia broni jądrowej - zgodnie z tezą Harolda Browna o ciągłym "budowaniu" /"Kiedy my budujemy - oni budują, kiedy my przestajemy - oni budują nadal" - przyp. red./. Dziś czołowe osobistości w administracji Reagana są przekonane o trwałej sprzeczności dwu przeciwstawnych kierunków politycznych. Zapytałem naukowca, który od dziesiątków lat odgrywał decydującą rolę w dziejach ery nuklearnej, o jego pogląd na zastąpienie dyplomacji - w celu uchronienia Zachodu przed wojną jądrową - agresywnym wykorzystaniem zdobyczy technologicznych.

TELLER: Pozwoli pan, że zmienię to pytanie. Określiłbym to raczej jako *d e f e n s y w n e*, a nie agresywne wykorzystanie technologii.

Doceniam dyplomację. Dyplomacja pomiędzy, dajmy na to, USA a Francją jest dosyć trudna, wymaga dużej zręczności i przynosi korzyści. Ale dyplomację w stosunkach z ludźmi, których jasno wytyczonym celem jest wykorzystanie dyplomacji do łamania porozumień /w sposób jawny lub ukryty, w zależności od tego, jak służą one ich zamiarom/ i dążenie do niesprawiedliwych układów, należy traktować bardzo sceptycznie. Nie udzielam priorytetu technologii. Po prostu twierdzę, że wielkie przemiany naszych czasów, zarówno w życiu codziennym, jak i w wojskowości, pobudzają rozwój technologii - nie dlatego, że my tak chcemy, ale dlatego, że ludzkie wyobrażenia o nauce i technice nie nadążają za rozwojem technologii.

Tak więc pańskim zdaniem życiowa konieczność utrzymania przez Zachód "przewagi technologicznej" wyklucza możliwość przyznania ZSRS owej równości, której zawsze oczekują i domagają się od polityki Zachodu?

TELLER: Sowieci żądając równowagi - dają ku przewadze. Równo-

waga jest oczywistym mirażem. W tak szybko rozwijającej się dziedzinie - której rozwój trudno ogarnąć nawet znając wszystkie szczegóły, w której po wielu wysiłkach można poznać wszystkie istotne elementy z naszej strony, ale w której jest się kompletnie pozbawionym danych ze strony Rosjan - skąd można wiedzieć, czy osiągnięto się "równowagę", czy też nie? Jeśli chce się upewnić, że nie wyprzedziło się przeciwnika, nieuchronnie pragnie się dowieść, że on wyprzedził nas. Jestem przekonany, że równość jest pięknym słowem, o wielkim znaczeniu moralnym, ale zarazem pozbawionym wszelkiego praktycznego zastosowania.

* * *

Odrzucając zasadę równości, dr Teller ukazuje tym samym ślepią uliczkę w jakiej znalazła się teoria kontroli zbrojeń, w myśl której warunkiem porozumienia jest przyjęcie przez obie strony tego samego celu: stabilizacji dzięki równowadze.

Od czasu pierwszego, mającego charakter tymczasowy, układu SALT z 1972 r., żadna ze stron nie była w stanie określić warunków równowagi. Doświadczenie lat kontroli zbrojeń tak określił Hal Sonnenfeldt /jeden z doradców Kissingera podczas pierwszych negocjacji w Moskwie/: "To, co istotne z militarnego punktu widzenia, nie daje się wynegocjować, zaś to, co można wynegocjować, jest z militarnego punktu widzenia nieistotne."

Ofensywny arsenał ZSRS obejmuje obecnie 10-12 tysięcy strategicznych głowic jądrowych, wymierzonych w około 100 amerykańskich miast. W ciągu najbliższych dziesięciu lat może on rozrosnąć się do 15-20 tys. głowic. Miliony ludzkich istnień po każdej ze stron są składnikami tego równania. "Inicjatywa obrony strategicznej" stała się moralną i polityczną na to odpowiedzią, ale spotkała się z powszechnym, ze strony utytułowanych naukowców, brakiem wiary w możliwości jej realizacji. To, czy prezydent i jego doradcy pozwolili ponieść się początkowemu entuzjazmowi dalej, niż pozwalają na to prawa natury /czy logika wydarzeń/ zostanie wcześniej czy później osądzone.

Dr George Keyworth, przedstawiciel młodszej generacji fizyków amerykańskich i protegowany Edwarda Tellera, był w owym czasie doradcą do spraw naukowych prezydenta USA i uczestniczył w przygotowaniu przemówienia o "wojnach gwiazdnych".

GEORGE KEYWORTH: To właśnie groźba niespodziewanego ataku /a właściwie utracenia przez nas zdolności odwetu/ doprowadziła do wyścigu zbrojeń. Obecnie, w obliczu SDI, nawet w jej początkach, możliwość wykonania pierwszego uderzenia zostaje wyeliminowana. Nie potrzebujemy już tych gigantycznych arsenałów. Rakiety międzykontynentalne w dużej mierze nie są już praktycznym środkiem wywołania wojny. Oto właśnie środek pozwalający osiągnąć nie dziesięcioprocentową redukcję ilości rakiet międzykontynentalnych, ale drastycznie zmniejszyć liczbę 1400 rakiet, jakie posiada obecnie ZSRS, do ilości zapewniającej dostatecznie silny efekt odstraszania. Wystarczy do tego dziesiątki rakiet, może setka.

Czy jednak SDI nie wymaga, o ile ma się powieść, redukcji ilości ofensywnych rakiet sowieckich?

KEYWORD: Myślę, że nie. Jest to bardzo ważna kwestia, którą wielokrotnie podkreślał Paul Nitze, nasz najbardziej doświadczony negocjator w rozmowach rozbrojeniowych. SDI musi spełnić dwa kryteria: po pierwsze - musi być opłacalna. Jest to bardzo proste: jednostka obronna musi być tańsza od jednostki ofensywnej. Obrona musi być tańsza od zwykłego budowania nowych raket przez Rosjan. Po drugie, musi ona być "odporna na ciosy", a więc zniechęcać do wykonania pierwszego uderzenia. Jeśli spełnione zostaną te dwa kryteria - a moim zdaniem możemy je spełnić, o ile kontynuowane będą prace badawcze - wówczas mamy prostą odpowiedź na pańskie pytanie. W sytuacji, gdy obrona jest tańsza od ataku, pozwala ona na zniszczenie potencjału posiadanego obecnie przez Związek Sowiecki i, co ważniejsze, zniechęcić go do powiększenia tego potencjału pięcio-, dziesięciokrotnie, czy nawet jeszcze bardziej.

Pozostanie to jednak, być może jeszcze przez wiele lat, niepotwierdzonym założeniem. Co sądzi pan o krytyce ze strony takich ludzi, jak Hans Bethe i Richard Garwin /których kompetencje są - pragnę pan - niekwestionowane, a przejawiały się w wyprodukowaniu amerykańskiej bomby wodorowej/, i ich stwierdzeniu:

"Na podstawie przeprowadzonej analizy technologicznej i oceny najbardziej prawdopodobnej reakcji ZSRS uważamy, że realizacja programu prezydenta nieuchronnie wywoła znaczny wzrost sowieckich strategicznych sił ofensywnych."

KEYWORD: Myślę, że dr Bethe i dr Garwin wysunęli argumenty, jakie dziesięć czy piętnaście lat temu towarzyszyły układowi o obronie przeciwraketowej /ABM/. Była to absolutnie inna era. Daleko było jeszcze do rewolucji technologicznej, jaką przeżywamy obecnie.

Opracowaliśmy i dokładnie rozważyliśmy szereg rozwiązań, które naszym zdaniem pozwalają dostrzec całkowicie odmienną perspektywę, przez naszych oponentów najwyraźniej szczególnie nie rozważaną. Sprowadza się to do kwestii: obrona tańsza niż atak. Jeśli można po prostu skonstruować taniej większą ilość środków o b r o n n y c h, niż środków o f e n s y w n y c h, wówczas rakiet balistyczna staje się z całą pewnością bronią przestarzałą. Posunąłbym się wręcz do stwierdzenia, że jeszcze w bieżącym dziesięcioleciu zdołamy dowieść, iż podobne przedsięwzięcie jest możliwe do zrealizowania.

Czy nie oznacza to, że Związek Sowiecki musi przyjąć naszą wersję tego, co jest drogie, kosztowne?

KEYWORD: Na szczęście jestem naukowcem, a nie księgowym. Z całą pewnością mówiąc "tańsza" nie mam na myśli różnicy rzędu 10%. Mam na myśli tak miazdzącą różnicę kosztów obrony i kosztów ataku, że nie może być co do tego wątpliwości. Posłuże się przykładem. Jednym z analizowanych rozwiązań jest skonstruowanie ogromnego stacjonarnego lasera o bardzo dużej mocy, zdolnego do przenikania atmosfery i emitowania około 10-12 impulsów na sekundę lub 600-1200 impulsów na minutę. Każdy z tych impulsów mógłby zniszczyć raketę balistyczną.

Innymi słowy jeden laser /który naszym zdaniem mógłby zostać skonstruowany przy zupełnie rozsądnych kosztach/ mógłby

w zasadzie obronić Zachód przed całą armadą rakiet balistycznych, jakimi dysponuje obecnie ZSRS. Nie mówimy o zmianach marginalnych. Mówimy o radykalnie odmiennych technologiach.

* * *

Sceptyczni i dobrze poinformowani krytycy utrzymują, że SDI stwarza problemy na skalę nie dającą się porównać z dotychczasowymi osiągnięciami technologicznymi. Jednak "gwiazdny wojownik", dr Keyworth wspomina przypadki podobnej niewiary. Jego sławny poprzednik na stanowisku doradcy d.s. naukowych powiedział w 1945 r. prezydentowi Trumanowi, że rakiet balistyczna nigdy nie będzie dostatecznie niezawodna i celna, by stać się rodzajem broni o większym znaczeniu. W Wielkiej Brytanii podobną opinię na temat hitlerowskiego V-2 przedstawił Churchillowi prof. F.A. Lindemann, a /wedle Edwarda Teller/ w 1935 wielki lord Rutherford wyrzucił ze swego gabinetu za "gadanie głupstw" węgierskiego naukowca, który usiłował przekonać go, że jądro atomu i jego fantastyczna energia mogą mieć zastosowanie praktyczne.

Sam Teller przypomina argumenty poprzedzające skonstruowanie bomby wodorowej w USA w latach pięćdziesiątych. Przecistawiali się jej - m.in. ze względów moralnych - Robert Oppenheimer i Hans Bethe /dziś jeden z oponentów koncepcji "wojen gwiazdnych"/ ponieważ, jak się spodziewano, amerykańska wstrzeźliwość skłoniła ZSRS do pójścia za tym przykładem. Jednak, jak wkrótce okazało się, Rosjanie już wówczas rozpoczęli prace nad tą bombą. Dokonali oni pierwszej eksplozji bomby wodorowej tylko sześć miesięcy później niż Amerykanie.

Dzisiaj prace nad obroną strategiczną należą do rzeczywistości obu antagonistycznych systemów. Zgodnie z posiadanymi przez Amerykanów informacjami Sowieci wytrwale i już od dawna - w nieznanym dla Zachodu zakresie - pracują nad zabezpieczeniem się przed ofensywnymi raketami strategicznymi. Jakie więc podobieństwa i różnice z innym rewolucyjnym posunięciem strategicznym, którym była decyzja dotycząca bomby wodorowej w latach pięćdziesiątych, dostrzega człowiek, który odegrał kluczową rolę w wydarzeniach sprzed ponad 30 lat?

TELLER: Pozwolę sobie zacząć od różnic. Moi ówczesni oponenti sprzeciwiali się bombie wodorowej, posługując się wywierającym wrażenie argumentem, że jest ona "zbyt straszna". Dzisiejsi zaś /w zaskakująco wielu przypadkach ci sami ludzie, choć różnica czasu jest znaczna/ utrzymują, że środki obronne sprawią, iż wojna atomowa będzie wydawała się "mniej straszna", a zatem bardziej prawdopodobna. Wydaje się, że nieomal zamieniliśmy się miejscami. Mogłbym zarzucić im niekonsekwencję i oni mogliby mnie o to oskarżyć, a jednak z pewnego punktu widzenia obie strony są konsekwentne. W obu przypadkach przeciwnicy twierdzili: żadna nowa technologia nie jest w możliwa. W obu przypadkach zwolennicy, wśród nich również i ja, przekonywali, że jest. W obecnym przypadku, w dużej mierze dzięki badaniom moich młodszych kolegów, utrzymujemy - ja również - że nowe technologie jednak są możliwe i rokują duże nadzieje. Mam zaledwie 77 lat i jestem jeszcze dostatecznie młody, by zmienić zdanie.

Czy jednak nie możnaby powiedzieć, że choć pan i pańscy zwolennicy

zdołaliście zdobyć poparcie opinii publicznej i dwukrotnie wybieranej administracji Reagana, to raczej nie uzyskaliście go u waszych kolegów-naukowców?

TELLER: Nie udało się w przypadku tych starców, których intelektualny bezwład przewyższa wszystkie znane dotąd przypadki. Nie straciłem jednak nadziei. Jest wiele problemów. Mówi się, że niemożliwa jest "doskonała obrona". Oczywiście, że jest niemożliwa. Wojna bez ryzyka czy pokój bez ryzyka, czy życie bez ryzyka - są niemożliwe. Jak można jednak twierdzić, że obrona jest bardziej ryzykowna, niż obecna równowaga strachu, w której jest mnóstwo strachu ale prawie całkowicie brak równowagi? Myślę, że trzeba to sobie uświadomić. Uważam, że nadzieja na odstraszenie przed wywołaniem wojny dzięki obronie, jest naszą najlepszą nadzieją. A w najgorszym przypadku - choć skutki wojny mogą być gorsze od wszystkiego, co pamiętamy /ale może nie najgorsze spośród tego, co odnotowała historia/ - obrona mogłaby ocalić resztki naszej cywilizacji.

Żyję w obawie przed wojną jądrową od ponad 46 lat i nigdy dotąd nie miałem tyle nadziei, co obecnie, ponieważ widzę światło w tunelu. I nie jestem już sam; popiera nas wielu młodych naukowców.

* * *

I tak, w 30 lat po tym, jak okrzyknięto go ojcem bomby wodorowej, Edward Teller swym autorytetem rzuca wyzwanie strategicznemu aksjomatowi, jaki "bomba H" wprowadziła, głoszącemu, że w naszej epoce nie może istnieć realna przewaga oparta na obronie. Historia dowodzi, że tam, gdzie pojawia się perspektywa przewagi militarnej, górą będą Tellerowie tego świata. Jednak po upływie pół roku od znanego przemówienia prezydenta Reagana o "wojnach gwiazdnych" pojawiły się oznaki znacznego odejścia od czystej linii mniej lub bardziej "doskonałej" obrony; nastąpiła zmiana, która sama w sobie jest nieomal studium egzegezy. W 1982 r. prezydent zażądał dwóch opracowań na temat koncepcji obrony strategicznej: jedno miało dotyczyć technologii, drugie zbadać polityczne implikacje dla strategii /i kontroli zbrojeń/ Ameryki i jej sojuszników. To drugie /w przeważającej części nadal tajne/ opracowanie przygotowywał zespół doradców kierowany przez Freda Hoffmana.

FRED HOFFMAN: W swoim przemówieniu prezydent używał bardzo ogólnych stwierdzeń, których część najwyraźniej trzeba uznać za retorykę. Pamiętam, że będąc w rządzie pracowałem kiedyś dla prezydenta, który w przemówieniu stwierdził, że zamierza "zlikwidować nędzę".

Czy to Lyndon Johnson?

HOFFMAN: Tak, to o niego chodzi. Prezydent Reagan użył jednego sformułowania, które jak sądzę warto zapamiętać, jako że dość precyzyjnie odzwierciedla ono moją opinię. Powiedział on, że pragnie, by broń jądrowa stała się "bezsilna" i "przestarzała". Sądzę, że warto zastanowić się nad tymi dwoma określeniami. Moim zdaniem można dążyć do obrony, która rakiety balistyczne uczyni przynajmniej przestarzającymi i mieć uzasadnione nadzieje, że stanie się tak na długo przed-

tem, nim postęp w zakresie technologii defensywnych zdoła uczynić broń jądrową bezsilną /o ile to rzeczywiście możliwe/. Myślę, że różnica polega na tym, iż aby broń uznać za przestarzałą, nie musi ona wcale być bezsilną. Kusza nie jest bezsilna, a jednak jest bronią przestarzałą. Wyszła z użytku, bo z militarnego punktu widzenia jest już bezużyteczna.

Kiedy jednak mówi pan, że "systemy częściowe" czy systemy bardziej umiarkowane pod względem technologicznym są korzystniejsze od pełnego systemu, czy nie powinniśmy być przekonani, że odchodzi pan od marzeń prezydenta?

HOFFMAN: Tak i nie. W snach możemy marzyć, że potrafimy latać i jest to miłe uczucie. Podobnie byłoby to bardzo miłe - i moim zdaniem świat byłby lepszy - gdybyśmy zdołali stać się niewrażliwymi na broń jądrową. Z drugiej strony nie sądzę, abym "odchodził" od celu prezydenta, jakim jest zwiększenie odstraszania i ochrona ludzi, ochrona cywilów. Zasadniczym problemem jest rodzaj ataku, przed jakim mamy się obronić.

Jeśli założy się, że jedyny system obrony, jaki warto stworzyć, to system chroniący przed atakiem, w którym Sowoci przeważającą część swych sił skieruje przeciw miastom, wówczas do realizacji takiego celu w stopniu zadowalającym konieczna jest niemal doskonała obrona. Jeśli zakłada się, że interesuje nas odparcie takiego ataku, którego zasadniczym obiektem staną się cele wojskowe /ale dzięki któremu Rosjanie mogą - jeśli go wykonają - zadać bardzo poważne straty o innym charakterze/, wówczas, jak sądzę, znacznie bardziej ograniczony potencjał obronny może zarówno odstrzążyć przed nim, jak i ochronić ludność cywilną.

Jednym z efektów skutecznej obrony przeciwrakietowej może być fakt, że udaremnia ona zamiar przeprowadzenia ataku nuklearnego, który obróciłby w perzynę cały kraj. Sprawia to, że uderzenie selektywne staje się jedynym sensownym wariantem nuklearnym. Moim zdaniem, a zależy to od efektów pewnych badań technologicznych, jedyny sposób na przełamanie obrony przeciwrakietowej - na tyle, na ile można ją przełamać i o ile w ogóle zostanie ona przełamana - nie polega na zmasowanym ataku, na przeniknięciu jej. Sądzę, zważywszy prawdopodobne cele ataku, że nawet usiłowanie przeniknięcia obrony przeciwrakietowej okaże się bezcelowe. Jeśli ma ona zostać przełamana, to będzie musiało to nastąpić w dziedzinie jakości.

* * *

Zwolennicy SDI są przekonani, że w dalszej perspektywie analiza Freda Hoffmana obala lub przynajmniej osłabia argumentację stosowaną przez Roberta McNamare wobec Rosjan w latach sześćdziesiątych /argumentację, która stała się podstawą układu o obronie przeciwrakietowej - ABM/ głoszącą, że dążenie do obrony doprowadzi jedynie do wzrostu ilości rakiet strategicznych, mających zneutralizować tę obronę. "Gwiezdni wojownicy" uważają dziś "inicjatywę obrony strategicznej" zarazem za środek jak i bodziec do wymuszenia redukcji ilości rakiet ofensywnych, która ponad 10 lat temu miała towarzyszyć układowi o obronie przeciwrakietowej i której nie była w stanie zapewnić kontrola zbrojeń.

Jednak bardziej istotnym założeniem McNamary było przekonanie,

nanie o bezcelowości dążenia do przewagi w erze broni absolutnej. I to właśnie kwestionuje idea "wojen gwiazdnych". Choć nie wyrzeczono się prezydenckiej wizji "obrony ludzkości", Fred Hoffman podkreśla oczywistą różnicę między krótko i długofalowymi celami obrony strategicznej. Początkowo - argumentuje się - dzięki obronie środków ataku oraz instalacji wojskowych wzmoże ona odstraszanie nuklearne. Jednak w ostatecznym efekcie system obrony w kosmosie, o ile zdoła obronić ludność, wyeliminuje potrzebę odstraszania. Czy, rozpatrując to w kategoriach odstraszania, SDI może doprowadzić do obu tych skutków?

Tukidydes, historyk wojny peloponeskiej, który "zapisywał tylko fakty", twierdził, że w wyniku wzrostu potęgi Aten i zaniepokojenia, jakie wywołało to w Sparcie, wojna stała się nieunikniona. Prezydent Nixon obejmując urząd i udzielając poparcia układowi ABM, wyraził obawę przed podobnym rozwojem wydarzeń:

"Choć chciałbym zapewnić Amerykanom absolutną obronę przed atakiem jądrowym, dziś nie jest to w naszej mocy /.../ Przeciwnik mógłby to uznać za wstęp do strategii ofensywnej, zagrażającej jego pozycji."

Jak doszło do zastąpienia tamtej prezydenckiej opinii przez obecną rzeczywistość?

Ludzie nadający dziś ton amerykańskiej debacie na tematy strategiczne, wygłaszają na ten temat zupełnie inne opinie, niż ich koledzy w latach sześćdziesiątych. Wśród tych, którzy najsilniej wpłynęli na amerykańską politykę nuklearną, znajduje się były doradca senatora Henry Jacksona, który w znacznej mierze przygotował jego sprzeciw wobec układów SALT, Richard Perle, dziś zastępca sekretarza obrony.

Czy zarówno USA, jak i Związek Sowiecki powinny dążyć do obrony strategicznej?

RICHARD PERLE: Uważam, że właśnie Stany Zjednoczone powinny dążyć do obrony strategicznej. Sytuacja wygląda nieco inaczej w przypadku Związku Sowieckiego, którego siły ofensywne, technologia i jej baza naukowa, doktryna strategiczna i realizowane cele są, moim zdaniem, całkowicie odmienne. Dlatego sądzę, że bardzo nierozsądne z naszej strony byłoby rywalizowanie z ZSRS w tych dziedzinach, w których posiada on znaczną przewagę.

Związek Sowiecki ma olbrzymią przewagę w zakresie ciągłej produkcji pocisków ofensywnych, zwłaszcza stacjonarnych rakiet balistycznych. Jest w stanie swobodnie przemieszczać rakiety po swoim terytorium; obszar na którym może to czynić jest kilkukrotnie większy od Stanów Zjednoczonych. Nie musi, w przeciwieństwie do nas, kłopotać się zabezpieczeniem przed terrorystami. Tak więc łatwo i stosunkowo efektywnie może powiększać swój arsenał rakiet ofensywnych. Dla nas jest to znacznie trudniejsze. Z drugiej strony jednak jestem przekonany, że posiadamy długofalową przewagę technologiczną, która nie wynika z obecnego stanu naszej wiedzy o obronie strategicznej /jako że to ZSRS wyprzedza nas/, ale z dużą bogatszą bazy technologicznej. Uważam, że z Sowietami trzeba rywalizować tam, gdzie jesteśmy najsilniejsi, na własnym boisku, a nie tam, gdzie jesteśmy najsłabsi.

Czy jednak układ z 1972 r. i sprawa obrony przeciwrakietowej nie stanowią historycznego precedensu, który skłaniać powinien do traktowania SDI jako argumentu przetargowego? Czy twierdzi pan, że program SDI powinien być bezwzględnie kontynuowany? A może powinniśmy uważać go za kolejny przypadek tego samego cyklu, co w latach siedemdziesiątych, w którym poświęcenie tego niewątpliwie bardzo istotnego elementu doprowadzi do nowej równowagi i nowych nadziei?

PERLE: Zadaje pan bardzo prowokacyjne pytanie - zdaje się to sugerować, że zamiast uczyć się z doświadczeń 1972 r., po prostu je powtarzamy. Wtedy posiadaliśmy system obrony przeciwrakietowej, który byliśmy w stanie zainstalować. Uznano go za "element przetargowy", ponieważ uważano, że będziemy mogli uzyskać ograniczenie potencjału ofensywnego ZSRS, co wyeliminowałoby konieczność istnienia amerykańskiej obrony.

Od tego czasu nastąpiły dwie istotne zmiany. Po pierwsze, siły Związku Przerosły nawet najbardziej pesymistyczne oczekiwania, oparte na warunkach z 1972 r. Tak więc nie zre-alizowano zadania wyeliminowania potrzeby amerykańskiej obrony. Po drugie, zaogniając konflikt Rosjanie uznali w 1972 roku, że są opóźnieni w stosunku do USA w zakresie technologii defensywnej i znacznie zwiększyli na nią inwestycje. W efekcie są oni obecnie w stanie rozmieścić obronę antyrakietową, opartą mniej więcej na takiej samej technologii, jaką opracowaliśmy w 1972 r. - my natomiast nie.

* * *

Opinia Richarda Perle o tym, że Amerykanie powinni rywalizować ze Związkiem Sowieckim w tej dziedzinie, w której są najsilniejsi, czyli w technologii, jest zgodna z dokonaną przed ponad stu laty przez Alexisa de Tocqueville'a analizą powstających wówczas mocarstw. Tocqueville uważał, że jest to rywalizacja pomiędzy "dominacją nad naturą" a "dominacją nad człowiekiem". Amerykanin - twierdził on - przewycięża przeszkody stwarzane przez naturę, Rosjanin zmierza do panowania nad ludźmi. Pierwszy walczy z dzikimi ostępami, drugi - z cywilizacją. Zasada Amerykanina jest "wolność", Rosjanina - "zniewolenie". Począwszy od II wojny światowej Zachód zawsze usiłował bronić się raczej swą przewagą technologiczną, niż olbrzymim arsenałem konwencjonalnym, jakim dysponują będące w ciągłym stanie mobilizacji społeczeństwa typu sowieckiego. Naukowa inicjatywa stworzenia obrony strategicznej jest kontynuacją tej tradycji.

Pytanie o to, czy prezydencka "inicjatywa obrony strategicznej" może być wykorzystana w negocjacjach z Rosjanami jako środek do uzyskania "głębokich cięć" w arsenale nuklearnym, których nie zdołał osiągnąć prezydent Carter /Reagan twierdzi, że nie spełni ona takiej funkcji/, czy w ostatecznym efekcie stanie się ona impulsem, który raz jeszcze pozwoli Syzyfowi potoczyć pod górę giaz kontroli zbrojeń - wywołało obecny spór i zdominuje tematykę spotkań na szczycie w najbliższych latach.

W jednej z wcześniejszych części tego artykułu Gerard Smith, szef amerykańskiej delegacji na zakończone układem o obronie przeciwrakietowej rozmowy SALT w 1972 r., przypominał "westchnienie ulgi", z jakim Francja i Wielka Brytania powitały podpisanie tego układu. Ograniczenie obrony przeciwrakietowej usankcjonowało "niezależną siłę odstraszania"

mniejszych potencjałów jądrowych Anglii i Francji. Jednym z zadań, jakie prezydent Reagan postawił zespołowi ekspertów Freda Hoffmana, było również zbadanie konsekwencji, jakie "wojny gwiazdne" niosą dla brytyjskiej i francuskiej zdolności odstraszania.

HOFFMAN: Było jasne, że pojawią się wątpliwości co do wpływu SDI na narodowe arsenały jądrowe. I rzeczywiście wystąpiły. Dotyczyły one również żywotności "strategii selektywnej reakcji" - selektywnej reakcji ofensywnej w przypadku obrony. Obie te kwestie wiążą się jednak z pewnym założeniem, mającym według mnie absolutnie kluczowe znaczenie. Wynika z niego, że jeśli Stany Zjednoczone odstąpią od prac nad obroną przeciwrakietową, to Rosjanie również bezwarunkowo ich zaniechają. Jest oczywiste, że to nie amerykańska obrona zagrożą narodowym arsenałom jądrowym czy polityce "selektywnej reakcji", ale sowiecki system obronny.

Do jakich wniosków doszliście odnośnie wpływu SDI na niewielką europejską zdolność odstraszania?

HOFFMAN: Sądzę, że SDI nie wywołuje żadnych bezpośrednich konsekwencji w odniesieniu do małych potencjałów jądrowych. Może ona mieć znaczenie marginalne, to znaczy może przyspieszyć lub opóźnić o kilka lat sowiecką decyzję o rozmieszczeniu systemu obrony przeciwrakietowej; jednak moim zdaniem, jeśli w naturze istnieje dotąd nie odkryty, stosunkowo efektywny zestaw technologii dotyczących obrony przeciwrakietowej, Rosjanie odkryją prędzej czy później i zainstalują taką obronę. Wydaje mi się, że można uzasadnić każdy rodzaj skutków, jakie SDI wywoła na tym polu.

Jeśli jest się przekonany, że brak poważniejszych wysiłków ze strony USA stworzy silniejsze niż innym przypadku bodźce do naruszenia przez Sowietów postanowień układu o obronie przeciwrakietowej, wtedy SDI - stanowiąc groźbę przed takimi naruszeniami - prawdopodobnie oddziaływałaby na korzyść efektywności małych potencjałów nuklearnych.

Jeżeli zaś SDI wywoła efekt odwrotny, jeśli doprowadzi Rosjan do wniosku, że nie mają nic do stracenia, wówczas przyczyni się do szybszego niż w innym przypadku zlikwidowania tego problemu. Jednak tak czy inaczej kwestia podstawowa - dopóki Wielka Brytania i Francja utrzymują w mocy decyzję o posiadaniu narodowego arsenału jądrowego - dotyczy współpracy w zakresie zadań tych arsenałów oraz ich technologicznego wsparcia. Tu właśnie jednym z zadań "inicjatywy obrony strategicznej" będzie doprowadzenie do lepszego zrozumienia, czego wymagałaby próba przeniknięcia obrony przeciwrakietowej. Jest to właśnie płaszczyzna współpracy, o ile uznana ona zostanie za leżącą w obopólnym interesie.

Zgodzi się pan jednak z tym, że - patrząc w przeszłość - amerykański sposób pojmowania tego problemu nie zawsze był spójny? W administracji Nixona istniało silne poparcie dla koncepcji "drugiego centrum decyzyjnego", niewiele wcześniej Robert McNamara /w swym ateńskim przemówieniu z 1960 r./ był temu przeciwny.

HOFFMAN: Muszę przyznać, że nigdy nie byłem zwolennikiem narodowych arsenałów jądrowych.

Czy dlatego, że komplikuje to amerykańską pozycję?

HOFFMAN: Tak. I odciąga środki od tego, co uważamy za wyższe cele Sojuszu.

* * *

Oba supermocarstwa weszły na drogę badań i rozwijania technologii, które mogą je zaprowadzić daleko poza strategiczne możliwości pojedynczych państw Europy Zachodniej. Spowodowałyby to całkiem nową sytuację w erze nuklearnej. Wielofunkcyjność obrony strategicznej leży w bezpośrednim interesie Europy, będąc jednocześnie obiektem szczególnej troski Wielkiej Brytanii i Francji jako nuklearnych potęg.

EUROPA I AMERYKA: POJEDNANIE POD GWIAZDAMI?

Reaganowska koncepcja SDI rozszerzyła wachlarz możliwości i wątpliwości dotyczących Europy Zachodniej. Jak dotąd fakty świadczą o tym, że SDI jest dla Związku Sowieckiego wyzwaniem poważnym i dobrze przemyślanym. Przykuła również uwagę amerykańskich sojuszników, których reakcje zdają wahać się między fascynacją a obawami.

Ambicją obrony strategicznej jest zastąpienie obecnej nuklearnej rzeczywistości gwarantowanego zniszczenia opartej na groźbie równie silnego jak atak odwetu - "gwarantowanym przetrwaniem". Wśród argumentów na rzecz "wojen gwiazdnych" wymienia się również bezpodstawność przypuszczenia, że jakkolwiek system bezpieczeństwa, w tym również nuklearne odstraszanie, może skutecznie funkcjonować przez dziesiątki lat. Argumentacja prezydenta Reagana, iż groźba wzajemnego unicestwienia jest z definicji moralnie zła, a równowaga na niej oparta coraz mniej stabilna, przypomina pochodzący z innej epoki komentarz angielskiego "posepnego dziekana", Deana Inge, na temat wieprzy gądareńskich: "Niewątpliwie zdawało im się, że przez pierwszą połowę drogi szło im dobrze".

Skąd więc biorą się zasadnicze wątpliwości Europy? Z tym pytaniem musimy zwrócić się do europejskich przywódców, którzy w przeszłości zajmowali się strategicznymi alternatywami.

Zasadniczym celem inicjatywy "wojen gwiazdnych" jest stworzenie tak silnej obrony, by nie mogło być rzadnej gwarancji, że mogą ją przeniknąć rakiety balistyczne. Od czasu, gdy pierwszy sowiecki pocisk międzykontynentalny położył kres uprzywilejowanemu bezpieczeństwu USA, Ameryka wraz ze swymi zachodnioeuropejskimi sojusznikami dzieli ryzyko wojny jądrowej. Obrona strategiczna nieuchronie wywołuje wątpliwości co do sprawiedliwego podziału owego ryzyka w przyszłości. Gdyby bowiem Rosjanie mieli pójść za tym przykładem i osiągnąć sukces we własnych pracach badawczych nad rozwojem "obrony w kosmosie", oznaczałoby to uwolnienie się ich od odstraszonego zagrożenia nuklearnym odwetem i, jak się twierdzi, Europa stałaby się wówczas wygodnym terenem dla wojny konwencjonalnej.

Reaganowska wizja Ameryki bronionej z kosmosu przed nuk-

learnymi pociskami strategicznymi jest zdecydowanym odejściem od pryncypiów traktatu o obronie przeciwrakietowej - ABM, z 1972 r., które wspierały się na doktrynie "obustronnie gwarantowanej zagłady", zarzuconej obecnie na rzecz idei obrony strategicznej.

Brytyjski potencjał nuklearnego odstraszenia, będący przez 24 godziny na dobę w stałej gotowości na dnie oceanów, pozostaje w bezpośrednim związku z ograniczonym systemem obrony, na jaką zezwala układ ABM. Wykorzystując możliwość, z której Amerykanie nie skorzystali w odniesieniu do Waszyngtonu, Sowieci począwszy od lat sześćdziesiątych, kiedy jako pierwsi zainstalowali system obrony przeciwrakietowej wokół Moskwy, stale go, w ramach ograniczeń traktatowych, modernizują. W odpowiedzi Wielka Brytania dokonała kosztownego udoskonalenia głowicy "Chevaline" do swych rakiet "Polaris", aby utrzymać groźbę brytyjskiego odwetu w obliczu owej ograniczonej obrony. W przypadku małego potencjału odstrasżającego zarówno "Chevaline", jak i układ o obronie przeciwrakietowej uznane zostały za konieczne dla wiarygodności brytyjskiego potencjału i aby nie stał się on narodową osobliwością militarną. Takiej właśnie rady udzielał kolejnym brytyjskim rządóm ówczesny główny doradca d.s. naukowych rządu profesor sir Hermann Bondi.

HERMANN BONDI: Brytyjski potencjał w tej postaci, w jakiej istniał jeszcze kilka lat temu, nie gwarantował dotarcia rakiet do Moskwy. Tak więc należało stwierdzić, że jeśli zostanie on nakierowany na Moskwę, najprawdopodobniej - nie na pewno, ale z dużym prawdopodobieństwem - okaże się nieskuteczny.

A więc związek występujący między sowiecką obroną /modernizacja systemu obrony przeciwrakietowej wokół Moskwy/ a modernizacją brytyjskiego potencjału nuklearnego jest oczywisty. Istnieje bezpośrednia zależność.

BONDI: Oczywiście. Nasza reakcja wynika z politycznego stosunku do tzw. "moskiewskiego kryterium".

Czy może pan wyjaśnić, dlaczego Wielka Brytania powiększa swoją zdolność odstraszenia z "moskiewskim kryterium"?

BONDI: Nasza rezygnacja z potencjału, który jest nie tylko niewielki ale i drugorzędny jakościowo, poważnie ograniczyłaby polityczny efekt posiadania przez Sojusz zdolności odstraszenia w ogóle. Stąd znaczenie "moskiewskiego kryterium". W ramach polityki Sojuszu jest ono istotne.

Mówiąc o "stronie przeciwnej" mówi się oczywiście o systemie wysoce scentralizowanym, w stopniu, jaki z trudem możemy sobie wyobrazić. Bez wątplenia podejmie ona środki ostrożności. Podjęła je już - przecież oczywiste jest ogromne znaczenie Moskwy dla ZSRS. Tak więc odstąpienie od "moskiewskiego kryterium" spowodowałoby poważne ograniczenie tego, co można określić "jakością odstraszenia" i jego zasadniczego celu, jakim jest zachowanie pokoju.

Europejskie rządy ze szczególną niechęcią odступują od odwiecznych przekonań, wiążących bezpieczeństwo z narodową suwerennością, jednak jak dowodzi Hermann Bondi, wizja "wojen gwiazdnych" powoduje konieczność przewartościowania obu tych pojęć.

Przez niemal pół wieku, od czasu gdy dowiedziono, że możliwe jest skonstruowanie bomby atomowej, Wielka Brytania zaangażowana była w produkcję broni jądrowej i dowiodła - pod rządami wszystkich powojennych gabinetów - że jest zdecydowana zachować niezależny potencjał nuklearny. Amerykanie jednak nie zawsze byli przekonani, że Brytyjczykom należy w tym pomagać. Historia wzajemnych "stosunków nuklearnych" ze Stanami Zjednoczonymi odnotowała momenty, kiedy Wielka Brytania zostawała nieomal jednostronnie rozbrojona przez swego najbliższego sojusznika, co wstrząsało angielsko-amerykańskimi stosunkami politycznymi. Od tego czasu Wielka Brytania podjęła szereg przedsięwzięć umacniających jej stosunki z Europą, przede wszystkim przystąpiła do EWG.

Jak problemy, wynikające z perspektywy podjęcia prac nad obroną strategiczną, są dziś oceniane przez Edwarda Heatha, brytyjskiego premiera, który dokonał zbliżenia Wielkiej Brytanii do Europy i którego rząd podjął decyzję o modernizacji brytyjskiej zdolności nuklearnego odstraszania?

EDWARD HEATH: Obawiam się, że może się to skończyć podobnie, jak współpraca w zakresie badań jądrowych podczas II wojny światowej, zakończona decyzją Kongresu bezpośrednio po wojnie. Uchwalając *McMahon Act* Kongres stwierdził, że żadne z mocarstw uczestniczących w tej współpracy nie może mieć dostępu do zdobytych informacji. Myślę, że powinniśmy zapamiętać tę lekcję - była to surowa nauczka.

Rozważając problem z naszego własnego punktu widzenia napotykamy na pewne znane powtarzające się pytania. Jeśli przyłączymy się do prac naukowo-badawczych nad "inicjatywą obrony strategicznej", będzie to oznaczało zużycie części naszych rezerw. Co za to w ostatecznym rachunku otrzymamy? Praktycznie rzecz biorąc - nic.

Amerykanie zachowują kontrolę nad każdym systemem, jaki zostanie opracowany; amerykański biznes i amerykańskie firmy zachowują kontrolę nad wszelkimi korzyściami ekonomicznymi, zaś my w Europie nie dostaniemy nic. Wynika z tego wniosek, jaki już postawiłem - Europa musi zajmować się własnymi interesami, współpracując z Sojuszem, ale nie podporządkowując się Sojuszowi. Ostatecznie taki właśnie był sens utrzymania przez Wielką Brytanię własnego potencjału nuklearnego i powód, dla którego Francuzi utworzyli swój. Dawno temu /było to chyba w 1967 r./, podczas wykładów w Harvardzie, sugerowałem, że potencjał Wielkiej Brytanii i Francji powinien zostać połączony. Można tego dokonać na wiele sposobów i zasugerowałem dwa lub trzy, ale niestety nie nastąpiło to. Pragnąłem wtedy i nadal pragnę tego doczekać.

Badania i osiągnięcia naukowe były nieodłącznym elementem szczególnych stosunków angielsko-amerykańskich. Czy zgodzi się pan jednak, że pomiędzy Wielką Brytanią a USA istnieje rosnąca z roku na rok luka? Luka, która po raz pierwszy pojawiła się w dziedzinie atomistyki. Był "Polaris"; "Trident" stoi pod znakiem zapytania z uwagi na jego olbrzymie koszty, zaś SDI jest daleko poza naszym zasięgiem. Jakie pańskim zdaniem

stwarza to problemy?

HEATH: Oczywiście pierwszy przykład, jaki przychodzi na myśl, to "Skybolt", początkowo obiecany przez Amerykanów i następnie odrzucony przez prezydenta Kennedy'ego. Nie zaproponowano nam nic w zamian, przez co pozostalibyśmy całkowicie pozbawieni środków obrony nuklearnej. Dopiero dzięki długim dyskusjom Harolda Macmillana z Kennedym /sądzę, że w rzeczywistości przesądził o tym osobisty wpływ premiera na prezydenta/ otrzymaliśmy okręty podwodne "Polaris". Zostało to obwarowane szeregiem sztywnych ograniczeń, ale udało się nam zaszczerzec, że w przypadku, gdy staniemy w obliczu narodowego zagrożenia, będziemy mogli ich użyć. Tak więc obecna sytuacja prowadzi do następnego pytania: czy nie powinniśmy powiększać naszego potencjału tak, by nie stać się całkowicie zależnymi w tym zakresie nie tylko od decyzji administracji, ale i Kongresu?

* * *

W ciągu 30 lat od konferencji messyńskiej z 1955 roku, podczas której utworzono Wspólnotę Europejską, państwa Europy Zachodniej miały dość czasu, by realizować wspólną politykę zagraniczną i obronną. Nie osiągnęły jednak większych sukcesów. Zalecane przez Edwarda Heatha szczególne stosunki ze Wspólnotą - stnowiące dopełnienie uznawanych przez niego za naturalne stosunków ze Stanami Zjednoczonymi - są krokiem, wobec którego jego następcy okazali się dużo bardziej niezdecydowani.

Jeszcze w 1962 r., kiedy zawieszono sprawę "Skybolta", Harold Macmillan i jego gabinet uznali to za amerykańską próbę likwidacji niezależnego brytyjskiego potencjału jądrowego. Amerykańska dyplomacja zmierzała do zintegrowania potencjałów brytyjskiego i francuskiego w wielonarodową siłę w ramach NATO, podporządkowaną amerykańskiej kontroli. Wyowiedź Freda Hoffmana /który kierował jednym zespołów doradców prezydenta Reagana do spraw konsekwencji koncepcji "wojen gwiazdnych" dla polityki NATO/: "Muszę przyznać, że nigdy nie byłem zwolennikiem narodowych arsenałów jądrowych" dowodzi, że kwestia ta jest - przynajmniej dla Amerykanów - nadal aktualna. Prawdopodobne skutki, jeśli nie intencje, "wojen gwiazdnych" skłaniają do porównań z debatą na temat sił wielonarodowych z lat sześćdziesiątych.

Kiedy Harold Macmillan przekonał prezydenta Kennedy'ego, by zamiast pogłębiać współpracę w dziedzinie badań nuklearnych z Francją, przekazał Wielkiej Brytanii okręty podwodne "Polaris", generał de Gaulle uznał to za dowód zasadniczych rozbieżności w kwestii planów na przyszłość. De Gaulle zgłosił veto wobec pierwszej próby przystąpienia Wielkiej Brytanii do EWG, co spowodowało również, że w Europie istnieją dziś dwa arsenały jądrowe.

"Inicjatywa obrony strategicznej" i jej sowiecki odpowiednik są ostrzeżeniem przed starzeniem się potencjałów Wielkiej Brytanii i Francji, ograniczającym ich zdolności odstraszania. W jaki sposób te państwa zareagują tym razem na perspektywy stwarzane przez SDI, podobne do tych, przed którymi stanęły w 1962 r.?

Maurice Couve de Murville był ministrem spraw zagranicznych w rządzie de Gaulle'a, a dziś jest rzecznikiem odradza-

jącej się tradycji gaullistowskiej.

MAURICE COUVE DE MURVILLE: W zasadzie możemy być obecnie przekonani, że jeśli SDI zostanie w ślad za Stanami Zjednoczonymi wprowadzona w Związku Sowieckim, będzie to obrona przede wszystkim przed bronią strategiczną zbudowaną przez Brytyjczyków i Francuzów. Innymi słowy przed naszymi okrętami podwodnymi. Jest możliwe, a nawet - biorąc pod uwagę to, o czym jesteśmy przekonani - dosyć prawdopodobne, że przystąpimy do rewizji naszego systemu, dążąc do osiągnięcia obrony jądrowej zdolnej do stworzenia zagrożenia Związku Sowieckiego, niezależnie od nowych systemów obronnych, jakie zamierza się zainstalować.

Rozważając sprawę możliwości osiągnięcia "europejskiej osobowości" - "europejskiej Europy" w kwestiach obronnych - czy niezdolność Brytyjczyków do rozszerzenia współpracy z Francuzami w kwestiach nuklearnych w przeszłości stanowi przeszkodę osiągnięcia tego celu obecnie?

COUVE DE MURVILLE: Sądzę, że na to pytanie można odpowiedzieć jedynie: zobaczymy. Bardzo trudno jest określić dziś, nie wiedząc dokładnie na czym polega SDI, jaka współpraca może rozwinąć się pomiędzy Wielką Brytanią a Francją. Wie pan na czym polegały trudności w przeszłości? Na tym, że wy Brytyjczycy, musieliście dokonać wyboru pomiędzy Francuzami a Amerykanami - i wybraliście Amerykanów. Nie wiadomo, czy za dwa, pięć lub dziesięć lat nie staniecie wobec identycznego wyboru, czy Amerykanie nie będą nakłaniali was do poważniejszego zaangażowania się w sprawę SDI.

Pomówi pan, że zacytuje fragment pańskich pamiętników? Wiemy, że w maju 1963 roku powiedział pan prezydentowi Kennedy'emu, iż nuklearna współpraca z Wielką Brytanią była "praktycznie niemożliwa" ale nie "wykluczona z założenia". Czy dziś powiedziałby pan to samo?

COUVE DE MURVILLE: Tak. Uważam, że jest to praktycznie niemożliwe, ponieważ Wielka Brytania i Stany Zjednoczone ściśle w tym zakresie współpracują. Jeśli warunki ulegną zmianie, a po obu stronach, w Paryżu i Londynie, będą wspólne interesy, nie widzę powodów, by nie doszło do ponownej współpracy pomiędzy Francuzami i Brytyjczykami w tym zakresie, podobnie jak później w kwestii SDI.

Gdyby jednak znów miało dojść do podobnego wyboru, czy pańskim zdaniem nastąpiła poważniejsza zmiana sytuacji? Przecież Brytyjczycy są obecnie członkami EWG.

COUVE DE MURVILLE: Tak, sądzą że sytuacja w pewnej mierze uległa zmianie. Brytyjczycy są bliżsi Europejczykom, odkąd przystąpili do Wspólnego Rynku. Dzieli nas również sporo od czasu wojny, a to wojna była okresem najbardziej intensywnej współpracy Brytyjczyków z Amerykanami. Dwadzieścia lat temu duch tej współpracy był jeszcze bardzo silny.

* * *

Były francuski minister spraw zagranicznych także zauważa prawdopodobieństwo wywołania przez SDI - z punktu widzenia Anglików - konieczności dokonania kolejnej oceny przyszłości stosunków angielsko-amerykańskich. Czy ma ona polegać na

szerszym zaangażowaniu Brytyjczyków w Europie, czy też na swoistej angielsko-amerykańskiej wyłączności? Jest oczywiste, że Wielka Brytania ponownie staje przed koniecznością dokonania wyboru.

Do największych osiągnięć Europy od zakończenia II wojny światowej należy pojednanie pomiędzy Francją a Niemcami. Stało się ono motorem europejskiej jedności. Dwa lata temu Helmut Schmidt, kanclerz RFN w latach 1971-82, stwierdził, że konieczne jest podjęcie nowych przedsięwzięć, jeśli Europa Zachodnia ma pozostać obszarem gospodarczym o istotnym znaczeniu. Wezwał do opracowania wspólnego francusko-niemieckiego programu industrializacji i zasugerował, by RFN pomogła sfinansować rozbudowę francuskiego arsenału konwencjonalnego, zaś Francja rozważyła możliwość rozszerzenia swych gwarancji nuklearnych na RFN. Były kanclerz zdecydowanie sprzeciwił się uczestnictwu rządu zachodniemieckiego w programie "wojen gwiazdnych".

Stwierdzając, że odpowiedzią na wyzwanie SDI powinny być nowe kroki zmierzające do osiągnięcia europejskiej wspólnoty interesów, na ile jest pan przekonany, iż współpraca w zakresie obrony pomiędzy Francją a RFN stanie się efektywniejsza niż dotąd?

HELMUT SCHMIDT: Nie chodzi tylko o reakcję na SDI. Od ponad 20 lat jestem zwolennikiem bliskiej współpracy pomiędzy Francją i Niemcami. Zostałem wychowany na anglofila, jednak brytyjska polityka wobec Europy i EWG w okresie jej powstania rozczarowała mnie. Żywiłem wówczas przekonanie, że potęga i przywództwo Stanów Zjednoczonych są konieczne. Później /a mam obecnie 67 lat/, po 30 latach aktywnego uczestnictwa w polityce zrozumiałem, że interesy Niemiec zostaną najlepiej zrealizowane dzięki współpracy z Francuzami. Czy też mówiąc inaczej, wszystko, czego pragną Niemcy - na przykład uznawana pozycja w społeczności międzynarodowej, normalne stosunki z narodami Europy Wschodniej, pragnienie ostatecznego połączenia obu części Niemiec /czy przynajmniej zebrania dwu części narodu niemieckiego pod jednym dachem/ - może nastąpić, o ile kiedykolwiek nastąpi, tylko wtedy, jeśli będzie akceptowane przez Francuzów. Francuska akceptacja niemieckich celów strategicznych stanowi konieczną legitymację - bez niej nie mogło by to nigdy nastąpić. Amerykańska legitymacja nie działa w Europie. Brytyjska może działać, ale nie jest aż tak warta zachodu. Liczy się legitymacja francuska.

I dlatego pańskim zdaniem bezwarunkowy sojusz z Francją jest niezbędny dla przyszłości Europy?

SCHMIDT: Nie zgodziłbym się ze słowem "bezwarunkowy". Nie zgodziłbym się na podobne określenie nawet w odniesieniu do małżeństwa. Za to sojusz z Francją - tak. W późniejszym okresie musiałyby to objąć również specyficzną współpracę militarną.

Czy jednak projekt w rodzaju SDI nie jest potencjalnie nową jakością, która może nas zmusić do zmiany horyzontów dotychczasowego myślenia? Czy sądzi pan, że zagadnienie rozszerzenia francuskiego odstraszania może ponownie pojawić się w atmosferze takiego napięcia, jak stało się to choćby w latach sześćdziesiątych w przypadku Adenauera i de Gaulle'a?

SCHMIDT: Nie jest to zbyt prawdopodobne, choć we Francji narasta prawdopodobieństwo takiego obrotu wydarzeń. Powiększenie obszaru, który ma być chroniony przez ich jądrową *force de frappe* jest przez Francuzów uważane za bardzo istotne, jednak poważnie wahają się oni przed tym krokiem, choć wątpliwości zmalały. Z punktu widzenia Niemców jest to bardziej zagadnienie psychologiczne, niż militarne.

Czy dalszy rozwój wydarzeń może nałożyć na Republikę Federalną Niemiec nowe zobowiązania?

SCHMIDT: Mam nadzieję, że nie, mam taką nadzieję. Wpłynęłyby to szkodliwie na interesy Niemiec, gdyby zostały one posądzone o odgrywanie jakiegokolwiek roli w kwestiach nuklearnych. Niemcy nie powinny tego robić.

Czy jednak wyklucza to możliwość udziału w pewnych systemach na mocy "porozumień dwustronnych"?

SCHMIDT: Nie. "Porozumienie dwustronne" jest czymś odmiennym. Może ono oznaczać kompetencje, by powiedzieć "nie", niekoniecznie zaś kompetencje, by powiedzieć "tak".

* * *

Nowy niemiecki entuzjazm wobec współpracy z Francją w dziedzinie obronności, uosabiany przez Helmuta Schmidta, spotkał się z francuską wolą omówienia kwestii nuklearnych w zakresie szerszym, niż kiedykolwiek dotychczas, co dowodzi politycznego zwrotu na rzecz nawiązania bliższej współpracy militarnej z RFN, jaki dokonuje się w Francji. Tak więc istnieją podstawy do utworzenia nowego układu sił w Europie Środkowej.

Dlatego też w ramach EWG narastają naciski, by Wielka Brytania - która musi dopiero znaleźć swoje polityczne miejsce we Wspólnocie - zadeklarowała swój akces do procesu tworzenia europejskiej samodzielności strategicznej. Czy powinna ona przyjąć formę "zinstytucjonalizowanych różnic" względem Stanów Zjednoczonych? Stawia to Brytyjczyków w obliczu starego problemu - całokształtu stosunków pomiędzy Europą a Ameryką.

HEATH: W Europie dojdzie do napięć, jeśli okaże się, że Francja i RFN będą usiłowały sterować EWG zgodnie ze swoimi potrzebami lub koncentrują się na nowych zagadnieniach, takich jak obrona oraz środki ją zapewniające, zamiast współpracować z innymi państwami. Znajdziemy się w kłopotach, jeśli nie będziemy przygotowani na pełne zaangażowanie się wraz z tymi państwami w europejską działalność na obu tych płaszczyznach. Moja rada jest bardzo prosta: powinniśmy być do tego przygotowani.

Czy spodoba się to Ameryce? Czy nie jest to kwestia decydująca?

HEATH: Cóż, nie można oceniać wydarzeń międzynarodowych na podstawie tego, czy się coś lubi, czy też nie. Prezydent Kennedy powiedział mi w 1962 roku: "Wyobrażam sobie Sojusz Atlantycki jako dwa wysokie, równe filary stojące po obu stronach Atlantyku." "Jednak - odparłem - wy jesteście wysokim,

silnym filarem, zaś my w Europie niskim i raczej chwiejnym." Odpowiedział: "Tak, ale pragnę uczestnictwa Wielkiej Brytanii z tego właśnie powodu, by stworzyć wysoki, silny filar Europy. Taki będzie nasz sojusz."

Pozwolę sobie zacytować fragment pańskiej wypowiedzi z lat sześćdziesiątych:

"Osobiście nie sądzę, by realistyczne było przekonanie, że obrona zostanie całkowicie wyłączonej z europejskiego eksperymentu /.../ Jest nieprawdopodobne, by po wydatkowaniu tak wielkich kapitałów i wysiłków Wielka Brytania czy Francja po prostu pozwoliły na rozpad ich potencjałów nuklearnych i powróciły do pełnej zależności od amerykańskiej zdolności odstraszenia. Koncepcja europejskiego systemu obronnego może się dla nich okazać bardzo atrakcyjna."

W obliczu "inicjatywy obrony strategicznej", która zgodnie z ogłoszonym przez wielu przekonaniem ma ograniczyć znaczenie małych arsenałów jądrowych, jak wygląda owa kwestia dwóch potencjałów nuklearnych w odniesieniu do "europejskiej samodzielności strategicznej"?

HEATH: Uważam, że powinniśmy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by doprowadzić do zawarcia porozumienia o nietworzeniu systemu SDI przez dwa supermocarstwa, a także przez pozostałe państwa. Oczywiście problemy nie są aż tak wielkie, jak mogłoby się to na pierwszy rzut oka wydawać. Twierdzę bowiem, że my w Europie musimy posiadać siły nuklearne. Francuzi posiadają własne zasoby pozwalające produkować je bez amerykańskiej pomocy. Być może - w różny sposób w przeszłości - korzystali z amerykańskiej wiedzy i wsparcia, ale jest to ich potencjał. Jeśli chodzi o nas, jesteśmy w stanie zapewnić podstawowe elementy składowe takich sił, a jeśli okaże się to konieczne, opracować nasze własne rozwiązania. Sądzę, że konieczne jest, by Europa zachowała swój własny potencjał, by zachowały go niektóre państwa europejskie.

Oczywiście, zawsze istniały argumenty dotyczące angażowania się Niemców, mówiło się, że dzięki temu będą oni mieli "palec na spuście". Nie było nigdy podobnej propozycji. Oznaczałoby to, że Niemcy uchwycą "zawór bezpieczeństwa", ale przecież nikt nie mógłby jako jedyny trzymać palca na spuście.

Czy koncepcję "porozumień dwustronnych", oznaczających rozwój niemieckiej polityki obronnej, uważa pan za jeden z prawdopodobnych wariantów rozwoju sytuacji?

HEATH: Z pewnością jest to możliwe. Sądzę, że powinniśmy przekonać ludzi, by w 40 lat po zakończeniu II wojny światowej podchodzili do tego w sposób bardziej racjonalny i rozpatrywali przyszłość i obronę kontynentu w kontekście istnienia bloku sowieckiego.

* * *

Historia przedsięwzięć, wiodących do integracji militarnej, takich jak Europejska Wspólnota Obronna z lat pięćdziesiątych, nie jest zachęcająca. Jednak suwerenność jest taka, jaką się ją stworzy. Nowa debata dopiero się rozpoczęła. Trudno przewidzieć, w jakim stopniu koncepcje w rodzaju "wo-

jen gwiazdych" mogą zmienić uprzedzenia narodów Europy Zachodniej; czy pozostaną one na dawnych pozycjach, umożliwiających bezpieczny odwrót.

Zasadniczym celem brytyjskiego potencjału nuklearnego - co zaakceptowały wszystkie jak dotąd brytyjskie rządy - jest suwerenność, nawet za wszelką cenę. Gdyby członkowie sowieckiego Politbiura uznali, że Amerykanie nie przyjdą Europie z pomocą - gdyby prezydent był słaby, czy też w Ameryce panowała atmosfera rezygnacji - wówczas zdolność odstraszenia amerykańskiej broni jądrowej okazałaby się zerowa. Pojawia się więc potrzeba powołania niezależnego potencjału odstraszającego, drugiego centrum decyzyjnego, które w efekcie związałoby USA z obroną Europy.

W nowych okolicznościach, które pojawiają się, gdy tylko obrona strategiczna stanie się bardziej prawdopodobna, argumenty przemawiać będą za różnymi rozwiązaniami. Gdyby powstał sowiecki system obrony typu "wojen gwiazdnych", czy też gdyby naruszono postanowienia układu o obronie przeciwrakietowej /ABM/, w Wielkiej Brytanii doszłoby do umocnienia pozycji zwolenników okrętów podwodnych "Trident" i ich większej siły rażenia w porównaniu z okrętami "Polaris". Jednak w czasie, gdy w Wielkiej Brytanii dyskutowano i podejmowano decyzje dotyczące losów "Tridentów", nie było jeszcze perspektyw ani rozważań nad SDI. Jeśli strategiczne rakiety balistyczne mają nieuchronnie stać się przestarzałe, wówczas można by twierdzić, że brytyjskie wysiłki obronne powinny koncentrować się na wspomaganiu powiększania sił konwencjonalnych w Europie. Zdaniem Helmuta Schmidta tu właśnie leżą przyczyny nierównowagi sił pomiędzy Wschodem a Zachodem.

SCHMIDT: Europejczycy muszą zrozumieć, że własnymi środkami nie są w stanie stworzyć dostatecznie dużego arsenału, równoważącego sowiecki strategiczny potencjał nuklearny. Są jednak w stanie stworzyć siły wystarczające do zrównoważenia tych sił nieatomowych, które mogłyby zgromadzić Związek Sowiecki.

Dlaczego więc tego nie robią? Przecież potrzeba tylko jasności umysłów przywódców politycznych w Paryżu, Bonn i kilku innych miejscach. Tej jasności umysłów brakuje nam najbardziej - nie ilości narad ekspertów, czy sympozjów naukowych. Mieliśmy ich już dosyć!

Jaki byłby polityczny cel tych wysiłków? Czy miałyby one zapobiec rozbieżnościom w stosunkach z USA, czy też stanowią ich przygotowanie?

SCHMIDT: Nie, żaden z nich. Wie pan, "rozbieżności pomiędzy Europą a USA" czy "kryzys w NATO" - słyszę to od ponad 35 lat. Nie dostrzegam żadnych zasadniczych zagrożeń dla spójności Sojuszu militarnego. Obserwuję natomiast rozbieżności w sposobie strategicznego myślenia i niezwykle brak zdolności przywódczych u przywódców.

Powstała jednak luka w sposobach strategicznego myślenia. Na ile ważne jest pańskim zdaniem zlikwidowanie jej?

SCHMIDT: Jest to ważne. Częściowo można tego dokonać dzięki decyzji Paryża. Jednak w sposób ostateczny mogą to uczynić tylko Amerykanie.

W jaki sposób możnaby "dokonać tego w Paryżu"?

SCHMIDT: Gdyby na przykład prezydent Francji doszedł do wniosku, że siły jego i siły niemieckie powinny połączyć się - oraz, że /by wzmocnić oddziaływanie psychologiczne/ rozszerzy zasięg obrony swej *force de frappe* do Łaby lub innego podobnego punktu, załatwiłoby to większą część problemu. Gdyby jeszcze stwierdził, że choć Francja zachowa swój własny potencjał nuklearny, niemniej jednak skłonna jest uznać, że interesy Amerykanów wymagają zachowania ogólnej równowagi ze strategicznymi siłami sowieckimi, w zupełności by to wystarczyło. Zależy to jednak przede wszystkim od woli Paryża.

Czy "specyficznie europejska" inicjatywa obronna wydaje się panu prawdopodobna i celowa?

SCHMIDT: Tak, oczywiście. Załóżmy, że Francja, RFN i kraje Beneluksu połączą swe siły. Załóżmy też, że uzupełni je około 35 tys. żołnierzy brytyjskich, jeśli tego zechcecie. Podporządkowujemy ich wszystkim francuskiemu naczelnemu dowództwu. Zdałoby to egzamin. Wywarłoby spore wrażenie na marszałku Ogarkowie czy jego następcach i stworzyłoby znacznie większy efekt odstraszania, niż wszystkie te cholerne brednie o "wojnach gwiazdnych".

* * *

Takie frustracje przeżywa Europa Zachodnia, tracąca przez swą własną nieudolność skuteczność polityczną, sceptyczna wobec technicznej możliwości zrealizowania prezydenckiej wizji, zaniepokojona jej kosztami. Sojusz zachodni świętował 40 pomyślnych lat i przetrwał wszystkie burze, jakie te lata przyniosły. Mimo to jednak takie postawy odzwierciedlają długotrwałe wewnętrzne napięcia. Koncentrują się one obecnie na kwestii nierównowagi gospodarczej pomiędzy Europą i Ameryką oraz na różnicach w ocenie skali sowieckiego zagrożenia.

To właśnie w tej ostatniej dziedzinie - wyjątkowego przywileju wspólnych działań wywiadowczych wraz ze współpracą w zakresie badań jądrowych - Wielka Brytania cieszy się resztkami "szczególnych stosunków" z Stanami Zjednoczonymi. Zaś dzisiejsze "szczególne stosunki" z RFN Amerykanie opierają na sile. Były kanclerz niemiecki uważa uważa szczególne stosunki angielsko-amerykańskie za prawie nieistniejące. Parafrawując Dickensowski opis Mr Squeersa w *Nicholasie Nicklebym*, Helmut Schmidt zauważa, że NATO ma tylko jedno oko, podczas gdy powszechny przesąd faworyzuje dwoje oczu...

SCHMIDT: Wyrobiłem sobie zdecydowany pogląd. Podczas mojej kadencji współpracowałem z czterema amerykańskimi prezydentami i nie wiem już ilu sekretarzami obrony, wśród których było kilka wybitnych postaci. Jednak interpretacja tego, co leży w strategicznym interesie Stanów Zjednoczonych - czy w ogóle całego Zachodu - zmieniała się nader często. Zgodnie z obowiązującą w danej chwili interpretacją manipulowali zdjęciami satelitarnymi. Manipulowali dostępnymi im danymi, przedstawiając je w sposób odpowiadający obowiązującej doktrynie strategicznej.

Dlatego też pragnąłbym, żeby Europa stała się na tyle niezależna w zdobywaniu informacji, na ile to tylko możliwe. Europa powinna posiadać własne satelity ostrzegające i łatwo

można to osiągnąć. Dlaczegożby nie? Mamy wszelkie środki techniczne i finansowe, więc czemu nie dokonać tego. Musimy być niezależni od różnych interpretacji i od selektywności, z jaką jesteśmy informowani na skutek różnicowania, zmian personalnych na przykład w Pentagonie lub CIA.

Czy Brytyjczycy powinni zdobyć się na poświęcenie tej reszty "szczególnych stosunków", dotyczących kwestii nuklearnych i wywiadowczych, ze Stanami Zjednoczonymi, jaka im pozostała? Czy powinniśmy rozpatrzyć to ponownie na korzyść ugrupowania zachodnioeuropejskiego, w którym odgrywałibyśmy znaczenie mniejszą rolę niż RFN czy Francja?

SCHMIDT: Nie wiem. Sądzę, że jest to pytanie stawiane od czasu do czasu w Londynie, ale w rzeczywistości mało interesujące Europejczyków z kontynentu. Kontynentalni Europejczycy mają wrażenie, że tzw. "szczególne stosunki" są w gruncie rzeczy nader szczególne z uwagi na to, że mają jednostronny, a nie dwustronny charakter. To Brytyjczycy mówią o szczególnych stosunkach, nie ludzie w Białym Domu. Ci używają tego sformułowania tylko wtedy, gdy przyjeżdżają do Westminsteru. Poza tym nie wyczuwa się tego w ich ocenie sytuacji.

* * *

Ameryka i Wielka Brytania nadal mają wspólne interesy strategiczne, ale szczególne stosunki miały początkowo charakter wojenny. U źródeł ich zmiany, podyktowanej zasadniczymi względami siły i interesów, legł ograniczony potencjał militarny Wielkiej Brytanii i powolne, ale stopniowe pogarszanie się jej pozycji gospodarczej. Wielka Brytania stoi w obliczu poważnych problemów finansowych, usiłując przywrócić siłę Armii Renu, zmodernizować uzbrojenie i wyposażenie swych wojsk oraz dokonać przejścia do nowego potencjału odstraszania, opartego na okrętach podwodnych "Trident".

"Wojny gwiazdne" uwypuklają dramatyczną prawdę, że Europa jako zbiór narodowych państw nie jest już w stanie zrobić wszystkiego, co powinno zostać zrobione. Europejczycy żyją w cieniu ostatniego ekspansjonistycznego imperium na ich kontynencie. Czy ich wahanie wobec pokusy jaką stwarza Amerykanom technologia "wojen gwiazdnych" - pokusy uwolnienia od "sprawiedliwego ryzyka", jakie narzuca Sojusz, sprawia że obrona staje się czynnikiem ożywiającym koncepcje europejskiej jedności?

HEATH: Długo uważałem, że jest to konieczność, historyczna konieczność. Czy sama w sobie przywróci dynamikę EWG? Nie sądzę. Uważam, że aby do tego doprowadzić, musimy osiągnąć dalsze postępy w tworzeniu absolutnie wolnego rynku. Jeśli przywrócimy ową dynamikę, wówczas będziemy mieli możliwości osiągnięcia postępu w dziedzinie obronności w sposób, jaki przedstawiłem. Tak więc obie sprawy są wzajemnie powiązane.

Gdy podsumowuje pan perspektywy i ograniczenia, jakie SDI stwarza, nowe kierunki, jakie może wywołać lub wykluczyć, to czy dostrzega pan wzrost niezależności Europy i zmierzach "atlantyzmu"?

HEATH: Dostrzegam zmierzach "atlantyzmu", ale nie mogę stwierdzić, że obserwuję wzrost niezależności Europy. Gdyby "atlantyzm" oceniać w oparciu o praktyczne osiągnięcia, a nie komunikaty z konferencji, to ostatnie kilka lat rozczarowało

mnie. Gdyby jednak ktoś zapytał, czy Europa ożywiła się właśnie z tego powodu, to prawdziwa odpowiedź powinna również brzmieć: nie, nie z tego powodu.

* * *

Europejczycy tak długo opierali swą przyszłość na amerykańskich gwarancjach nuklearnych, że dosłownie zapomnieli o pewnych zasadniczych obowiązkach, przynajmniej dotyczących obrony. Europejskie gwarancje zależały od amerykańskiej przewagi nuklearnej nad Związkiem Sowieckim, a obecnie stanęła ona pod znakiem zapytania. Układ ABM wygaśnie, o ile Rosjanie i Amerykanie nie postanowią wspólnie o jego przedłużeniu, przed zakończeniem bieżącej dekady, istnieją jednak nowe techniczne możliwości stworzenia obrony strategicznej /w pierwszym rzędzie obrony rakiet, później może również ludności/.

Wiele wskazuje na to, że energicznie będzie się zmierzało do ich realizacji. Musi to stworzyć wątpliwości co do odnowienia układu o obronie przeciwrakietowej. Dlatego też Europa stoi przed perspektywą realizacji zarzuconej już kiedyś koncepcji obrony kontynentu amerykańskiego i - w krótkim okresie - wzrostu sowieckiego ofensywnego potencjału nuklearnego. W odniesieniu do tego ostatniego zagadnienia Helmut Schmidt zastanawia się nad rozumowaniem, jakie skłoniło Amerykanów do podjęcia inicjatywy uwieńczonych układem o obronie przeciwrakietowej z 1972 roku.

SCHMIDT: Wydaje mi się, że układ o obronie przeciwrakietowej odpowiadał w gruncie rzeczy primo - interesom USA i secundo - w równym stopniu interesom Związku Sowieckiego. Leżał również w interesie mniejszych mocarstw nuklearnych, jak Wielka Brytania, Francja czy Chiny. Zredukowanie obrony przeciwrakietowej do niewielkiej liczby systemów oznacza, że stosunkowo mało skomplikowane systemy nuklearne /Wielkiej Brytani, Francji i Chin/ do pewnego stopnia zachowują swą wartość strategiczną. W przypadku wygaśnięcia układu zmniejszy się zarówno znaczenie *force de frappe*, jak i brytyjskiej zdolności odstraszania. Nie ma co do tego wątpliwości.

Wiktor Hugo powiedział, że w historii nie ma potężniejszej siły od "idei, której czas nadszedł". Czy strategiczna obrona przed międzykontynentalnymi rakietami balistycznymi jest ideą, której czas nadszedł?

SCHMIDT: Nie sądzę. Idea ta narodziła się w latach sześćdziesiątych pod mniej rozreklamowaną nazwą i nie wydaje mi się, by nadchodził przełom. W szczególności nie widzę takiej sytuacji, w której Zachód dysponowałaby środkami umożliwiającymi strategiczny przełom, jakich nie posiadałby Wschód. Nie sądzę, by obalona została strategia równowagi militarnej. Jeśli odstąpimy od koncepcji "równowagi", będzie to zarazem równoznaczne z odrzuceniem całej idei kontroli zbrojeń. Kontrola zbrojeń nie ma przyszłości, jeżeli ktoś - na Kremlu czy w Białym Domu - uzna, że może zapewnić swemu krajowi militarną przewagę nad stroną przeciwną. Koncepcja przewagi zniszczy ideę kontroli zbrojeń.

* * *

Zasadnicze powody, dla których Europejczycy woleliby, aby Sowieci i Amerykanie doszli do porozumienia w kwestii przyszości stosunków strategicznych między Wschodem a Zachodem, przedstawiają się następująco: porozumienie uwolniłoby ich od obowiązków wynikających z prawdopodobnych skutków systemu "wojen gwiazdnych" - kosztów zwiększenia wysiłków, by obronić się. Taka właśnie luka - nie będąca wynikiem wyboru, lecz różnicy potencjału gospodarczego - pojawia się pomiędzy Europą a Ameryką, jako że Amerykanie gotowi są do kolejnego kroku naprzód - kroku, którego Europejczycy sami nie są w stanie wykonać lub zrównoważyć. Charakterystyczna dla Nowego Świata wiara prezydenta Reagana w amerykańską technologię odzwierciedla większe zaufanie do jej zdolności uchronienia nas przed zagrożeniem nuklearnym, niż do aksjomatu, że w erze nuklearnej stabilizacja nadal będzie się opierała na wzajemnej słabości.

HEATH: Europejczycy nie są przygotowani do tego, by wyobrazić sobie lokowanie znacznej części zasobów Sojuszu w czymś, co doprowadzi do kolejnego etapu wyścigu zbrojeń i wzrostu wydatków na zbrojenia przez Związek Sowiecki. W gruncie rzeczy nie zwiększa to w najmniejszym stopniu naszego bezpieczeństwa. Argumentacja, że jeśli posiada się system obrony, bezpieczeństwo jest większe niż w przypadku systemu odstraszania - upada, gdy tylko uświadomimy sobie, że żaden system obrony nie może być absolutnie szczelny. Dlatego też wciąż trzeba mieć zdolność odstraszania. I dlatego też, z tego punktu widzenia, taka argumentacja jest bezpodstawna. Przypominam sobie zamieszanie wywołane wypowiedzią Baldwina /chyba w 1935 r./: "Oczywiście nie mogę zagwarantować, że żaden niemiecki bombowiec nie przedrze się nad terytorium tego kraju." Natychmiast podniosła się wrzawa, oskarżono go, że jest niekompetentnym premierem, że rząd nie interesuje się obroną kraju itd. Tymczasem on mówił prawdę. Nikt nie mógł tego zagwarantować i to samo będzie dotyczyło SDI.

Tak więc odpowiedź brzmi, iż nie jest to nowa, wspaniała droga ku bezpieczeństwu świata. Jest to w gruncie rzeczy ogromna inwestycja na uzbrojenie, będąca dodatkiem do potencjału, który już obecnie może wielokrotnie zniszczyć cały świat. Czemu więc ma to służyć?

* * *

Tak więc istnieją poważne argumenty pozwalające przypuszczać, że "wojny gwiazdne" wywołają jeden z największych sporów w historii Sojuszu Atlantyckiego.

Ponad dziesięć lat temu Henry Kissinger został zaproszony do leśniczówki dla członków Biura Politycznego w Zawidowie pod Moskwą, by wraz z przywódcą sowieckiej Rosji Leonidem Breżniewem wziąć udział w polowaniu na niedźwiedzia. Kissinger był pierwszym i jedynym człowiekiem z Zachodu, który dostąpił takiego wyróżnienia, co było zarazem oznaką apogeum odprężenia. Miał on nadzieję, że pokój, o którym Breżniew mówił owej nocy, może stać się prawdziwym bezkonfliktowym współistnieniem - że "ogary i niedźwiedź będą żyły po swojemu, jak przedtem, ale pojednani pod gwiazdami..." Jednak ludzie, którzy obecnie kształtują amerykańską strategię są przekonani, że odprężenie - wraz z amerykańską akceptacją równowagi w strategicznym bilansie nuklearnym - zachęciło Sowieców do

bardziej prowokacyjnego postępowania.

Prezydent Reagan musiałby chyba zgodzić się z opinią Churchilla, wygłoszoną przed pierwszymi wielkimi rozmowami ze stalinowską Rosją w Jałcie:

"Na wszelkie sposoby próbowałem zaakceptować przywódców komunistycznych, ale fakty i siła to jedyne realia, jakie rozumieją."

Amerykani usiłują zawrzeć kompromis z Rosjanami w najistotniejszych kwestiach. "Wojny gwiazdne" to ryzyko. To zarazem szansa. Nadszedł czas by porozmawiać z Rosjanami o przyszłości.

Stwierdzenie, że w wielu kwestiach opinie są zbieżne, jest frazesem. Żadna ze stron nie pragnie wojny jądrowej ani nie chce popełnić samobójstwa, a ponad to /by zrównoważyć frazesy/ żadna ze stron nie zaakceptowałaby swojej porażki, gdyby jej alternatywą było użycie broni jądrowej. Dlatego też konsekwencją koncepcji "decydującej bitwy", obalanej dzięki powstaniu równowagi nuklearnej, są rozmowy na temat kontroli zbrojeń.

Historia politycznych dyskusji na Zachodzie dowodzi, że bez wiarygodnej polityki w zakresie kontroli zbrojeń Stany Zjednoczone napotkają na trudności w odzyskaniu poparcia swych sojuszników, a Kongres nie zatwierdzi odpowiedniego budżetu obronnego, który umożliwiłyby dorównanie Sowietom.

Okazało się, że Związek Sowiecki najwidoczniej zrozumiał wydarzenia dekady lat siedemdziesiątych, SALT i pojawiające się odprężenie w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi, jako - mówiąc w skrócie - prawo do rozwiązań siłowych tam, gdzie dotąd był stosunkowo słaby. W takim rozumieniu układy na temat kontroli zbrojeń, pozbawione ograniczeń w zakresie działalności politycznej, nie przysłużyły się sprawie pokoju.

Wizja stałego przeciwnika - ZSRS, którego nie można pokonać, gdyż warunki takiego zwycięstwa byłyby nie do przyjęcia, a którego konstytucja - napisana przez Lenina - zakłada działanie na szkodę Stanów Zjednoczonych, jest wizją osobliwą i nieprzyjemną. Przebieg amerykańskich sporów odzwierciedla zasadniczym niepokój, iż "dogadywanie się" z jawnym, przysięgłym wrogiem jest rzeczą nienaturalną.

Przegląd tego rozwijającego się od lat siedemdziesiątych po osiemdziesiąte sporu pozwala także dostrzec narastające podejrzenie, iż niezależnie od tego, na ile zadowalająca wy-dawałaby się Amerykanom obrona Sojuszu, Stany Zjednoczone mają do czynienia z przeciwnikiem, który dostrzega korzyści przewagi militarnej, nawet marginalnej. Typowym przykładem tego podejrzenia jest stwierdzenie Harolda Browna: "Kiedy my budujemy, oni budują - kiedy my przestajemy oni budują nadal" z czasów prezydentury Cartera.

Równowagę strategiczną mierzyć można w różny sposób. Jednak wraz z jej zachwianiem na niekorzyść Zachodu Stany Zjednoczone stawiały swym siłom strategicznym coraz większe wymagania. Dotyczy to również SDI. Jaka jest więc rola "inicjatywy obrony strategicznej"? Może ona być różnorodna. Prezydent Nixon, który wraz z Breżniewem powołał do życia pierwszy układ SALT, wyraził niedawno przekonanie, że prace nad obroną strategiczną są nieodłączną częścią kontroli zbrojeń, jako że "bez SDI nie będzie bodźców powodujących redukcję sił

ofensywnych przez Związek Sowiecki". SDI może mieć na celu powstrzymanie odwrotu od "gwarantowanej zagłady" /co oznacza, że pociski - w przeciwieństwie do ludności - muszą być niepodatne na atak/. Skoro jednak można obronić rząd i dowództwo, zdaje się to umacniać cały system odstraszenia.

* * *

Rosjanie muszą założyć, że "inicjatywa obrony strategicznej" jest realna. Mogą jednak również spojrzeć na kalendarz i uświadomić sobie, że od momentu osiągnięcia kosmicznej obrony krajów i narodów dzieli nas jeszcze wiele kadencji prezydenckich czy wyborów do Kongresu.

W 1986 r. nie wiemy i nie możemy znać odpowiedzi na pytanie o przyszłość SDI. Tak więc dialog z pewnością będzie kontynuowany. Jednak Związek Sowiecki z całą pewnością wie, że znajduje się na progu, niekoniecznie trwałego, opóźnienia technologicznego w zakresie najbardziej skomplikowanej spośród złożonych technologii obronnych.

tłum. Jacek Niedźwiedzki

NA MARGINESIE ARTYKUŁU CHARLTONA

Michael Charlton, autor prezentowanego powyżej /niestety, ze względu na objętość, tylko w części/ tekstu jest znanym wieloletnim korespondentem zagranicznym BBC. Zajmuje się przede wszystkim politycznymi zagadnieniami historii najnowszej, jest to jednak, jak pokazuje to również artykuł o "wojnach gwiazdnych", historia "otwarta" - problemy, spory, kontrowersje, które Charlton analizuje, trwają nadal i nadal rozpalają ludzkie namiętności. Szczególny rozgłos przyniosły mu cykle audycji o wojnie wietnamskiej, zмирzchu znaczenia Wielkiej Brytanii w Europie czy też emitowany po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce cykl na temat historii Europy Wschodniej od Jałty do "Solidarności". Doczekały się one najpierw publikacji na łamach najpoważniejszych czasopism politycznych Zachodu, a następnie wydań książkowych. Również tekst "*Wojny gwiazdne, czy pokój w przestworzach*" był pierwotnie emitowany jako cykl audycji przez BBC.

Uznanie Charltonowi przyniosł nie tylko dobór tematów - historycznych, ale nadal tkwiących w politycznej rzeczywistości, nie tylko obiektywizm - wyrażający się w szerokim, uwzględniającym różnicowane opinie przedstawianiu wydarzeń oraz unikaniu ostatecznych ich ocen i klasyfikowania, ale

także, a być może przede wszystkim, charakterystyczna formuła jego audycji. Zaprasza do udziału w nich wielu rozmówców, którzy w omawianych wydarzeniach uczestniczyli i, co ważniejsze, wywierali na nie bardzo poważny, często wręcz decydujący wpływ. Charlton umożliwia im ponowne przypomnienie argumentów, którymi kierowali się w przeszłości, ale też zmusza do spojrzenia na nie z perspektywy dnia dzisiejszego.

"Po raz pierwszy od czasu gdy Hiroszima i Nagasaki zostały zniszczone przez 'słońce z Los Alamos' poważnie rozważana jest możliwość o b r o n y przed bombardowaniem nuklearnym" - tak zaczął Charlton swój kolejny cykl audycji radiowych, opublikowanych następnie w angielskim miesięczniku "Encounter". "Pragnę - pisze we wstępie - wraz z ludźmi, którzy kształtowali i podejmowali te przełomowe decyzje, dokonać przeglądu minionych lat i ukazać ewolucję amerykańskiej debaty nad strategią globalną, a także wyjaśnić, z jakich powodów - skoro zarzucono obronę i zaakceptowano zagrożenie 'wzajemnym unicestwieniem' jako podstawę trwałej równowagi w konflikcie i rywalizacji ze Związkiem Sowieckim - pojawiło się rozczarowanie efektami leżącej u podstaw tej strategii kontroli zbrojeń. Dlaczego Amerykanie wierzą obecnie, że nadszedł czas ponownego rozważenia stanowiska, jakie zajęli niemal dwadzieścia lat temu i poszukiwania alternatywy dla "obustronnie gwarantowanej zagłady?"

Charlton, szukając odpowiedzi na te pytania, cofa się do początków lat sześćdziesiątych, okresu prezydentury Kennedy'ego, kiedy to kryzys kubański i berliński oraz gwałtowny rozwój sowieckiej broni strategicznej spowodowały w Stanach Zjednoczonych z jednej strony wzrost poczucia zagrożenia, a z drugiej - pojawienie się coraz poważniejszych wątpliwości co do celowości zwiększania ilości broni nuklearnych. Cała późniejsza, prowadzona prawie do końca lat siedemdziesiątych, amerykańska polityka wobec Związku Sowieckiego była w dużym stopniu konsekwencją wtedy podjętych decyzji i tego okresu dotyczą pierwsze cztery /pominięte przez nas/ części artykułu Charltona. Wypowiadają się w nich zarówno twórcy i kontynuatorzy strategii wypracowanej przez USA w latach sześćdziesiątych, jak i jej ówczesni krytycy: Robert McNamara, Dean Rusk, gen. William Odom, Lord Craver, Henry Kissinger, Gerard Smith, Hal Sonnenfeldt, Richard Perle, Paul Nitze, Eugene Rostow, Jimmy Carter i Harold Brown. Powyżej zamieszczamy dwie ostatnie części artykułu, w których udział biorą również rozmówcy europejscy, najciekawsze - jak sądzimy - z punktu widzenia dzisiejszej polityki, gdyż dotyczą bezpośrednio "inicjatywy obrony strategicznej" prezydenta Reagana oraz być może bliższe nam ze względu na szeroką analizę konsekwencji jakie może przynieść Europie Zachodniej realizacja SDI.

Artykuł Charltona nie daje jednoznacznych odpowiedzi na pytania związane z SDI - jego ambicją jest raczej próba prezentacji różnych, często konfliktowych opcji i argumentów. Stąd głównym jego walorem jest obiektywizm i wielostronne oświetlenie problemu. Z ostatecznych rozstrzygnięć i rozdzielania racji autor rezygnuje.

Tekst przeznaczony jest dla czytelnika zachodniego. Zniuansowane stanowisko Zachodu, autonomizacja i różnorodność polityki międzynarodowej poszczególnych państw sojuszu zachodniego przeciwstawione są poczynaniom ZSRR; państwa Europy

Środkowo-Wschodniej jakby nie istnieją, nie będąc podmiotami i aktorami polityki międzynarodowej. Nie jest to nowy punkt widzenia i nie wymaga on specjalnych uzasadnień. Państwa środkoeuropejskie stawały się czynnikiem polityki międzynarodowej wyłącznie w krótkich chwilach konfliktu z sowieckim hegemonom, chociaż i te sytuacje nie zmieniały specjalnie postawy Zachodu i jego widzenia bloku komunistycznego oraz nie powodowały istotnych posunięć politycznych. "Wielkie mocarstwa nie popełniają samobójstwa dla swych sojuszników" - powiedział Kissinger na którejś z konferencji państw NATO w Brukseli. "Nie możecie wymagać od nas mnożenia zapewnień, których w żaden sposób nie możemy dochować" - dodał kiedy indziej. Słowa te odnosiły się do zachodnioeuropejskich sojuszników USA, ale brzmią one jeszcze dosadniej dla państw leżących na wschód od Łaby, nie pozostawiając żadnych złudzeń co do zainteresowania Zachodu tym regionem. Okres wypracowanej przez Kissingera polityki detente, poza ograniczonym otwarciem na zmianę kulturalną i handlową, niczego pod tym względem nie zmienił. Doświadczenia polskie ostatnich lat wprowadzają do tego obrazu drobne tylko korekty.

Jednak mimo tych oczywistych faktów, globalna strategia polityczna i militarna również i nas dotyczy, choćby przez potencjał broni konwencjonalnej i jądrowej zgromadzony w naszej części Europy czy wagę szlaków komunikacyjnych przebiegających przez Polskę. O znaczeniu polityki międzynarodowej i strategii militarnej dla sytuacji krajów przez nie objętych nikogo nie trzeba przekonywać. O ile jednolite traktowanie przez Zachód bloku sowieckiego i niewyróżnianie interesów politycznych poszczególnych państw wchodzących w jego skład jest zrozumiałe, o tyle milczenie opozycji antykomunistycznej w tych sprawach musi niepokoić.

Niemożliwe jest podejmowanie przez opozycję skutecznych działań politycznych bez rozumienia ich kontekstu międzynarodowego. Wszelkie zmiany polityczne w Polsce, ze względu na ścisłą zależność od ZSRR, są w znacznym stopniu uzależnione od sytuacji międzynarodowej. Konieczne jest uświadomienie sobie, jakie czynniki określają nasz stosunek do spraw międzynarodowych. Zasadniczą kwestią jest fakt, że państwo polskie nie funkcjonuje jako podmiot w polityce światowej, w związku z czym rozumienie polityki jako realizacji w stosunkach z innymi państwami interesu narodowego nie ma żadnego odniesienia do polskiej rzeczywistości. Ta okoliczność jest w świadomości społecznej wzmocniona przekonaniem o niedemokratycznym charakterze państwa, a co za tym idzie, społeczeństwo nie postrzega obecnego państwa polskiego jako instrumentu realizacji polskiej polityki.

Instrumenty i środki działania politycznego - jak wiadomo - określają sposób myślenia i działania na polu polityki. Ważnym takim instrumentem dla dzisiejszej opozycji jest możliwość wpływania na politykę władzy za pośrednictwem światowej opinii publicznej i zachodnich rządów demokratycznych. Stąd nieprzypadkowo prawa człowieka i obywatela stały się przedmiotem międzynarodowych porozumień w Helsinkach, a następnie celem niezależnych ugrupowań w państwach bloku. Podobne zależności występują również w sprawie ochrony środowiska czy rozbrojenia.

Uniwersalność tych problematyk w sytuacji dwubiegunowego układu sił na świecie rodzi niebezpieczeństwo utożsamiania

przez opozycję polskich aspiracji narodowych z interesami państw Zachodu (szczególnie USA). Polityka amerykańska - choć zbieżna momentami z polskimi interesami narodowymi - stara się realizować interesy narodu amerykańskiego. Nie możemy oczekiwać ani wymagać od Zachodu zabiegania o nasze korzyści. Możemy jedynie dążyć do umiędzynarodowienia sprawy polskiej w celu zmniejszenia jednostronnej zależności od ZSRR. Bez otwarcia się opozycji na problemy współczesnej polityki międzynarodowej nie jest możliwe wypracowanie przez nią koncepcji polityki pełniej realizującej polski interes narodowy.

Wracając do tekstu Charltona - zbrojenia, a szczególnie "wojny gwiazdne" długo jeszcze będą jednym z podstawowych czynników wpływających na stosunki międzynarodowe. Artykuł nie odpowiada na pytanie, jakie konsekwencje niesie idea SDI dla społeczeństw naszej części Europy, w tym Polski. Sądzić należy, że dziś trudno byłoby komukolwiek udzielić precyzyjnej odpowiedzi na to pytanie, choć pewne spostrzeżenie można by poczynić. Ci nieliczni z publicystów niezależnych, zajmujący się problematyką międzynarodową, wyrażali przekonanie, że lata siedemdziesiąte były dla Polski - za przyczyną polityki *detente* - okresem niezwykle korzystnym. Często wyciągano z tego wniosek, że powrót Zachodu do tamtej polityki byłby dla nas korzystny również i obecnie. Abstrahując od możliwości takiego powrotu (nawet gdyby taka próba mogła nastąpić, to "wrócilibyśmy w zupełnie inne już miejsce"), zastanowić się trzeba, czy rzeczywiście odprężenie w stosunkach Wschód-Zachód pociąga za sobą automatycznie poprawę losu społeczeństw bloku sowieckiego, a usztywnienie stanowiska Zachodu wobec Sowietów tego losu pogorszenie. Pozytywne zmiany zachodzą w ZSRR oraz w Polsce i na Węgrzech w sytuacji międzynarodowej diametralnie przeciw różnej od tej z epoki *detente*.

Audycje Charltona powstawały w początkach 1986 r., jeszcze przed Reykjavikiem i ostatnimi propozycjami redukcji rakiet średniego zasięgu w Europie. Sowiecka "przebudowa" i względna liberalizacja nie były jeszcze wówczas wyraźnie widoczne - a jednak Caspar Weinberger w rozmowie z Charltonem wyraził przekonanie, że w ZSRR nastąpią zmiany w tym właśnie kierunku jako efekt twardej polityki Reagana i realizacji projektu "wojen gwiazdnych". I nawet jeżeli miałyby się okazać, że Weinberger przecenił wpływ SDI na przemiany w ZSRR, jedno nie ulega wątpliwości: zarówno odprężenie jak i ochłodzenie stosunków Wschód-Zachód mogą stwarzać przesłanki korzystnych zmian w bloku komunistycznym; obie te sytuacje stawiają wymóg obecności problematyki międzynarodowej w niezależnej myśli politycznej.

ŻYCIE W POLSCE ...

rozmawiają

Ireneusz Krzemiński i Paweł Śpiewak

IRENEUSZ KRZEMIŃSKI: Chciałbym zacząć od próby postawienia diagnozy sytuacji. Zobaczmy, co się właściwie wydarzyło w ciągu tych nie tyle sześciu lat od Sierpnia '80, ile niecałych pięciu lat od momentu wprowadzenia stanu wojennego. Mój odbiór dzisiejszej sytuacji jest bardzo pesymistyczny. Żeby móc w ogóle pomyśleć o nadziei, muszę najpierw zobaczyć dokładnie, na czym polega moja, że tak powiem, "pretensja do ludności". Odczuwam potrzebę sformułowania tego, co mnie denerwuje, co jest dominującym elementem tej negatywności, którą przeżywam i której doświadczam. Chciałbym też spojrzeć na to inaczej, niż z perspektywy, powiedziałbym publicystyczno-politycznej, która koncentruje się na jawnych i ewidentnych przyczynach dzisiejszego stanu rzeczy - takich jak całkowite zablokowanie sfery działania społecznego, zniszczenie sfery publicznej przez partię-państwo, co prowadzi oczywiście do bardzo głębokich frustrujących skutków.

Nie chcę też skupiać się na poczuciu marazmu i beznadziei, nie chcę tłumaczyć, dlaczego w Polsce nikomu nic się nie chce robić, bo psychospołeczne uzasadnienie tego jest dosyć łatwe. Dwa lata temu sformułowałem tezę, że odmowa uczestnictwa w instytucjach kontrolowanych przez tę, jak mówi Jan Strzelecki, partię-państwo, prowadzi w efekcie do skutków społecznie negatywnych w tym sensie, że nikt nie wykonuje swoich zadań wobec innych ludzi. Odmowa uczestnictwa, brak identyfikacji z instytucjami oznacza również brak identyfikacji z swoimi zadaniami, z funkcjonalnym układem wspólnego życia, a bez minimalnej jego sprawności życie tutaj staje się tak bardzo nieprzyjemne.

Chcę mówić o dwóch rzeczach, które mnie dotyczą najbardziej. Pierwszą nazwałbym "zwycięstwem babskości" albo "babstwa". Żeby to wyjaśnić, odwołam się do pytania, które w jednym ze swych esejów zadała Hannah Arendt: Czy życie jest najwyższą wartością? - Wywody Arendt pokazują, że tak nie jest. Jeżeli zaś

odpowiemy na pytanie twierdząco, to właśnie jednym z możliwych wyników takiej odpowiedzi, czyli życia rozumianego, powiedziałbym, "naturalnie", jest owa babskość. Co rozumiem przez zwycięstwo sfrustrowanej, nieco historycznej, egzaltowanej, ale i wyrachowanej, potężnej i władczej baby, która jest, oczywiście, osbnikiem nieszczęśliwym, lecz jednocześnie szalenie irytującym? Wiąże to z odpowiedzią, że życie jest największą wartością, że powinno się je cenić takim, jakie jest. Nie można w związku z tym walczyć o inne formy życia, jeżeli sytuacja na to nie pozwala, jeżeli walka o godne życie zagraża życiu, życie jest ważniejsze. Bo to wszak życie moich dzieci! Nie można przecież narażać życia swoich synów zwłaszcza. Można je stracić, a ono przecież jest najważniejsze... Ten punkt widzenia uzasadnia się historycznie, wracając do wojny, do powstania warszawskiego. "Chcesz znowu wojny?" Przeciwnik jest potężny, nie sprowadza się tylko do generała i jego ekipy. Jest przecież Związek Radziecki, traktowany jako główna wroga siła. Jawi się jako coś niezwykłego. Nie można się z tą siłą skonfrontować, należy więc w ogóle zrezygnować z jakiegokolwiek walki - żeby nie narażać życia. Bo przecież życie jest najwyższą wartością, a matki-Polki nosiły życie w swych łonach i w bólu je na świat wydały. Taki punkt widzenia ma dalekosiężne konsekwencje. Wszystko, co jest żądaniem, żeby życie było wartościowe i prowadziło do wartości, co jest przekraczaniem obecnej chwili, co przeciwstawia się "naturalności" w danej sytuacji, by przedłużyć się w "nieskończone" i "nadprzyrodzone" - wszystko to jest postrzegane jako groźne i niebezpieczne. Z tej perspektywy chęć poddania się sytuacji jest bardziej groźna niż przeciwnik, który wytworzył tę - nieludzką skądinąd - sytuację.

Druga sprawa jakoś się z "babskością" wiąże, ale ją jednocześnie przekracza. I choć jest to zjawisko socjologiczne bardzo interesujące, dotychczasowe koncepcje psychosocjologiczne dokładnie go nie rejestrują ani nie sugerują interpretacji. Pokazuje to, jak dalece zablokowanie sfery politycznej, sfery debaty publicznej i publicznego widowiska powoduje natychmiastowe reperkusje w sferach bardzo głębokich, a które tradycyjna, liberalna koncepcja zdaje się w ogóle od polityki odłączać. Zablokowanie sfery politycznej wpływa na to, co się dzieje na poziomie intymnego obcowania ludzi ze sobą; na sferę społecznej interakcji. Moją złość, frustrację, codzienne poirytowanie budzi zachowanie się ludzi w różnych sferach życia i sytuacjach poniżej wzorów, których są doskonale świadomi. Ludzie, mimo że nie są poddani żadnej bezpośredniej, instytucjonalnej presji czy konieczności, zachowują się w ten sposób jakby wbrew temu "jak być powinno". Żeby to wyjaśnić, trzeba się odwołać do skomplikowanego układu przyczynowego. Dowodzi ten fakt, że polityka zawsze wyrasta z głębszych warstw życia i do nich zawsze wraca. A więc zmiana polityczna musi sięgać w głąb serca człowieka, w sferę kontaktu między nim a innymi

ludźmi.

Dzisiaj w Polsce widać na każdym kroku - czy to na poziomie standardowych zachowań w rodzinie, czy na poziomie np. kontaktów między klientem a sklepową - obniżenie wymagań stawianych samemu sobie. Trudno to wyjaśnić, jest to sprawa zagadkowa. Zapewne będzie się to stać, że odrzucenie wzorów wiąże się z negatywnym przeżywaniem siebie, a to z kolei jest bezpośrednią konsekwencją zablokowania działania, blokady swobody. I jest efektem głęboko przyswojonego lęku.

Lęk to kolejna sprawa, o której chciałbym powiedzieć. Szokuje mnie występujące w ciągu ostatnich dwóch lat tempo przyswajania sobie głębokiego lęku. Jest to lęk już nie tylko przed wyrażeniem konkretnych opinii politycznych czy społecznych, ale w ogóle przed wyrażaniem, ujawnianiem swego własnego zdania! Co mnie w tym szokuje? Bardzo krótki czas, jaki wystarczył, aby ten lęk na powrót tak głęboko zapadł w ludzi. Tak głęboko, że już jest nieświadomym. Nie mówi się już: "nie będę o tym mówił, bo ktoś może słuchać", albo: "bo nie wiem, kim pan jest". Nie. Wymyśla się jakieś brednie: "to mnie nie obchodzi", albo coś podobnego. Jest już więc na takim poziomie ten lęk, że świadomość go nie odczuwa, ale całkowicie blokuje możliwość spontanicznej rozmowy, a więc spontanicznego kontaktu w ogóle.

Gdy porównuję lata 1985 i 1986 z latami 1982 albo 1983, czyli z czasem, w którym presja instytucjonalnej przemocy była niezwykle spektakularna i groźna, to mam poczucie, że w tamtych dwóch czy trzech latach "wojennych" żyłem w dalszym ciągu w kraju, w jakimś istotnym sensie wolnym - wolniejszym, niż w tej chwili. Jeżeli wówczas ludzie nie chcieli, albo bali się o czymś mówić, to mieli dostateczną ilość odwagi, żeby powiedzieć, że się boją. Dziś mamy do czynienia z niezwykle tempem przyswajania sobie tej wewnętrznej blokady, która uniemożliwia kontakt. Co gorsza, jest to szczególnie widoczne wśród młodego pokolenia, można by zatem sformułować hipotezę, że mamy kolejne nijakie i "przebrane" roczniki młodzieży. I nadzieja jedynie w tych, którzy jako pokolenie - jak sądzę - ukonstytuowali się w 1982 roku. Nadzieja, że oni będą nośnikami postaw niepokory i przekraczania oportunistycznych uwarunkowań sytuacyjnych.

PAWEŁ SPIEWAK: Mam wrażenie, że nasza rozmowa, wymiana zdań, będzie nie tyle kłótnią czy dyskusją, ile raczej doprowadzi do wzajemnego potwierdzania racji.

Zaczalbym od innej strony. Zastanawiając się nad koncepcją rządu w tym kraju, odnoszę wrażenie, że jedynym, co ją określa, jest negatywność. Jest to władza zbudowana na czystej negatywności. Nie ma żadnego programu pozytywnego działania, żadnej koncepcji przebudowy struktur czy społeczeństwa - naukowej, informacyjnej, technologicznej itd. Jedyne co interesuje tę władzę jest utrzymanie się przy władzy; zachowanie swojej rządzącej pozycji i wzmocnienie jej za pomocą różnych technik. Najistotniejsza zasa-

da jej funkcjonowania w znacznej mierze wspiera się na mistyce przemocy, tzn. na przekonaniu, że przymoc jest zasadniczą techniką działania politycznego, że pozwala wszystko osiągnąć. Różnego rodzaju sposoby reglamentacji i kontroli, wchodzenie bardzo głęboko w życie społeczne, kulturalne i ekonomiczne jest właściwie jedyną formą jej działania.

Na czym polega zasada negatywności władzy? "Oni" są naznaczeni swoim strachem, który przeżyli w 81 roku, strachem przed utratą pozycji i zupełnym wykorzeniem. Są nauczeni jednej rzeczy: główną kwestią jest niedopuszczenie do powstania sfery politycznej, publicznej. Władza dąży do likwidacji jakichkolwiek elementów zbiorowego porozumienia, zbiorowych negocjacji. Niszczy wszystkie niezależne (czy nawet względnie niezależne) struktury instytucjonalne. Zaczęło się oczywiście od tego, że zlikwidowana została "Solidarność", a potem inne związki zawodowe i twórcze, które zdecydowanie i wyraźnie opowiedziały się po stronie ruchu odnowy. Ale nie tylko na tym to polega. Chodzi tu w ogóle o utracenie wszelkiej społecznej inicjatywy, która powstaje nawet w obszarze przez władzę kontrolowanym. Obserwuję to np. w sferze nauki, gdzie istotna działalność badawcza jest często uniemożliwiana bądź utrudniana. Jeżeli takie badania - rozsądne i głębokie - są mimo wszystko podejmowane, to dzieje się to najczęściej wbrew władzy, na zasadzie konfliktu i ilość energii, jaką się wtedy marnuje, jest niewiarygodna. Innym przykładem są samorządy pracownicze, które formalnie istnieją, ale ich rola tak na dobrą sprawę sprowadza się do tego, że mają udowodnić ludziom ich podstawowe poczucie bezsilności wobec tego systemu.

A więc zasadniczym sposobem społecznego działania władzy jest dążenie do obniżania samooceny ludzi, wmontowywanie w nich poczucia bezsilności. Działła to na takiej zasadzie, że jakakolwiek rozsądna inicjatywa - np. inżyniera-projektanta w fabryce - będzie utracona tak samo, jak działalność samorządowa. Utracona będzie każda propozycja innego bycia, a do obniżenia jeszcze bardziej samooceny ludzi przyczyni się działanie propagandy, która skonstruowana jest bardzo sprytnie. Nie jest w żadnym wypadku nastawiona na przekonywanie do swoich racji, do swojego poglądu na świat. Nie. Jest to propaganda nastawiona na to, aby udowodnić ludziom, że to, co oni czują, rozumieją i myślą nie ma najmniejszego znaczenia. Postać Urbana jest znakomitą symboliką rozjaśniającą, o co właściwie tu chodzi. Jeżeli on w bezczelny sposób mówi: "rząd i tak się żywy", to chce dać do zrozumienia, że całkowicie pogardzi ludźmi i jest mu zupełnie obojętne, co to społeczeństwo myśli.

Więc ta moc negatywności kreowana przez władzę kolejnymi dekretnami wydawanymi przez Sejm i regulującymi praktycznie wszystkie sfery doświadczenia życiowego też niczemu nie służy, nic z niej nie wynika. I jest to jeden z kluczy do zrozumienia naszej sytuacji: władza dąży do zatamowania, rozbitcia społeczeństwa, ale i więcej - dąży do tego, żeby w duszach naszych umiejscowić poczucie bezsilności i nie-

możności oraz obniżonej samooceny.

Jakie są inne techniki działania władzy w kierunku negatywności? Jedną z nich jest technika przekupstwa. Była ona systematycznie stosowana a czasów Gierka, przy czym wtedy odbywało się to przy pewnej nadziei - obietnicy, że wszyscy osiągną ten szczyt marzeń polskiego mieszczaństwa, czyli dostaną małego fiata, a może jeszcze dachę, albo wyjadą za granicę. Dziś idzie to dalej. Olbrzymia spirala inflacyjna powoduje rozbitcie jakiegokolwiek hierarchii i związków pomiędzy pracą a płacą. U jednych wywołuje to poczucie absolutnego wyzysku, innym stwarza możliwość ekonomicznej bonanzy, nie ma tu żadnej reguły ekonomicznego dorobku.

Następnym elementem niszczenia tkanki życia społecznego jest - powiedziałbym - swoistego rodzaju ideologia negatywna. W latach 50-tych i jeszcze 60-tych komunizm (marksizm, socjalizm) był ideologia pozytywna, tzn. projektował pewien sens, wizję świata, z którą można się było spierać i kłócić, ale wobec której trzeba było się odnieść. Hasła sprawiedliwości i równości społecznej dawały nadzieję na szansę awansu i dawały poczucie zakorzenienia w pewnym sensownym świecie. Z tego punktu widzenia można było oceniać i mierzyć świat.

Zjawisko odchodzenia od ideologii socjalistycznej było niesłychanie twórcze dla tego społeczeństwa i stanowiło siłę pozytywną. Ta ideologia, którą władza kreuje dzisiaj na potrzeby społeczeństwa jest ideologia tzw. małego realizmu czy też nihilizmu. Tak na dobrą sprawę - głosi ta ideologia - nie ma żadnych wielkich wartości, które mogłyby się jakkolwiek liczyć. Jedyną realną wartością jest to, co dotykalne, namacalne. Jest to więc tworzenie nowego gatunku barbarzyńców, którzy absolutnie się spełniają w dotykalności świata rzeczy przede wszystkim, jako jedynej istniejącej realności. Widać to nawet w programach szkolnych. O ile te z lat sześćdziesiątych były zbudowane w oparciu o pewną wizję sprawiedliwości, postępu, czy wizję konfliktu klasowego, czyli zawierały jednym słowem jakiś sens całościowy, o tyle współczesne są wszelkiego sensu pozbawione. Ich jedyną funkcją jest zniszczenie jakiegokolwiek możliwości całościowego myślenia o świecie. Świat, jaki wyłania się z dzisiejszych programów szkolnych, jest kompletnie rozbity. Widać to nawet w programie matematyki. Są tam różne zadania, z których nic nie wynika, ich rozwiązywanie do niczego nie prowadzi. Dzieci to przerabiają i właściwie nie wiedzą, o co w tym wszystkim chodzi. A więc ten sens, który stwarzała możliwość i szansę porozumienia się między ludźmi, uległ rozbitciu, wyparował.

Do czego to wszystko prowadzi? - Wydaje mi się, że słusznie mówiłeś, iż chodzi tu o eliminację świata publicznego. Oznacza to zlikwidowanie tego wymiaru życia, w którym człowiek właściwie w pewnym sensie się spełnia. Oprócz bowiem *vita contemplativa*, czyli życia religijnego, modlitewnego, jako jednego z wymiarów egzystencji (wymiaru zresztą silnie rozwinię-

tego), ten drugi wymiar jest także niesłychanie potrzebny. Bez niego nie można żyć. Chodzi tu o świat istniejący mocą rozmowy i mocą obietnicy. Nazwałes to normami. Ten świat istnieje wyłącznie między nami - ludźmi. Rzeczy są wtórne. Rozmowa jako symbol i zjawisko wymaga dwóch elementów. Po pierwsze - ja chcę mówić, chcę porozumienia. To musi odbywać się w życiu publicznym. Mogę się kłócić, spierać w ostry sposób, ale chcę mówić z drugim człowiekiem, jestem gotów do podjęcia dialogu, a więc do zrozumienia racji drugiego. Czyli założona jest tu chęć wymiany perspektyw. Urzędniczka chce mnie zrozumieć i ja ją chcę zrozumieć. Tymczasem dzisiaj są to światy absolutnie nieprzepuszczalne.

Druga rzecz, której wymaga rozmowa, to pewien element zaufania. Chodzi o to, żeby to, co ja powiem, potraktowane zostało w duchu mocy pozytywnej, żeby nie zostało wyśmiane, obalone itd.

Jeżeli likwiduje się sferę publiczną, to następuje redukcja zachowań. Podstawowym wymiarem życia ludzi w tym kraju staje się nie *vita contemplativa*, bo ona, mimo siły Kościoła, jest dosyć słabo rozbudowana, lecz wymiar trudu i pracy. A więc właściwie niemal biologicznego istnienia. Całe życie jest właściwie nastawione na to, żeby istnieć, zarobić pieniądze, utrzymać rodzinę... Prowadzi to do tego, co nazwałes "babskością", a co ja bym nazwał kultem rodziny. Rodzina staje się instytucją bardziej podstawową niż cokolwiek innego. Zastępuje inne instytucje i sfery samorealizacji. Jest miejscem, w którym mają być zaspokojone wszystkie emocje człowieka, a jednocześnie cała aktywność ludzka ma być poświęcona dla rodziny. Czyli ideologia poświęcenia, o której mówię: to dla dzieci, to dla żony itp. Głosi ona: ja mam dzieci i żonę, niech pan mnie zrozumie. Daje doskonałe alibi dla każdego świnstwa i każdego brutalnego sposobu istnienia. Ojciec rodziny ma więc prawo dla niej, dla swoich dzieci, uczynić wszystko, bo te dzieci są niby tą największą wartością. Może zrobić wszystko - pod warunkiem jednakowoż, że będzie wykonywał to jako część wielkiej maszyny, wielkiej instytucji - czyli bez odpowiedzialności. Bo tak naprawdę nie on działa, tylko instytucja. W tej sytuacji można z każdego człowieka uczynić kata, a także kogoś wspaniałego. Może on być zarazem i tym, i tym: to zależy wyłącznie od kontekstu. Taki ojciec rodziny pozbawiony jest sam siebie, swojego wnętrza, bo najważniejsza jest rodzina, a nie to, co on sam myśli, czuje i uważa za ważne. - Mówię tu oczywiście o pewnym trendzie i nie twierdzę, że taki jest dzisiaj podstawowy wzór. Rozumowanie to idzie w jakiejś mierze torem intuicji Hannah Arendt, która pisała o kulcie drobnomieszczańskiej rodziny, będącej zabójczą instytucją dla ducha i inicjatywy społecznej...

I.K.: Także dla dziecka. Paradoksalnie bowiem dziecko jako wartość także wtedy znika. Prawdziwą wartością, jaką ma dziecko dla rodziców jest to, że jest ono osobą, że przynosi rodzicom sferę nowych wartości i

sferę własnej wolności. Tymczasem tendencja, która całkowicie urzeczawia samych rodziców, a która u nas bardzo szybko narasta, prowadzi do urzeczowienia wszystkich stosunków w rodzinie i tym samym do urzeczowienia jakichkolwiek stosunków międzyludzkich. Taki jest, nieco paradoksalny, skutek ideologii rodzinnej.

Z rodziną w Polsce sytuacja jest dwuznaczna. Zwłaszcza gdy idzie o tę ideologię, którą głosi Kościół katolicki. Ideologię tę uzasadnia tym, że rodzina jest sferą, która ocali i ochroni wzory i tradycje religijne i kulturalne, bo duch rodziny nie da się łatwo podporządkować kontroli. I to ma oczywiście swoje dobre uzasadnienie. Władza zresztą zrezygnowała z brutalnych prób podporządkowania sobie rodziny i popiera teraz ideologię rodzinną. Było to zwłaszcza bardzo widoczne za Gierka. Postawę władzy wyrażała obowiązująca wówczas koncepcja "rodziny socjalistycznej". Niech się ludzie zamkną w swoich rodzinach, niech te rodziny chodzą także do kościoła co niedzielę, trzeba dać im kolorowy telewizor, małego fiata - byle by sobie życie egoistyczne i we wzajemnej izolacji prowadziły. Państwo jakos w tę rodzinę wkraczało, ale... niech oni sobie w domach gadają, co chcą, nas to nie obchodzi, byle nie mieli aspiracji publicznego mówienia i byle by rodziny nie łączyły się w coś więcej.

Teraz już okazują się straszne konsekwencje tej ideologii. W bardzo szybkim czasie ideologia rodzinna prowadzi do całkowitego urzeczowienia ludzi i stosunków rodzinnych, do przeniesienia rzeczowości w sferę, która miała być ochroną dla wartości, a której w gruncie rzeczy, wartościom najdobitniej się zaprzecza. W następnym ruchu rozbudowana i wcielona w życie ideologia rodzinna staje się fundamentem, na którym negatywność władzy może się wspierać.

Zastanówmy się, na czym polega dzisiejsza niemożność rozmowy ludzi ze sobą, trudność spotkania? Dlaczego nie można wejść w kontakt z innymi ludźmi, dlaczego lęk działa tak szybko i zabija spontaniczność? Myślę, że dzieje się to na bardzo prostej zasadzie: na całkowicie rzeczowym traktowaniu drugiego człowieka. W tej chwili ludzie na ulicy nie traktują się jak ludzie, tylko jak rzeczy, jak przedmioty. Traktują się najwyżej w takim odniesieniu: ja wobec tej masy, tłumu. Inni ludzie to jest takie barachło, które trzeba przesunąć jak, nie wiem, cegły czy worek leżący na jezdni... Daleko sięgające urzeczowienie kontaktów między ludźmi jest w dużej mierze - jak mi się wydaje - efektem życia rodzinnego i rodzinnej ideologii. Przede wszystkim urzeczowienie odbywa się na poziomie stosunków między rodzicami i dziećmi. Dziecko jest uzasadnieniem zwolnienia się z wielu posunięć, wymagających choćby minimalnej odwagi i niezależności. A bez odwagi nie ma przecież sfery publicznej. Poświęcenie się rodziców dla dzieci jest, oczywiście, rodzajem samoudręki o specyficznym posmaku duchowym: polega na zabijaniu ducha w sobie. Efekt jest taki, że ducha - znamie indywi-

dualności i niezależności - w dzieciach też trzeba zabić, bo inaczej są one niepokorne, nie chcą się poddać i - co gorsza - gotowe narazić się bez potrzeby. Trzeba więc coś zrobić, żeby stały się pokorne i spełniły nasze marzenia. Dzieci są bowiem w Polsce kukiełkami w teatrze marzeń rodziców. Wszystkie kompleksy, nieudane plany, albo plany, z których się zrezygnowało, niespełnione marzenia, potrzeby satysfakcji przelewane są na dzieci, a w tej sytuacji jakikolwiek ich samodzielny ruch jako osób jest uniemożliwiony.

Urzeczowienie stosunków międzyludzkich prowadzi do tego, że znajdujemy się w podwójnym systemie zniewolenia. Podobna sytuacja ma miejsce w polskich więzieniach, gdzie poza niesłychanie restryktywnym systemem organizacji więziennej funkcjonuje drugi, wewnętrzny system kontroli społecznej oparty na równie restryktywnych zasadach. Z książek o angielskich i francuskich koloniach karnych można się dowiedzieć, że podkultura przestępcza, tzw. drugie życie, zawsze jest dosyć restryktywne, niemniej jednak głównym jego celem jest ochrona więzionych, budowanie między nimi więzi, form solidarności, unormalnianie ich ludzkiej sytuacji w konfrontacji z przemocą społeczeństwa. U nas, aby doszło do możliwości ludzkich form solidarności uwięzionych musiałyby się zacząć kształtować w więzieniach jakieś "trzecie życie", bo sfera "drugiego życia" w szczególnie przykry sposób odbija brutalność systemu instytucjonalnego. Obawiam się, że coś podobnego - oczywiście *toutes proportions gardées* - dzieje się w sferze rodzinno-społecznej, bo rodzina ma rozgałęzienia i zaczepy. Jakieś grupki przyjacielskie jeszcze się gdzieś petają, chociaż już nie za bardzo. Sieć rodzinnych powiązań staje się jakby drugim więzieniem, więzienną odpowiedzią na uwięzienie ludzi przez partię-państwo. I tego się właśnie niezmiernie obawiam. Trend, który zmierza do budowania i stabilizowania życia rodzinnego, bardzo dziś wyraźny i popierany z ambon, utwierdza jakiś fałszywy model życia ludzkiego. Nie jest to niestety trend, który dowartościowywałby życie rodzinne tak, aby rozbijało ono łańcuch przemocy, który nas ściska. Wręcz odwrotnie. Model życia rodzinnego jest przede wszystkim głęboko autorytarny.

Związek ideologii rodzinnej z Kościołem w Polsce jest dosyć uchwytne. W ciągu ostatnich pięciu lat trend podtrzymujący tradycyjną, wprost autorytarną strukturę polskiego Kościoła wzmógł się, a nie osłabł. Paradoksalnie, wybór Karola Wojtyły na papieża doprowadził w konsekwencji - w całym splocie innych działających tu czynników - do tego, że Kościół, który nabierał już głębszego oddechu, stawał się bardziej otwarty i zaczął przyswajać i rozwijać wielkiego ducha chrześcijańskiej odnowy, znowu skostniał. Powiązanie autorytaryzmu kościelnego z autorytaryzmem rodziny jest czymś okropnym. Zagrożona jest bowiem podstawowa rzecz: szacunek do samych siebie i drugih. Te baby i ci księża nie mają minimum szacunku dla drugiego człowieka - jako kogoś niezależ-

nego, jako kogoś, kto może być dobry i wartościowy w sposób, który nie mieści się im w głowie.

P.S.: No tak, ale to jest trochę zrozumiałe. Mam wrażenie, że tutaj znikają klasy społeczne w tradycyjnym sensie, znikają podziały warstwowe i podstawową jednostką analizy w tym kraju powinna być "wielka rodzina", która służy zaspokojeniu wszystkich potrzeb. Bez tej "wielkiej rodziny" nikt na dobrą sprawę nie da sobie rady w sensie ekonomicznym, życiowym - od opieki nad małymi dziećmi zaczynając, a kończąc na fakcie, że dzieci "wiszą" ekonomicznie na rodzicach, przez bardzo długi czas są od nich uzależnione.

Dodałbym jednak jeszcze jeden element, który stanowi o ciągłości z gierkizmem. Ta ciągłość jest zresztą silniejsza, niż by się wydawało. Chodzi o to, że na tę ideologię rodzinną nakłada się jeszcze ideologia konsumpcyjna. Jest to bardzo mocne mimo kryzysu ekonomicznego i nieustannego mówienia o tragicznej sytuacji gospodarczej. W ludzi głęboko jest wmontowana potrzeba awansu ekonomicznego i zaspokojenia w ramach rodziny aspiracji wziętych w dużej mierze z wzorców zachodnich. Mam czasami w związku z tym ironiczne wrażenie, że ten kraj niedługo nie będzie miał kolei, nie będzie funkcjonowała infrastruktura komunikacji między ludźmi, ale równocześnie zostaną w mieszkaniach komputery, sprzęt wideo, dobre magnetofony itd. To będzie swoisty paradoks: całkowite pochłonięcie się sobą i swoimi aspiracjami. Jest to uzasadnione także i tym, że cała sfera samorealizacji człowieka poprzez pracę (rozumianą jako aktywność, a nie trud przy taśmie) jest właściwie fikcyjna. Ta praca jest tak anonimowa, nie dająca poczucia satysfakcji, żadnego poczucia nagradzania (którego ciągle ludziom brakuje), że tak na dobrą sprawę rodzina staje się jedynym miejscem, w którym ludzie szukają czegoś rzeczywistego. Dziecko jest tak naprawdę jedyną namacalną rzeczywistością. I stąd np. w Polsce ten ostry, wyjątkowo dramatyczny problem rozwodów, które są przecież niekiedy naturalne i konieczne, ale w tym kraju ich koszta są zupełnie niewiarygodne. Mimo to, podejrzewam, że tych rozwodów jest w Polsce więcej niż w innych krajach Zachodu.

I jeszcze jedna rzecz. Mówiłeś, że rodzina ma być miejscem przechowywania tradycji. Jest to uzasadnione teoretycznie. Pierwsza rzecz, jaką robili komuniści radzieccy książkami Makarenki, Szackiego i innych, to dążenie do likwidacji rodziny. Bali się więc, które utrzymywały tradycję, stabilność. Te książki miały wychować jednostki wykorzystane, całkowicie oddane władzy. Mit Pawki Korczagina do tej pory obowiązuje w Związku Sowieckim.

I.K.: Było i tak, i tak. Komunizm z jednej strony usiłował zniszczyć rodzinę, a z drugiej wykorzystywał ją dla swoich taktycznych celów. Przeciwko totalitaryzmowi występuje tylko jedna rzecz: spontaniczność. Sądzę, że przede wszystkim spontaniczny gest jest obroną przed totalitaryzmem.

P.S.: Człowiek do swojego spełnienia musi mieć wiele kręgów społecznych. Nie można w jednym realizować wszystkich potrzeb, począwszy od intelektualnego rozwoju, a skończywszy na zaspakajaniu potrzeb seksualnych. Za dużo jest tego, za dużo napięć i za dużo, o czym mówię, oczekiwań wobec dzieci, które żyją z potwornym wyrokiem...

I.K.: Od urodzenia są właściwie rozstrzelane...

P.S.: ...że muszą dorosnąć do oczekiwań rodziców. A tym bardziej dorosną, im bardziej będą posłuszne, bo w końcu rodzice znają życie i wiedzą co i jak powinno się grać. Stąd u dzieci pierwszy lęk - nie przed systemem, tylko przed karą ze strony rodziców czy nauczyciela. Dzieci pozbawione są, można powiedzieć, samosterewności. Wszystko jest im na różne sposoby zadawane. Gdy spojrzeć na szkołę, to mam wrażenie, że bardziej niszczący wpływ na dzieci wywierają wywierają rodzice, a nie nauczyciele, o których mówi się źle, a którzy mają często dobrą świadomość szkoły jako instytucji represyjnej niż rozwijającej. Rodzice występują z tak potwornymi oczekiwaniami wobec dzieci, że te, gdy nie dorastają do nich, wpadają w lęk, frustrację, w kompletnie rozpacie. Teraz jednak chciałbym pozostawić problem rodziny i powiedzieć coś o pozytywności.

I.K.: To poczekaj. Dopowiem jeszcze coś do tego, co mówisz o rzeczach, bo to też jest ważne. Jaką rolę pełnią w Polsce rzeczy? Jakie znaczenie ma bieganie ludzi za rzeczami, za tzw. dobrami materialnymi w tym kraju? Badać ostatnio za granicą stwierdziłem, że tam ludzie, którzy pozostają niekiedy w znacznie gorszej sytuacji, jeżeli chodzi o wyposażenie w rzeczy, niż analogiczne domy u nas, nie biegają za sprzętami tak, jak to się dzieje w Polsce. To niedostatek czyni rzeczy tak wartościowymi. Sądzę, że mamy do czynienia ze specyficznym fenomenem. Dzisiejsze zabieganie Polaków za rzeczami wydaje się być bardzo niebezpieczne, choć kiedyś miało sens pozytywny. Chodzi mi o to, że był czas, kiedy rzeczy, prawo do rzeczy, dążenie do posiadania określonych rzeczy było odpowiedzią, czynem symbolicznym i ratowaniem godności człowieka przed instytucją totalną, która chciała włączyć wszystkim i nawet te rzeczy, w życiu ludzkim niezbędne, chciała rozdawać, oczywiście według własnego mniemania, co komu potrzebne. Dążenie do posiadania s w o i c h rzeczy było obroną przed regulacją ze strony władzy materialnej sfery życia człowieka. Rzeczy stały się zatem symbolem wolności i narzędziem ratowania godności ludzi. Konieczność posiadania określonych rzeczy była zarazem gwarantem podtrzymywania pewnych wzorców zachowania. Przez długi czas było to zjawisko pozytywne - nasylenie rzeczy elementem, nie powiem: duchowym, ale kulturowym na pewno.

Teraz nastąpiła zmiana. Hołdowanie postawie, że trzeba walczyć o rzeczy, bo ich posiadanie jest warunkiem zachowania niezależności od systemu; godność-

ci i tradycji służy teraz ludziom paradoksalnie za usprawiedliwienie faktu, że tylko za tymi rzeczami biegają.

P.S.: I to dopiero rodzi uzależnienie. Bo żeby zdobyć te rzeczy, trzeba np. wyjechać za granicę, a więc trzeba być posłusznym, żeby móc je zdobywać.

I.K.: Dokładnie tak. A więc to, co było pozytywne dwadzieścia lat temu, staje się teraz negatywne. Symboliczna wartość rzeczy jest już tylko usprawiedliwieniem tego, że nie ma się odwagi do bycia sobą. I jeszcze jedno. Powiedziałaś, że steruje się tym społeczeństwem poprzez obniżanie wartości człowieka, poprzez zaniżanie samooceny ludzi. To wydaje mi się kapitalnym stwierdzeniem. Dodałbym tylko jeszcze jeden element, na którym wybornie gra władza. Jest to chyba w ogóle jedna z najbardziej udanych strategii komunistycznych: chodzi o grę na poczuciu winy poddanych-przeciwników; mechanizm poczucia winy jest eksploatowany przez system. Ma to też pewien związek z Kościołem. Gra na poczuciu winy obywateli po to, aby zablokować aktywność, uzyskać poparcie dla oficjalnych instytucji i aby skłonić ludzi do wycofania się z owej odwagi bycia, ma fundamentalne znaczenie systemowe. Przekraczanie rzeczywistości jest bowiem narażaniem życia. Narażając swoje życie człowiek na ogół naraża jeszcze i życie inne, no i tutaj akumulator poczucia winy natychmiast się ładuje.

Tutaj trzeba wrócić do rodziny. Bowiem system blokady indywidualnego działania przez poczucie winy jest jednym z podstawowych mechanizmów, które używane są do kontroli rodziny i dopełnia - zarazem - system samoniewolenia społeczeństwa. Bo analogiczne wykorzystanie poczucia winy reguluje stosunki między rodzicami a dziećmi. No bo jakże to! Mamusia i tatuś tylko mnie mają, nie mogą im zrobić takiego świństwa... I choć całkowicie nie mogę żyć w taki sposób, to przecież jeżeli wykonam jakikolwiek samodzielny ruch, to oni będą cierpieć. - Jest to wahadło, które jest dalszym kumulowaniem się negatywności.

P.S.: Mam wrażenie, że to się wiąże nie tyle z systemem władzy, ale również, paradoksalnie, wzmacniare jest przez pewien typ propagandy "Solidarnościowej", tzn. podziemnej. Chodzi o redukcję sfery politycznej do sfery moralistycznej. Nie myślenie, odwaga, szukanie nowych przestrzeni działania, nowe inicjatywy, ile właśnie nacisk na to, że musimy dorosnąć do jakichś oczekiwań, wymagań i nieustanne mówienie o moralnych wymaganiach, jakie stawiamy sobie samym. Wydaje mi się, że im więcej mówi się o moralności, nakazach moralnych - w Kościele, poprzez "Solidarność" i inne "środki duchowego przekazu" - a im mniej do tego dorastamy, tym większe jest naturalne poczucie winy. Powoduje to, że nie mogąc spełnić tych wymagań moralnych, rezygnujemy po prostu z jakiegokolwiek działania. Bo wtedy stajemy się przynajmniej czysti.

Trzeba więc wymagać innego myślenia o polityce. Nie traktowania jej jako sfery realizacji moralnych aspiracji, tylko jako sfery zbiorowej aktywności, nie w pełni tożsamej z moralnością. Problem związków między etyką i polityką jest zresztą nader złożony. Zostawmy to może, gdyż wymaga to wnikliwej teoretycznej analizy. Ten moralistyczny ton jest naturalnie zabójczy, gdyż rodzi podwójną moralność. Kościół zresztą bardzo mocno do tego się przyczynia. Używając języka psychoanalizy, mamy społeczeństwo o bardzo silnie rozwiniętym superego przy całkowitym niedorozwoju ego.

I.K.: Dokładnie tak. Biologicznie to też widać: u nas nie ma ludzi dorosłych! Są albo młodzieńcy, albo starcy.

P.S.: Albo ludzie pełni frazesów moralistycznych, albo ludzie, którzy żyją praktycznie tylko swoim id, można powiedzieć, czyli zaspokojeniem elementarnych potrzeb, popędów, biologią po prostu. Biologiczność jako sfera istnienia całego życia społecznego.

I.K.: Moralistyczna koncepcja polityki i w ogóle działania społecznego wiąże się z moralistyczną interpretacją wiary. To jest ważne: co się dzieje z religią w tym kraju.

P.S.: Tak, ale może na razie nie wchodzimy w to. Zwracaj uwagę, że tutaj większość kontaktów społecznych, interakcji jest oparta na przypisywaniu sobie poczucia winy. Wygrywa ten, kto sprawniej przypisze drugiemu, że tamten coś zrobił źle tylko dlatego, że jest niemoralny. Struktura osoby, która się z narkreślonego w tej rozmowie obrazu wyłania, jest niepokojąca. Z jednej strony jest to człowiek obciążony silnie wymaganiami, oczekiwaniami i nakazami moralnymi, którymi jest zewsząd napastowany, a z drugiej żyje on w nieustannym lęku, że nie dorosnie do oczekiwań, do tego świata. Dochodzi jeszcze niesłychana brutalność życia, która jest efektem "świata braku", w jakim żyjemy. Powiedziałbym, podsumowując jakby, że jest to świat, z którego zniknęła nadzieja i obietnica obejmująca całość społecznego życia w tym kraju. Zniknęła perspektywa zmiany, poprawy. Cała technika polityczna propagandy została nastawiona na obniżenie oczekiwań całości społeczeństwa. Jednakże jednocześnie z obniżeniem oczekiwań zbiorowych nie zmniejsza się nacisk na wzrost oczekiwań wobec innych ludzi i wobec siebie samych. Tworzy się tu ostry konflikt powodując taką dziwną strukturę.

Niewiarygodna jest konkurencyjność tego świata jeżeli chodzi o różnego rodzaju dobra, dostęp do usług. Nie ma żadnych prawideł, które by to regulowały - poza pieniądzem, który staje się tutaj wartością absolutną. Jest to, odnosząc momentami wrażenie, społeczeństwo wczesnokapitalistyczne, charakteryzujące się brutalnością walki o pieniądze, pozycję i rzeczy. Ta brutalność powoduje, że ludzie zaczynają traktować się niesłychanie, mówiąc oględnie, nieprzyjaźnie.

Oceniają się wyłącznie w kategoriach rzeczy i nie ma innego wymiaru, w którym się można spotkać i porównać. Jest to także efekt zaniku świata publicznego. Trudno rozmawiać o rzeczach wspólnych, gdy nie łączą nas żadne wspólne sprawy z większością ludzi. (Może poza narzekaniem.)

Teraz jednak, jeśli się zgodzisz, przeszedłbym do pozytywów. Myślę, że ta negatywność która jest cechą państwa, powoduje jedną rzecz: wyzwolenie od państwa. Ma to strukturę podwójną. Mówiliśmy na razie o tym, że...

I.K.: To ciekawe, że dotychczas właściwie w ogóle nie mówiliśmy o tym państwie, nie analizowaliśmy go. To nie jest przypadkowe.

P.S.: Tak, nieprzypadkowe. Powiedziałbym tak: niefunkcjonalność tego państwa, całkowita archaiczność jego struktury zarządzania, kompletny brak reguł, które w nim obowiązują, całkowite właściwie skorumpowanie instytucji państwowych prowadzi powoli do uspołecznienia różnych sfer życia. Zaczynają one istnieć jakby niezależnie od państwa. Dawniej rzeczą naturalną było, że po studiach idzie się do pracy państwowej. Dzisiaj nie jest to już takie oczywiste. Brak identyfikacji z państwem powoduje, że ludzie zaczynają istnieć poza nim. Coraz więcej młodych ludzi po studiach postanawia żyć po prostu dla siebie. Piszą doktoraty, pracują w bibliotekach, zakładają butiki czy prywatne małe warsztaciki, żeby się jakoś utrzymać. Jest to zjawisko zanegowania sensu istnienia państwa w ogóle.

Mam wrażenie, że powoli następuje uspołecznienie trzech sfer, tzn. zaczynają one istnieć poza państwem. Mówiąc anegdotycznie, zawsze kiedy wyjeżdżam z Warszawy do małych miasteczek, mam wrażenie, że nie tylko wyjeżdżam z Warszawy, ale wyjeżdżam z socjalizmu. Tam już nie ma socjalizmu i jego instytucji, nie ma całej tej sfery kontroli społecznej. Wszystko odbywa się na zasadzie nielegalnej wymiany. Zakup materiałów budowlanych czy mięsa - ta sfera jest już właściwie opanowana...

Pierwszy z tych uspołecznionych trzech wymiarów życia społecznego to informacja. Nie mam na myśli tylko wydawnictw nielegalnych, które stały się czymś zupełnie naturalnym tutaj, szczególnie dla tego pokolenia, które weszło w życie na przełomie lat 70/80-tych. Choć dla ludzi starszych te książki wydawane w podziemiu są ciągle szokiem - i fakt, że się to ciągle utrzymuje. Czytanie gazetek, słuchanie RWE jest dzisiaj naturalne. Ale uspołecznienie informacji nie tylko na tym polega. Istotny jest również fakt, że w Polsce istnieje 200 tys. magnetowidów, gry komputerowe, które są również ważnym przekazem informacji oraz, że intensywny jest kontakt z książkami i prasą zachodnią. Jest to w końcu dobrze wykształcone społeczeństwo. Okazuje się, że warstwa inteligencji - produkowana swego czasu tak masowo - jest potężna jako grupa i korzysta ze swej wiedzy. Tego nie można

lekceważyć, szczególnie na prowincji, gdzie skończyła się już epoka, kiedy tylko proboszcz, aptekarz i urzędnik państwowi byli ludźmi wykształconymi. Dziś ilość ludzi, którzy chcą czytać książki i mieć dostęp do kultury jest dużo większa i jest to rzecz bardzo ważna.

Druga sfera to uspołecznienie pracy, uspołecznienie środków produkcji, co ma oczywiście skutki negatywne, ponieważ jest efektem korupcji. To znaczy, korupcja jest z tym zjawiskiem ściśle związana. Coraz więcej pojawia się ludzi, którzy podejmują inicjatywy gospodarcze, myślą w kategoriach rachunku ekonomicznego i są zaradni w tym względzie. Mają możliwości - w tej małej skali - udowodnienia swych talentów ekonomicznych i robią to całkowicie poza strukturą państwa. Ilość tego typu usług, dawanych i udzielanych w sposób nielegalny, jest olbrzymia. Jeżeli ktoś np. podejmie budowę domu, to jest naturalne, że państwo w tego typu inicjatywie właściwie w ogóle nie uczestniczy. A ważne jest przy tym, że jest to własna praca, własna inicjatywa ekonomiczna. W ten sposób tworzy się typ brutalnego "małego kapitalisty", który jest jednak zarazem człowiekiem ekonomicznie dojrzałym - zarówno w myśleniu, jak i doświadczeniu świata. Tego typu prywatna inicjatywa gospodarcza, podobnie jak prywatne rolnictwo, uczy myślenia w kategoriach ekonomicznych. Ci ludzie muszą kalkulować, widzieć związek między nakładami i organizacją pracy, a rezultatami tej pracy. Jest to więc sfera pewnego racjonalnego doświadczenia świata. Oczywiście, odbywa się to wszystko w warunkach nienormalnych, ale przecież jest.

I sfera trzecia wyzwolenia od państwa - coś, co nazwałbym "uspołecznieniem ducha". O Kościele można powiedzieć wiele złego, przede wszystkim o Kościele hierarchicznym, który ze swoimi proboszczami i biskupami choćby przez fakty, że buduje się tyle świątyni, jest bardzo związany z władzą, uzależniony od pieniądza podatnika i zezwoleń na budowę nowych świątyni czy przydział materiałów budowlanych. W Kościele w tej chwili występuje dużo pychy i jest to bardzo niedobre. Ponadto nieznośny jest ten moralizm Kościoła. Pomimo tego jednak, właśnie w obszarze Kościoła dzisiaj znalazło się dużo miejsca na to, co się nazywa energią, inicjatywą społeczną, która z czasów "Solidarności" przeniosła się właśnie tutaj. Rośnie liczba Klubów Inteligencji Katolickiej, powstają różne grupy poziome w Kościele - oazowe, pielgrzymkowe, ruch muminkowy. Jest to obszar, w którym ludzie mają rzeczywiście możliwość spotkania się ze sobą. I grupy te istnieją wyłącznie mocą ludzkiej inicjatywy - tylko tą mocą mogą istnieć. Tym właśnie ludzie uczą się tego, co się nazywa sferą publiczną. Czyli negocjowania, walczenia, przejawiania inicjatywy. No i uczą się modlić. Sfera modlitwy jest tam bardzo ważna - ważniejsza chyba w tym "Kościele poziomym" niż hierarchicznym.

I więc w tych obszarach wywalczonych, odebranych władzy zaczyna działać coraz więcej ludzi - z różnych:

zresztą motywacji. Nie myślę, żeby motywacja polityczna (w sensie protestu przeciwko komunizmowi) była najważniejsza. Ona jest chyba nawet najślabszą...

I.K.: Tak, najślabszą.

P.S.: To jest w ogóle kłamstwo, że ożywienie religijne w Polsce następuje mocą protestu przeciwko komunizmowi. Religia, Kościół stał się miejscem ocalenia publicznego. Wszystko zależy, oczywiście, od księży. Czy utracą te inicjatywy, czy też będą na tyle otwarci i rozumni, że bez względu na to, że tam ludzie mogą różne teologiczne brednie czy herezje wygadywać, pozwolą jednak na to, żeby ci ludzie sami dochodzili do doświadczenia religijnego czy doświadczenia bycia razem. Bo takie doświadczenie zawsze buduje wspólnego ducha.

Mówiąc pewną metaforą i nie spiesząc się z wnioskami powiem, że momentami mam wrażenie, niezależnie od tych wszystkich negatywności, o których mówiłem, że to społeczeństwo jest na tyle dobrze zorganizowane, na tyle zna siebie, że mogłoby znakomicie funkcjonować bez pośrednictwa instytucji państwowych. Te instytucje niczemu już nie służą, są w dużej mierze dysfunkcjonalne. Nie chcę tego uogólniać. Jednak na poziomie gminy, którą znam, widać jak dzięki właśnie rozwojowi istniejącej poza państwem infrastruktury ekonomicznej państwo to schodzi do roli siły wyłącznie hamującej. Jego instytucje należy skorumpować, żeby zniknęły, a wtedy rynek zacznie od razu wspaniale funkcjonować. Będą gotowi kapitaliści i menadżerowie...

I.K.: Nie jestem wcale o tym do końca przekonany. Mam pytanie: czy ludzie w gminie, którzy budują sobie domy i mają niezależne zasady wymiany towarów, są w stanie wybudować sobie niezależnie drogę albo naprawić starą? Sądzę, że nie mają możliwości. I dopóki nie będą mogli tego zrobić, dopóty ta sfera życia nie jest uspołeczniona do końca. I dotyczy to wszystkich trzech sfer, o których mówiłeś. Przy czym wydaje mi się, że to co nazywamy korupcją, jest również pewnym systemem uspołeczniania. Jest to sposób na przywracanie społeczeństwu władania rzeczami, władania ekonomią. Nie ulega wątpliwości, że to gospodarowanie w ostatnim czasie bardzo narasta. Istotnie, to zjawisko pozytywne; buduje się świadomość, że trzeba podjąć inicjatywę, a nie zdawać się na państwo. I jest to, zarazem, chyba najbardziej jasny punkt spośród tych trzech, które wymieniłeś. Mówisz o uspołecznieniu informacji i kultury. Zgoda. Odbywa się masowe wchłanianie książek - niektórych typów literatury w żaden sposób nie można dostać, nie pojawiają się nawet w antykwariatach, a więc ludzie je trzymają. Ale co z tego? Czy z tego naprawdę coś wynika?

P.S.: Nie ma sfery wymiany.

I.K.: Studenci nie rozmawiają o książkach, nie istnieje dyskusja - ot zwykła, nawet czysto literacka. A

zatem nie jest pewne, czy uspołecznienie informacji istotnie nastąpiło. Trzecia sprawa dotyczy religii. W pełni się z tym zgadzam i jestem przekonany, że to społeczeństwo jest prawdziwie religijne. I nie mówię o formach zewnętrznych, lecz o rozprzestrzenieniu się duchowego sensu religii - poniekąd mimo presji samej instytucji kościelnej i kleru w kierunku upolitycznienia i umoralistycznienia wiary.

Ale tak oto dochodzimy do istotnego problemu. Jeżeli się nie mylimy, to diagnoza nasza prowadzi do wniosku, że jako społeczeństwo znajdujemy się w bardzo dramatycznej sytuacji jakby balansowania na linie. Te rozmaite negatywności, o których mówiliśmy, kumulują się i mogą wydać zatrute owoce. Siły destrukcyjne są bardzo silne. Bo, na przykład, następna faza rozszerzającej się swobody, czy też form niezależności ekonomicznej nie musi być wcale prawdziwe uspołecznienie ekonomii. Może się to choćby zmienić w model taki, jak w Chicago w latach 20-tych, czyli w gangsterską walkę o byt. Podobnie uspołecznienie informacji, które jest do tej pory największym zwycięstwem, może się przerodzić w czysto kwietystyczne egotyczne partycypowanie nawet sporej liczbie elity w jakiejś odległej kulturze, przy całkowitej barbaryzacji życia, języka i myśli na codzień. I sprawa trzecia. Ważna i znacząca rozbudowa Kościoła, jego bogactwo i pluralizm, którego doświadczenie było dla mnie jednym z najważniejszych przeżyć na początku lat 80-tych, są w tej chwili bardzo mocno zagrożone. Wyjaśnienie jest proste: stare struktury i postawy są bezpieczniejsze, łatwo się do nich wraca, zapada się w nie wygodnie. Presja państwa na Kościół, automatyzm konfliktu między nimi, skłania Kościół do umacniania autorytarnej hierarchiczności. To nie sprzyja albo i nawet jest zabójcze dla owego religijnego ducha, który ostatnio w społeczeństwie wzrasta. Nowa religijność, która się u nas kształtuje, a która przeszła niejako przez fazę ateistyczną, socjalistyczną i buntowniczą, niesie całkiem nowe, ożywcze soki, nowe i głębokie, osobiste i zaangażowane przeżycie chrześcijaństwa. Wydaje się, że na ogół głębsze, niż tradycyjny, polski model katolicki. Nowa religijność i to zwłaszcza w katolicyzmie, odwołuje się i czerpie z fundamentalnych wartości duchowych i doświadczeń obecności Boga w życiu człowieka.

Zastanówmy się więc, co wynika z sytuacji jakby balansowania na linie, w której się znaleźliśmy? Mówię o "balansowaniu", bo z drugiej strony wymienionych niebezpieczeństw znajdują się owe pozytywności, o których przede wszystkim ty mówiłeś. Od czego zależeć będzie - rozważmy to już w warstwie przyrodzonej - przeważenie tych negatywności na stronie pozytywności? Moim zdaniem najważniejsze jest ukształtowanie się, czy też utwierdzenie niezłomności różnych grup naszego społeczeństwa, pewnych elit, wyrastających z ducha roku 80-tego. Odwołam się tutaj do koncepcji pokoleniowej: twierdzą, że pewne pokolenie ma tu rzeczywiście do spełnienia zasadniczą rolę.

Spróbujmy to rozważyć na poziomie codzienności, codziennych kontaktów międzyludzkich.

Mówisz, że ludziom trzeba mówić rzeczy pozytywne. Pokazywać to, co w nich dobre i silne, odwoływać się do tego, co oni widzą w sobie dobrego, w co wierzą, żeby wywołać w nich pozytywne reakcje. W porządku. Jednakże ja reaguję na codzienne sytuacje inaczej. Domagam się respektowania wzorców zachowania, w które ci ludzie wierzą, znają je, przywołują werbalnie, a zachowują się w niezgodzie z nimi. Wobec tego pytanie: którą z tych taktyk stosować? Jak to ma wyglądać na poziomie działania politycznego, społecznego i indywidualnego? To są dla mnie bardzo ważne pytania. Jak wywołać i podtrzymać w ludziach "pozytywność", o którą nam chodzi? Jak mam powiedzieć tej "babie" w sklepie, jak na czas przywołać te wzory, które ona ma w gruncie rzeczy głęboko wpojone, a zachowuje się poniżej nich, jak to zrobić, żeby mieć z nią zwyczajny, ludzki kontakt? Żeby górę wzięło "dobre", a nie "złe".

P.S. Mądrość przemówień papieża nie polega na odkrywcości jego stwierdzeń, bo w gruncie rzeczy przeciw wszystko, co mówi jest być może nawet pewną oczywistością. Najważniejsze jest jednak to, że on mówi zawsze w kategoriach pozytywnych. Zawsze mówi o nadziei i o tym, że jesteśmy powołani jako istoty duchowe, które są, jak pisze św. Paweł, świątyniami Boga. Mówi więc o powołaniu, a nie w kategoriach obowiązku wobec Boga.

Oczywiście, samym gadaniem nie da się niczego zrobić. Także w swoim istnieniu społecznym musimy się odwoływać do kategorii pozytywności. Ludzie są złańnieni tego, żeby im mówić, iż mają moc i siłę. Przy całkowitym braku nagród - bo jest to społeczeństwo nieustannie karzące - jest to bardzo potrzebne. Mówić im, że mają mądrość i olbrzymie skumulowane w sobie doświadczenie. Szczególnie, że to naprawdę było widać np. w 80 roku, gdy społeczeństwo, które wydawało się być głupie i otepiałe po gierkizmie, nagle w szybkim czasie wytworzyło wspaniałe więzi społeczne i było zdolne mówić i zachowywać się rozsądnie i racjonalnie. A więc te przestrzenie pozytywności są - i na nich trzeba się skupiać, wydobywać je i nazywać. Mam dość oglądania filmów i czytania książek, które są wyłącznie pluciem i zohydzeniem sobie siebie samego - począwszy od *Małej apokalipsy* Konwickiego, a skończywszy na tych strasznych rozrachunkowych filmach, które są wyłącznie samą negatywnością. W kategoriach programu artystycznego myśląc, potrzeba książki pozytywnej (nie socrealizmu), która powie o ludziach trwających tu i mimo wszystko zachowujących poczucie godności. Tacy ludzie są, chcą ich szukać. Oni mnie interesują, a nie cała ta przerażająca większość. Jest paru księży, wspaniałych indywidualności, o których warto mówić i których warto pokazywać. Warto ludziom uświadamiać, że w tym kraju ciągle można coś robić, choć kosztą tego są wielkie. Sprawa Michnika, czy innych osób, które siedzą w więzieniach, to nie jest dla mnie kwestia tylko tego, że oni cier-

pią. Chodzi o to, że pokazali moc ducha i ich obecność w więzieniu, a nasza współobecność w ich cierpieniu jest budowaniem wspaniałej więzi społecznej. Przecież dziś np. Adam Michnik konstytuuje więź społeczną w większym chyba stopniu, niż hasło "Solidarności", które jest abstrakcją.

Społeczeństwa, które mają kłopoty z poczuciem własnej tożsamości, które, mówiąc po gombrowiczowsku, nie mają własnej formy, są "przelewające się" - tego typu społeczeństwa, do których należą i nasze, są nieprzewidywalne. Dla mnie tak "nieprzewidywalna" była np. pierwsza wizyta papieża w 1979 roku, kiedy to społeczeństwo zachowało się tak wspaniale, świątecznie. Tych kilka dni to była wielka niedziela. Ludzie zobaczyli siebie w zupełnie innych ubraniach i coś zupełnie innego działo się między nimi. Była prawdziwa radość, której niestety zabrakło podczas drugiej wizyty.

W tym samym sensie dla każdego musiał być "nieprzewidywalny" okres "Solidarności". Nie sądzę, żeby potrzebna była dalsza rozbudowa struktur podziemnych, bo te struktury instytucjonalno-organizacyjne rozpadają się błyskawicznie i to powoduje właściwie tylko wzrost martyrologii narodowej, a jej i tak jest dosyć. Nauka płynąca z okresu "Solidarności" potwierdza, że decydujące znaczenie miały wtedy te grupy, które były już wcześniej zorganizowane, rozmawiały ze sobą i miały do siebie zaufanie. Ludzie, którzy mieli poczucie więzi, lojalności względem siebie i których łączyła wspólnota doświadczeń. Mam wrażenie, że każda zmiana w tym kraju dokonywała się wtedy, gdy ... gdy się dokonywała. Nie można tego inaczej nazwać, ani nie da się tego socjologicznie przewidzieć. Oczywiście, można teoretyzować, spekulować, uwzględniać różne czynniki, ale jest faktem, że robotnicy wygrywali wtedy, kiedy ruszali naprawdę. Nigdy wcześniej, nigdy później. Rok 80 - w przeciwieństwie do 70 - mógł być owocny, bo istniały te grupy zorganizowane duchowo. Istniało zaplecze KOR-owskie, ROPCio-wskie, KIK warszawski, "Więź". Istniało wiele środowisk, które miały swój język i doświadczenie i mogły niejako, choćby na początku, dać temu ruchowi kształt tożsamości. I dać mu autorytety.

Jedyną szansę upatruję teraz w tym, że nadal będą trwały i tworzyły się grupy tego typu oparte na zbiorowych porozumieniach, które wynikają np. z tworzenia pism czy podejmowania różnych społecznych inicjatyw. Jest to jedyna szansa, niezależnie od tego, że sytuacja będzie ewoluowała w kierunku negatywnym, tzn. w stronę atomizacji społeczeństwa, wzrostu kultu rodziny i tego indywidualizmu, egotyzmu rodzinnego. Nieważne, czy te grupy będą zorganizowane, czy nie. One, w sytuacji prawdziwego konfliktu, będą miały znaczenie decydujące. Dadzą się temu społeczeństwu, bo są siłą tego kraju. Grupy, które się tworzą w ramach struktur świata opozycji i te, które tworzą się w ramach Kościoła. One są podstawą nadziei.

I.K.: Pozostałbym jednak przy swojej taktyce. Można się

zastanowić, czy ona też nie przynosi pozytywnych skutków. Domaganie się w tej spontanicznej sferze społecznej respektowania pewnych wzorów, respektowania mnie jako mnie - bez względu na to, w jakiej występuję roli: czy jestem klientem, czy sprzedawcą, czy jest to rola podrzędna, nadrzędna, czy równa. Oczywiście, taktyka ta zawsze w naszej sytuacji zakładała konflikt, kłótnię, ale to jest jednak inny konflikt, niż negatywność, która nas cały czas bombarduje. Domagam się respektowania mnie ze względu na pewien wzór, który jest wspólny dla nas i tym samym wymuszam niejako na drugiej stronie, żeby nabrała osobistego szacunku do siebie samej. Konflikt, który ja zakładam, jest bodźcem zmuszającym drugiego człowieka do spojrzenia na siebie w inny sposób. Powinno to zatem prowadzić do pozytywnych skutków.

P.S.: Być może masz rację, tylko ja bym się obawiał, że jest to jeszcze jeden element moralizowania społeczeństwa. Oczywiście, że mam prawo np. w kontaktach ze swoimi studentami domagać się, aby oni przestrzegali pewnych reguł. Ale w sensie działania społecznego, w perspektywie odpowiedzi na pytanie, jak mówić do tego społeczeństwa, byłbym nie tyle przeciwko tobie, ile raczej powiedziałbym, że ważniejsza jest pozytywność. W niej jest siła. Być może zresztą obie te taktyki są słuszne.

Wierzę głęboko, że nie ma praw socjologicznych - poza jednym: ludzie są zdolni do złamania nawet, здаwałoby się żelaznych konieczności historycznych. Są zdolni do podjęcia inicjatywy, czyli tego, co stanowi fundament życia publicznego. W jakim momencie, kiedy to nastąpi - nie wiadomo. To jest nieprzewidywalne - co nie znaczy, że nie warto myśleć. Do tej właśnie mocy, inicjatywy i odwagi trzeba się odwoływać. Nie do samopoświęcenia, tylko do cnót heroicznych.

Gdańsk, sierpień 1986

Richard Pipes

CERKIEW W SŁUŻBIE PAŃSTWA

*Pośród spraw naszych dwie są,
jak już zauważyłem, które bytują
szczególnie zgodnie: anielskie
myśli i diabelskie postępowanie.*

Montaigne

Zewnętrznie najbardziej uderzającą własnością prawosławia jest piękno jego sztuki i obrządku. Nawet po kilku dziesięcioleciach niszczenia cerkwie i klasztoru, które przetrwały w Rosji, wyróżniają się, będąc najbardziej atrakcyjnymi dziełami rąk ludzkich w skądinąd bezbarwnym i monotonnym krajobrazie. Prawda ta odnosi się do majestatycznych soborów w Nowogrodzie, Władymirze i na moskiewskim Kremlu, lecz w nie mniejszym stopniu do znacznie skromniejszych, kamiennych cerkwi zbudowanych na koszt książąt, bojarów i kupców, a także drewnianych cerkiewek wzniesionych przez samych chłopów. Z ich pierwotnych dekoracji przetrwało niewiele, lecz najlepsze średniowieczne ikony zachowane w muzeach (wiele z nich bez wątplenia pochodzenia greckiego) są wykonane w sposób, który każe się domyślać najbardziej wyrafinowanego smaku. Rosyjska muzyka liturgiczna uległa niestety w XVIII wieku przemożnym wpływom włoskim. Jednak nawet w swej skażonej formie rzadko zdarza się, by nie wywierała wielkiego wrażenia, szczególnie w czasie Wielkiej Nocy, kiedy to prawosławne ceremonie osiągają szczyt świetności. Jeżeli owe połączone, wizualne i słuchowe efekty tak olśniewają człowieka współczesnego, to bez wielkiego trudu można sobie wyobrazić przygniatające wrażenie, jakie wywierały one na chłopach. Nie bez znaczenia dla roli jaką cerkiew przyznaje doznaniom zmysłowym jest fakt, iż według kroniki ruskiej *Powieści minionych lat* decydującym powodem przejścia Rusi na chrześcijaństwo było wrażenie, jakie wywarła na kijowskich emisariuszach konstantynopolitańska Hagia Sophia.

Podstawowym elementem doktrynalnym prawosławia jest wiara w wyrzeczenie. Prawosławie uważa ziemską egzystencję za coś odrażającego i wyżej stawia wycofanie niż mieszanie się do spraw świata. Zawsze było szalenie podatne na prądy przychodzące ze Wschodu, które głosiły odsunięcie się od życia, włączając w to doktryny eremickie i hezychastyczne, które stawiały wyznawcom za cel całkowite oddzielenie się od

ziemskiej rzeczywistości. W wiekach XVIII i XIX, kiedy to religijni przywódcy na Zachodzie, mając już całkowicie poza sobą okres zapału i entuzjazmu, troskali się o to, jak pogodzić wiarę z nauką i potrzebami społeczeństwa, Rosjanie doświadczali osobistych konwersji, które prowadziły we wręcz przeciwnym kierunku, w stronę wyrzeczenia, mistycyzmu, hipnozy i ekstazy. W tym wieku racjonalizmu szerzyły się wśród rosyjskich chłopów ruchy najbardziej irracjonalne i sekciarskie, jakich zachodnia Europa nie widziała od czasów reformacji.

Pewnym aspektem tego wyrzeczenia jest pokora i lęk przed pychą. Prawosławni teolodzy twierdzą, że cerkiew pozostała wierniejsza naukom Chrystusa i praktykom wczesnego chrześcijaństwa, niż katolicyzm i protestantyzm, a to na tej podstawie, iż te ostatnie, uległy zepsuciu wskutek kontaktu z cywilizacją klasyczną, przyszyły nadto wielkie znaczenie rozumowi analitycznemu, które to ustępstwo w sposób nieubłagany doprowadziło je do grzechu pychy. Prawosławie głosi cierpliwą zgodę na swój los i na nieme cierpienie. Najwcześniej kanonizowani święci ruskiej cerkwi, średniowieczni książęta Borys i Gleb, dostąpili świętości, ponieważ nie stawiając oporu dopuścili, by ich zamordowano.

Gdyby zajmować się religią wschodniego chrześcijaństwa, to należałoby naturalnie dłużej zatrzymać się nad jej estetyką i etyką. Jednakże przedmiotem naszego zainteresowania jest polityczne funkcjonowanie cerkwi, a w szczególności jej uwikłanie w stosunki między państwem i społeczeństwem - nie to co głosiły i praktykowały umysły najbardziej pobożne, lecz to, jak postępowała cerkiew jako instytucja. Otóż kiedy podejmie się badania od tej strony, odkrywa się natychmiast, iż mimo jego skrajnie pozawiatowej intencji, Rosyjski Kościół Prawosławny był w niezwykłym stopniu wplątany w tę całą trudną grę o przetrwanie. W rzeczywistym działaniu okazywał się znacznie mniej uduchowiony, niż takie wyznania jak judaizm i protestantyzm, które uznają akces do spraw świata za podstawę spełniania religijnych powinności. Kiedy patrzy się na jego los, przypomina się zamieszczony jako motto tego rozdziału powiedzenie Montaigne'a, które łączy anielskie myśli z diabelskim postępowaniem. Trudno by było inaczej, skoro każdy kto wyrzeka się udziału w sprawach życia, zostaje w końcu bez zasad, którymi mógłby się kierować, ilekroć życie zmusi go do uczestnictwa. Pozbawiona reguł praktycznego postępowania rosyjska cerkiew nie potrafiła przystosować się do własnego otoczenia i uchronić choćby w niedoskonałej, kompromisowej formie tych swoich wartości duchowych, które uznawała za fundamentalne. Skutkiem tego jeszcze bardziej uległa niż jakikolwiek inny kościół oddała się do dyspozycji państwa, wspomagając państwowy wyzysk i ucisk. W końcu zatraciła swoją instytucjonalną tożsamość i pozwoliła przekształcić się w zwykłe odgałęzienie państwowej biurokracji. Wszystko to uczyniło ją niezwykle wrażliwą na zmiany politycznych frontów i tendencji

opinii publicznej. W przeciwieństwie do innych kościołów, nie zdobyła sobie autonomicznej sfery działania. Niczego nie mogła nazwać własnym i do tego stopnia utożsamiała się z samodzielnym, że kiedy to ostatnie upadło, runęła wraz z nim. Względna łatwość, z jaką komunistom powiodło się wyeliminowanie cerkwi z publicznego życia Rosji, stoi w wymownym kontraście z oporem, jaki napotkali w katolickiej Europie Wschodniej, gdzie próbując bezskutecznie tego samego, musieli w końcu uznać kościół za niezależną instytucję.

Nie licząc Węgrów, Rosjanie byli ostatnimi mieszkańcami Europy Wschodniej, którzy przeszli na chrześcijaństwo. Formalna konwersja miała miejsce w roku 987 (a nie w 988-9, jak podają kroniki), kiedy książę Władimir i jego dwór, za którym poszła reszta bojańskiego stanu, przyjęli chrzest z rąk greckiego duchowieństwa. Ogół ludności słowiańskiej nawracał się powoli i nierzadko pod przymusem; jeszcze wiele wieków później trzymał się pogańskich praktyk. Wybór prawosławia przez Ruś kijowską był całkowicie naturalny, zważywszy bogactwo Bizancjum w X wieku i wyższość jego kultury nad rzymską, jak również wagę dla Kijowa handlowych kontaktów z Bizancjum.

Fakt, iż Ruś przyjęła chrześcijaństwo z Bizancjum, a nie z Zachodu, miał bardzo poważne konsekwencje dla całego historycznego rozwoju Rosji. Obok uwarunkowań geograficznych omawianych w rozdziale otwierającym tę książkę, był to może pojedynczo najbardziej decydujący czynnik, jaki wpłynął na los tego kraju. Na skutek przyjęcia wschodniego szczepu chrześcijaństwa, Rosja oddzieliła się od głównego nurtu chrześcijańskiej cywilizacji, który popłynął akurat na Zachód. Już po tym, jak Ruś nawróciła się, Bizancjum zaczęło chylić się ku upadkowi, Rzym natomiast piął się coraz wyżej. Cesarstwo Bizantyjskie wkrótce zaczęło być oblegane przez Turków, którzy odrywając nieprzerwanie część po części z jego terytorium w końcu zdobyli jego stolicę. W XVI wieku Moskwa była jedynym wielkim królestwem na świecie, które było o-rzędownikiem wschodniego chrześcijaństwa. Im większy był napór, jakiemu podlegała ze strony katolicyzmu i islamu, tym bardziej powiększało się jej odcięcie i wzmagająca nietolerancja. W ten sposób przyjęcie chrześcijaństwa miało zbliżyć ją do wspólnoty chrześcijańskiej, stało się powodem izolacji Rosji od sąsiadów.

Kościół prawosławny, będąc zbudowanym z niezależnych, narodowych jednostek, jest z samej swej istoty zdecentralizowany. Nie posiada papieża, które nadałoby mu spójności; jego poszczególne jednostki dążą do tego, by być "autokefaliczne" czyli "samo-dzielne". Poważniejsze doktrynalne i administracyjne kwestie sporne są rozstrzygane przez zgromadzenia (synody), które przy ważnych okazjach przyjmuje rozmiary międzynarodowych soborów. Ten sposób postępowania wier-niejszy jest duchowi wczesnego chrześcijaństwa, prowadzi jednak do osłabienia w prawosławiu zdolności do przeciwstawienia się władzy świeckiej. Jego de-

centralizacja powiększa się na skutek prawa, jakie przysługuje narodowym odgałęzieniom kościoła prawosławnego, prawa do używania w liturgii i piśmiennictwie teologicznym języków lokalnych. To co w zamierzeniu miało zbliżyć cerkiew do narodu, w praktyce powiększyło jeszcze bardziej izolację członków prawosławnej wspólnoty. Nie posiada także prawosławie niczego odpowiadającego łacinie, co dałoby jego członkom poczucie jedności wykraczającej poza narodowe granice. I tak na przykład duchowieństwo rosyjskie nie znało greki i było zmuszone sprowadzać mnichów z Bałkanów, ilekroć trzeba było zasięgnąć rady bizanjskich ksiąg.

Można powiedzieć, że ogólny trend prawosławia był odśrodkowy, od ekumenizmu ku regionalizmowi. Właśnie ów trend doprowadził z kolei do zatarcia różnic między kościołem, państwem i narodem. Cerkiew prawosławna nigdy nie dysponowała władzą i spoiwością potrzebną, by bronić swych interesów przed świeckimi zakusami. Podzielona na wiele narodowych gałęzi, z których każda oddzielona była od reszty przez granice i bariery językowe, każda ze swoją własną hierarchią, nie miała innego wyboru, jak tylko dostosować się do tej władzy doczesnej, pod panowaniem której przyszło jej akurat żyć. Pewien bystry francuski obserwator zwrócił uwagę już w roku 1889, na długo przedtem nim fakt ten ujawniła Rewolucja, na ową pełną zależność rosyjskiej cerkwi od zmiennych wiatrów polityki.

"We wschodnim prawosławiu struktura cerkwi zmierza do ukształtowania się na wzór struktury politycznej, podczas gdy granice tych kościołów mają tendencję do odtwarzania granic państwowych. Są to dwa skorelowane stany rzeczy, w istotny sposób związane z narodowym charakterem kościołów prawosławnych. Zamknięte w granicach państw, pozbawione wspólnego zwierzchnika i religijnego centrum poza granicami, niezależne jeden od drugiego, są kościoły te znacznie bardziej podatne na wpływ władzy świeckiej i znacznie bardziej narażone na skutki rewolucyjnych wybuchów świeckiego społeczeństwa. Wraz ze swoją jednostajną hierarchią wszędzie takich samych kapłanów i biskupów, cerkwie przystosowują się zależnie od miejsca i czasu do najróżniejszych rodzajów rządów: kształt ich wewnętrznej administracji zawsze w końcu harmonizuje z kształtem organizacji politycznej." /1/

Ścisłe, niemal symbiotyczne utożsamianie kościoła i państwa, charakterystyczne dla wschodniego chrześcijaństwa, ma mocne uzasadnienie w czynnikach historycznych i doktrynalnych.

Zacznijmy od historycznych. Kościół wschodni miał szczęście od swego założenia cieszyć się opieką cesarza, którzy po konwersji przenieśli swoją stolicę do Konstantynopola. W Bizancjum cesarz był zwierzchnikiem kościoła, a kościół "należał do państwa i był częścią państwowej organizacji". Mówiąc słowami cesarza Justyniana, istniał związek "harmonii" między świeckimi i kościelnymi władzami, co w praktyce oznaczało, iż cesarze brali udział w niektórych naj-

ważniejszych czynnościach kościoła, obejmujących formułowanie prawa kanonicznego, zwoływanie soborów powszechnych i mianowanie biskupów. Państwo z kolei używało swej władzy, by popierać decyzje synodów i utrzymywać na swym terytorium czystość wyznania. /2/ Dla bizantyjskich teoretyków było aksjomatem, iż kościół nie może istnieć bez poparcia państwa. Sąd ten został zwięźle wyrażony przez patriarchę Konstantynopola w liście, jaki wysłał on do moskiewskiego księcia Bazylego I około 1393 roku. Występując przeciwko rzekomemu twierdzeniu Bazylego, iż Moskwa ma kościół, lecz nie ma cesarza, patriarcha ten przypomniał mu, że do obowiązków cesarzy należy zwoływanie synodów, popieranie wyroków kościoła i zwalczanie herezji. Stąd "nie jest to możliwe, by chrześcijanie mieli kościół, a nie mieli cesarza. Cesarzka władza i kościół pozostają w ścisłej jedności i wzajemnym porozumieniu, i jedno nie może być odzielone od drugiego". /3/

Na Zachodzie brakowało warunków sprzyjających tak ścisłej współpracy. Kiedy cesarska stolica została przeniesiona do Konstantynopola, Rzym znalazł się w politycznej próżni, którą natychmiast zapełnili jego biskupi. Zachodni kościół przez długi czas nie musiał rywalizować z żadną monarchią i realizował na wielką skalę swoje własne świeckie interesy. Kiedy zatem na Zachodzie pojawiła się niezależna władza świecka, sytuacja zmierzała do konfrontacji. Bez najmniejszego lęku zachodni kościół potwierdził swoje pierwszeństwo; już papież Grzegorz Wielki (590-604) śmiało ogłosił prymat kościoła wobec państwa. Kościół wschodni dlatego właśnie, że rozwijał się w politycznie sprzyjających warunkach, wysuwał ze swej strony roszczenia bardziej umiarkowane. Potem jednak, gdy Bizancjum upadło, uzależniał się w coraz większym stopniu od administracyjnego wsparcia i finansowej pomocy władzy świeckiej, gdy tymczasem papieństwo rosło w bogactwa i siłę, i nie miało najmniejszego powodu, by uznać władzę świecką za równą sobie.

Doktrynalny czynnik, który pcha cerkiew w objęcia państwa, związany jest z jej immanentnym konserwatywizmem. Cerkiew uważa się za strażnika wiecznych prawd Objawienia; jej misja polega na gwarantowaniu, iż nie staną się one przedmiotem manipulacji i nie zostaną zagubione. Czystość doktryny i obrządku są dla niej sprawami o najwyższej doniosłości. Stąd reformatorskie ruchy prawosławia stawiały sobie właściwie za cel usunięcie tego, co postrzegano jako innowację, a nie powrót do nowotestamentowego chrześcijaństwa, bądź adaptację do nowożytnych warunków. Ostatecznym autorytetem były w jej oczach nie Ewangelie, lecz tradycja kościoła. (Pismo Święte zostało w Rosji po raz pierwszy przełożone i opublikowane dopiero w latach 1860-70). Z powodu wagi, jaką przykładła do zewnętrznych przejawów religijności, jej elementów magicznych, cerkiew zawsze stawiała mocny opór zmianom w obrzędach, ikonografii, czy innych praktykach. Bizancjum doświadczało ciągle doktrynalnych konfliktów; jednakże w X wieku, kiedy Ruś przeszła nawró-

enie, zostały one zasadniczo rozwiązane, tak że przyjęła ona wiarę w postaci, jak można mniemać, ostatecznie wypracowanej, co uczyniło jej cerkiewną organizację jeszcze bardziej konserwatywną, niż w kościele macierzystym.

Tenże sam konserwatyzm powodował, że prawosławie pragnęło mieć po swej stronie silną władzę świecką. Kraj miał być czysty i "święty", niesplamiony fałszywymi wyznaniem. Żadne odstępstwo od tradycji nie mogło być tolerowane. Jak przedstawił to bizantyjski patriarcha Facjusz: "Nawet najmniejsze uchybienie tradycji prowadzi do całkowitego zlekceważenia dogmatu"; innymi słowami, każdy błąd jest początkiem apostazji. Ta i wiele innych kwestii, związanych ze ścisłą interpretacją prawdy objawionej, popychała religię prawosławną w stronę teokracji, która w tych konkretnych historycznych warunkach rozwoju oznaczała w praktyce nadmierne zaufanie do świeckiej władzy.

Złoty wiek prawosławnej cerkwi na Rusi zbiegł się z panowaniem mongolskim. Mongołowie zwolnili cały kler żyjący pod ich rządami od obciążeń nałożonych na resztę podbitego narodu. "Wielka Jasa", akt wydany przez Dżingis-Chana, zapewniał cerkwi poparcie i zwalniał ją od daniny i podatków w zamian za modły odprawiane w intencji chana i jego rodziny. Ów przywilej był, w czasie gdy reszta Rusi cierpiała od ciężkich kontrybucji i gwałtów, dla cerkwi niezwykłym dobrodziejstwem - jej bogactwo zaczęło gwałtownie wzrastać. Głównymi beneficjentami mongolskiej łaski były klasztory. W XIV wieku ruscy mnisi podjęli energiczną kolonizację i do czasu jej zakończenia zbudowali również wiele klasztorów, ile wzniesiono od czasu konwersji tego kraju przed czterystu laty. Około roku 1550 na Rusi było w przybliżeniu dwieście klasztorów, niektóre ogromnych rozmiarów, wśród nich Ławra Troicko-Sergiejewska, klasztor bieloozerski pod wezwaniem świętego Cyryla i klasztor sołowiecki. Wiele ziemi klasztornej pochodziło z nadania książąt moskiewskich, jako wyraz wdzięczności za rozliczne usługi świadczone przez cerkiew, te szczególnie, które wspierały ich roszczenia do monarchicznej i autokratycznej władzy. Dodatkowa ziemia pochodziła od bojarów, którzy zwyczajowo zaopatrywali klasztory leżące w ich dobrach. To, co duchowieństwo raz otrzymało, pozostawało już w jego rękach, ponieważ w przeciwieństwie do świeckich włości nie korzystało ono z instytucjonalnej ciągłości i rzecz jasna nie dokonywało dalszych rozdziałów.

Ponieważ dobra mnichów rozrastały się, nie byli oni w stanie uprawiać własnej ziemi i musieli uciekać się do pracy najemnej. Klasztory również szybko jak niektórzy z włości zwróciły się do korony z prośbą o akty prawne przywiązujące chłopów do ziemi. Wielkie ławry rozrosła się w rozległe, dochodowe gospodarstwa, niczym nie różniące się od posiadłości bojarskich. U swego szczytu Ławra Troicko-Sergiejewska posiadała 100.000 chłopskich "dusz", które uprawiały jej dobra rozrzucone po piętnastu guberniach. W połowie

siedemnastego wieku same włości należące do urzędu patriarchy liczyły 35 000 chłopów pańszczyźnianych. Szesnastowieczni podróżnicy przybywający z zagranicy zgodnie stwierdzają, iż rosyjskie duchowieństwo było właścicielem jednej trzeciej ziemi, a ocena ta, choć na skutek swej jednomyślności budzi pewne wątpliwości, jest w zasadzie akceptowana przez współczesnych historyków. Trzeba jednak podkreślić, że z powodu zdecentralizowanej struktury prawosławia, zasoby te nie należały do cerkwi jako całości. Podobnie jak ziemia bojarów, dobra cerkiewne były podzielone na wiele posiadłości wielkich, średnich i małych, i to szeroko rozrzuconych. Rzeczywistymi właścicielami byli patriarcha, biskupi, cerkwie, klasztory i parafie. (Choć prawdą jest, że urząd patriarchy pobierał podatki od wszystkich tych włości). W wielu przypadkach dobra nominalnie należące do klasztoru znajdowały się w posiadaniu pojedynczych mnichów, którzy tak dbali o swoje interesy, jak nie potrafiliby często żaden ziemianin czy kupiec. Wielka dysproporcja bogactw między kilkoma bogatymi a resztą, dysproporcja jaką notowano wśród świeckich posiadaczy ziemskich i warstwy kupców dotyczyła w rzeczy samej także bogactw ruskiej cerkwi. Z jednej strony istniały wielkie klasztory, których połączone dobra dorównywały włościom najbogatszych bojarów; z drugiej parafialne cerkwie, których popi utrzymywali się z uprawy własnych działek, zupełnie jak chłop, dla których wypełniali duszpasterską posługę. Dobra cerkwi musiały być potwierdzone przez każdego nowego chana lub (później) Wielkiego Księcia, dokładnie tak samo, jak włości świeckie. Własne bogactwo stawiało ruską cerkiew w dwuznacznej pozycji wobec władzy świeckiej; o ile bowiem ze względu na swoją funkcję duchową popi i mnisi podlegali arcybiskupom, o tyle jako ziemianie podlegali jurysdykcji lokalnego księcia. W sumie ziemie cerkwi były dokładnie tak samo rozrzucone i zależne od władzy świeckiej, jak dobra świeckie, i dlatego pozbawione politycznego znaczenia.

Starania o własne włości pochłaniały większość czasu klasztornego i "czarnego" kleru, który oddawał się sprawom doczesnym w większym nawet stopniu niż duchowieństwo klasztorne późnośredniowiecznej Europy Zachodniej. W typowym ruskim klasztorze XIV i XV wieku mnisi nie mieszkali w jego murach, lecz w miastach i wsiach, które do nich należały, gdzie nadzorowali prace rolne i przedsięwzięcia handlowe, a także zakłady rzemieślnicze będące w gestii ich zgromadzeń. Większość ruskich mnichów nie miała święceń kapłańskich.

Światowe zepsucie, jakie toczyło ruskie duchowieństwo, pogłębiało się wskutek jego ignorancji. Jezykiem ruskiej cerkwi był staro-cerkiewno-słowiański, książkowy język stworzony w IX wieku przez misjonarzy Cyryla i Metodego na bazie słowiańskiego używanego w ich rodzinnej Macedonii. Choć różnił się on od rosyjskiego, był na tyle doń zbliżony, że można go było opanować przy minimalnej nauce. Greci ani łaciny w ruskich klasztorach nie uczono, a aktywność piśmiennicza ograniczała się niemal wyłącznie do

spisywania szczytkowych kronik i żywotów świętych. Stań ruskie duchowieństwo było wprost niewiarygodnie ciemne. Jeśli nie przyjmujemy, że wszyscy cudzoziemcy odwiedzający Moskwę zmówili się, by kłamać, to obraz, jaki wyłania się z ich opisów życia religijnego, jest przerażający: "Cudzoziemcy stwierdzają, że zwykły człowiek świeckiego stanu nie znał ani treści Ewangelii, ani symbolu wiary, ani podstawowych modlitw, w tym 'Ojcze nasz' i 'Dziewico Bogarodzico', naiwnie usprawiedliwiając swoją ignorancję tym, że wszystko to jest przedmiotem bardzo subtelnej wiedzy, stosownej tylko u cara i patriarchy, jak również panów i duchowieństwa, którzy nie muszą pracować. Jednakże ci sami cudzoziemcy dają również wprost druzgocące świadectwo przeciw tym, którzy właśnie dysponują wolnym czasem i to nawet specjalnie przeznaczonym, by zdobywać ową wiedzę. Oleariusz pisze, że w jego czasach najwyżej jeden mnich na dziesięciu znał 'Ojcze nasz'. W końcu XVII wieku Wahmud wspomina o mnichu, który prosił o jałmużnę w imię czwartej osoby Trójcy Świętej, którą okazuje się być Święty Mikołaj. Po tym nie dziwi już, kiedy czyta się u Fletchera, że biskup Wołogdy nie potrafił mu powiedzieć, z jakiej to księgi Pisma Świętego pochodzi czytanie, które zakończył akurat na jego prośbę, oraz ilu było ewangelistów; nie dziwi również, kiedy dowiadujemy się od Oleariusza i Wickharta (XVII wiek), że patriarchowie za ich czasów byli niezwykle ignorantami w sprawach wiary i nie byli w stanie podejmować żadnych teologicznych sporów z cudzoziemcami". /4/

W XIV i XV wieku ruska cerkiew tak głęboko pograżyła się w świeckich sprawach, że przestała strzec chrześcijaństwa w jakimkolwiek innym niż najprymitywniejszym, magiczno-obrzędowym sensie. A i w tym względzie nie potrafiła oprzeć się skrótom i ścięciom. W ten sposób na przykład, by skrócić swe niekończące się msze, moskiewskie cerkwie i klasztory przyjęły praktykę wielogłosowego nabożeństwa, która polegała na tym, że kilku popów i mnichów śpiewało równocześnie następujące po sobie partie liturgii, co w efekcie dawało prawdziwie obłąkańczy bełkot.

Owo nadmierne przywiązanie do spraw doczesnych spowodowało nieuniknioną reakcję, która mimo swego całego zewnętrznego podobieństwa do reformacji, była zjawiskiem *sui generis* o całkiem odmiennych skutkach. Rosyjskie granice nie były nigdy zamknięte tak hermetycznie, jak życzył sobie tego rząd, stań w późnych wiekach średnich udało się ruchom reformatorskim przeniknąć w głąb Księstwa Moskiewskiego. Jeden z nich, tzw. herezja Nowogrodzko-Pskowska szerzył się w połowie XIV wieku w Nowogrodzie, ruskim mieście o bardzo bliskich kontaktach z Zachodem. Mimo, iż dysponujemy niewielką ilością informacji na temat tego ruchu, gdyż ostatecznie wytepliono do cna jego wyznawców, a ich pisma zniszczono, wydaje się, iż był to typowy ruch protoreformacyjny podobny do katarów (albigensów). Występując na ulicach jego uczestnicy piętnowali mnichów i wyświęcone duchowieństwo za ich zepsucie i światowość, negowali ważność większych sakramentów i domagali się powrotu do kościoła "apos-

tolskiego". W latach siedemdziesiątych XV wieku w Nowogrodzie pojawiła się pokrewna herezja "judaizujących". Jej wyznawcy również zaatakowali cerkiew za jej materializm, szczególnie za posiadane przez nią wielkie włości i wzywali do religii prostej i bardziej uduchowionej. Herezja "judaizowania" stała się niezwykle niebezpieczna dla państwowej cerkwi, ponieważ pozyskała neofitów pośród duchownych w otoczeniu cara, a nawet wśród członków jego najbliższej rodziny.

Jednakże najpoważniejsze wyzwanie dla państwowej cerkwi powstało w jej własnych szeregach, z elementów, których doktrynalna i obrzędowa czystość była poza podejrzeniem. Korzenie tego szczególnego ruchu reform leżą w Grecji. W końcu XV wieku wśród mnichów zamieszkujących górę Athos rozprzestrzeniła się pogłoska o rychłym końcu świata. Kilku mnichów opuściło swe klasztory, by osiąść w pustelniach. Tam żyjąc w najwyższej prostocie, odprawiali modły, studiowali i medytowali. Ten tzw. ruch hezychastyczny został przeniesiony do Rosji przez mnicha, Niła Sorskiego, który przebywał jakiś czas na górze Athos. Około roku 1480 Nił opuścił swój klasztor i zaszył się w bagienno-leśnej gęstzynie na północ od górnego biegu Wołgi, gdzie żył odtąd w samotności oddając się modlitwie i studiom nad Pismem Świętym i Ojcami Kościoła. Inni mnisi poszli za jego przykładem, osiadając w sąsiedztwie pustelni Niła lub też ciągnąc dalej na północ. Początkowo wydawało się, że owi "Zawoźżarńscy Starcy" nie zagrażają interesom państwowej cerkwi, ponieważ ten rodzaj życia, którego byli orewownikami, był zbyt surowy, by przyciągnąć naśladowców. Jednak w pewnym momencie Nił włączył się do debaty nad zasadami własności ziemi w monastycyzmie i kiedy to nastąpiło, cerkiew znalazła się nagle w kryzysie.

W końcu XV wieku, kiedy ustaliły się na dobre dążenia władzy do samodzierżawia, Księstwo Moskiewskie zaczyna znacznie powściągliwiej respektować świeckie przywileje kościoła. W rzeczywistości spogląda łakomy wzrokiem na dobra cerkwi, do wzrostu których najbardziej się zresztą przyczyniło (nie płaciły one bowiem podatków ani nie oddawały kontyngentu do służby państwowej) a można by, co się władzy zdawało korzystnym, dokonać ich rozdrobnienia przez podział na majątki. Iwan III dość jasno określił swe stanowisko, kiedy w podbitym Nowogrodzie dokonał konfiskaty większości ziem cerkiewnych na rzecz korony. Przyjazne przyjęcie, z jakim spotkała się na jego dworze herezja judaizujących, musiało mieć coś wspólnego z otwarciem głoszonemu oporem tego ruchu wobec bogactw klasztornych. Jego syn Wasyl III zaczął ściśle nadzorować klasztorne dochody i mimo, że sporadycznie udzielał im nawet wsparcia, przypuszczalnie wydał także pewien rodzaj ukazu zabraniającego klasztorom nabywanie dalszych ziem bez królewskiej zgody, ponieważ dekret taki wydany na początku panowania Iwana IV (1535), odwołuje się do wcześniej istniejącego prawa. Z taką wizją duchowego kościoła sympatyzowało także wielu bojarów, po części by odciągnąć uwagę korony od własnych dóbr, po części by pomóc jej w zdobyciu

większej ilości ziem na rozdział między tych, którzy jej służy. Istnieją podejrzenia, że to właśnie car lub bojarzy zbliżeni do dworu byli tymi, którzy przekonali Niła Sorskiego, by opuścił miejsce swego pobytu i oskarżył klasztor o niepotrzebne gromadzenie majątku. Nastąpiło to w roku 1503; Nił nagle pojawił się na synodzie i domagał się, by cerkiew wyrzekła się swych bogactw i poprzestała na jałmużnie. Jego apel wywołał wśród zgromadzonych panikę. Synod jednogłośnie odrzucił projekt, przyjmując uchwałę, która potwierdzała niezbywalność i świętość dóbr cerkiewnych. Spór jednak dopiero się rozpoczął. Mowa Niła była tylko pierwszym strzałem w wojnie między dwoma cerkiewnymi ugrupowaniami, określonymi później jako "antywłasnościowe" (*nestiażateli*) i "prowłasnościowe" (*lubostiażateli*), wojnie, która ciągnęła się aż do połowy XVI wieku.

Spór nie dotyczył jedynie polityki wobec władzy świeckiej - jego przedmiotem były dwie odmienne koncepcje cerkwi. Nił i Starcy Zawożzańscy mieli przed oczyma obraz cerkwi idealnej, nieobarczzonej świeckimi zobowiązaniami, służącej za duchowy i moralny drogowskaz w mrocznym i złym świecie. Jedną z wiódących postaci w stronnictwie Niła był pochodzący z wyspy Kafu Maksym Grek, który studiował we Włoszech, gdzie uległ wpływowi Savonaroli. Gdy przybył do Rosji, by pomóc w tłumaczeniu greckich ksiąg, przeraził go niski poziom moralny duchowieństwa. Czemuż nie ma w Rosji Samuelów, którzy by powstałi przed Saulem, czemuż nie ma Natanów, którzy by rzekli prawdę błędzającemu Dawidowi - pytał - a odpowiedź udzielona przez Kurbskiego, czy też kogoś - kimkolwiek był - kto pisał listy do Iwana IV, brzmiała: ponieważ ruskie duchowieństwo jest tak zajęte swymi ziemskimi posiadłościami, że "zległo niemrawe, płaszcząc się na wszelkie sposoby przed władzą wyobrażając sobie, że tak ustrzeże własne dobra i jeszcze więcej pozyska".^{5/} W argumentację tę wplecione było czysto polityczne przesłanie: mianowicie, że tylko biedna cerkiew może spoglądać carowi prosto w oczy i służyć za moralne sumienie narodu. Stronnictwo konserwatywne, prowłasnościowe, pragnęło natomiast cerkwi, która ściśle współpracowała z władzą monarchiczną i dzieliła z nią odpowiedzialność za utrzymanie prawdziwie chrześcijańskiego królestwa. By cerkiew mogła to realizować, potrzebowała dochodów, w istocie bowiem tylko finansowa niezależność zwalniała kler od nadmiernego zajmowania się sprawami doczesnymi. Każde stronnictwo mogło powołać się na historyczny precedens, pierwsze wskazując na praktyki wczesnego chrześcijaństwa, drugie powołując się na tradycję bizantyjską. Stanowisko monarchii w tym sporze było ambiwalentne. Pragnęła ona odzyskać ziemie cerkwi i mając to na uwadze początkowo popierała ugrupowanie antywłasnościowe. Jednak bardziej odpowiadała jej filozofia polityczna ich przeciwników, którzy chcieli cerkwi współpracującej z państwem. Aluzje do Natana i Samuela nie mogły trafiać do dziedzicznych władców, którzy nie życzyli sobie na obszarze swego panowania żadnych niezależnych instytucji, najmniej zaś cerkwi, która

wzięłyby na siebie rolę narodowego sumienia. Ostatecznie umiejętnie manewrując, monarchia wybrała trzecie rozwiązanie. Poparła frakcję prowłasnościową, zaś następnie, gdy już z jej pomocą zlikwidowała zwolenników niezależnej, duchowej cerkwi, dokonała zwrotu i, przyjmując zalecenia pokonanej frakcji antywłasnościowej, przystąpiła do zajmowania ziem cerkwi.

Przywódcą i głównym ideologiem konserwatystów był Józef, przełożony wołokołamskiego monasteru. Jego autorstwa była zupełnie niezwykła konstytucja monastyczna, całkowicie odmienna od wszystkich istniejących wtedy na Rusi. Wołokołamsk funkcjonował na zasadach wspólnoty, które nie pozwalały mnichom na posiadanie własności prywatnej - podmiotem wszystkich własności był klasztor jako instytucja. Od braci zakonnych wymagano, by na stałe zamieszkiwali w klasztorze, gdzie podlegali ścisłym kodeksom dyscypliny, sporządzonym przez przełożonego klasztoru. W ten sposób Wołokołamsk dysponował własnością, a jednak nie ulegał zepsuciu. Innowacje Józefa wykazywały, iż możliwe jest połączenie posiadania ziemi z ascetycznym sposobem życia w habitach, wymaganym od cerkwi, że bogactwo nie musi konieczności prowadzić do wyrzeczenia się moralnej odpowiedzialności, o co oskarżali Starcy Zawołańscy. To był właśnie powód, dla którego wzburzone mową Niła duchowieństwo zwróciło się do Józefa, by poprowadził kontruderzenie. Wspierając prawo do posiadania ziemi przez klasztor, Józef dysponował mocnym i wielce korzystnym dla siebie argumentem. Prawosławne prawo kanoniczne wymagało od parafialnych popów, by żenili się, a od biskupów, by pozostawali w celibacie - zasada owa zmuszała cerkiew do wybierania swoich biskupów z szeregów duchowieństwa monastycznego. Stosownie do tej zasady Józef udowadniał, iż byłoby czymś niewłaściwym oczekiwać od prawosławnych mnichów, by poświęcili cały swój czas na własne utrzymanie; jeśliby bowiem tak właśnie postępowali, to nie pozostałoby im ani trochę czasu na zdobywanie wiedzy i doświadczenia potrzebnego, gdy zostaną powołani do administrowania diecezją. Dalszym szkodliwym rezultatem takiego sposobu postępowania byłoby to, iż ludzie lepszego stanu - bojarzy, od których cerkiew znacznie zależała w zarządzaniu swymi klasztorami i biskupstwami, odsuną się od klasztorów, jeśli wymagać się będzie, by te wykonywały prace służebne. Był to argument praktyczny, prawie biurokratyczny w swej naturze. Józef nie poprzestał na tym i zajął się motywami postępowania Starców Zawołańskich. Był on zaciekle wrogiem judaizujących, głosząc, iż winni być oni zniszczeni ogniem i mieczem, bez dania możliwości poprawy. Nił i jego zwolennicy, choć nie sympatyzowali w najmniejszym stopniu z herezją, byli za ekskomuniką a nie karaniem śmiercią. Wykorzystując tę bardziej tolerancyjną postawę ugrupowania antywłasnościowego, Józef atakował ich prawowierność. W swej głównej pracy, zbiorze esejów ogłoszonym przez jego uczniów w formie książki i zatytułowanym niezbyt właściwie *Krszewiel oświaty (Prosrietitiel)*, przytacza cytat za cytatem z Pisma i z Ojców Kościoła, by dowieść swej

racji, przeplatając argumentację diatrybami przeciwko judaizującym i każdemu, kto byłby wobec nich choćby w najmniejszym stopniu tolerancyjny. Jego zdaniem rosyjska cerkiew w swym ówczesnym kształcie była najczystsza i najdoskonalsza w świecie - "Co do pobożności, to obecnie rosyjska ziemia przewyższa wszystkie inne" /6/. Niewypowiedzianym założeniem tego poglądu jest przekonanie, iż wszelka reforma osłabia religijność kraju i zmniejsza pewność wiecznego zbawienia jego mieszkańców.

Józef wsparł swoje argumenty bezlitosnymi intrygami na dworze, obliczonymi na zwrócenie cara przeciwko reformatorom i ich poplecznikom wśród dworzan i bojarów. Na początku swojej kariery jako orędownik "kościola walczącego", dość często piętował grzechy korony; teraz, gdy kościelne dobra znalazły się w niebezpieczeństwie, stał się niezwykłym wprost obrońcą absolutyzmu carskiego. Dowodząc boskości cara - idea, którą wysunął w Rosji pierwszy - oparł się na autorytecie Agapeta - bizantyjskiego pisarza z VI wieku. To od niego zapożyczył centralną tezę swej politycznej teorii: "Choć car w swej fizycznej istocie jest podobny do innych ludzi, to jednak w swej władzy (czyli urzędzie) jest podobny Bogu" /7/. By uzyskać łaskę korony, zdobył się w 1505 bądź 1506 roku na krok bez precedensu w historii Rosji - wycofał swój klasztor spod patronatu jego naturalnego, lokalnego księcia (nawiasem mówiąc niezwykle hojnego), którym był młodszy brat Iwana III i poddał go osobistej opiece cara. W ten sposób zrećnie łącząc krytykę herezji z pochwałami absolutyzmu i stale przypominając koronie o użyteczności cerkwi, Józef zdołał zająć miejsce Starców Zawołżańskich. Mała wspólnota pustelników, walczących o cerkiew duchową nie była równorzędnym przeciwnikiem dla cieszącego się cichym poparciem przeora. Po śmierci Józefa (1515) najważniejsze stanowiska w cerkwi przypadły członkom jego stronnictwa, a większość rosyjskich klasztorów została zorganizowana w oparciu o model wołokołamski. Decydujące wydarzenie w tym konflikcie miało miejsce w roku 1525, kiedy to metropolita Daniła, jeden z jego uczniów, wbrew prawu kanonicznemu uznał swym autorytetem rozwód Wasyla III z jego bezdzietną żoną i powtórne małżeństwo; grzech, gdyby był to grzech, ofiarował się wziąć na swe sumienie. Odtąd wdzięczny car całkowicie poparł Józefitów, do tego stopnia, że pozwolił im uwięzić ich wrogów z Maksymem Grekiem na czele. Szczyt swoich wpływów stronnictwo Józefitów osiągnęło za metropolity Makariusza. To właśnie on był tym duchownym, który zaszczerpił w umyśle Iwana IV ideę samokoronacji cara.

Oczywiście lęk o własne włości nie był jedyną przyczyną dążenia ruskiej cerkwi do zbudowania silnego i niczym nie ograniczonego jedynowładztwa. Były także inne względy: potrzeba państwowej pomocy w tępieniu herezji, we wspieraniu prawosławnych wiernych żyjących pod rządami muzułmanów i katolików w odzyskaniu tych części Rzeczypospolitej Polskiej i Księstwa Litewskiego, które kiedyś stanowiły część "Świętej Rusi". Obawa przed sekularyzacją włości była jedynie

czynnikami najbardziej nagłym, tym, który sprawił, że współpraca ze świeckimi władzami była szczególnie bliska. W pierwszej połowie XVI wieku ruska cerkiew tradycyjnie skłaniająca się ku silnej, carskiej władzy, ze strachu przed wywłaszczeniem, cały swój autorytet zaangażowała po stronie moskiewskiego jedynowładztwa, napełniając je ambicjami, jakich samo nie byłoby w stanie wytworzyć. Cała ideologia królewskiego absolutyzmu została w Rosji wypracowana przez duchowieństwo, które żywiło przekonanie, iż interesy religii i cerkwi są najlepiej obsługiwane przez nieograniczoną w swej władzy monarchię. Na ową ideologię składały się następujące, podstawowe elementy:

1. Idea trzeciego Rzymu: Rzym Piotra i Rzym Konstantyna upadły ukarane za herezję; Moskwa stała się trzecim Rzymem, a on będzie trwał na wieki, bowiem czwartego Rzymu nie będzie. Owa idea, sformułowana gdzieś w pierwszej połowie XVI wieku przez mnicha Filoteusza z Pskowa, stała się integralną częścią oficjalnej moskiewskiej teorii politycznej. Związane z nią było przekonanie, iż Moskwa jest najczystszy i najpobożniejszy królestwem chrześcijańskim na świecie.
2. Idea cesarstwa: władcy Moskwy są spadkobiercami cesarskiej linii, która ciągnie się nieprzerwanie od cesarza Augusta: ich dynastia jest najbardziej starożytna i stąd obdarzona największym prestiżem na świecie. Genealogia, która pasowała by do tego schematu, została opracowana przez duchownych pod kierunkiem metropolity Makariusza i otrzymała oficjalne uprawomocnienie w *Księdze stopni rodowodu carskiego*.
3. Władcy Rosji są wszechpanującymi świata chrześcijańskiego: są imperatorami całego ludu prawosławnego w świecie, *eo ipso* mają prawo do władania nim oraz wspierania i w efekcie do podporządkowania go rosyjskiemu panowaniu. Potwierdzone zostało to między innymi na synodzie odbytym w roku 1561. W niektórych dokumentach podnoszone są roszczenia na rzecz rosyjskiego cara jako władcy wszystkich chrześcijan, nie tylko wyznania prawosławnego.
4. Boskość władzy królewskiej: wszelka władza pochodzi od Boga i rosyjski car, sprawując swój urząd, jest niczym Bóg. Jego władza rozciąga się także na cerkiew i wszelkie jej sprawy, prócz doktrynalnych; jest on doczesnym włodarzem cerkwi i duchowieństwo jest mu winne posłuszeństwo. Teoria ta wprowadzona w Rosji przez Józefa z Wołokołamska, została następnie zatwierdzona przez różne synody, między innymi ten, który zebrał się w roku 1666.

W ten sposób, wspierając bez reszty swym autorytetem carski absolutyzm, rosyjska cerkiew osiągnęła swe bezpośrednie cele: wykorzeniła niebezpieczne herezje i zachowała (na pewien czas przynajmniej) swoje dobra. Okupiła jednak te zwycięstwa straszną ceną. Odmowa podjęcia reform, których orędownikiem była antywłasnościowa frakcja duchowieństwa, wpędzi-

ła ją we wzrastającą zależność od państwa. W pierwszej połowie XVI wieku cerkiew praktycznie dobrowolnie oddała się pod kuratelę władzy świeckiej. Polityka przywódców rosyjskiej cerkwi w tym krytycznym momencie jej historii była niezmiernie krótkowzroczna. Skutki jej wkrótce dały się odczuć, gdy zarządzanie cerkwią z dnia na dzień przeszło pod kontrolę organów państwowych. W XVI wieku ustalili się powoli zwyczaj, iż to carowie samodzielnie dokonują wyboru biskupów, decydują o tym, kto ma wziąć udział w synodach i mieszają się w sprawy cerkiewnego wymiaru sprawiedliwości. W roku 1521 Wasyl III zdjął z urzędu metropolitę, który mu się naraził - na Rusi wydarzyło się to naprawdę po raz pierwszy. Przywłaszczył sobie także pieniądze należące do cerkwi. Pod koniec XVI wieku bardzo niewiele zostało z bizantyjskiego ideału "harmonii". Jak bardzo podległa państwu stała się cerkiew w tym okresie, można przekonać się na podstawie jej poparcia dla rządowych posunięć, które miały na celu ograniczenie jej prawa do nabywania ziemi. Synod zwołany w roku 1551 przyjął carskie rozporządzenia zakazujące klasztorom nowych nabytków bez cesarskiej zgody, a inny synod z roku 1584 potwierdził je. Były to pierwsze kroki w kierunku ostatecznego wywłaszczenia cerkwi ze swoich majątków ziemskich. Ostatecznie rosyjska cerkiew utraciła swą autonomię, nie ocaliwszy tym ustępstwem swojego bogactwa.

Schizma, która w latach sześćdziesiątych XVII wieku podzieliła Rosyjską Cerkiew Prawosławną, była kryzysem religijnym, który tylko ubocznie dotknął zagadnienia stosunków cerkiew - państwo. Mimo to wywarła trwałe wpływy na polityczną pozycję rosyjskiej cerkwi. Reformy patriarchy Nikona, które doprowadziły do schizmy, odsunęły od państwowej cerkwi najbardziej oddane jej ugrupowania, pozbawiając ją zapału i gorliwości, które odtąd znalazły ujście w ruchach dysydenckich. Ostatecznym jej rezultatem była całkowita zależność cerkwi od państwa. Od czasu schizmy, rosyjska cerkiew potrzebowała całej mocy państwowego wsparcia, by zapobiec masowym odstępstwom ze swych szeregów; o własnych siłach nie przetrwałaby dłużej. Jeden z jej najbardziej oddanych popleczników przyznał nawet, że gdyby nie państwowe zakazy porzucania prawosławia (w dziewiętnastowiecznej Rosji przestępstwo kryminalne), połowa chłopów przeszłaby do schizmatyków, a połowa warstwy wykształconej nawróciłaby się na katolicyzm. /8/

Schizma była rezultatem reform wprowadzonych do rosyjskich praktyk religijnych w celu zbliżenia ich do obrządku greckiego. Porównywanie rosyjskich praktyk religijnych z ich greckimi wzorami zaczęło się w wieku XVI, lecz szczególnie konsekwentnie dokonywano go w pierwszej połowie wieku XVII, ukazując bez wątpienia, iż z upływem czasu wystąpiły w rosyjskich obrzędach poważne odchylenia. Mniej oczywista była odpowiedź na pytanie, czy takie sprzeczności są dobre czy złe. Puryści, kierowani przez Nikona utrzymywali, iż wszelkie odejścia od greckich prawzorów są

zepsuciem i jako takie muszą być zlikwidowane. Konserwatyści i narodowcy, których stronnictwo obejmowało większość rosyjskiego duchowieństwa, dowodzili, iż rosyjska cerkiew w swym ówczesnym stanie jest czystsza i świętsza niż grecka, która została opuszczona przez łaskę, zgodziła się bowiem w 1439 roku na soborze we Florencji na połączenie z Rzymem. Od czasu owego aktu apostazji centrum prawosławia przeniosło się do Moskwy, która Unię odrzuciła. Jak to orzekł wiek wcześniej Józef z Wołokołamska, Rosja jest najpobożniejszym krajem na świecie; wszelkie reformy praktyk ściągną na jej głowę gniew niebios. Spór miał poważny charakter. Problem dzielący dwa stronnictwa w sytuacji, gdy ludzie wierzyli w nieśmiertelność duszy i łączyli duchowe zbawienie z drobiazgowym przestrzeganiem obrzędów religijnych miał też głębokie znaczenie indywidualne. Niemiec Korb, który odwiedził Rosję w roku 1699, miał niewątpliwie rację, gdy na czele listy spraw, których Rosjanie "strzegą w sposób pryncypialny", pomieścił dbałość o to, "by nie uległa zmianom religia ich praocjów" /9/.

Nikon cieszył się pełnym zaufaniem cara Aleksego, człowieka niezwykle pobożnego, którego przyrodzona skłonność do wzorowego i poprawnego postępowania, była podsycona przez greckich dostojników duchownych, schlebających mu wizjami odrodzonego Cesarstwa Bizantyjskiego pod jego rządami. Przy jego wsparciu Nikon przeprowadził wiele reform w obrzędowości, odmieniając sposób żegnania się krzyżem, wypowiadania *Credo* i malowania ikon. Zniósł nabożeństwo wielogłosowe, zwyczaj równoczesnego odśpiewywania różnych części liturgii. Poszedł jednak jeszcze dalej i spróbował stworzyć z Rosji prawdziwie chrześcijańską wspólnotę, regulując dość szczegółowo codzienne życie zwykłych ludzi. On i jego zwolennicy narzucili surowe reguły postępowania, które zabraniały gier karcianych, picia alkoholu, przeklinania, rozwiązłości i wymagały, by każdy Rosjanin spędzał około 5 do 6 godzin dziennie w cerkwi. Związek Nikona z carem był tak zażyły, iż ten ostatni powierzał mu kierowanie sprawami państwowymi, gdy wyruszał na wyprawy. Dzięki swej przyjaźni z carem udało się Nikonowi na pewien czas przywrócić równowagę między cerkwią i państwem.

Nikon był jednakże człowiekiem konfliktowym, samowolnym, pozbawionym taktu i nierzadko bezlitośnie brutalnym. Zraziwszy do siebie z powodu reform masy duchowieństwa, wzbudził następnie gniew dworskich dostojników urażonych jego nadmiernymi przywilejami u władcy i aroganckim sposobem bycia. Dworzanie usiłując zrazić do niego cara wszczynali liczne intrygi. Aleksy stopniowo dał się przekonać, że patriarcha rzeczywiście przekracza granice swej władzy, o co oskarżali go wrogowie i jego stosunek do Nikona stał się chłodniejszy. W nadziei, iż zwiąże carów rękę, Nikon porzucił urząd i usunął się, zamieszkując w klasztorze. Przeliczył się jednak, bowiem car nie pospieszył, by błagać o przebaczenie, jak przewidywał; zamiast tego czekał grając na zwłokę, pozwalając w efekcie, by urząd patriarchy pozostawał nie-

obsadzony.

W końcu w roku 1666 Aleksy zwołał Sobór Cerkiewny, na który zaprosił wysokich duchownych z Grecji, by rozstrzygnęli spór z Nikonem i wydali sąd o jego reformach. Broniąc się przed zarzutami wysuniętymi przeciwko sobie, Nikon przedstawił nową (dla prawosławia) teorię prymatu cerkwi nad państwem:

"Czyż nie nauczono was (...), że najwyższa władza kapłańskiego stanu nie pochodzi od królów, czy carów, lecz przeciwnie, to przez kapłaństwo władcy zostają pomazani do carskiej władzy? Stąd aż nadto jest jasne, iż dużo większym jest stan kapłański niż królewski. (...) W sprawach duchowych, które przynależą do chwały Boga, biskup jest wyższy niż car, bowiem tylko w ten sposób może dzierżyć i sprawować duchową jurysdykcję. W sprawach zaś przynależnych do dziedziny tego świata car jest wyższy i nie powinno być sprzeczności między jednym i drugim. Biskup jednakże ma również pewne prawa (...) do świeckiej jurysdykcji, a to dla lepszego jej w stosownych sprawach ukierunkowania. Car zaś nie ma żadnego prawa, ani do administrowania cerkwią, ani do administrowania sprawami ducha. (...) Z tego powodu, rzecz jasna, car jest z pewnością mniejszy od biskupa i winien mu z konieczności posłuszeństwo." /10/

Nikon poniósł fiasko i nie przekonał Soboru, który potwierdził tradycyjną ideę "harmonii": car ma prawo rządzić swymi poddanymi, z duchowieństwem własnie, a państwowa cerkiew od patriarchy w dół winna mu z konieczności posłuszeństwo we wszystkich sprawach prócz doktrynalnych. Równocześnie Sobór zachował reformy Nikona, które zbliżyły rosyjskie obrzędy religijne do greckich.

Religijne postanowienia duchowieństwa nie zostały zaakceptowane przez znaczną część laików (duchowieństwo przystało na nie natychmiast). Niemal od razu zaczęły się odstępstwa od oficjalnej cerkwi w parafiach, które odmówiły dokonania wymaganych poprawek i trzymały się starych obrzędów. W latach sześćdziesiątych XVII wieku rozeszły się pogłoski, iż nadchodzi koniec świata; stąd całe wspólnoty wyznaniowe uciekały do lasów, gdzie zamykały się w trumach, bądź podpalały się. Sądzi się, iż co najmniej 20.000 osób spaliło się w czasie tego wybuchu religijnego obłędu. Niektórzy fanatyczni starowiercy mówili nawet o spaleniu całej Rosji.

Intensywne życie religijne przybrało w Rosji tak masową skalę właśnie dopiero po schizmie. Dysydenckie wyznania, które z powodu pobrzmiwających w nich tonów anarchistycznych, spotkały się u chłopów z powszechnym odzewem, zmuszały każdego wierzącego do dokonania wyboru pomiędzy cerkwią oficjalną a schizmatykami i sam ten wybór nakładał już pewne religijne zobowiązania. Ci, którzy zdecydowali się na zerwanie, stawali wobec dalszych decyzji, odnoszących się nie tylko do obrzędu, lecz także do zasad postępowania i w ten sposób krok po kroku byli wciągani w wyznaczenie o znacznie bardziej osobistym i duchowym charakterze. Według cudzoziemców dysydenci byli w Rosji

jedynymi ludźmi prawosławnymi znającymi Pismo Święte i zdolnymi dyskutować o zagadnieniach religijnych. Trwanie przy odstępczym wyznaniu drogi kosztowało - narażało na utratę majątku i wystawiało na nękanie ze strony rządu, które czasem przeradzało się w zwyczajne prześladowania.

Rosyjscy dysydenci dzielą się zwyczajowo na dwie podstawowe grupy: na starowierców, nazywanych przez siebie samych staroobrzędowcami, a przez oficjalną cerkiew raskolnikami (rozłamowcy), oraz na sekciarzy. Pierwsi, którzy są silniejsi na obszarach tajgi, odrzucają reformy Nikona i trwają przy starych obrzędach, jednak pod każdym innym względem pozostają wierni prawosławiu. Drugi wychodzą mniej lub więcej świadomie poza nauki i praktyki prawosławia, rozwijając nowe formy religijności, spośród których niejedne bliższe są raczej protestantyzmowi niż prawosławiu. Sekciarze byli najpotężniejsi tradycyjnie na Ukrainie.

Starowiercy łączyli reformy Nikona z nadejściem antychrysta. Z pomocą kabałistycznych obliczeń ustalili, że przyjście antychrysta nastąpi w latach 1699-1700, a koniec świata trzy lata później. Kiedy w 1698 roku Piotr powrócił ze swej zagranicznej podróży i, miast podążyć do cerkwi, zaczął ścinać brody i wytracać egzekucjami zbuntowanych strzelców, wśród których wielu było wyznawcami starej wiary, proroctwo zdawało się prawie spełniać. Mnożyły się w tym czasie przypadki samoofiarowania i inne przejawy *mania religiosa*. Kiedy koniec świata nie nastąpił, starowiercy stanęli przed kłopotliwym zagadnieniem: jak, jako godziwi chrześcijanie, mają zachować się w świecie rządzonym przez antychrysta. Najbardziej palącą kwestią dotyczyła kapłanów i sakramentów. Starowiercy uznawali jedynie popów wyświęconych przed reformą Nikona, a ci od początku stanowili mniejszość, poza tym wymierali. Wobec tego problemu ruch podzielił się na dwie frakcje, "popowców" i "bezpopowców". Wyznawcy pierwszej, kiedy zabrakło odpowiednich duchownych, zgodzili się uznać popów wyświęconych przez cerkiew oficjalną i w końcu się z nią pojednali. Bardziej radykalni bezpopowcy rozwiązali ten problem w odmienny sposób. Niektórzy wnioskowali, że skoro antychryst przejął funkcje duszpasterskie, to nie trzeba już więcej pośredników między człowiekiem a Bogiem; obecnie każdy chrześcijanin jest nim sam dla siebie. Inni praktykowali tylko te sakramenty, które były otwarte przed świeckimi. Dla tych ostatnich najbardziej palący problem dotyczył obrzędu małżeństwa, sakramentu wymagającego bez wątpienia posług wyświęconego kapłana. Obeszli tę trudność bądź przecząc sakramentalnemu charakterowi małżeństwa i zawierając je bez popów, bądź też zachowując celibat. Ekstremiści dowodzili, że w świecie opanowanym przez antychrysta właśnie na chrześcijanach spoczywa pozytywny obowiązek popełniania grzechów, grzesząc bowiem pomniejszają ogólną sumę zewnętrznego zła. Oddawali się seksualnej rozwiązłości, która często przybierała kształt przedchrześcijańskich rytuałów, jakie przetrwały jeszcze na wsi. Starowiercy bezpopowi, jak wielu innych religijnych dysydentów, oscylowali w swym nurcie po-

miedzy ascetyzmem i dionizyjskim rozpasaniem. Niektórzy spośród nich sądzili, że to Napoleon jest Mesjaszem, który przybywa uwolnić Rosję od antychrysta i czcili go - z tego powodu, znalezienie w rosyjskiej, chłopskiej chacie przybitego do ściany pośród ikon, portretu francuskiego cesarza, nie było niczym niezwykłym. Z biegiem czasu bezpopowcy rozrosli się kosztem popowców, którzy stopniowo znikli w łonie cerkwi państwowej. Obszarem ich działania były odległe północne lasy: terytorium, na które składały się: republika Nowogrodzka, Karelia, wybrzeża Morza Białego i Syberia. Zorganizowani w zdyscyplinowane, samorządne wspólnoty, okazywali się znakomitymi kolonizatorami. Kiedy Piotr I nałożył na nich podwójny podatek od duszy, wielu starowierców zajęło się handlem i przemysłem, w czym wykazali niezwykle zdolności. Cieszyli się opinią najuczciwszych ludzi interesu w Rosji.

Sekciarze starali się nie tyle bronić starych tradycji, ile sformułować nowe odpowiedzi na religijne dylematy. Ruch sekt był logicznym następstwem starowierstwa, szczególnie jego bardziej radykalnego skrzydła bezpopowców. Większość sekt wyszła z tego źródła, choć wydaje się, że niektóre wyprzedzają schizmę i reprezentują odrodzenie herezji pozostających od średniowiecza w uśpieniu i uznanych za wykorzystane, jak np. herezje "judaizujących". Wspólna podstawową jakością tych sekt było porzucenie tradycji cerkiewnej, ksiąg i obrzędów, na rzecz poszukiwań "chrześcijaństwa duchowego", opartego na wewnętrznej wierze. Gdy więź z oficjalną cerkwią została zerwana, nieuchronnie musiało się wyłonić wiele spontanicznych orientacji religijnych (...). Sekty w większości były ugrupowaniami efemerycznymi, które obracały się wokół jednego natchnionego przywódcy i rozpadały się po jego uwieżeniu lub śmierci. Niektóre jednak zorganizowały się w sposób trwalszy. Do najbardziej znanych należą:

Chłysty, czyli biczownicy, co wydaje się zniekształconą wersją słowa *Christy*, tzn. "Chrystusowie", ponieważ członkowie tej sekty nie praktykowali biczowania. Sekta powstała w centralnej strefie czarnoziemców, najprawdopodobniej w końcu XVII wieku. Jej główną ideą było przekonanie, iż Chrystus wcielił się na powrót, wstępując w żywych ludzi, którzy wskutek tego stają się "Chrystusem"; po ich śmierci duch przechodzi na innych. Wiele grup uformowało się z inspiracji chłopów owładniętych przez duchy, które jakoby wędrowały od sioła do sioła gromadząc zwolenników. Podczas zgromadzeń śpiewano i tańczono, co często doprowadzało uczestników do masowej hysterii. Chłystci brali niekiedy udział w seksualnych orgiach. Sprzeciwiali się małżeństwu i wstępowali w wolne związki, które nazywali "miłością Chrystusową". Prześladowani za swoją działalność, prowadzili ją w wielkim ukryciu.

Malutka sekta skopców (od słowa *skopiec* oznaczającego eunucha) była powstała w końcu XIX wieku odnoga chłystów. Utrzymywali, iż kobieta i jej piękno są głównymi przeszkodami na drodze do zbawienia i aby oprzeć się jej pokusom, dokonywali samokastracji.

Duchoborcy, czyli "szermierze ducha" wyłonili się w drugiej połowie XVIII wieku, przypuszczalnie również z Chłystów. Ich teologia była niejasna. Nauczali, że dusze ludzkie zostały stworzone przed ciałami. Niektóre dopuściwszy się grzechu przed stworzeniem świata, zostały ukarane, będąc stracone w świat materialny bez pamięci o tym, co zaszło wcześniej. Wszystkie obrzędy i wszystkie instytucje są skutkami pierworodnego grzechu. Duchoborcy wierzyli również we wstępowanie ducha Chrystusa w ciała żywych ludzi. Wspomagani przez Lwa Tołstoja, wyemigrowali na początku XX wieku do Kanady, gdzie odznaczyli się spektakularnymi aktami obywatelskiego nieposłuszeństwa.

Mołkanie (spożywający mleko) byli umiarkowaną sektą, rozpoznawaną dzięki praktyce spożywania w dni postne mleka i jego przetworów.

Stundisty, sekta, która wyłoniła się w XIX wieku i rozrosła się po edykcje uwalniającym chłopów pańszczyźnianych. Tworzyli oni kółka, w których studiowali Biblię. Baptyzm, który jest może najbardziej dynamicznym ruchem dysydenckim współczesnej Rosji, jest jego odgałęzieniem. W drugiej połowie XIX wieku na stundyzm i baptyzm nawróciło się wielu spośród wykształconej warstwy Moskwy i Petersburga.

Wszystkie te i wiele mniejszych, pokrewnych sekt łączyła opozycja wobec państwa i państwowej cerkwi. Polityczne poglądy ich członków zdefiniować można najlepiej jako chrześcijański anarchizm. Z tego względu, a także dlatego, iż nie zamierzali okazywać posłuszeństwa oficjalnej cerkwi, w pierwszym wieku po schizmie cierpieli ciężkie prześladowania. Za tolerancyjnego panowania Katarzyny II państwo zostawiło ich w spokoju, jednak za Mikołaja I wznowiono nękające działania, wysyłając wojskowe ekspedycje celem znieszczenia twierdz dysydenckich, szczególnie sekt najbardziej radykalnych. Mimo to dysydenci ciągle pozyskiwali wyznawców. Statystyki odnoszące się do rosyjskich dysydentów są z gruntu nierzetelne, bowiem carski rząd fałszował liczby odnoszące się do nich (czasami nawet trzydziestokrotnie), by pomniejszyć liczbę odstępstw od oficjalnej cerkwi. Spis z roku 1897 podał tylko 2 miliony starowierców i sekcjarzy, jednak istnieją przesłanki wskazujące, iż rzeczywista liczba dysydentów była bliższa 20 milionom. Szacunki uczonych ustalają liczbę dysydentów w XIX wieku na 9-10 milionów w latach osiemdziesiątych, na 12 do 15 milionów w latach osiemdziesiątych i na około 25 milionów w roku 1917, z czego 19 milionów stanowili starowiercy, a 6 milionów sekcjarze /11/. Cyfry te pokazują, że dysydenckie wspólnoty powiększały swoją liczebność szybciej niż następował ogólny wzrost zaludnienia.

Schizma była dla rosyjskiej cerkwi nieszczęściem, obrabowując ją z jej najbardziej oddanych wyznawców i zdając na łaskę państwa bardziej niż kiedykolwiek. Po Nikonie, Rosja nie miała już należytej cerkwi, religia znalazła się we władaniu państwa. Stąd do religii państwowej był tylko jeden krok. Owa religia państwowa została ustanowiona przez władzę, która w

roku 1917 przejęła spuściznę caratu /12/.

Aż do Piotra Wielkiego Rosyjska Cerkiew Prawosławna, choć scalona w zasadzie w jedno z aparatem państwowym i służalczo posłuszna koronie, zachowała swą instytucjonalną tożsamość i pewien pozór autonomii. Bizantyjska zasada "harmonii", potwierdzona przez Sobór Cerkiewny z 1666 roku, zachowała swą teoretyczną ważność. Cerkiew ze swoim patriarchą, własną administracją, sądownictwem, aparatem fiskalnym i ze swoimi włościami, których mieszkańcy podlegali jej władzy podatkowej i sądowniczej, była czymś realnie różnym od państwa. To właśnie Piotr skończył z tym statusem połowicznej autonomii - zlikwidował urząd patriarchatu, przekształcił agendy cerkwi w filie świeckiej administracji, zniósł niezależność jej sądownictwa i, co może najważniejsze, skonfiskował jej dochody. Od panowania Piotra, rosyjska cerkiew stała się jeszcze jedną gałęzią cywilnej administracji. *Cw coup de grace* został zadany ofierze pozbawionej do tego stopnia wszelkiej żywotności, że ledwie dyszającej - najmniejszych protestów, tylko ciche poddanie. Żaden kościół wspólnoty chrześcijańskiej nie pozwolił się zsekularyzować tak "łaskawie" jak rosyjska cerkiew.

Piotr szczerze nie cierpiał cerkwi, szczególnie jej wielkorosyjskiego odgałęzienia. Znacznie bardziej wolał duchowieństwo ukraińskie, a szczególnie protestanckie. Gnębiło go, że dziesiątki tysięcy duchownych, dzięki przywilejom nadanym im w wiekach zocofania, unika podatków i obowiązków służby państwowej, a równocześnie trwonią okazałą część narodowego majątku w postaci przymusowej pracy i czynszów. Dla niego byli oni zgrają pasożytów. Jego niechęć do cerkwi została pogłębiona z powodu jej poparcia dla jego syna Aleksego, z którym pozostawał w złych stosunkach. Stąd zrodziło się w nim dążenie do ograniczenia znaczenia cerkwi. Względy podatkowe, tak istotne dla wszystkich jego reform, uczyniły całe przedsięwzięcie szczególnie korzystnym. Po jego wstąpieniu na tron cerkiew pozostawała bogata, mimo ponawianych zakazów nabywania dodatkowych ziem. Zwyczaj dobrowolnego zaopatrywania cerkwi był ciągle mocno zakorzeniony wśród warstwy urzędniczo-wojskowej. W istocie sami carowie nadal ofiarowywali swoim ulubionym klasztorom wspaniałe dary, już po tym jak dekretem uznali za nielegalne takie praktyki wśród zwykłych włościan. Z powodu gwałtownej ekspansji Rosji zmniejszył się procent narodowego majątku pozostającego w rękach duchowieństwa, jednak w liczbach bezwzględnych był on nadal ogromny: w momencie wstąpienia na tron Piotra sprawowali oni kontrolę nad około 750.000 chłopów, na ogólną liczbę 12-13 milionów.

Już w roku 1696 Piotr po raz pierwszy naruszył prawo parafialnego i monastycznego duchowieństwa do wolnego rozporządzania wpływami z cerkiewnych włości. Cztery lata później, po śmierci patriarchy Adriana, postanowił skorzystać ze stanu wakatu, by skasować całą odrębną administrację cerkwi. Zamiast wyznaczyć następcę Adriana, wybrał jako *locum tenens* uczonego,

lecz pozbawionego kręgosłupa teologa ukraińskiego. Rzeczywistą władzę nad włościami cerkwi, a także inne funkcje świeckie, powierzył Państwowemu Urzędowi Klasztornemu, obciążając go wykonywaniem władzy administracyjnej, sądowniczej i podatkowej wobec mieszkańców cerkiewnych majątków. Cerkiewnych włości ostatecznie nie zsekularyzowano, lecz zostały one w tak znacznym stopniu wcielone w ogólne struktury administracyjne państwa, iż, kiedy pół wieku później doszło do faktycznej sekularyzacji, było to czystą formalnością. Po roku 1701 wprowadzono zasadę - choć, jak każdego innego elementu polityki rządu, nie respektowano jej konsekwentnie - iż klasztory mają przekazywać swe dochody skarbowi, w zamian za stałe pensje.

Polityka Piotra wobec cerkwi osiąga kulminację w ogólnym akcie prawnym zwanym *Regulaminem duchownym*, przygotowanym pod osobistym nadzorem cara i wydanym w roku 1721. Dokument ten wyznaczał w najdrobniejszych szczegółach zakres działania duchowieństwa parafialnego i monastycznego, formułując, co mogą i czego nie mogą robić, a nawet czego się od nich wymaga. Regulamin był prawdziwie biurokratyczną konstytucją cerkwi rosyjskiej. Wśród jego najważniejszych postanowień znajduje się formalne zniesienie urzędu patriarchy, wakującego od roku 1700 i zastąpienie go biurokratyczną instytucją, nazwaną pierwotnie Kolegium Duchownym, a później Najświętszym Wszechwładnym Synodem. Ów Święty Synod był ni mniej ni więcej, tylko ministerstwem spraw religijnych. Jego głowa, nazywana naczelnym prokuratorem, nie musiała być osobą duchowną i rzeczywiście przez wiek XIX był to zwykle wojskowy. Do roku 1917 Synod dzierżył całą odpowiedzialność za zarządzanie cerkwią rosyjską. Wraz z jego ustanowieniem, cerkiew utraciła swoją instytucjonalną odrębność i formalnie zlała się z aparatem państwowym.

Zakres, w jakim cerkiew uległa polityzacji za Piotra, można zrozumieć dopiero na podstawie niektórych zobowiązań, jakie regulamin nałożył na duchowieństwo. Wymagał, by wyświęceni popi składali przysięgę, w której zobowiązywali się "nie szczędząc sił bronić wszystkich władz, praw i przywilejów należących do Wysokiego Władztwa Jego Majestatu i jego następców". Członkowie Świętego Synodu składali przysięgę, w której pojawiają się następujące słowa: "Przysięgam Wszechmocnemu Bogu, iż postanawiam i zobowiązuję się być wiernym, dobrym i posłusznym sługą (*vab*) i poddanym mego naturalnego i prawdziwego Cara i Władcy..." /13/.

Prócz tego ogólnego przyrzeczenia, parafialni popi musieli zobowiązać się, iż doniosą o wszelkim zagrożeniu interesów władcy i jego państwa, choćby informacja o tym dotarła do nich za pośrednictwem spowiedzi: "Jeśli podczas spowiedzi wyjawi ktoś popu zamiar, choćby niezrealizowany, dokonania przestępstwa, szczególnie zdrady stanu, bądź buntu przeciwko Władcy lub Państwu, bądź występnego czynu przeciwko czci i zdrowiu Władcy i rodziny Jego Wysokości (...), spowiednik musi nie tylko odmówić mu rozgrzeszenia i odpuszczenia otwarcie wyznanych grzechów (...), lecz musi natychmiast donieść o nim w miejscach wyz-

naczonych zgodnie z osobistym rozporządzeniem Jego Cesarskiej Wysokości (...), na mocy którego rozkazuje się za słowa godzące w najwyższą cześć Jego Cesarskiej Wysokości i szkodzące Państwu, jak najszybciej ująć takich poddanych i dostarczyć do wyznaczonych miejsc". /14/

W następstwie *Regulaminu* rosyjscy popi podjęli systematyczną współpracę z policją. Pod koniec panowania Piotra, kiedy rząd borykał się ze sporządzeniem spisu narodowego, przygotowującego do nałożenia podatku od duszy, rozkazano wiejskiemu duchowieństwu pomagać w demaskowaniu fałszerstw podatkowych, pod groźbą "bezlitosnej chłosty" i zsył i na Syberię. W wieku XIX denuncjacja politycznych dysydentów była uważana za zwykłą część obowiązków popa.

Znamienne jest nie tylko to, że w ogóle *Regulamin duchowny* był ogłoszony, lecz że nie spotkał się z żadnym oporem. Piotr po prostu wysyłał kopię tego dokumentu do wysokich dostojników, z poleceniem podpisania; ci niezwłocznie wypełniali polecenie, mimo, iż musiało być dla nich oczywiste, że przypieczętują w ten sposób los swojej Cerkwi. Dokumenty nie notują żadnego przypadku czynnego sprzeciwu wobec *Regulaminu*, jak miało to miejsce w okresie schizmy, gdy chodziło o obrzęd. Wszystko to każe sądzić, że w rosyjskiej cerkwi największą rolę odgrywał element religii, a ponieważ Piotr w najmniejszym stopniu nie zajmował się liturgią, sakramentami, czy też któryś z obrzędów, cerkiew chętnie spełniała wszystkie inne jego żądania.

Wiedząc o tym, nie dziwi informacja, iż rzeczywiście wyłączenie dóbr cerkwi również nie wywołało żadnego oporu. Przeprowadzone zostało w roku 1762 przez Piotra III, który rozkazał, by wszystkie ziemie należące do cerkwi i klasztorów zostały wcielone we władci państwowe. Dwa lata później rozkaz ten potwierdziła Katarzyna II. W tym czasie (1767) mniej więcej milion chłopów żyjących na gruntach cerkiewnych zostało przejętych przez państwo, a cały parafialny i klasztorny kler przeszedł na rządowe pensje. Z kilku milionów rubli rocznego dochodu, który korona zciągała odtąd z przejętych włości cerkwi, zwracała duchowieństwu tylko około 400.000, a resztę zaś zatrzymywała. Pozbawione ziemi klasztory, nie przynoszące państwu żadnego dochodu, polecono zamknąć, w rezultacie czego ogólna liczba klasztorów w Rosji zmniejszyła się o ponad połowę: z 954 czynnych w roku 1764, zamkniętych zostało 569. Nie wszystkim z tych, które pozostały przyznano rządowe fundusze. Na 385 klasztorów, jakie przetrwały sekularyzację, tylko 161 umieszczono w rządowym budżecie; pozostałe musiały radzić sobie same. Również te działania władzy nie wzbudziły żadnego sprzeciwu. Przejęcie cerkiewnej ziemi - może najsilniej oddziałujący, pojedynczy czynnik w okresie zachodnio-europejskiej reformacji - zostało w Rosji dokonane tak spokojnie, jakby było operacją czysto księgową.

Skoro państwo wzięło na siebie obowiązek utrzymania duchowieństwa, musiało upewnić się, że jego lis-

ty płac nie powiększają się o nazwiska pseudoduchownych lub popów, którzy choć prawidłowo wyświęceni, nie pełnią żadnych funkcji z braku parafii. Rząd zaczął sporządzać regularne spisy osób (*sztaty*) na stanowiskach duchownych, takie same jak dla służby publicznej. Piotr I wydał dyrektywy, by "zbyteczni" popi - tzn. ci bez własnych parafii - byli albo brani do wojska, albo włączani w poczet stanu płacącego podatki. Jednak zasada ta w XVIII wieku nie była z powodu urzędników ściśle realizowana. Jedynie w latach sześćdziesiątych XIX wieku listy sporządzano systematycznie i państwo upewniało się, że liczba opłacanych duchownych odpowiada liczbie działających w parafiach. W latach dziewięćdziesiątych XVIII wieku Katarzyna II zrobiła następny krok w kierunku pełnego stopienia duchowieństwa z państwową biurokracją zarządzając, żeby granice biskupstw zbiegały się z granicami gubernialnych jednostek administracyjnych, co miało ułatwić gubernatorom sprawowanie kontroli nad cerkwią. W rezultacie wszystkich tych działań rosyjskie duchowieństwo przekształciło się w XIX wieku w coś bardzo bliskiego czynownikom.

Cerkiew może potrafiłaby polepszyć swój los gdyby mogła pozyskać poparcie ludu. Tego jednak nie potrafiła osiągnąć. Chłopi o głębszej niż tylko powierzchowna religijności grawitowali w stronę staroobrzędowców i sekciarzy. Klasy wykształcone albo nie przejawiały zainteresowania cerkwią, albo przyciągały ich religie obce, szczególnie te świeckiego (ideologicznego) typu, w których historia służy za surogat Boga. Cerkiew nigdy nie znalazła wspólnego języka z warstwami wykształconymi, ponieważ jej konserwatywne poglądy czyniły z niej instytucję antyintelektualną. Idąc za średniowiecznym ruskim przykazaniem: "wszelkie zło powstaje z poglądów", okazywała może zainteresowanie nawet swoją własną teologią, do której uciekała się głównie, gdy zmuszona była bronić się przed heretykami i cudzoziemcami. Wszelkie próby ożywienia jej spotykały się z instynktowną podejrzliwością, która przerażała się we wrogość czasami połączona z denuncjacją u władz i z ekskomuniką, ilekroć formułowany był niezależny sąd na temat jej dogmatów i praktyk. Kolejno cerkiew odpychała od siebie najwspanialsze religijne umysły kraju: słowianofilów, Włodzimierza Sołowiowa, Lwa Tołstoja i ludzi stanu świeckiego zgromadzonych w pierwszej dekadzie XX wieku dokoła Religijnego Towarzystwa Filozoficznego. Okazywała również małe zainteresowanie edukacją swych wiernych. Cerkiew Rosyjska po raz pierwszy zaczęła się włączać w nauczanie elementarne dopiero w latach sześćdziesiątych XIX wieku, czyniąc to na polecenie państwa, które było zaalarmowane wpływami intelektualistów.

Byłoby absurdem zaprzeczać, że w epoce caratu wielu Rosjan, zarówno wykształconych jak i niepiśmiennych, poszukiwało i znajdowało w cerkwi pociechę, czy że nawet wśród duchowieństwa, tak przecież uległego państwu, znajdowały się indywidualności najwyższej moralnej i intelektualnej miary. Nawet w swej zniekształconej postaci rosyjska cerkiew ofiarowywała ucieczkę

od życiowych utrapień. Jednak oglądana jako całość nie była w okresie caratu instytucją popularną i jeśli cieszyła się jakimś społecznym poparciem, to na pewno je stopniowo traciła. Duchowieństwo jeszcze bardziej odizolowało się od społeczeństwa, szczególnie jego warstw zamożnych i wykształconych. W czasach Kotoszycina, tzn. w połowie wieku XVII szlachta i bojarzy utrzymywali zwykle na własny koszt domowe kaplice i jednego lub więcej popów. Jednak już wiek później, angielski podróżnik notuje ze zdziwieniem, że podczas swego pięciomiesięcznego pobytu w Sankt-Petersburgu nie dostrzegł przy żadnym szlachlicu popa. Inni zagraniczni podróżnicy po Rosji epoki caratu dostarczają podobnie negatywnych świadectw. Było kilka przyczyn tej wzrastającej izolacji duchowieństwa od krajowej elity. Jedną z nich było prawo Piotra I zakazujące budowy rodzinnych cerkwi i utrzymywania domowych popów. Innym była powiększająca się przepaść między świeckim - na modłę zachodnią - stylem edukacji odbieranej przez klasę wyższą, a tym oferowanym przez najlepsze nawet seminaria. Nie bez znaczenia były także różnice socjalne. Surowe zakazy moskiewskiej władzy wzbraniające szlachlicom przystępowania do stanu kapłańskiego - zakazy pogłębione przez prowadawstwo Piotra I - stały na przeszkodzie tym tak pospolitym na Zachodzie związkom krwi szlachty z wyższymi sferami duchowieństwa. W swej rozległej masie rosyjscy duchowni pochodzili z gminu (często z jego nizin), kulturalnie i socjalnie bliskiego drobnomieszczaństwu. Zeuropeizowana arystokracja po prostu nie czuła się swobodnie w towarzystwie takich ludzi. Postaci załudniającej powieści Leskowa, kronikarza życia duchowieństwa w Rosji, wydają się żyć w swoim własnym świecie jeszcze bardziej zamkniętym przed światem zewnętrznym niż kupcy zamieszkujący swe "ciemne królestwo". Pozostali do końca rządów caratu zamkniętą kastą, uczęszczającą do własnych szkół, żeniącą się z córkami popów i przeznaczającą swe potomstwo do stanu duchownego. Nawet na początku XX wieku Rosjanie pochodzący ze szlachty - mimo zniesienia zakazu - rzadko przyjmowali święcenia. Zubożałe, odizolowane i łączone z samodzierżawiem duchowieństwo nie zaskarbiło sobie ani miłości, ani szacunku - w najlepszym razie było tolerowane.

Czego realnie można było oczekiwać od rosyjskiej cerkwi, co mogła uczynić? Znając jej konserwatywną filozofię i tradycyjne zaufanie do władzy państwowej, nie mogła ona z pewnością działać jako siła liberalizująca. Była jednak w stanie dokonać dwu rzeczy. Po pierwsze, mogła utrzymać zasadniczy dualizm władzy doczesnej i duchowej, jak zostało to sformułowane w Ewangelii Mateusza 22,16-22 i teoretycznie wypracowane w łonie Kościoła bizantyjskiego. Gdyby tak uczyniła, zapewniłaby sobie panowanie nad duchową rzeczywistością kraju i nałożyłaby pewne ograniczenia na władzę państwową. Cerkiew zaniechawszy tego, pozwoliła by władza rościła sobie pretensje do panowania, zarówno nad ciałami ludzi, jak ich umysłami, przez co w znacznym stopniu przyczyniła się do nadmierne-

go, monstrualnego rozwoju władzy świeckiej, zarówno w okresie caratu, jak i o wiele później.

Po drugie, mogła wspierać najbardziej podstawowe, chrześcijańskie wartości i walczyć o nie. Winna protestować przeciwko instytucji pańszczyzny, tak przecież przeciwnej etyce chrześcijańskiej. Winna potępić masakry dokonane przez Iwana IV i później przez Stalina. Jednak nie uczyniła żadnej z tych rzeczy (poza odosobnionymi przypadkami), zachowując się tak, jak gdyby naprawa niegodziwych i błędnych czynów nie była wcale przedmiotem jej troski. Żadna z gałęzi chrześcijaństwa nie wykazała się tak doskonałą obojętnością wobec społecznych i politycznych nieprawości. Można mieć całkowite zrozumienie dla słów Aleksandra Sołżenicyna, iż rosyjska historia w ostatnich kilku wiekach mogłaby mieć bez porównania bardziej ludzki i harmonijny charakter, gdyby cerkiew nie wyrzekła się swojej niezależności i czyniła swój głos nieusłannie słyszalnym pośród narodu, jak czyni to np. Kościół w Polsce.

Końcowym efektem polityki prowadzonej przez Rosyjską Cerkiew Prawosławną, była nie tylko utrata zaufania w oczach tych, którzy zabiegali o społeczną i polityczną sprawiedliwość, lecz tylko stworzenie politycznej próżni. Próżnia ta została zapełniona przez świeckie ideologie, które starały się zrealizować na Ziemi raj, jaki Chrystus obiecał zapewnić na tamtym świecie.

RICHARD PIPES

/tłum. K.M./

PRZYPISY

/1/ Anatole Leroy-Beaulien, *L'Empire des Tsars et les Russes*, Paris 1889, t. III, s. 167.

/2/ Wilhelm Ensslin, w: Norman H. Baynes i H. St. L. B. Moss, *Byzantium*, Oxford 1949, s. 274.

/3/ Makariusz /metropolita moskiewski/, *Istorijskaja russkaja cerkiew*, Sankt-Petersburg 1886, t. V, cz. II, s. 480-481.

/4/ N.M. Nikolskij, *Istorijskaja russkaja cerkiew*, Moskwa 1931, s. 62. Mimo zastrzeżeń, że Nikolskiego, którego książka ukazała się pod auspicjami Związku Walczącego Ateizmu ZSRS, można podejrzewać o manipulowanie w niej faktami, to może być ona traktowana jako uzupełnienie prac godnych szacunku przedrewolucyjnych historyków sympatyzujących z kościołem, które to prace zawierają podobne wnioski: L.P. Rusczyński, *Religioznyj byt russkich po swedenijam inostrannyh pisateli XVI-XVII wiekow*, Moskwa 1871, oraz S. Triegubow, *Religioznyj byt russkich i sostojanije ducho-wienstwa w XVIII w. po memuarach inostrancew*, Kijew 1894.

/5/ Cytat za: A. Pawłow, *Istoriczeskij ocerk sekularizacii nemi w Rossii*, Odessa 1871, cz. I, s. 84-85.

- /6/ Cytat za: N.F.Kapteriew, *Patriarch Nikon i car Alekksiej Michajłowicz*, Sergiew Posad 1909, t. I, s. 34.
- /7/ Ihor Szewczenko, *A neglected Byzantine source of Muscovite Political Ideology*, "Harvard Slavic Studies" 1945, t. II, s. 141-179.
- /8/ Włodzimierz Sołowiow, *L'idée russe*, Paris 1888, s. 25. Autor odsyła do konserwatywnego historyka M.P.Pogodina.
- /9/ J.G.Korb, *Diary of an Austrian Secretary of Legation at the Court of Czar Peter the Great*, London 1863, t. II, s. 161.
- /10/ William Palmer, *The Patriarch at the Tsar* oraz *The Replies of Humble Nikon*, London 1871, s. 189-190, 251-253. Ten ostatni tekst dostępny jest jedynie w tłumaczeniu na angielski, gdyż nigdy nie był w Rosji publikowany.
- /11/ Dane wzięte z: P.I.Mielnikow /Pieczerski/, *Poiznyje sobranije soczinienij*, St.Petersburg-Moskwa 1898, t. XIV, s. 379-394; F.C.Conybeare, *Russian Dissenters*, Cambridge, Mass. 1921, s. 245-249; oraz P.Milukow, *Oczerki po istorii russkoj kultury*, Paris 1931, t. II, cz. I, s. 153-155.
- /12/ Pierre Pacal, *Avvakum et les débuts du raskol*, Paris 1938, s. 574.
- /13/ Aleksander V.Muller, *The Spiritual Regulation of Peter the Great*, Seattle, 1972, s. VI.
- /14/ James Cracraft, *The Church Reform of Peter the Great*, London 1871, s. 238-239.
- /15/ *O Rossi w carstwowanije Aleksieja Michajłowicza*, soczinienije Grigorija Kotosznikina, wyd. 4, St.Petersburg 1906, s. 147; William Coxe, *Travels into Poland, Russia, Sweden and Denmark*, Dublin 1784, t. II, s. 330.
- /16/ "New York Times" 1972, 23 March, s. 6.

Tadeusz Zakrzewski

WOLNE WYBORŹ W PRL ?
/na marginesie książki
Andrzeja Sadowskiego/

Porozumienia chcemy z całego serca. Lecz nie myślcie, że jest to warunek naszego istnienia. Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy. Nie dlatego, aby ktośkolwiek pragnął dla siebie tej władzy. Każdy z wielką chęcią pozbyłby się tego ciężaru, który na nim spoczywa w tym najcięższym okresie gospodarczym, w jakim znajduje się Polska. Władzy nie oddamy dlatego, aby narodu polskiego nie spotkała nowa zguba, która mu grozi w wypadku fałszywej linii politycznej, którą próbuje narodowi narzucić reakcja.

W.Gomułka, fragment przemówienia na posiedzeniu przedstawicieli Rządu Tymczasowego i konsultantów z kraju i zagranicy odbytego w Moskwie w dn. 18 czerwca 1945 r.

Najbardziej zaniedbaną dziedziną wiedzy dotyczącą współczesnego polskiego społeczeństwa jest bez wątpienia ustrojoznawstwo. Sporo już wiemy dzisiaj o socjologii społeczeństwa będącego w kleszczach realnego socjalizmu /1/. Potrafimy również, chociaż w przybliżeniu, określić funkcjonowanie gospodarki w tym systemie. Zupełnie białą plamą jest natomiast znajomość mechanizmów polskiego systemu politycznego, w szczególności mam tu na myśli zależnośći zachodzące między konstytucją pisaną a konstytucją rzeczywistą PRL. I oto pod koniec 1985 r., staraniem wrocławskiej oficyny "Vist", otrzymaliśmy pierwszy przyczynek do nieistniejącej monografii ustroju PRL. Chodzi mi o pracę Andrzeja Sadowskiego *Wolne wybory. Analizy, propozycje*. Książka ta - generalnie rzecz biorąc - mówi o tym, czym jest i czym może być prawo wyborcze w PRL.

Myślę, że Autor omawianej pracy zgodzi się ze mną, chociaż nigdzie nie mówi tego wyraźnie, iż prawo wyborcze winniśmy traktować nade wszystko jako instrument w rękach suwerena ustrojowego, umożliwiający mu realizację jego konstytucyjnie określonej władzy.

Innymi słowy, podstawą dla wskazania miejsca i roli wyborów w mechanizmie sprawowania władzy w państwie jest przyjęta w danym ustroju koncepcja zwierzchnictwa. Tak więc próbując udzielić odpowiedzi na pytanie, czym jest, a tym bardziej - czym może być prawo wyborcze w PRL, musimy przede wszystkim ustalić treść konstytucyjnej zasady zwierzchnictwa ludu pracującego miast i wsi (art.1 ust.2).

W światowym konstytucjonalizmie znane są trzy sposoby instytucjonalizacji ludu /2/. Przede wszystkim przez lud w prawie konstytucyjnym można rozumieć ogół ludzi posiadających czynne prawo wyborcze; w tym rozumieniu w chwili obecnej lud byłby prostą sumą jednostek zamieszkujących terytorium danego państwa. Współcześnie jednak takie rozumienie ludu nie wystarcza, ponieważ ogół wyborców nie wyposażony w stosowne organizacje - partie polityczne - nie byłby w stanie wypełnić swoich konstytucyjnych kompetencji. Stąd rodzi się we współczesnych demokracjach potrzeba organizacji ludu przez system partyjny. I wreszcie trzeci sposób instytucjonalizacji ludu: na drodze funkcjonowania monopartii, która w zasadzie traci cechy partii politycznej, a staje się swoistym zakonem /3/. Ten trzeci sposób instytucjonalizacji ludu wybiera polski ustrojodawca z 1952 roku /4/.

Na gruncie konstytucji PRL sens pojęcia "lud pracujący" nie oznacza wcale zbiorowości żyjącej z pracy rąk, zorganizowanej przez system prawa wyborczego, jak to kilkakrotnie podkreśla Sadowski (s.40, 49, 55, 58), ale odnosi się do zbiorowego podmiotu posiadającego wewnętrzną organizację. Wyrażna treść sformułowań konstytucyjnych wyklucza koncepcję suwerena proponowaną przez Autora, gdyż czyniąc lud pracujący podmiotem władzy państwowej konstytucja wskazuje jednocześnie, że *podstawę obecnej władzy ludowej w Polsce stanowi sojusz klasy robotniczej z chłopstwem pracującym. W sojuszu tym rola kierownicza należy do klasy robotniczej jako przodującej klasy społeczeństwa.* (Wstęp do konstytucji PRL). W nowelizacji z 1976 r. dodano postanowienie głoszące, że *Przewodnią siłą społeczeństwa w budowie socjalizmu jest PZPP* (art.3 ust.1). Natomiast w miejsce rozwiązanego FJN nowelą konstytucyjną z 1983 r. wprowadzono PROM jako powszechną i najogólniejszą strukturę organizacyjną ludu pracującego (art.3 ust.2 i 3).

Niezależnie od tego, cokolwiek moglibyśmy zarzucić takiemu formułowaniu zwrotów konstytucyjnych - pisze o tym również Sadowski (s.41-42,78) - w którym opisowość utrudnia ustalenie treści normatywnych /5/, nie może budzić wątpliwości, że w przytoczonych sformułowaniach lud pracujący jest pojmowany normatywnie jako struktura zorganizowana. Pojęcia "sojusz", "przodownictwo", "przewodnia rola" przeczą zasadności traktowania kategorii konstytucyjnoprawnej "lud pracujący" jako oznaczającej niezorganizowaną masę ludzką, bez wykształconej struktury wewnętrznej. W ujęciu konstytucjonalizmu socjalistycznego - zgodnie z wyłożoną przez Lenina w *Co robić?* koncepcją partii nowego typu - zasadniczą rolę w stratyfikacji ludu odgrywają instancje partii komunistycznej. Z tego względu uważa się, że wola ludu są preferencje wyrażone w sformalizowanych dokumentach komunistycznej monopartii /np. uchwały zjazdów, plenów KC czy posiedzeń Biura Politycznego/ /6/. *Wola partii nie jest - jak mówi marksistowski teoretyk państwa - substratem woli ludu, tylko samą wolą ludu i narodu* /7/.

Wiemy już zatem, że lud pracujący nie jest wspólnotą ludzi pracy instytucjonalizowaną przez system prawa wyborczego, ale

zbiorowością wewnątrznie zorganizowaną przez instancje partii komunistycznej jako struktury politycznego zorganizowania ludu /8/. Sposób rozumienia terminu "lud pracujący" wyznacza równocześnie treść podstawowych zasad prawa wyborczego: powszechności, równości i bezpośredniości wyborów oraz tajności głosowania. W tym miejscu najlepiej widać traktowanie prawa wyborczego jako instrumentu w ręku suwerena ustrojowego, umożliwiającego mu sprawowanie władzy.

Weźmy pod uwagę jedynie najnowszą ordynację do Sejmu z 1985 roku. Z całego postępowania mającego na celu wyłonienie kandydatów na posłów wyłączeni są sami wyborcy i to w podwójnym sensie. Przede wszystkim żadna z organizacji, występujących jako struktury zorganizowania ludu, w rzeczywistości nie wyraża jego woli; trudno zatem uznać kandydatów wysuwanych przez te organizacje za wyłonionych przez wyborców. Poza tym sami wyborcy nie mają ani prawa samodzielnego zgłaszania kandydatów, ani też poparcie wyborców wyrażone na zebraniach przedwyborczych nie jest konieczne dla umieszczenia kandydata przez konwent wyborczy na liście kandydatów (rozdz. 7 ordynacji). Konwenty wyborcze - przed ustaleniem listy kandydatów - mają jedynie obowiązek rozpatrzenia opinii i uwag wyborców o proponowanych kandydatach na posłów (art. 59 ordyn.). W ten sposób - rozumiejąc powszechność niejako dwustronnie: zarówno gdy chodzi o prawo wybierania, jak i wybieralności - dochodzi do pogwałcenia tej fundamentalnej zasady. W zasadzie powszechności nie chodzi jedynie o samo głosowanie powszechne - to niewątpliwie w tekście ordynacji znajduje swój wyraz - ale również o wybory powszechne, tj. o możliwość wybierania kandydatów odpowiadających woli i poglądom uprawnionych do głosowania. Okoliczność, że wszyscy obywatele uprawnieni do głosowania mogą na wyznaczonych kandydatów głosować lub nie, nie daje nam wcale powszechnego prawa wyborczego, ponieważ pozbawieni jesteśmy wpływu na wyznaczanie kandydatów i przez to nie możemy wykonywać swego prawa wyboru.

Stworzenie przez nową ordynację instytucji konwentów wyborczych jako organów monopolizujących prawo ustalania kandydatów poselskich stanowi nie tylko naruszenie zasady powszechności, ale również innych podstawowych zasad prawa wyborczego: równości i bezpośredniości. Skoro ordynacja ogranicza prawo wybierania do prawa głosowania, które przecież jest tylko częścią wybierania, przenosi zaś rzeczywiste prawo wybierania, przez wyznaczanie kandydatów, na nieliczne grona, tj. konwenty wyborcze, które wyposaża w wyłączność tego przywileju, to z pewnością niweczy się w rezultacie równość prawa wyborczego. Powstaje paradoksalna sytuacja: nieliczni równiejsi mają nie tylko prawo głosowania, ale i wybierania kandydatów, pozostali zaś równi mogą tylko głosować. Z tych samych względów pogwałceniu ulega zasada bezpośredniości wyborów. Zasada ta zostaje złamana przez fakt utworzenia konwentów wyborczych, ponieważ wpiętych nielicznych wybierają kandydatów, a dopiero potem wszyscy głosują.

Z pewnością zgodzi się ze mną Sadowski, że utworzenie konwentów wyborczych poprzez monopolizację w ich rękach prawa wystawiania kandydatów poselskich powoduje pogwałcenie zarówno prawa wybierania, jak wybieralności, a tym samym koliduje z powszechnością, bezpośredniością i równością wyborów. Autor omawianej książki zaprotestuje jednak, gdy stwierdzą, że zrealizowany w tekście ordynacji sposób rozumienia trzech - spośród czterech - przymiotników demokratycznego prawa wyborczego wynika wprost z przyjętej koncepcji suwerena. Zarówno budowa konwentów wyborczych, jak i udzielenie wyłącznego prawa zgłaszania kandydatów

na posłów władzom organizacji będących strukturami politycznego i społecznego zorganizowania ludu pracującego, sprawa, że wyborcom pozostaje jedynie prawo dokonywania selekcji w drodze aktu głosowania wśród przedstawionych kandydatów.

Słowem, obecnej ordynacji, jak i jej poprzedniczek, nie można uznać za demokratyczne, bowiem z pojęciem "wyborów" łączy się w demokratycznej tradycji duża swoboda w stawianiu kandydatów. Stąd w przekonaniu powszechnym w tych państwach, w których wybory są rzeczywiście ważną instytucją ustrojową, procedura ustalania kandydatów ma znaczenie jedynie pomocnicze, formalne, a nie ma decydować merytorycznie o narzucaniu wyborcom kandydatów przez uprzywilejowane w tym kierunku organizacje. Normy dotyczące postępowania wyborczego muszą właśnie być formalnymi, proceduralnymi, a nie - jak to ma miejsce w PRL - merytorycznymi. Merytoryczne, a nie tylko formalne, ograniczanie swobody stawiania kandydatów sprawia, że zamiast wyborów (*electio*) mamy właśnie dobór (*selectio*) czy eliminację. Stąd słusznie pisze Sadowski, iż mimo że ostatecznie wybierają wyborcy, to wybrane osoby są reprezentantami władzy, bo to ona wybiera kandydatów (s.40). Trudno też nie zgodzić się z jego opinią, że według nowego typu ordynacji, datujących się od 1976 roku, w których bez ogródek "przewodnia siła" narzuca kandydatów, nie my wybieramy posłów, lecz partia ich mianuje (s. 42).

Zgadzam się zatem z Sadowskim co do oceny charakteru demokratyczności - a raczej jej braku - ordynacji z 1985 roku, ale w żadnym wypadku nie podzielam jego poglądu, że ordynacja ta i jej poprzedniczka z 1976 roku są zdecydowanie sprzeczne z konstytucją PRL (s.39-41,49-50). To prawda, że konstytucja z 1952 roku w obecnym artykule 94 stanowi zasady demokratycznego prawa wyborczego, a nie tylko prawa do głosowania, jednak już w art. 100 istotnie ogranicza te uprawnienia, wskazując iż *Kandydatów na posłów i członków rad narodowych zgłaszają organizacje polityczne i społeczne, zrzeszające obywateli w miastach i wsiach*. Uważam, że ustrojodawcy chodzi w tym artykule właśnie o wypuklenie roli struktur społecznego i politycznego zorganizowania ludu, których zasadnicze znaczenie dla pojęcia zwierzchnika w państwie socjalistycznym ujmuje wprowadzony nowelą z 1976 r. obecny artykuł 3 konstytucji. Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie jestem wcale zwolennikiem zasady suwerenności ludu pracującego jako podmiotu zorganizowanego przez instancje partii komunistycznej, ale taki właśnie model instytucjonalizacji ludu - a nie poprzez system prawa wyborczego - przyjmuje konstytucja PRL i to nie od 1976 roku, ale od samego początku /9/. Stanowisko Sadowskiego przypomina mi zdziwienie pewnej damy, która ujrawszy po raz pierwszy w życiu żyrafę mówi: "To niemożliwe, aby istniało zwierzę o tak długiej szyi!"

Specyfika aktu wyborczego w PRL wynika stąd, że jest on istotną konsekwencją przyjęcia zasady zwierzchnictwa ludu pracującego. Konsekwencją tej zasady jest nakaz (wyraźnie sformułowany w art.8 ust.1 konstytucji), by treść norm prawnych obowiązujących w państwie była zgodna z wolą zwierzchnika. Konstytucja ustala zatem normę, że jedynie legitymowanym do sprawowania władzy jest lud pracujący jako struktura wewnętrznie zorganizowana. Zadaniem prawa wyborczego jest realizacja tej normy. Słowem, skoro konstytucja PRL określiła w sposób wyraźny podmiot władzy wskazując na lud pracujący, a jednocześnie prawo wyborcze przyznała wszystkim obywatelom pełnoletnim, to taki stan prawny wymaga konkretnego uregulowania trybu i prawa zgła-

szania kandydatów, trybu, który by zabezpieczał władzę ludu. Przyznanie prawa zgłaszania kandydatów określonym liczbowo, dowolnie dobranym, grupom obywateli mogłoby przecież doprowadzić do zgłaszania list obejmujących kandydatów nie będących przedstawicielami ludu. Natomiast przyznanie tego prawa wyłącznie organizacjom społecznym i politycznym ludu ma za zadanie skutecznie zabezpieczyć jego władzę. Jeszcze inaczej mówiąc, jeśli funkcjonowanie organizmu państwowego winno odbywać się zgodnie z wolą ludu pracującego, a nie wolą wyborców, to tej koncepcji nie rozumie się tu w znaczeniu empirycznym, tj. jako fakt, żej woli jednostek składających się na tenże lud, ale jako wolę struktur zorganizowania politycznego ludu, która uważana jest na mocy ideologii marksizmu-leninizmu za wolę ludu pracującego. W rezultacie wola większości nie jest decydująca jako taka, a tylko pod warunkiem, że istotnie wyraża wolę ludu. Nie wszelka zatem wola większości może legitymować wolę ludu pracującego, a jedynie większość specyficznie kwalifikowana przez to, że zawiera ona wolę kierowniczych instancji partii komunistycznej /10/.

Głównym postulatem omawianej książki - czym może być prawo wyborcze w PRL? - jest konieczność walki o wolne wybory w Polsce. Konieczność ta wypływa z dwu powodów. Po pierwsze, Autor sądzi, że w ten sposób może nastąpić delegitymizacja władzy komunistycznej w PRL. *Jednym z ważniejszych, eksploatowanych do dzisiaj i to z coraz większym rozmachem, "argumentów" władzy jest jej rzekoma konstytucyjność i nasza rzekoma antykonstytucyjność /s.61/. Dlatego też Domagając się "wybierania władzy" stawiamy w niewłaściwej sytuacji naszą dzisiejszą władzę /s.73/.* Po drugie, stwierdza on, że *samo odzyskanie przez nas urzędzeń demokratycznych wprowadziłoby ogromne zmiany do istniejącej gospodarki, nawet bez jej gruntownej reorganizacji: sektor państwowy stałby się wtedy faktycznie sektorem uspołecznionym, "spółdzielczością" stałaby się spółdzielczością, zaś rolnictwo indywidualne i rzemiosło przestałoby być po prostu gnębione. Stąd sprawa wolnych wyborów do Sejmu powinna się znaleźć na pierwszym planie i stać się wspólną platformą całego niezależnego ruchu społecznego /s.29/.*

Przedę wszystkim sądzę, że samo powstanie i dalsze istnienie "Solidarności" jest kresem podstawowej formuły legitymizującej władzę komunistyczną, tj. mitu awangardy proletariatu. Od początku działalności Lenina było jasne, że proletariacka mniejszość ma wprowadzić sprawować władzę, lecz bynajmniej nie wedle modelu zawartego w *Państwie a rewolucji*, ale zgodnie z zasadami wyłożonymi w *Co robić?*. W myśl tych zasad świadomość proletariacka wnoszona jest do klasy robotniczej z zewnątrz i dopiero, gdy wykształci się odpowiednia forma tej świadomości, zwana świadomością polityczną, powstaje partia - jedna tylko - formułująca interesy klasy. Partia ta, zgodnie z koncepcją leninowską, reprezentuje całą klasę, tworzy jej teorię oraz program działania i jest niezbędnym elementem obalenia starego i uformowania nowego ustroju. Głównym zatem celem klasy robotniczej - według Lenina - winno być zdobycie przez partię komunistyczną pozycji monoorganizacji. Tymczasem polscy robotnicy tworzą "Solidarność" jako wyraziciela swoich rzeczywistych interesów. *W ten sposób leninowska "awangarda" klasy robotniczej otrzymała wyzwanie od zorganizowanej reprezentacji tej samej klasy - trafnie pisze J.Staniszkis /11/. Właściwa legitymizacja władzy komunistycznej została zakwestionowana; nie trzeba jej podważać na drodze wyborczej, bowiem nie przy urnie wyborczej władza została zdobyta przez komunistów i nie w wyniku werdyktu wyborczego ją oddadza.*

Nie bardzo jestem w stanie również zrozumieć, jaki to natychmiastowy wpływ mogą mieć wolne wybory na rozwiązanie polskich problemów społecznych i gospodarczych, czyli na zasadniczą restrukturalizację przerosniętego państwem społeczeństwa. Zapewne zgodzi się Sadowski, iż podstawowym podziałem w społeczeństwie socjalistycznym jest źródnicowanie na posiadających władzę i nie posiadających je. Zaznaczyć przy tym trzeba, że wiada ta jest "skupiona", i to przynajmniej w dwojakim sensie: a/ "poziomym" - tzn. dotyczy niemal wszystkich sfer życia społecznego; b/ "pionowym" - skoncentrowana jest w rękę stosunkowo niewielkiej grupy, która podejmuje decyzje dotyczące ogromnej większości społeczeństwa /12/. W tej sytuacji jedynym widocznym rezultatem wyborów byłoby zastąpienie aktualnie panującej oligarchii komunistycznej, elitami które wyszły zwycięsko z walki wyborczej. Wydaje mi się, że w chwili obecnej rzecz nie w demokrację zacy systemu, a więc walce z komunistami, a nie komunizmem jako pewnym ustrojem społecznym, ale w liberalizacji regime'u /a więc w destrukcji utopii, a nie samej władzy komunistycznej. Nb. w pewnych okolicznościach naszym sojusznikiem mogą być nawet komuniści, którzy od śmierci Stalina, powiększając zakres swojej autonomii względem Przodującego Ustroju, dokonują odgórnej, chociaż bardzo powolnej, liberalizacji systemu//13/.

Niezrozumiała jest również dla mnie niechęć Sadowskiego do partii politycznych. Pisze on wręcz, że głównym problemem jest u nas społeczna kontrola władzy, do której system wielopartyjny wcale nie jest potrzebny. Na dalszą metę system partyjny też nie wydaje się konieczny /.../ Alternatywą tego systemu w Polsce nie jest bowiem zupełnie amorficzne organizacyjnie, a upolitycznione społeczeństwo /.../ Taka zasadnicza, zawodowa organizacja społeczeństwa jest już w Polsce faktem i wszystko wskazuje, że mimo obecnego osłabienia utrzyma się i odrodzi. Organizacja taka daje wystarczającą podstawę dla systemu parlamentarnego /s.13/. Jednak nawet pobieżny rzut oka na życie polityczne państw, które przyjęły formę rządów parlamentarnych, a o takiej przecież mówi Sadowski, wskazuje, że czynnikiem dynamizującym przepisy konstytucyjne jest działalność partii politycznych. Bez istnienia i efektywnego funkcjonowania partii system rządów parlamentarnych stanowi jedynie martwą konstrukcję prawniczą /14/. H.Kelsen, odpowiadając oponentom negującym potrzebę istnienia stronnictw politycznych w systemie demokracji parlamentarnej, uznał, że stanowisko takie może być jedynie złudzeniem i obłudą. Demokracja współczesna jest nieodwołalnie i nieuchronnie państwem partyjnym /15/. W tym bowiem modelu ustrojowym partie polityczne obejmują zasięgiem swego działania wszystkie niemal ogniwa aparatu państwowego.

Uważam, że w niechęci Sadowskiego do partii politycznych - poza być może prostą niewiedzą, w jaki sposób funkcjonuje współczesny system parlamentarny - kryje się coś więcej. Otóż wydaje się mi, że jeśli wyeliminuje się partie polityczne, to uniknie się tym samym sytuacji konfliktowych w życiu społecznym. Sama logika istoty partii politycznej narzuca jej konkurencję z innymi partiami. Stąd bierze się wynaturzone i dosyć powszechne rozumienie pluralizmu jako walki "wszystkich przeciw wszystkim". Między grupami zawodowymi też występują różnice interesów, jednakże o wiele mniej istotne. Natomiast inna logika układu i zakładane wyrobienie społeczne nakazują im współpracę i solidaryzm społeczny /.../ Wybory nie mogą tu polegać na zdobywaniu jak największej liczby mandatów, lecz na ich obsadzeniu najbardziej odpowiednimi ludźmi /s.14/.

W myśleniu Sadowskiego daje się wyraźnie wyczuć obecność ideału bezkonfliktowego społeczeństwa. W jednym ze swych artykułów J. Staniszkis pisze, że reakcją na realny socjalizm może być wyłącznie nowa utopia /16/. Wyjaśniając, mówi: "Nadrzeczywistość" trwa bowiem nie tylko dlatego, że - jak słusznie twierdzi Besançon - jest impregnowana na empirię. Moja konkluzja jest bardziej pesymistyczna: "nadrzeczywistość" jest mianowicie stale powielana w nowo powstających "innobytach" nie tyle podobnych treściowo, ile posiadających podobny status ontologiczny i implikujących podobne struktury rozumowania. Co charakterystyczne, owe "innobyty" są produkowane nawet /a raczej szczególnie/ w sytuacji buntu /17/. W takim razie propozycja parlamentaryzmu bez partii politycznych jest jedynie objawem postępującej sowietyzacji naszego społeczeństwa /18/. Fakt, że owa propozycja pojawia się w toku walki z komunizmem, może usypiać tylko czujność społeczną i pogłębiać wiarę w łatwość transformacji systemu.

Recenzowana praca jest z pewnością, żeby użyć znanego skądinąd sformułowania, krokiem we właściwym kierunku; nie jest to jednak, niestety, krok w pełni udany. Autora tłumaczy fakt, że jego praca jest rzeczywiście pierwszym w miarę liczącym się przyczynkiem do problematyki ustroju politycznego PRL. Niezrozumiały jest natomiast dla mnie prawie zupełny brak znajomości przez Sadowskiego obcej i polskiej poważniejszej literatury konstytucyjnej i socjologicznej, w szczególności z zakresu socjologii stosunków politycznych. Prezentowana książka winna być zachętą dla nas do naprawde uważnego potraktowania zagadnień współczesnego ustrojoznawstwa, jeśli oczywiście chcemy uniknąć, wychodząc z jednych ciemności totalitarnych, znalezienia się w progu innych.

Lipiec '86

TADEUSZ ZAKRZEWSKI

PRZYPISY

- /1/ Obok znanych opracowań *Polacy - Jesień '80* i *Polacy '81* oraz przygotowywanego *Polacy '84* można wymienić dwie prace poświęcone samej "Solidarności": J. Staniszkis, *Poland's Self-Limiting Revolution*, New Jersey 1984 i A. Touraine i inni, *Solidarity. The Analysis of a Social Movement: Poland 1980-1981*, tł. z francuskiego, Cambridge 1984. Ostatnio natomiast ukazała się praca zbiorowa pod red. E. Misztala, *Poland after Solidarity. Social Movements versus the State*, New Brunswick and Oxford, 1985.
- /2/ Por. np. M. Prélot, *Institutions politiques et droit constitutionnel*, Paris 1963, s. 76-78, 588-590.
- /3/ Miana "zakonu" dla określenia monopartii używa M. Duverger, *Les partis politiques*, Paris 1964, s. 151-158.
- /4/ Na utratę charakteru partii politycznych przez ZSL i SD i przemianę ich - w najlepszym razie - w grupy nacisku nieśmiało wskazuje J. Hochfeld, *Sejm. Próba ustępnej analizy*, w: *Markazizm, socjologia, socjalizm. Wybór pism*, Warszawa 1982, s. 279.
- /5/ Skądinąd słusznie twierdzi J. Karpiński, że bardzo często nawet język aktów prawnych w realnym socjalizmie jest językiem nowomowy. W szkicu *Język polityki* pisze: *W roku 1976 wprowadzono poprawki do konstytucji PRL. Znalazły się tam m.in. dwie metafory, których przedtem w konstytucji nie było. Użyto zwrotu "przewodnia siła" i "umacnianie przyjaźni i współpracy". Te niejasne wyrażenia mają odnosić do dwu bardzo ważnych spraw: do tego jaką rolę pełni w Polsce jedna z partii politycznych /PZPR/ oraz do polskiej polityki zagranicznej.*

Podobnie jak w przypadku innych sformułowań nowo-mowy - możemy dość długo pytać, co to właściwie znaczy z prawnego czy z jakiegokolwiek innego punktu widzenia, że jakaś organizacja jest, jak głosi konstytucja PRL, "przewodnią siłą polityczną społeczeństwa" i czym "przewodnia siła" różni się od "kierowniczej roli w państwie" /to ostatnie sformułowanie zostało użyte w gdańskim protokole porozumienia między Komisją Rządową a MKS/. Warto zastanowić się, czy przykład ten nie pokazuje, że dość głęboko sięga destrukcyjne oddziaływanie partyjnego języka oficjalnego. /J.Karpiński, Język polityki, w: Mowa do ludu. Szkice o języku polityki, Londyn 1984, s.70/.

- /6/ Por. np. W.Zabielski, *Dialektyka woli klasowo-narodowej w państwie socjalistycznym*, Wrocław 1982, s.28; M.Kudej, *Pojęcie woli państwowej w ustroju socjalistycznym*, Katowice 1981, s.49.
- /7/ Zabielski, jw., s.110. Trud teoretycznego wyjaśnienia zależności między ludem a strukturami jego społecznego i politycznego zorganizowania zawiera broszura Lenina *Dziesięć choroba Lewinowości w komunizmie*. Z wywodów autora wynika, że problem stosunków zachodzących między ludem /przodującą klasą tego ludu/, partią i aparatem partyjnym - w języku Lenina chodzi o zagadnienie: dyktatura mas, partii czy wodzów - w ogóle nie istnieje; nie ma więc potrzeby brania pod uwagę znaczenia, jakie w systemie politycznym - czyli w dystrybucji władzy i przywilejów pomiędzy grupami społecznymi - odgrywa partia komunistyczna, w szczególności jej aparat. *Samo już ujęcie zagadnienia: "dyktatura partii o s y dyktatura klasy?", "dyktatura /partia/ prz wodców o s y dyktatura /partia/ mas?" świadczy wręcz o niewiarygodnym i beznadziejnym zamęcie myślowym /.../ że klasami kierują zaszywają i w większości przypadków, przynajmniej we współczesnych krajach cywilizowanych, partie polityczne; że partiami politycznymi s reguły kierują mniej lub bardziej stałe grupy ludzi zwane przywódcami, cieszącymi się największym autorytetem, najbardziej wpływowych i doświadczonych, wybieranych na najodpowiedniejsze stanowiska. Wszystko to jest abecadłem. Wszystko to jest rzeczą prostą i jasną. Po co zamiast tego było stwarzać jakiś szwargot?, jakiś volapük? /Lenin, Dzieła, t.XXXI, s.25-26/.*
- /8/ W polskiej nauce prawa konstytucyjnego panuje na ten temat dość powszechna zgoda. Por. W.Zamkowski, *Jedność i podział władzy w Polsce Ludowej*, Warszawa-Wrocław 1961, s.46; F.Siemieński, *Konstytucyjne podstawy organizacji i funkcjonowania aparatu władzy państwowej*, w: *Studia z zakresu konstytucjonalizmu socjalistycznego*, Ossolineum 1969, s.258; W.Zakrzewski, *Sejm PRL a zasada ludowładztwa*, "Państwo i Prawo" 1969, nr 4/5, s.687-688; tenże, *Sejm PRL jako najwyższy organ przedstawicielski władzy państwowej*, w: *Sejm PRL*, Ossolineum 1975, s.74; W.Sokolewicz, *Konstytucja PRL po zmianach z 1976 r.*, Warszawa 1977, s.65.
- /9/ Podobne stanowisko co Sadowski zdaje się zajmować J.Karpiński, *Countdown. The Polish Upheavals of 1956, 1968, 1970, 1976, 1980*, New York 1982, s.184-188. Na temat projektu konstytucjonalizacji roli partii komunistycznej w pracach komisji przygotowującej konstytucję PRL M.Rybicki /*Jak rodziła się konstytucja PRL z 1952 r.?* "Polityka" 1983, nr 30, s.12/ pisze: *Jednym z problemów merytorycznych i to najwyższej wagi, które stanowiły przedmiot dyskusji w początkowej fazie prac komisji Sekretariatu KC, była sprawa określenia w konstytucji kierowniczej roli PZPR. W okresie do października 1950 r. dominował w łonie komisji p.gład, że jest to materia konstytucyjna, którą należy uregulować w rozdziale o podstawowych prawach i obowią-*

zkach obywatelskich w ramach przepisu mówiącego o prawie obywateli do zrzeszania się. Jednak po sprzeciwie J. Bermana sprawa upadła.

- /10/ O występującym tu zniewoleniu bardzo trafnie pisze L. Nowak, *Alienacja i zniewolenie*, w: *Nieświadomość nie tłumaczy filozofa*, b.m.w. 1983, s. 46-47.
- /11/ J. Staniszkis, *Ewolucja form robotniczego protestu w Polsce*, "Głos", 1980 nr 10 /33/, szczególnie s. 41; tenże, *Poland's Self-Limiting...*, s. 38-57, szczególnie s. 46.
- /12/ K. Górlach, *Markeistowski model społeczeństwa socjalistycznego*, "Studia Socjologiczne" 1980, nr 4, s. 42.
- /13/ Również na zachodzie Europy proces budowy nowoczesnych społeczeństw demokratycznych przebiegał nie przez gwałtowną demokratyzację *ancien regime'u* /tego typu próby podejmowane we Francji jako jedyny rezultat przynosiły dyktaturę jakobińską i napoleoński cesaryzm w czasie Wielkiej Rewolucji oraz bonapartyzm po rewolucji 1848 r./, ale poprzez liberalizację starego ustroju /klasycznym przykładem jest tu droga jaką przeszła Anglia od monarchii ograniczonej poprzez parlamentaryzm równowagi do demokracji parlamentarnej i jej współczesnego wcielenia - demokracji plebiscytarnej/. /Por. Prélot, jw., s. 97-107; A. Hauriou, *Droit constitutionnel et institutions politiques*, Paris 1966, s. 154-218, 311-356/.
- /14/ W przybliżeniu podobna sytuacja zaistniała pod rządami konstytucji kwietniowej z 1935 r. Por. L. Mażewski, *Władza na własność*, w *50-tą rocznicę wejścia w życie konstytucji kwietniowej*, "Znak" 1985, nr 9/10.
- /15/ H. Kelsen, *O istocie i wartości demokracji*, Warszawa b.d.w., s. 28. Współcześnie Duverger, jw., s. 467 pisze, że *Demokracja nie jest zagrożoną przez partie polityczne, ale przez kierunek, w jakim idzie ewolucja ich wewnętrznej struktury: niebezpieczeństwo nie tkwi w istnieniu samych partii, lecz w ich militarnej, religijnej bądź totalitarnej naturze, którą partie niekiedy przybierają*.
- /16/ J. Staniszkis, *Forma myślenia jako ideologia*, "Przegląd Polityczny" 1985, nr 6, s. 32.
- /17/ Tamże, s. 33.
- /18/ Do podobnych wniosków w skali ogólniejszej dochodzi również Staniszkis, tamże, s. 38-39. Warto zwrócić też uwagę na rozwiązania społeczne zawarte w nie-Marksistowskim materializmie historycznym jako następny przykład gnostycznego "innobytu" /por. lem., *Teoria nowego totalitaryzmu, czyli Leszka Nowaka dialektyka wolności i władzy*, "Przegląd Polityczny" 1985, nr 6/.

Tadeusz Zakrzewski

"POLAND AFTER SOLIDARITY" -
IDEA SPOŁECZEŃSTWA OBYWATELSKIEGO

*Być może historia XX w.,
który zaczął się dla świata
w roku 1917, skończyła się,
lub się kończy w 1981 r.,
w Gdańsku, na Wybrzeżu.*

Jan Kott na Kongresie
Kultury Polskiej

W ostatniej dekadzie, tj. w przybliżeniu w czasie rozpoczętym protestami społecznymi przeciwko zmianie w połowie lat siedemdziesiątych konstytucji PRL, wyrasta nowy - trwający do dnia dzisiejszego - okres w życiu polskiego społeczeństwa i PRL w ogóle. Jedną z charakterystycznych cech tego czasu jest niespodziewane pojawienie się "Solidarności", a następnie jej błyskawiczny rozwój i równie szybki upadek - przynajmniej jako ruchu masowego. Innym istotnym znamieniem tych lat jest stopniowe ujawnianie się nowego, quasi-autorytarnego *image'u* PRL. Za tymi - mimo wszystko - powierzchownymi fenomenami kryją się głębsze procesy społeczne. Dotyczą one przede wszystkim przemian zachodzących wewnątrz naszego społeczeństwa. Równie istotne są także i te zjawiska, które znajdują swoje odbicie w sferze stosunków między społeczeństwem a komunistycznym państwem.

Autorzy *Poland after Solidarity*, nowej książki o Polsce po-solidarnościowej /1/, próbują na drodze pogłębionej refleksji socjologicznej ukazać to nowe polskie społeczeństwo, jego wewnętrzną dynamikę i poszukiwanie przez nie *modus vivendi* z wrogiem państwem. "Solidarność" przedstawiają jako przykład funkcjonowania masowego ruchu społecznego, a jego taktykę walki jako próbę mającą na celu przyspieszenie ewolucji systemu z totalitarnej do autorytarnej wersji realnego socjalizmu oraz rozpatrują szansę powodzenia takiego ruchu zarówno w systemach demokratycznych, jak i w socjalistycznych. W związku z tym, że problem "Solidarności" jako masowego ruchu społecznego wyczerpująco potraktował w swej monografii Alain Touraine wraz z polsko-francuskim zespołem /2/, kwestię tę pozostawiam na uboczu niniejszego tekstu. Większe zainteresowanie budzi drugi problem dyskutowany w *Poland after Solidarity*: społeczeństwo obywatelskie, a w szczególności - kwestia jego odbudowy w Polsce.

W Polsce zniszczenie społeczeństwa obywatelskiego - poza prywatnym rolnictwem i niezależnym Kościołem - nastąpiło w latach 1944-48. Podjęta w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych próba likwidacji tych dwóch pozostałych szczerkowych elementów niezależnego społeczeństwa nie powiodła się. Okres ten obfitował jednak w wydarzenia bardzo dramatyczne dla Kościoła. Władze komunistyczne wszczęły na szeroką skalę prześladowania, których najważniejszym symbolem było uwięzienie Prymasa Polski kard. Wyszyńskiego; olbrzymia presja wywierana na Kościół przyniosła pewne wyniki, gdyż część Episkopatu zaczęła jej ulegać. W latach 1953-54 hierarchia bliska była podporządkowaniu się dyktatowi państwa. Nie doszło do tego dzięki postawie większości duchowieństwa i niezłomności pozbawionego wolności Prymasa. Kościół odniósł niewątpliwie zwycięstwo w 1956 r., zmuszając władzę w tzw. małym porozumieniu z 2 grudnia 1956 r. do istotnych ustępstw.

Po Październiku - mimo kolejnych prób ograniczania praw Kościoła - władza nie powróciła już do polityki drastycznych prześladowań. Kościół z próby lat 1949-1956 wyszedł silniejszy niż kiedykolwiek. Stał się jedyną niezależną instytucją w Polsce /3/. "Nawet niewierzącym - jak słusznie pisze jeden z autorów *Poland after Solidarity* - Kościół oferował jedyną możliwość otwartego wyrażania swojej dezaprobaty dla rządu - poprzez uczestniczenie w niedzielnej mszy". I trafnie dodaje, że "wielu Polaków traktuje religię raczej w kategoriach polityki, niż jako zjawisko czysto duchowe" /s.72/.

Kościół, będąc od 1956 r. jedyną w pełni niezależną instytucją w PRL, w swoich stosunkach z państwem przez cały czas wspiera sprawę odbudowy niezależnego od państwa społeczeństwa. Działalność Kościoła w tej dziedzinie cytowany wyżej Szajkowski sprowadza do kilku podstawowych rodzajów aktywności. Przede wszystkim podkreśla on rolę Kościoła w obronie praw człowieka i obywatela. Po wtóre, uwytkła znaczenie kościelnego żądania złamania monopolu państwa w zakresie kształcenia i wychowania młodzieży. Po trzecie, ukazuje nalegania Kościoła, aby ograniczyć dominację jednej grupy - partii komunistycznej - nad resztą polskiego społeczeństwa. Po czwarte, silnie zaznacza żądanie biskupów przerwania rozpętanych po 1970 i 1976 roku represji. Po piąte, Szajkowski podkreśla medycyjną rolę Kościoła, wyraźnie widoczną w całym okresie legalnego działania "Solidarności" /np. w konflikcie bielsko-białskim i bydgoskim/ oraz w czasie stanu wojennego. I wreszcie ostatni element, tj. kreacja instytucji bezpośrednio wspierających odbudowę niezależnego społeczeństwa. Chodzi tu m.in. o powstanie Społecznej Rady przy Prymasie Polski oraz o nieskuteczne, niestety, prace nad powołaniem fundacji rolnej.

Głębokie zaangażowanie Kościoła na rzecz odbudowy niezależnego społeczeństwa w Polsce nie musi wcale zaowocować ukonstytuowaniem się społeczeństwa obywatelskiego w jego tradycyjnym kształcie. Istnieje bowiem w łonie polskiego Kościoła tendencja do zastąpienia społeczeństwa obywatelskiego katolicyzmem spełniającym funkcję religii obywatelskiej /*civil religion*/ /4/. Według Piwowarskiego:

"religia może być akceptowana nie jako wartość osobista i przeżywana, tylko jako dobro wspólne narodu, jako podstawa identyfikacji oraz podstawa do pewnych innych dążeń, np. do niezależności narodowej, do ob-

rony praw narodu /.../ tak rozumiana religia może jednoczyć ludzi o bardzo zróżnicowanych postawach: mniej wierzących, bardziej wierzących, a może nawet i niewierzących." "Rezultatem tego typu socjalizacji - dodaje w innej pracy Piwowarski - było wytworzenie się 'motywacji mieszanej', prowadzącej do ambiwalencji przynależności - religijnej i cywilnej". /5/

Mimo dość dwuznacznego stosunku Kościoła do problemu odbudowy społeczeństwa obywatelskiego - co nie oznacza wcale braku jego wysiłków mających na celu ukonstytuowanie się niezależnego od państwa społeczeństwa - nie ulega wątpliwości znaczenie samego istnienia Kościoła dla powstania w połowie lat siedemdziesiątych w Polsce pozasystemowej opozycji. Zdaniem Szajkowskiego Kościół funkcjonował wówczas w roli "parasola organizacyjnego nad elementami społeczeństwa cywilnego w Polsce". Crighton mówi wręcz, że Kościół i organizacje katolickiego laikatu stanowiły "społeczną infrastrukturę" - warto zauważyć, że nieobecna w innych państwach socjalistycznych - umożliwiającą powstanie "Solidarności". Natomiast Miształ podkreśla zasadnicze znaczenie pierwszej pielgrzymki papieskiej w 1979 r. dla okrzepnięcia opozycji i narodzin w rok później Związku.

Dużo - i trafnie - pisze się o samoorganizacji społeczeństwa w latach 1976-1980, o powstawaniu niezależnych instytucji ważnych dla życia publicznego, o pojawieniu się nieocenzurowanej informacji, o licznych tytułach książek i prasy, o niezależnej oświacie. Mało natomiast uwagi zwraca się na znaczenie tych przemian w strukturze władzy PRL, które umożliwiły rozpoczęcie procesów samoorganizacji społecznej. Mam tu na myśli przede wszystkim dalekosiężny skutek wydarzeń marcowych, a więc kres wewnątrzsystemowej opozycji PZPR-owskich rewizjonistów. Powstała w ten sposób grupa byłych rewizjonistów partyjnych, którzy nie zostali ani ostatecznie wyeliminowani z życia publicznego przez partię komunistyczną, ani też nie mogli być przez nią dokooptowani do istniejącej struktury władzy. Słowem, jeżeli istnieje w danym systemie grupa społeczna, która kontroluje realizację ważnych funkcji społecznych /np. w zakresie działalności ideowej//6/ i jeżeli grupa ta nie może być dokooptowana bez drastycznej zmiany w układzie władzy i społecznego podziału dóbr i wartości, wtedy staje się ona potencjalnym przywódcą rewindykacyjnych dążeń społeczeństwa. To samo można wyrazić w języku teorii elit.

Porozumienie Gdańskie doprowadza do ukonstytuowania się niezależnego społeczeństwa - wahałbym się tu użyć terminu "społeczeństwo obywatelskie" - w Polsce. W świetnym artykule zawartym w *Poland after Solidarity* Jacek Bielasiak przedstawia trzy koncepcje ułożenia stosunków między "Solidarnością" reorezentującą upodmiotowione społeczeństwo a aparatem partyjno-państwowym.

Pierwszy model - zbliżony z teoretyczną zawartością koncepcji "samoograniczającej się rewolucji" - można określić mianem separacji społeczeństwa i państwa. Model ten oparty jest na podwójnym samoograniczeniu. Z jednej bowiem strony Związek uznaje "kierowniczą rolę w państwie" partii komunistycznej, z drugiej zaś PZPR samoogranicza zakres swojej aktywności przede wszystkim do państwa, gdzie zachowuje domi-

nującą pozycję. Postulat rozdziału państwa i społeczeństwa znaleźć można już w publikacjach przywódców KOR-u z drugiej połowy lat siedemdziesiątych. Twórcy tego postulatu poprzez ewolucyjne "reformy od dołu" chcieli uniknąć losu węgierskiej "rewolucji od dołu" i czeskiej "reformy od góry". Ten nowy ewolucjonizm - oparty właśnie na separacji państwa i społeczeństwa - miał doprowadzić do "rekonstrukcji społeczeństwa obywatelskiego w systemie państwowego socjalizmu". W końcowym efekcie oznaczałoby to depolityzację społeczeństwa i ograniczenie komunistycznego państwa do sfery tradycyjnie rozumianej polityki. Słabością tego modelu ułożenia stosunków między partią-państwem a społeczeństwem był brak konkretnych rozwiązań instytucjonalnych, w które można by wpisać ten kompromis.

Jeśli założeniem pierwszego modelu, w którym "Solidarność" ograniczona jest do tradycyjnych funkcji związkowych, jest depolityzacja społeczeństwa, to model drugi przewidywał obecność sfery politycznej zarówno w państwie, jak i w społeczeństwie. Oznacza to dualizm władzy politycznej, a tym samym uczestnictwo "Solidarności" w wykonywaniu władzy w wymiarze społeczeństwa globalnego. Aby tego typu model mógł powstać, konieczne było wprowadzenie do aktualnie istniejącego systemu ustrojowego PRL nowych instytucji. Zadaniem ich byłoby uczynienie z nieuniknionych konfliktów i sporów między państwem a społeczeństwem stanu normalnego, umożliwiającego osiągnięcie wspólnego stanowiska oraz - w określonych sytuacjach - arbitrażu. Wiemy, że takiego systemu instytucji i procedur nie zbudowano. Warto jednak zauważyć, że jest go bardzo trudno nie tylko praktycznie zrealizować, ale nawet teoretycznie wyobrazić.

W trzecim modelu stosunków między państwem a społeczeństwem dalsza polityzacja społeczeństwa doprowadza do sytuacji depolityzacji państwa; sfera polityki w całości przechodzi w ręce podmiotów reprezentujących społeczeństwo. Zdaniem Bielasia "rola społeczeństwa obywatelskiego wcale nie musiała oznaczać transformacji 'Solidarności' w partię polityczną. Raczej uformowanie się wielozadaniowego ruchu społecznego /.../ pełniącego wiodącą rolę w samorządnym społeczeństwie". W tym modelu społeczeństwo - i "Solidarność" przede wszystkim - nie tylko determinuje politykę państwa, ale również ogranicza jego zasięg, przekazując część właściwych mu funkcji organizacjom społecznym.

Teoretycznie wszystkie trzy modele - depolityzacji społeczeństwa, podziału władzy politycznej i depolityzacji państwa - zapewniały rekonstrukcję niezależnego społeczeństwa. Nie ulega jednak wątpliwości, że - ze względów geopolitycznych oraz mając na uwadze cele "samoograniczającej się rewolucji" - najbardziej odpowiedni był model pierwszy. Wiemy, iż praktycznie nie udało się go osiągnąć. Przyczyn tego faktu należy szukać przede wszystkim w oporze aparatu partyjno-państwowego, który uniemożliwił osiągnięcie stanu trwałej równowagi między państwem a społeczeństwem. Opór władzy wymuszał również przemianę Związku od formuły czysto syndykalnej, poprzez fazę gwałtownej polityzacji, aż do uformowania się Związku jako wielofunkcyjnego ruchu społecznego.

Niewątpliwie wysiłki "Solidarności", poszukującej *modus vivendi* z komunistycznym państwem należy określić - poza trzecim modelem - jako próbę ustanowienia struktury właściwej dla formuły kompromisu dylatoryjnego. Termin ten oznacza

Autorzy *Poland after Solidarity* zastanawiają się, czy w Polsce uda się osiągnąć coś więcej niż rozwiązywanie typu węgierskiego. W skrócie można powiedzieć, że kadaryzacja polega na rezygnacji przez społeczeństwo z ambicji politycznych, a więc na prawie kompletnej depolityzacji społeczeństwa, za cenę kompromisu ekonomicznego między częścią - bardziej światłą - aparatu partyjno-państwowego a inteligencją techniczną i robotnikami. Inteligencja techniczna w tym kompromisie uzyskuje wpływ na zarządzanie gospodarką, robotnicy natomiast korzystają z możliwości dodatkowych zarobków w II sektorze gospodarki /Manchin, Szelenyi/ /8/. Rozwiązanie polskie miałooby uwzględnić nie tylko rynkową reformę gospodarki, ale również pewien pakiet żądań politycznych /Markus, Manchin, Szelenyi/. W konsekwencji jakiś stopień niezależności społeczeństwa wobec państwa odnosiłby się zarówno do sfery politycznej jak i ekonomicznej. Póki co jednak niewiele wskazuje na tego typu ewolucję w stosunkach między państwem a społeczeństwem w PRL.

Do rozważenia zostaje ostatni problem: czy istnieje jeden czy więcej rodzajów społeczeństwa obywatelskiego. Nie ulega bowiem wątpliwości, że odradzające się w Polsce niezależne od państwa społeczeństwo jest innego rodzaju niż klasyczne zachodnie społeczeństwa obywatelskie. Pomijam w tym miejscu próbę określenia działań "Solidarności" jako realizację mitycznej "trzeciej drogi" między zachodnim modelem życia społecznego a modelem sowieckim /Warren/. Markus kwalifikuje rekonstrukcję niezależnego społeczeństwa w Polsce mianem "nowego społeczeństwa obywatelskiego". Z dalszych jej wywodów wynika, że "społeczeństwo obywatelskie w Polsce odtwarzało się nie tylko wokół interesów ekonomicznych, ale również wokół wartości moralnych i kulturowych". Na koniec stwierdza, że jeśli nawet "Solidarności" nie udało się stworzyć "nowego nieburzącego modelu społeczeństwa obywatelskiego", to z pewnością wysiłki takie były podejmowane. Ich niepowodzenie wcale nie dowodzi, że realizacja nowego modelu społeczeństwa obywatelskiego jest po prostu niemożliwa.

Z pewnością autorzy temu mają rację dostrzegając różnicę między zachodnim społeczeństwem obywatelskim a polskim społeczeństwem niezależnym. Co do tego zgoda. Nie mogę natomiast zgodzić się na kwalifikację kształtu naszego społeczeństwa z okresu "Solidarności" jako "nowego społeczeństwa obywatelskiego". Różnicę między polskim niezależnym społeczeństwem a społeczeństwem obywatelskim dobrze uchwycili Manchin i Szelenyi. Piszą oni, że "polska strategia kreowania społeczeństwa obywatelskiego nie jest zwyczajna, gdyż walka toczyła się na płaszczyźnie politycznej, zanim osiągnięto autonomię gospodarki". Jeszcze precyzyjniej można powiedzieć, że w funkcjonowaniu polskiego społeczeństwa niezależnego brak było - poza prywatnym rolnictwem - zasadniczego elementu społeczeństwa obywatelskiego typu zachodniego, tj. własności prywatnej.

Istnienie względnie brak własności prywatnej ma doniosłe znaczenie dla kształtu każdego społeczeństwa. Jedną z cech systemu socjalistycznego jest likwidacja własności prywatnej i ustanowienie w jej miejsce własności niekompletnej i niewyłącznej /9/. W rezultacie państwo, dopełniając niekompletną własność, czyli zastępując nieobecne mechanizmy i interesy działaniami administracyjnymi, staje się niewyalgicznym elementem stosunków produkcji, a jego instrumenty /włącznie

takie rozwiązanie ustrojowe, które nie rozstrzyga zagadnienia władzy w sposób ostateczny, lecz oddaje jego każdorazowe rozstrzygnięcie dynamice sił ustrojowych i gwarantuje jednocześnie każdej z istniejących sił - w przypadku Polski końca 1981 r. była to "Solidarność", samorzady w zakładach pracy i aparat partyjno-państwowy - jej własne stanowisko w aparacie rozstrzygającym. Manchin i Szelenyi słusznie wskazują, że w polskim modelu kompromisu dylatoryjnego mielibyśmy do czynienia z podwójnym dualizmem: władzy politycznej i władzy ekonomicznej. Władza polityczna - przynajmniej w drugim modelu - byłaby podzielona między "Solidarność" a aparat partyjno-państwowy, zaś władza ekonomiczna między samorzady w zakładach pracy a państwo jako właściciela środków produkcji.

U podstaw koncepcji rekonstrukcji struktury kompromisu dylatoryjnego, któremu za formalny schemat miała służyć idea drugiej izby Sejmu jako zwieńczenia systemu różnorodnych ciał samorządowych, legło przekonanie - nawiązujące bez wątpienia do kształtującego się od początku czasów nowożytnych rozdziału państwa i społeczeństwa obywatelskiego - iż dualizm państwowy stanowi istotną podstawę dla zabezpieczenia wolności indywidualnej; rozdział ten tworzy bowiem formę życia społecznego opartą na rozwoju jednostki. W ramach niezależnego społeczeństwa - względnie w społeczeństwie obywatelskim - człowiek uzyskuje indywidualną wolność, nie jest sterowany z zewnątrz impulsami pochodzącymi ze sfery politycznej /państwa/, lecz sam w sobie znajduje bodźce do działania, poruszając się swobodnie w granicach zakreślonych przez prawo.

Poszukiwanie równowagi między państwem a społeczeństwem - opartej na niezależności tego ostatniego - zostało przerwane wprowadzeniem stanu wojennego. W wyniku działania militarnej "samoograniczającej się kontrrewolucji" doszło wprawdzie do zgnięcia "Solidarności" jako ruchu masowego, ale nie nastąpiło kompletne ubezwłasnowolnienie polskiego społeczeństwa. Przyszłość stosunków między państwem a społeczeństwem jest w chwili obecnej nieznana. Wydaje się jednak słusznym pogląd publicyści krajowego pisma "21", że:

"sytuację społeczno-polityczną w Polsce połowy lat 80-tych /.../ opisać można wskazując na dwie jej podstawowe cechy: 1/ odrzucenie systemu społeczno-politycznego mającego miejsce w sferze symbolicznej /w sferze poglądów i ocen/ oraz 2/ akceptowania go /aktywne bądź bierne/ w sferze działań. /.../Możliwe są dwa wyjaśnienia tej,oczywistej wydawałoby się, sprzeczności psychologicznej. Po pierwsze, stabilność istniejącego obecnie ładu społecznego może być gwarantowana przez fakt stosowania przemocy. Odpowiedź ta jednak wydaje się niezbyt adekwatnym opisem otaczającej nas rzeczywistości. Zatem, po drugie, wyjaśnienia czynników umożliwiających trwanie ładu społecznego, inaczej mówiąc musimy odpowiedzieć sobie na pytanie: jakie wartości tworzą obecny sens zbiorowy.

Trwający obecnie consensus między władzą i społeczeństwem zawarty został, jak się wydaje, w imię 'spokoju społecznego' i 'bezpieczeństwa socjalnego' - dwu wartości tworzących aktualny sens zbiorowy. Te dwie jakości życia społecznego zdobyły swe szczególne znaczenie w okresie bezpośrednio poprzedzającym wprowadzenie stanu wojennego i znaczenie to jak dotychczas utrzymują"/7/.

z przemocą/ istotnymi czynnikami produkcji /10/. Trafnie pisze Jadwiga Staniszkis, że:

"w systemie socjalistycznym państwo znajduje się równocześnie w 'bazie' /jako jeden z czynników produkcji i logiczne dopełnienie niekompletnej własności/ i w 'nadbudowie' /regulując i gwarantując środkami politycznymi reprodukcję takiego właśnie typu własności/. Powyższe sprzężenie stanowi podstawę mechanizmu przyczynowości strukturalnej opartego na stałym przywoływaniu państwa jako elementu stosunków produkcji, przy równoczesnym politycznym eliminowaniu możliwości zmiany typu własności odpowiedzialnego za to przywołanie. Interesy, zarówno po stronie władzy jak i społeczeństwa, związane z trwaniem skonwencjonalizowanej gospodarki /a więc niekompletnej własności/ reprodukują równocześnie - najczęściej w sposób nieświadomy - sferę polityki, w tym państwo jako element stosunków produkcji, i odwrotnie - interesy aparatu władzy, związane z maksymalizacją sfer wyłącznej kontroli, reprodukują równocześnie sferę gospodarki w jej obecnym kształcie"/11/.

W tej sytuacji oczywiście wydaje się, dlaczego nie można zakwalifikować polskiego niezależnego społeczeństwa z lat 1980-81 jako społeczeństwa obywatelskiego. Dopiero po dokonaniu deetatyzacji gospodarki, a więc reformy gospodarczej typu rynkowego a nie samorządowego, będziemy mogli rozpocząć marsz ku społeczeństwu obywatelskiemu *tout court*. Tylko w ten sposób zdołamy usunąć prymat polityki nad gospodarką i zapobiec powstaniu "martwej struktury", w której uwiecznieni zostają zarówno rządzący jak rządzeni. O tyle zatem uda się nam odbudować społeczeństwo obywatelskie, o ile powiedzie się rozbitcie etatystycznej struktury polskiego społeczeństwa. Słowem chodzi o to, aby - doprowadzając do powstania kompletnej własności - spłaszczyć kształt naszego społeczeństwa, zastąpić jego wertrykalną budowę połączeniami poziomymi.

Piszę te słowa w połowie września 1986 r., po uwolnieniu więźniów politycznych. Nie wiem, jaka czeka nas przyszłość, co dalej będzie z polskim niezależnym społeczeństwem, czy dojdzie do ewolucyjnej odbudowy społeczeństwa obywatelskiego. Przekonany jednak jestem, że "z samego faktu współistnienia i współżycia fizycznego na tej samej ziemi wynika nieuchronnie konieczność kompromisu. Kompromis ten będzie powstawał przypadkowo, 'miętko', tak jak życie będzie do tego zmuszało, ale moim zdaniem powinien to jednak być kompromis 'twardy', świadomy"/12/. O ten "twardy" kompromis restytuujący społeczeństwo obywatelskie trzeba walczyć. Nie tylko z komunistyczną władzą, ale również ze zwolennikami zastąpienia społeczeństwa obywatelskiego katolicyzmem jako religią obywatelską i propagatorami nowego, "nieburzącego", rodzaju społeczeństwa obywatelskiego.

PRZYPISY

- /1/ *Poland after Solidarity. Movements versus the State*, /ed./ B. Misztal, Transaction Books, New Brunswick-Oxford 1985. Tom składa się z dziesięciu artykułów podzielonych na dwie części. W skład pierwszej części */Social Movement versus the State/* wchodzi następujące teksty: Bronisława Misztala, *Apathy-Participation-Apathy: The Vicious Circle of Collectivite Behavior in Contemporary Poland*; Jacka Bielasiaka, *Solidarity and the State: Strategies of Social Reconstruction*; Paula G. Lewisa, *Institutionalisation of the Party-State Regime in Poland*; Marii Markus, *Constitution and Functioning of Civil Society in Poland*; Bogdana Szajkowskiego, *The Catholic Church in Defense of Civil Society in Poland*. Natomiast na część drugą */Beyond Solidarity/* składa się pięć następujących rozdziałów: Roberta Manchina i Ivana Szelenyi'ego, *Eastern Europe in the "Crisis of Transition": The Polish and Hungarian Cases*; Barbary A. Misztal, *The State and the Legitimacy Crisis*; Elisabeth Crighton, *Resource Mobilisation and Solidarity: Comparing Social Movements across Regimes*; Scotta Warrena, *Beyond Solidarity: Democratic-Symbolic Ruminations* i ponownie Misztala, *Social Movements against the State: Theoretical Legacy of the Welfare State*.
- /2/ *Alaine Touraine i zespół, Solidarity. The Analysis of a Social Movement: Poland 1980-1981*, CUP, Cambridge 1984. W wersji skróconej koncepcja ruchu społecznego przedstawiona jest w artykule Touraine'a, *Movements sociaux, révolution et démocratie*, w: *Społeczeństwo i socjologia. Księga poświęcona Profesorowi Janowi Szczepańskiemu*, Wrocław 1985.
- /3/ Wpływ niezależnego Kościoła na ewolucję systemu komunistycznego w ten sposób charakteryzuje Duverger, *Les oranges du lac Balaton*, Seuil, Paris 1980, s. 183: "Polska stanowi szczególny przypadek w świecie komunistycznym. Siła i niezależność Kościoła katolickiego wprowadza tam realny pluralizm na płaszczyźnie ideologii i aparatów. Kościół stanowi grupę nacisku, z którą koniecznie trzeba się liczyć. Między państwem a Kościołem powstają stosunki konfliktowej współpracy: jedno respektuje drugie pod warunkiem bycia respektowanym. Ten dualizm sprawia, że reżim traci swój totalitarny charakter. Nigdzie lepiej nie weryfikuje się prawda, że względna wolność może narodzić się z opozycji między rywalizującymi totalitaryzmami". Na ten sam temat powie Michnik */List z Kurkowej, "Aneks" 1985, nr 38, s. 22/*: "Kościół katolicki dlatego - myślę - jest najważniejszą w Polsce instytucją, że naucza nas wszystkich, iż zginąć kolana wolno nam tylko przed Bogiem".
- /4/ Takiego terminu dla określenia roli katolicyzmu w Polsce używa ks. J.S. Pasierb, *Polski "Kościół ludu"*, "Przegląd Katolicki" 1985, nr 34 i 35.
- /5/ W. Piwowarski, *Blaski i cienie polskiej religijności*, w: *Oblicza katolicyzmu w Polsce*, Warszawa 1984, s. 138. Tenże, *Kościół ludowy wobec potrzeb i problemów duszpasterstwa*, w: *Religijność ludowa, ciągłość i zmiana*, Wrocław 1984, s. 335.
- /6/ Po fundamentalnej pracy Leszka Kołakowskiego - chodzi oczywiście o *Główne nurty marksizmu*, Instytut Literacki, Paryż 1976 - komunizm przestał być w Polsce problemem ideowym, a stał się złe skrywanym systemem gołej przemocy. Nie da się przecenić tego faktu dla procesu samoorganizacji społeczeństwa. Tym bardziej musi zatem dziwić pogląd jednego z liderów polskiej nietotalitarnej lewicy /A. Michnik *Takie czasy... Rzecz o kompromisie*, Aneks, Londyn 1985, s. 81/, który określił

strajki sierpniowe jako wyraz rzeczywistej dyktatury proletariatu. Pozostawiam bez komentarza. O złudzeniach lewicowej opozycji w krajach realnego socjalizmu co do możliwości skonstruowania systemu, który byłby czymś więcej niż zachodnią demokracją liberalną, a jednocześnie nie byłby po prostu totalitarnym porządkiem typu sowieckiego, trafnie pisze P.Kende, *Budapest-Praga-Warszawa, czyli pokusa demokracji*, "Kultura" 1978, nr 1-2.

/7/ M.M., *Sens zbiorowy*, "21", nr 1, s. 110-111.

/8/ Warto przytoczyć interesującą ocenę związków zachodzących między kadaryzacją systemu komunistycznego a możliwością pojawienia się w realnym socjalizmie społeczeństwa obywatelskiego. Otóż Manchin i Szelenyi /s. 94/ piszą: "Społeczeństwo cywilne, które pojawiło się na Węgrzech, jest podobne do klasycznych wzorów społeczeństw kapitalistycznych, gdziekolwiek w świecie one istnieją. /.../ Socjalistyczne z b u r ż u a - z y j n i e n i e , chociaż nie towarzyszą mu tradycyjne wolności polityczne zwykle powiązane z rozwojem społeczeństwa obywatelskiego i instytucji obywatelstwa, głównie dotyczy klasy robotniczej. W podobny sposób, a więc poprzez autonomię gospodarki, która poprzedziła demokrację parlamentarną, rozwijało się społeczeństwo obywatelskie na Zachodzie". Dla niektórych /I.Volgyes, *Hungary: the Lumpenproletarianization of the Working Class w: Blue-Collar Workers in Eastern Europe*, /eds/ J.F.Triska i Ch. Cati, George Allen and Unwin, London 1981/ rekonstrukcja zachodniego modelu życia społecznego - opłacona przeciw tragedią powstania węgierskiego z 1956 r. - oznacza jedynie lumpenproletaryzację robotników.

/9/ Instytucję prawa własności w socjalizmie przedstawiam na podstawie artykułu Jadwigi Staniszkis, *Własność - racjonalność - dynamika - struktura*, "Przegląd Polityczny" 1984, nr 4, s. 21-22.

/10/ Tamże, s. 23.

/11/ Tamże, s. 24.

/12/ M.K., *Nowa racjonalność*, "Przegląd Polityczny" 1985, nr 5, s. 17.

Tadeusz Zakrzewski

"SOLIDARNOŚĆ" A RUCHY WEWNĄTRZPARTYJNE

Wstępna trudność, jaka rodzi się przy recenzowaniu pracy zbiorowej zatytułowanej *Policy and Politics in Contemporary Poland. Reform, Failure, Crisis* /1/ polega na innej perspektywie czasowej autorów artykułów prezentowanej książki i piszącego te słowa. Z treści pracy, jak również ze wstępu pióra redaktora całości tomu Jeana Woodalla, wynika, że powstała ona między wiosną a późnym latem 1981 r.; wówczas nie tylko angielskim uczonym mogło wydawać się, iż losy polskiej samoograniczającej się rewolucji /2/ nie są jeszcze przesądzone. W pięć lat później - po rozbiću "Solidarności" - mamy znacznie więcej wiedzy, a mniej złudzeń na temat naszego przeciwnika i nas samych. Zrozumiałe zatem wydają się, że punkt widzenia recenzenta, bogatszego o doświadczenie ostatniego pięciolecia, nie może być taki sam jak autorów *Policy and Politics*... . Mogę wyrazić tylko nadzieję, że umożliwi mi to *sine ira et studio* nie tylko ustosunkowanie się do zawartości samej książki, ale również pomoże w dokonaniu oceny niektórych historycznych już wydarzeń stanowiących jej przedmiot.

Praca składa się z dziewięciu rozdziałów autorstwa ośmiu osób specjalizujących się od dłuższego czasu w problematyce współczesnej Polski. Artykuły stanowiące zawartość książki podzielone są na dwie części: pierwszą zatytułowaną *Politics* i drugą - *Policy*. Istnieje pewna trudność w przełożeniu tych terminów na język polski, tak aby zachować ich anglojęzyczny sens, bowiem oba oznaczają we współczesnej polszczyźnie politykę. Jednak w pierwszym przypadku chodzi o główne, węzłowe kierunki polityki w jakimś konkretnym społeczeństwie, np. w Polsce; w drugim natomiast o poszczególne działy polityki, np. politykę społeczną, gospodarczą, obronną itp. Taki sposób rozumienia tych terminów przyświecał też chyba osobie redagującej całość książki; w praktyce tego typu podział jest nieosiągalny, o czym uczciwie w słowie wstępnym pisze Woodall /s.XIV/.

Pierwszy rozdział / *Introduction: the Construction of a "Developed Socialist Society" and "Socialist Renewal"* / pióra samego Woodalla poświęcony jest rekonstrukcji modnego w latach siedemdziesiątych pojęcia "społeczeństwo rozwiniętego socjalizmu" oraz słowaklucza z początku lat osiemdziesiątych - "odnowa socjalistyczna". Wydaje się, że Woodall zbyt poważnie traktuje oba te terminy. Są one bowiem przede wszystkim typowymi konstrukcjami ko-

munistycznej nierzeczywistości, w mniejszym zaś stopniu próba mi opisu pewnej rzeczywistości społecznej. Na szczęście autor nie ogranicza się tu wyłącznie do rozważań o charakterze semantycznym, ale próbuje wykazać, iż niespełnienie przez władzę obietnic zawartych w koncepcji "rozwinętego społeczeństwa socjalistycznego" doprowadziło do sierpniowych strajków i powstania "Solidarności" - chociaż może to zabrzmieć dość dwuznacznie - jako egzekutorce wcześniejszych obietnic władzy. Woodall pisze wprost, że:

"jeśli wejście Polski pod przewodem PZPR w erę 'rozwinętego społeczeństwa socjalistycznego' skończyło się niepowodzeniem, to żądanie 'socjalistycznej odnowy' miało daleko idące konsekwencje. To, że tak dużo z elementów 21 punktów Porozumienia Gdańskiego było wcześniej obiecanie w 1976 r. i w 1970 r., a następnie zapomniane, dowodzi, iż /pogarszające się/ warunki materialne były tylko jednym ze źródeł ludowego protestu"/s. 19/.

Za trafną należy też uznać prezentację koncepcji "odnowy socjalistycznej" jako pola walki wewnątrzpartyjnej oraz pomiędzy partią a "Solidarnością". Trudno nie zgodzić się również z końcową refleksją, że największą słabością komunistycznych koncepcji społeczno-ustrojowych "jest brak miejsca /w nich/ na polityczną partycypację społeczeństwa"/s. 18/.

Jeśli celem pierwszego artykułu było rozważanie teoretycznego zaplecza realnego socjalizmu w Polsce - i niektórych nieoczekiwanych jego praktycznych implikacji - to autor następnego rozdziału, George Schöpflin, /*Poland and Eastern Europe: the Impact of the Crisis*/ jest dużo bardziej sceptyczny co do możliwości generowania przez współczesny marksizm-leninizm jakichkolwiek wizji społecznego ładu. Według Schöpflina oficjalna doktryna pełni jedynie rolę rytualnej formuły legitymującej systemy komunistyczne. Rzeczywistą legitymacją tych systemów od dawna nie jest już ideologia, ale nacjonalizm i bardzo niedoskonały konsumeryzm /ss. 26-27/. Schöpflin stawia pytanie, dlaczego wydarzenia w Polsce z przełomu 1980-81 r. miały tak nikły oddźwięk w społeczeństwach krajów socjalistycznych. Podstawową przyczynę widzi w pogłębiającej się siłę nacjonalizmów zniewolonych społeczeństw Wschodniej Europy oraz w swoistej *Schadenfreude* z wewnętrznych trudności sąsiadów, bo tak właśnie traktowane są przez innych próby zreformowania systemu komunistycznego. Autor dostrzega jednak możliwość długofalowego wpływu polskiego przykładu na ewolucję państw socjalistycznych. Polska - podobnie jak Jugosławia w latach pięćdziesiątych - może być dowodem, iż realny socjalizm nie musi być niewolniczą kopią systemu sowieckiego /s. 29, 30-32/.

Kolejny artykuł - *The Response of the Polish Communist Leadership to the Continuing Crisis /Summer 1980 to the Ninth Congress, July 1981/ Personal and Policy Change* - poświęcony jest strategii partyjnych przwódców w pokonywaniu ujawnionego w lecie 1980 r. kryzysu społecznego. Jego autor George Sanford pragnie w swoim tekście przede wszystkim pokazać oficjalny punkt widzenia na przyczyny kryzysu oraz zrekonstruować program wyjścia z kryzysu. Z jego rozważań wynika, że programu takiego właściwie nie było. Była za to bezpardonowa walka o władzę między nowym I sekretarzem - Stanisławem Kanią a jego konkurentami i przeciwnikami z rugowanej ekipy gierkowskiej. W latach 1980-81 "karuzela" władzy doszły doszła do tak kolo-

salnych rozmiarów, że z Biura Politycznego wybranego na VIII Zjeździe pozostały po natępnym IX Zjeździe, półtora roku później jedynie trzech towarzyszy /K. Barcikowski, W. Jaruzelski, S. Kania/. Zdaniem Sanforda koncepcja Kani politycznego, a nie siłowego rozwiązania kryzysu uzgodniona była z kierownictwem /s. 34/. To za jego wiedzą i zgodą Kania miał doprowadzić do politycznego kompromisu między kierowaną przez siebie partią a umiarkowanym, bo oczyszczonym z członków KOR-u, skrzydłem "Solidarności" pod przewodnictwem Wałęsy /s. 38-39/. W rezultacie do polskiej osobliwości - obok niezależnego Kościoła, nieskolektywizowanego rolnictwa i znacznych swobód intelektualnych - doszłyby nowa cecha, tj. szeroka autonomia związków zawodowych /s. 38-39/.

Podczas gdy Sanford pokazuje zabiegi Kani mające na celu równowagę między poszczególnymi klikami partyjnymi i usuwanie członków ekipy gierkowskiej, to George Kolankiewicz *The Politics of "Social Renewal"* / koncentruje się na innym elemencie ówczesnego życia partyjnego, a mianowicie przedstawia pojawienie się tzw. struktur poziomych /3/. Kolankiewicz nie waha się określić powstania poziomych połączeń wewnątrz partii komunistycznej jako "rewolucyjną zmianę" /s. 56/ Wśród przyczyn kreowania struktur poziomych autor dostrzega przede wszystkim protest przeciwko postępowacemu w latach siedemdziesiątych procesowi deideologizacji PZPR i koncentrację władzy wewnątrzpartyjnej w rękach zawodowego aparatu partyjnego z pominięciem dóków partyjnych. Żądania i efekty działań popularnych "poziomek" będą omawiał w dalszej części recenzji. Tutaj jedynie chciałbym podkreślić trafną konstatację Kolankiewicza, iż w przeciwieństwie do aparatu partyjnego "ruch dóków partyjnych w dalszym ciągu wierzył w socjalizm" /s. 66/.

Pierwszą część książki zamyka tekst Paula G. Lewisa *Political Consequences of the Changes in Party-State Structure under Gierek*. Autor stara się pokazać, w jaki sposób reformy ustrojowe z lat 1972-75, tj. istotne zmiany w funkcjonowaniu systemu rad narodowych i administracji terenowej /4/, oraz ekonomiczne z lat 1972-74, czyli tzw. reforma WOG-owska, doprowadziły - zamiast do zamierzonej modernizacji i zwiększenia efektywności gospodarczej - do chaosu końca lat siedemdziesiątych. Według Lewisa przyczyniły klęski gierkowskiej próby unowocześnienia archaicznego kształtu państwa realnego socjalizmu o dziedzicznego w spadku po Gomułce szukać należy w konflikcie między zdolnością PZPR do kierownictwa i kontroli działalności ekonomicznej państwa a koniecznością zaspokojenia wzrastających stale lokalnych potrzeb /s. 93/. Na tym tle rodziły się tendencje do fragmentaryzacji i autonomizacji poszczególnych elementów centralnego i terenowego systemu zarządzania gospodarką /s. 88/. Wydaje się, że w próbie tłumaczenia porażki gierkowskiego programu "budowy drugiej Polski" Lewis zbyt często ulega ideologicznej presji komunizmu. Nie o to przecież chodzi, że w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, mówiąc językiem ideologii, osłabieniu uległa kierownicza rola PZPR w gospodarce /jest to *nota bene* teza przejęta wprost z ideologicznej argumentacji komunistów/. Problem polega na ograniczeniu dyktatu - jeśli nie można go w ogóle usunąć - partii komunistycznej nad ekonomią.

Część druga książki zawiera artykuły dotyczące tych konkretnych aspektów działalności politycznej, które w szczególności sposób przyczyniły się do powstania polskiego kryzysu z lat 1980 z. Wiele z nich wstrzymuje, że nie są zaplanowane, ja-

śli wręcz nie najważniejszym jego elementem był stan polskiej gospodarki. Jedną z przyczyn jej opłakanej kondycji, tj. degenerację centralnego planowania, próbuje w swoim artykule przybliżyć nam George Blazyca / *The Degeneration of Central Planning in Poland* /. Rozważania swoje rozpoczyna od ukazania braku jakichkolwiek koncepcji rozwoju polskiej gospodarki pod koniec ubiegłej dekady. Po objęciu władzy w 1970 r. Gierek nie potrafił uporać się z tą sytuacją. W 1973 r. została podjęta połowiczna próba reform gospodarczych /reforma WOG-owska/. Nie przynosi ona jednak spodziewanych rezultatów, bowiem obejmuje tylko część przedsięwzięć i nie dotyczy struktury ekonomicznego centrum. W połowie lat siedemdziesiątych zaczynają ujawniać się pierwsze symptomy przyszłego kryzysu. Odpowiedzią na nie ma być osławiony "manewr gospodarczy" zapoczątkowany na przełomie lat 1976-77. W efekcie dochodzi do paradoksalnej sytuacji, w której pod osłoną centralnego planowania rodzą się procesy anarchizujące gospodarkę i w dodatku tamą dla nich nie jest ani istniejący nominalnie plan, ani tym bardziej nieistniejący rynek /s. 124/. Trudno się z tym nie zgodzić.

Drugi artykuł z zakresu problemów gospodarczych /George Kolankiewicz, *Employee Self-Management and Socialist Trade Unionism*/ dotyczy instytucji tzw. demokracji przemysłowej jako remedium na bolączki zetatyzowanej gospodarki PRL. Autor przedstawia w nim problematykę udziału robotników w zarządzaniu gospodarką. Wychodząc od ruchu rad robotniczych z 1956 r., poprzez ustanowione w ich miejsce w 1958 r. KSR-y i śledząc ich losy aż do lata 1980 r., dochodzi do zagadnienia walki o samorząd robotniczy w 1981 r. /5/. W ruchu "Sieci" Kolankiewicz widzi pewne zbieżności z rozwijającym się nieco wcześniej ruchem "struktur poziomych" w PZPR /s. 144/. Niewątpliwie w przypadku powodzenia nastąpić musiałyby ograniczenie zasięgu nomenklatury w życiu naszego kraju.

Dwa ostatnie artykuły prezentowanego tomu zwracają uwagę na te dziedziny polityki społecznej, które często umykają z rozważań dotyczących przyczyn polskiego kryzysu. Pierwszy z nich pióra Janusza Tomiaka / *Educational Policy and Educational Reform in the 1970s* / dotyczy polityki oświatowej, drugi natomiast, autorstwa Chrisa Russell-Hodgsona / *Health Policy and Health Service Reform in the 1970s* / porusza zagadnienia służby zdrowia i opieki społecznej. Tomiak w swoim tekście trafnie zwraca uwagę na pogłębiające się pod koniec minionej dekady nierówności w dostępie do szkolnictwa nie tylko stopnia wyższego, podkreśla istotne różnice w poziomie szkolnictwa na wsi i w dużych miastach oraz wskazuje na polityczną selekcję studentów. Russell-Hodgson dostrzega trzy główne przyczyny słabości polskiej służby zdrowia i opieki społecznej. Przede wszystkim pomimo składanych obietnic powiększenia ilości środków na opiekę podstawową, większość ich szła na wyposażenie specjalistycznych szpitali. Po wtóre, partykularne interesy poszczególnych ogniw systemu opieki społecznej i służby zdrowia nie pozwalały na jego efektywne funkcjonowanie. I wreszcie po trzecie, skoro system opieki społecznej powiązany jest z całym systemem ekonomicznym państwa, to pogłębiający się kryzys gospodarczy uniemożliwia zwiększenie dopływu środków na jego potrzeby.

Ideą przewodnią książki jest chęć zapoznania zachodniego czytelnika z głębszymi przyczynami polskiego kryzysu z roku 1980 /6/. Chociaż nie ma zgody między autorami co do szczegó-

łowszej egzemplifikacji tych przyczyn, żaden z nich nie ma wątpliwości, że protestów z Grudnia 1970, Czerwca 1976 i Sierpnia 1980 nie można tłumaczyć wyłącznie wzrostem cen żywności. Jest to racja. Trudniej natomiast zgodzić z konstatacją Woodalla, że "aby często przyczyny politycznych protestów są tłumaczone istnieniem nie ponoszącego odpowiedzialności i archaicznego /reactionary/ reżimu". W rzeczywistości bowiem przyczyn należy według niego szukać "raczej w zbyt ambitnym programie reform" / s. XIII/ podjętym przez ekipę gierkowską. Zgoda, ale sposób wprowadzania tych reform i ich efekty są prawowitym potomstwem archaicznego systemu politycznego i niekompetencji samych reformatorów. Temu nie da się zaprzeczyć.

W prezentowanej pracy - obok pierwszoplanowego wątku, tj. poszukiwania głębszych przyczyn kryzysu - odlażyć można również inny wspólny przedmiot zainteresowań autorów. Nie są nim - jak można by się spodziewać - specyficzne polskie odrębności, czyli istnienie niezależnego Kościoła, prywatne rolnictwo, czy pojawienie się w połowie lat siedemdziesiątych pozasystemowej opozycji /7/. Jest nim natomiast zagadnienie możliwości "socjalistycznej odnowy". Powtarzając za Alainem Besançonem, chcę stwierdzić, że "odnowa socjalistyczna" jak i sam "socjalizm" są bytami ze sfery komunistycznej nadrzeczywistości. Skoro "odnowa socjalistyczna" jest wytworem ideologii, to żadna dyskusja na temat możliwości powodzenia jej realizacji nie może wchodzić w rachubę. Czym innym jest jednak konstrukt ideologiczny, czym innym zaś realne konsekwencje, jakie może on zrodzić w życiu społecznym. I te właśnie konsekwencje chciałbym tu, chociaż skrótno, rozważyć.

Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że autorom piszącym o przemianach wewnątrz PZPR na przełomie lat 1980-81 - myślę tu głównie o Woodallu i Kolankiewicz - umknął całkowicie pewien ważny problem charakterystyczny dla tego okresu, tj. próba zmiany legitymacji władzy w PRL z tradycyjnej /8/ na quasi-legalną /9/. Zmiana o której mowa przejawiała się w usunięciu z oficjalnych przemówień, m.in. Kani jako I sekretarza, określenia "awangarda proletariatu" na rzecz terminu "umowa społeczna". Ta istotna różnica semantyczna nie tylko że nie została podjęta przez przywódców "Solidarności", ale chyba w ogóle nie została przez nich zauważona. Prawdą jest równocześnie, że za tą nową semantyką nie poszły żadne zmiany w życiu społecznym, w funkcjonowaniu poszczególnych instytucji publicznych. Skoro jednak socjalizm kreuje świat, w którym "nie-nazwane nie istnieje", to nie należało chyba zupełnie lekceważyć tych, nie wychodzących co prawda poza embrionalne formy, prób transformacji systemu. Innym dowodem wysiłków Kani jest używanie od VI Plenum KC z 1980 r. określenia "przewodnia rola partii" w przeciwieństwie do obowiązującego w poprzednim okresie "kierownicza rola partii" / s. 1-2, 62/ Reasumując trzeba wyraźnie powiedzieć, że istniała wówczas pewna próba ogólnego przeformułowania systemu, ale nie wyszła ona poza wstępne, zapewne istotne, redefinicje stosowanego języka polityki.

Chociaż ogólna próba przemiany systemu zapoczątkowana przez posierpniowe kierownictwo PZPR nie przyniosła widocznych rezultatów, to inne zjawisko ówczesnego życia partyjnego powinno zwrócić naszą baczniejszą uwagę. Mam tu na myśli oczywiście "poziome porozumienia" tworzące się wewnątrz PZPR. W chwili gdy mija już ponad pięć lat od ich nagłego powstania i cichego upadku można chyba pokusić się o próbę oceny tego

wyjątkowego dla partii komunistycznej zjawiska /10/. Od razu pragnę zaszczepić, że podobnie jak w przypadku fenomenu "odnowy socjalistycznej" nie interesują mnie konstrukty ideologiczne wytworzone przez ten ruch, ale ewentualny wpływ realizacji żądań struktur poziomych zawartych w tych konstrukcjach na wewnętrzny kształt PZPR oraz znaczenie przełamania leninowskiego modelu budowy partii komunistycznej dla polskiego społeczeństwa w ogóle i stabilizacji nowego, odbiegającego od sowieckich wzorów, kształtu państwa realnego socjalizmu.

Realizacja przez Lenina utopii marksowskiej doprowadza do próby zatarcia granicy między państwem a społeczeństwem poprzez prawną reglamentację prawie wszystkich więzi społecznych bądź ich unicestwienie oraz zastąpienie różnych form kontroli społecznej globalną kontrolą państwa nad zatamizowanym społeczeństwem. Jednak społeczeństwo w realnym socjalizmie nie jest wzywane wyłącznie do posłuszeństwa, ale również do aktywności. Z jego najbardziej aktywnej części formuje się kadry masowej monopartii o pionowej - bez horyzontalnych połączeń - strukturze wewnętrznej. Ta ostatnia faktycznie łączy się z aparatem państwa w jeden nierozzerwalny i wszechogarniający oraz wertkalny system władzy, którego totalnej dominacji jest poddawane całe społeczeństwo. Ważnym elementem tej dominacji jest oficjalna ideologia, pragnąca rozstrzygnąć bezapelacyjnie o wszystkich aspektach egzystencji jednostki i głosząca - w sposób quasi-religijny - wizję idealnego ładu przyszłości, w którego imię uświela się masowy terror i totalnie kwestionuje wszystko, co nie jest z nią zgodne. Oczywiście, w PRL przynajmniej od 1956 roku mamy do czynienia z coraz bardziej kulejącym totalitaryzmem. Przede wszystkim nie udało się polskim komunistom do końca zintegrować społeczeństwa z państwem. Pozostał Kościół, indywidualne rolnictwo, a także kręgi intelektualistów, które zachowały resztki autonomii. Co najważniejsze, partia komunistyczna - ów rdzeń systemu - mimo totalnej organizacji, poddana postępującej deideologizacji po 1968 r., przestaje być totalna w praktyce.

Proces detotalizacji PZPR, a tym samym PRL, mogła znacznie przyspieszyć realizacja żądań struktur poziomych. Według trafnej charakterystyki Staniszkis/11/ Kolankiewiczowi niestety nie udało się tego klarownie uchwycić - żądania struktur poziomych można sprowadzić do trzech podstawowych. Przede wszystkim żądanie ograniczenia pozycji aparatu partyjnego poprzez odebranie mu prawa do podejmowania decyzji politycznych; te miały być podejmowane tylko przez ciała pochodzące z wyboru. Zmianie ulec miała pozycja Biura Politycznego, które miało stać się ciałem koordynującym działania Komitetu Centralnego, a nie podejmującym bezpośrednio decyzje. Żądano również prawa do tworzenia osobnych "platform" wewnątrzpartyjnych, a więc w praktyce uchylenia zakazu frakcyjności uchwalonego na X Zjeździe RKP/b/ w 1921 r. /12/.

Oddolna próba - z odgórną mieliśmy do czynienia w 1956 r. /13/ - obalenia leninowskiej struktury partii komunistycznej w przypadku powodzenia w poważny sposób przyspieszyłaby proces przechodzenia z totalitarnej do autorytarnej wersji realnego socjalizmu. Działania struktur poziomych zakończyły się jednak porażką. Jedną z jej przyczyn była relatywna słabość samego ruchu w walce wewnątrzpartyjnej - trafnie pisze o tym Kolankiewicz. Druga wynika z braku poparcia ze strony "Solidarności" - co niestety zainteresowani autorzy pomijają.

W cytowanej tu pracy Staniszkis *Poland's Self-Limiting Revolution* przewija się myśl, że jedyną szansą zamknięcia polskiego kryzysu w 1981 r. był sojusz "Solidarności" i struktur poziomych. Czy byłoby to oczekiwanym rozwiązaniem polskich problemów? Trudno odpowiedzieć na to pytanie, chociaż jest prawdą, że Związek jakby w ogóle nie zauważył pojawienia się nowej siły na posierpniowej scenie politycznej. Domniemywać można, iż - obok trudnych do pokonania uprzedzeń typu ideologicznego wyrażających się w werbalnym antykomunizmie - istniała obawa, że zwycięstwo struktur poziomych doprowadzi *volens volens* do ostatecznego rozkładu PZPR. A taka sytuacja musiała grozić bezpośrednio interwencją sowiecką. Wzorów dostarczają tu przykłady rozkładu partii komunistycznej na Węgrzech w 1956 r. i w Czechosłowacji w 1968 r. Faktem jednak pozostaje, że problem zachowania się społeczeństwa i jego elit wobec ruchów wewnątrzpartyjnych i możliwości walk frakcyjnych jest jednym z elementów naszego życia publicznego. I dlatego nie należy tych problemów lekceważyć.

TADEUSZ ZAKRZEWSKI

PRZYPISY

- /1/ *Policy and Politics in Contemporary Poland. Reform, Failure, Crisis*, /ed./ Jean Woodall, St. Martin's Press, New York 1982.
- /2/ Istnieje spór co do autorstwa tego terminu. Powszechnie uważa się, że jego twórczynią jest Jadwiga Staniszkis /*Poland's Self-Limiting Revolution*, Princeton University Press 1984/. Można jednak spotkać się również z opinią, iż pierwszym, który określił "Solidarność" jako ruch samoograniczający się, był Jacek Kuroń. Por. Alaine Touraine i zespół, *Solidarity. The Analysis of Social Movement: Poland 1980-1981*, tł. z franc., Cambridge University Press 1984, s. 64. Ostatnio natomiast Ireneusz Krzemiński /*Polska i "Solidarność" - sens ludzkiego doświadczenia*, "Przegląd Polityczny" 1985, nr 6, s. 7-10/ zakwestionował zasadność tego określenia dla przemian zapoczątkowanych strajkami z Sierpnia 1980.
- /3/ Warto zwrócić uwagę na często zapominany fakt, iż z dalekim wzorem żądań typowych dla struktur poziomych mieliśmy do czynienia w Polsce już w 1956 r. Por. *Gomułka i inni. Dokumenty z archiwum KC 1948-1992*, opr. J. Andrzejewski, Wyd. Kraj, Warszawa 1986, s. 91-92 oraz dokumenty nr 25 i 26.
- /4/ Przy omawianiu przez Lewisa zagadnienia reformy systemu rad narodowych i administracji terenowej z połowy lat siedemdziesiątych, budzi zdziwienie nieuwzględnienie jakiegokolwiek poważniejszej literatury w języku polskim dotyczącej tego problemu. Mam tu na myśli m.in. cenny artykuł J. Stembrowicza, *Refleksje o konstytucji*, "Kultura i Społeczeństwo" 1977, nr 1-2. Nie znaczy to, że autor w ogóle nie korzysta z polskich opracowań, ale są to przede wszystkim oficjalne prace marksistowskie, a nie prace o charakterze *stricto* naukowym.
- /5/ Por. artykuł Janusza Lewandowskiego przy współpracy Jana Szomburga, *Historia gdańskiego ruchu samorządowego*, "Przegląd Polityczny" 1985, nr 5.
- /6/ Ostatnio otrzymaliśmy obszerne krajowe studium dotyczące tego zagadnienia - pracę zbiorową pod redakcją A. Müllera,

U źródła polskiego kryzysu, Warszawa 1985.

/7/ Świadomie określam opozycję powstałą w Polsce w połowie lat siedemdziesiątych mianem "opozycji pozasystemowej", gdyż w latach 1956-1968 działalność rewizjonistów wewnątrz PZPR można klasyfikować jako przykład opozycji wewnętrzzsystemowej / por. samokrytyczne uwagi na temat słabości tej formacji jednego z liderów polskiego rewizjonizmu - Leszka Kożakowskiego, *Główne nurty marksizmu*, Paryż 1976, t. III, s. 456-473/. Nato- miast przez cały okres Polski powojennej funkcję specyficznej opozycji - bo nie pragnącej sięgnąć po władzę - pełni Kościół. W Piwowarski /*Niejaso i rola Kościoła ludowego w społeczeństwie polskim*, "Przeгляд Powszechny" 1982, nr 1-2, s. 64/ wyraźnie za- licza Kościół do opozycji, ale nie, jak można by się spodzie- wać, pozasystemowej, lecz do opozycji wewnętrzzsystemowej. Zaś dla J.Majki /*Kościół jako "opozycja moralna"*, "Chrześcijanin w świe- cie" 1982, nr 4/ Kościół w społeczeństwie polskim pełni właś- nie rolę "opozycji moralnej".

/8/ Formułę "awangarda proletariatu" jako przykład tradycyj- nej legitymizacji władzy w społeczeństwie przemysłowym trafnie ujmuje Staniszkis. Według niej różnica między tradycyjną legitymacją w społeczeństwie przedprzemysłowym a taką samą w społeczeństwie socjalistycznym sprowadza się do tego, że "gdy w modelu trydycznej legitymizacji w społeczeństwie przedprzemysłowym źródłem uprawomocnienia jest przeszłość, to w analizowanym społeczeństwie współczesnym takim źródłem jest przyszłość. Druga różnica systemu władzy opartego na tradycyj- nej legitymizacji władzy w społeczeństwie przedprzemysłowym i w społeczeństwie współczesnym wiąże się z faktem, iż w tym drugim 'osobista świąta' została zastąpiona aparatem wykonaw- czym ustrukturuowanym wprawdzie według form właściwych dla legitymizacji typu legalnego /aparatu biurokratycznego/, ale obsa- dzonym i funkcjonującym w dużym stopniu według zasad właści- wych dla ducha legitymizacji typu tradycyjnego" /*Typologia tech- niki kierowania w organizacji*, w: *Kierowanie w społeczeństwie. Analiza so- cjologiczna*, W. Morawski /red./, Warszawa 1979, s. 288-289/.

/9/ O próbach przejścia od tradycyjnej do quasi-legalnej legitymizacji władzy w tym okresie w PRL pisze Staniszkis, *Poland's Self-Limiting Revolution*, *op.cit.*, rozdz. V.

/10/ Wyjątkowość struktur poziomych w leninowskim modelu par- tii komunistycznej wynika z jej wertykalnej budowy. Zwraca na to uwagę m.in. M. Duverger, *Les oranges du lac Balaton*, Seuil, Paris 1980, s. 136, pisząc, iż partia komunistyczna ma "u podstawy małe grupy ściśle izolowane jedna od drugiej z absolutnym za- kazem połączeń poziomych". Szerzej na temat sposobu budowy par- tii komunistycznej, tamże, s. 133-145.

/11/ Staniszkis, *Polan's...*, *op.cit.*, s. 68-69.

/12/ Na temat walk frakcyjnych w łonie RKP/b/ na początku lat dwudziestych jako historycznego tła dla postanowień X Zjazdu pisze M. Lesage, *Les régimes politiques de l'URSS et de l'Europe de l'Est*, PUF, Paris 1971, s. 74-81. Instruktywne uwagi o zależ- ności między postanowieniami podjętymi na tym zjeździe - m.in. dotyczące zakazu tworzenia frakcji i możliwości wykluczenia przez KC swoich członków - a powstaniem stalinowskiego tota- lizmu zawiera praca Kożakowskiego, *op.cit.*, t. II, s. 500.

/13/ W 1956 r. Julian Hochweld proponował m.in. utworzenie kil- ku równorzędnych ośrodków kierowniczych w PZPR. Chodziło szczególnie o to, aby klub poselski stał się zespołem do ko-

lektywnego realizowania kierowniczej roli partii w Sejmie, a "nie zespołem czysto wykonawczym w stosunku do takich klasycznych centralnych instancji partyjnych, jak Biuro Polityczne KC i Sekretariat KC" / Z *nagadnień parlamentaryzmu w warunkach demokracji ludowej*, "Nowe Drogi" 1957, nr 4, s. 79-80/. Na krótką metę powstanie pluralizmu wewnątrz kierowniczych organów partii zaowocowałoby funkcjonowaniem kontroli wewnętrznej. *A la Longue* sytuacja taka - jak twierdzi Raymond Aron /*Démocratie et totalitarisme*, Gallimard, Paris 1965, s. 107/ - musiałaby doprowadzić do powstania frakcji, a ich trwałe istnienie równoznaczne byłoby z faktyczną wielopartyjnością. To zaś byłby kres totalitarnej wersji komunizmu. Słusznie obawiając się takiej sytuacji Lenin pisze, że "jeżeli nie popełnimy niesamowitego głupstwa, które doprowadziłoby do rozłamu, to utrzymamy naszą pozycję, inaczej diabli wezmą wszystko" W. Lenin, *Dzieła*, Warszawa 1950-1975, t. XXXII, s. 53/.

Dnia 23 września 1986 r. wznowiło swoją działalność Radio "Solidarność" w Paryżu. Historia tego radia rozpoczyna się od 13 grudnia 1981 r., gdy po raz pierwszy nadano na antenie radia francuskiego audycje informująca o wydarzeniach w Polsce.

Lątem 1984 r. Radio "Solidarność" zawiesza swoją działalność, by po dwóch latach milczenia wznowić emisję, tym razem 24 godziny na dobę na częstotliwości 89 MgHz.

Audycje Radia "Solidarność" skierowane do słuchacza francuskiego poruszają aktualne problemy polityczne, społeczne i kulturalne krajów podległych sowieckiemu totalitaryzmowi. Walka z dezinformacją, obrona praw człowieka i wolności związkowych to idee, które Radio "Solidarność" propaguje.

Wiktor Woroszyński

Z DZIENNIKÓW WĘGIERSKICH
1956 - 1986

BUDAPESZT, ŚRODA, 31 PAŹDZIERNIKA 1956: U PROFESORA LUKACSA

...w łonie obecnego kierownictwa WPP toczy się zjadła walka dwóch tendencji: jednej, zmierzającej do kontynuowania modyfikowanej nieco, ale w gruncie rzeczy tej samej co dotąd linii i drugiej, pragnącej odciąć się całkowicie od stalinowskiej tradycji WPP i stworzyć zupełnie nową partię marksistowską. Profesor Lukács reprezentuje tę drugą tendencję.

- Kto jeszcze?
- Nagy, Losonczy, Szánto, Donáth, Kadar...
- Kadar też? - przepytuje się.

Profesor nie rozumie, dlaczego to nazwisko miałyby budzić wątpliwości.

Nowa partia nie będzie mogła liczyć na bliski sukces - komunizm jest na Węgrzech gruntownie skompromitowany. Skupia się wokół partii prawdopodobnie szczupłe grupy postępowych intelektualistów, literatów, trochę młodzieży. Klasa robotnicza pójdzie raczej za socjaldemokracją. W wolnych wyborach komuniści uzyskają pięć, maksimum dziesięć procent głosów. Być może nie wejdą do rządu, znajdą się w opozycji... Ale partia będzie istniała, ocali ideę, będzie ośrodkiem intelektualnym, a za kilka lub kilkanaście lat - kto wie... Na razie jednak nie dochodzi do jej stworzenia - toczą się nieustanne spory o ocenę sytuacji - w chwili, gdy dziś powstały wszystkie inne partie, komuniści znowu spóźniają się co najmniej o dwadzieścia cztery godziny. Jutro mam telefonować.

CZWARTEK, 1 LISTOPADA: ROZMOWA Z DUDÁSEM

Oto zwięzły życiorys Józsefa Dudása: urodzony w roku 1912, z zawodu inżynier-mechanik. Należał do partii komunistycznej, z której wystąpił w roku 1940. Przeszedł do partii drobnych posiadaczy, tuż po wojnie został wybrany posłem do parlamentu. W latach 1946-1954 siedział bez procesu i wyroku w rozmaitych więzieniach i obozach. Od chwili wybuchu powstania brał w nim udział, walczył na Placu Moskwy, organizował ko-

mitety rewolucyjne. Ugrupowanie, na którego czele stoi w tej chwili, nosi nazwę Narodowego Komitetu Rewolucyjnego.

Prosimy Dudás, żeby określił charakter ruchu, który reprezentuje. Bez dłuższego namysłu wyrzuca z siebie cztery przymiotniki: narodowy, rewolucyjny, demokratyczny, socjalistyczny. Program ruchu jest następujący: Rosjanie powinni niezwłocznie wycofać się z całych Węgier. Rząd musi zjednoczyć się z siłami rewolucyjnymi - z radami robotniczymi, chłopskimi i żołnierskimi oraz innymi ośrodkami, reprezentującymi naród. Należy uzupełnić rząd o przedstawicieli historycznych partii demokratycznych. Nie wolno natomiast tolerować ugrupowań prawicowych i faszystowskich. Trzeba zachować ustrój socjalistyczny, gwarantując przy tym wszystkim obywatelom wolność sumienia i odrzucając dogmaty gospodarcze.

- Wychodzimy - kończy Dudás - z wymagań życia, z celowości społecznej, z interesów klasy robotniczej i chłopskiej, stoimy przy tym na platformie jedności narodowej.

Wszystko to brzmi dostatecznie ogólnikowo, abyśmy nabrali szacunku dla zrecznosci politycznej naszego rozmówcy. Usiłujemy go jednakże przyprzeć do muru i pytamy o stosunek do istniejących partii politycznych, względnie o zamiar stworzenia nowej partii.

- Na razie chodzi o ugruntowanie dotychczasowych osiągnięć rewolucji. Później, jeżeli sytuacja rozwinię się pomyślnie, prawdopodobnie wstąpię do jednej z partii, odpowiadającej wyżej wymienionym celom.

- Która partia jest panu najbliższa?

- Nie istnieje ani jedna, która już dziś miałaby opracowany program gospodarczy. W najważniejszych sprawach politycznych panuje zgoda między partiami demokratycznymi i wszystkie są mi jednakowo bliskie.

- Czy popiera pan obecny rząd?

- Tylko częściowo. W pełni mógłbym poprzeć rząd koalicyjny, do którego weszliby: Imre Nagy, Janos Kadar, Béla Kovács, Anna Kéthly, Sándor Kiss - oraz przedstawiciel Narodowego Komitetu Rewolucyjnego.

Nietrudno się domyślić, o jakiego przedstawiciela chodzi. W miarę rozmowy coraz wyraźniej odczuwa się, że - niezależnie od programu - József Dudás ma jeszcze niepospolite ambicje osobiste. Pod koniec zostają one ujawnione w całej okazałości.

- Nasze najbliższe zadania to: ukształtowanie prowizorycznego rządu koalicyjnego, ustalenie wspólnie z Rosjanami daty wycofania ich wojsk z Węgier, ustalenie daty wolnych, powszechnych, tajnych wyborów, zaprowadzenie w kraju porządku i spokoju. W związku z całą tą problematyką nawiązałem wczoraj wieczorem kontakt z Moskwą i zaproponowałem wspólne kroki celem uregulowania sytuacji. Zaproponowałem też taki rząd, o jakim przed chwilą była mowa.

JESZCZE TEN SAM DZIEŃ

Zgodnie z wczorajszą umową dzwonię do Profesora. Tak, może mi już coś powiedzieć. Partia powstała. Nazywa się: Węgierska Robotnicza Partia Socjalistyczna. Dzisiaj zostanie

ogłoszona przez radio jej deklaracja programowa, a jutro ukaże się pierwszy numer nowej gazety - "Népszabadság", co znaczy: wolność ludu. Powołano siedmioosobowy komitet organizacyjny. Czy mam pod ręką notes? Profesor dyktuje nazwiska: Imre Nagy, Géza Losonczy, Zoltán Szántó, Janos Kadar, Ferenc Donáth, Sándor Kopácsi, György Lukács...

...A tymczasem od rana nadchodzący do Budapesztu niepokojące wieści. Głosiły one, że granicę węgierską - od strony ZSRR i Rumunii - bez przerwy przekraczają nowe oddziały wojsk radzieckich, które zajmują lotniska, węzły kolejowe, wszelkie inne punkty strategiczne. Na oficjalne zapytanie Imre Nagy'a (który od dzisiaj oprócz funkcji premiera objął również tekę ministra spraw zagranicznych) ambasador Andropow oświadczył, że pogłoski są nieprawdziwe; żadne nowe wojska radzieckie nie przybyły na Węgry.

PIĄTEK, 2 LISTOPADA: GAZETY

Na pierwszej kolumnie "Népszabadság" opublikowane jest orędzie Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej - to, które Kadar odczytał przez radio.

- Zwracamy się do tych, których niegdyś sprowadziły w szeregi partii miłość ludu i ojczyzny, szlachetne idee socjalizmu. Rakosi i jego klika uczynili partię narzędziem tyranii, roztrwonili kapitał moralny partii. Powstanie ludowe obaliło tę klikę...

- W tej trudnej chwili ci komuniści, którzy walczyli przeciwko klice Rakosiego, wspólnie z licznymi patriotami i socjalistami, postanowili założyć nową partię, na zawsze zrywającą ze złem minionego okresu.

- Partia powstaje na gruncie niezawisłości narodowej, na gruncie przyjaźni ze wszystkimi krajami, w pierwszym rzędzie - socjalistycznymi. Partia broni i będzie broniła osiągnięć republiki: reformy rolnej, uspołecznienia fabryk, kopalń, banków, niewątpliwych socjalnych i kulturalnych zdobyczy ludu. Partia walczy i będzie walczyła o demokrację i socjalizm, nie kopiując niewolniczo obcych walorów, lecz opierając się na właściwościach i postępowych tradycjach naszego kraju, na marksizmie-leninizmie wyzwolonym od stalinizmu i wszelkiego dogmatyzmu...

Zastanawia fakt, że podstawowe hasła powtarzają się właściwie we wszystkich gazetach, w oświadczeniach wszystkich ugrupowań politycznych. Są to nie tylko hasła niepodległościowe, ale również socjalne - te, które mówią o zachowaniu głównych zdobyczy ekonomicznych demokracji ludowej. Jeden z naszych kolegów wysnuwa stąd wniosek, że programy te nic nie znaczą, że stanowią jedynie werbalną zasłonę dla rzeczywistych, nieujawnionych dążeń poszczególnych stronnictw. Ja sędzę, że sprawa ma się inaczej: nie wykluczając tajnych zamierzeń tego czy innego ugrupowania, przypisuję zasadnicze znaczenie opinii publicznej, której musiały się podporządkować wszystkie ruchy... Zróżnicowanie programów nastąpi w związku z inną problematyką, nie tą podstawową, do której większość narodu zdaje się mieć stosunek jednakowy i ściśle określony.

TEGO SAMEGO DNIA: WIECZORNE WIADOMOŚCI

- Słyszeliście?

- ?

- Kadar uciekł.

Okazuje się, że jeszcze wczoraj wieczorem, bezpośrednio po naradzie aktywu partii, na której przemawiał z ramienia komitetu organizacyjnego, Kadar wsiadł wraz z Münnichem do samochodu i odtąd ślad po nim zaginął.

Ferenc Münnich kilka dni temu powiedział: "Jedyne, co nam pozostało, to zginąć z honorem". Widocznie zmienił zdanie. Ale Kadar, którego zniknięcie dzieliły dosłownie minuty od wygłoszenia deklaracji programowej, od publicznego zaangażowania się po stronie nowej linii?...

- No cóż, facet wysiadł z gry. Ma dość.

- A jeżeli on dopiero siada do gry? ←

SOBOTA, 3 LISTOPADA: PRZED SNEM

Od rana toczyły się rokowania na temat wycofania wojsk radzieckich z Węgier. W pierwszej połowie dnia rozmawiano w gmachu parlamentu, a wieczorem delegacja węgierska udała się do Rosjan. W delegacji uczestniczą: generał Maléter, generał Istvan Kovács i minister Ferec Erdei. Podobno jeszcze nie wrócili.

...Zanim zasypiam, myślę o perspektywach rewolucji węgierskiej tak jak wyłaniają się one w tych dniach stabilizacji. Nie wiem, naturalnie, w jaki kształt ustrojowy okrzepnie ostatecznie Republika Węgierska. Nie wyklucza jednak, że będziemy tu obserwowali ciekawą syntezę podstawowych osiągnięć demokracji ludowej (cała ziemia w rękach chłopów, uspołecznione fabryki i banki) z wielopartyjnością, wolnością prasy i tym podobnymi atrybutami demokracji liberalnej. Czy taki ustrój nie stanowi jedynej - być może bardzo długiej - spośród dróg do socjalizmu? Nie śmiałbym tak utrzymywać. O drodze zaś, którą prowadzili swój kraj ludzie typu Rakosiego, wiem już na pewno, że u jej końca mógł stać tylko upadek i niewola.

NIEDZIELA, 4 LISTOPADA: PRZEBUDZENIE

...W mój głęboki sen wtargnęło coś z zewnątrz - nie umiem sobie uprzytomnić co, nie chcę otworzyć oczu, usiłuję opaść z powrotem na to nieograniczone zmysłami dno, na którym znajdowałem się tak krótko. Ale uparte coś dobija się do mnie coraz natarczywiej. Niechętnie ulegam i zaczynam nawiązywać kontakt ze światem. I nagle dociera do mnie to, co przerwało mój sen: miarowe dudnienie artylerii. W tej samej chwili ktoś nieubrany wbiega do pokoju:

- Wstawaj! W Budapeszcie znowu wojna!

...Z rana, poprzez huk artylerii, warkot broni pancernej, szyderczy gwizd odrzutowców, przedzierają się jeszcze ostatnie radiowe protesty i apele rządu Nagy'a.

Odczytano również w kilku językach krótkie, przejmujące

orędzie pisarzy i intelektualistów węgierskich do narodów świata, zakończone trzykrotnym: "Pomóżcie! Pomóżcie! Pomóżcie!".

Potem radio zamilkło, aby odezwać się dopiero pod wieczór - głosem Janosa Kádara. Kadar przedstawił się jako premier nowego rewolucyjnego rządu robotniczo-chłopskiego, który obejmuje władzę w związku z tym, iż słaby rząd Nagy'a coraz bardziej ulegał elementom wstecznym, faszystowskim. Chodzi o ocalenie demokracji ludowej na Węgrzech, o socjalizm. W związku z tym nowy rząd zwrócił się o pomoc do sojuszniczej armii radzieckiej...

DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ: 1976

...Popowstaniowy terror na Węgrzech z biegiem lat zelżał; z czasem ujawnił się też paradoks historyczny - że podczas gdy uwielbiany w Październiku "wódz narodu" Gomułka stopniowo wypychał kraj w sytuację coraz większej zależności politycznej i ekonomicznej od ZSRR (w czym prześcigają go bodaj jego równie owacyjnie witani następcy), w stan rosnącego ucisku, nędzy i kłamstwa, to znienawidzony (i nie bez racji) Kadar szukał jakby dróg wyjścia z pułapki, próbował z pewnym skutkiem eksperymentu gospodarczego, umiarkowanie liberalizował reżym, dążył do jakiegoś takiego pojednania z narodem i jego inteligencją. Dzisiaj, dwadzieścia lat po wydarzeniach w obu krajach, nie tylko materialny poziom życia na Węgrzech jest ewidentnie wyższy niż w Polsce, ale i atmosfera wydaje się lepsza, i sytuacja w kulturze nie tak denna, i w różnych dziedzinach zabójcza sowietyzacja nie posunęła się chyba tak daleko jak u nas. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie, kiedy w tym roku odwiedziłem ponownie Budapeszt i chodziłem po starych śladach moich i rozproszonych przyjaciół... Dlaczego tak się stało? Czy zasadniczą rolę odegrały cechy charakteru lub intelektu przywódców? Czy - trochę różne mimo wszystko położenie geograficzne? Czy - że Węgry przedkomunistyczne były krajem bardziej zachodnim od Polski, z głębiej ugruntowaną świadomością europejską, przeszczep sowietyzmu jest więc tam bardziej jęszcze nienaturalny, obcy i energiczniej odrzucany przez organizm społeczny? Czy wreszcie - właśnie powstanie, choć przegrane, wytworzyło na dłuższą metę warunki, w których rządzącym mniej dla nich ryzykowne od permanentnego dokręcania śruby wydają się pewne gesty pojednawcze wobec narodu?...

I JESZCZE PIĘĆ LAT: 1981

Razem to już ćwierć wieku. Czas bez ustanku dopisuje swoje post scriptum do dziejów ludzi, spraw, opowieści... Pełny tekst polski *Dziennika węgierskiego 1956*, po latach szuflady, po raz pierwszy ukazał się w londyńskim "Aneksie"... W Polsce były to lata wrzenia, niepokoju, goryczy - i narastających nowych ruchów społecznych; myślałem, że to czas zadawał pytania, czas był ciekaw dalszej i bliższej historii, choćby przeżywanej subiektywnie, czas chciał więcej wiedzieć o swoich zagrożeniach, pułapkach, o możliwych wzlotach i błędach.

I chyba chce tego dalej - kiedy prawie od roku trwa pierwsze w dziejach Polski zwycięskie powstanie - tak inne od wszystkich poprzednich - bez krwi, barykad, bronni, wyruszających w pole oddziałów. Zwyczajne jak życie, jak codzienna robota, ze zmęczoną twarzą, szare, choć z białoczerwoną opaską, powstanie nadziei i solidarności milionów. Nie sędzę, żeby z tamtych dawnych, zdławionych, w Polsce czy gdzie indziej, wypływały bezpośrednie wróżby dla t e g o . Ale jego spokojna siła i umiar coś przecież dziedziąca i po niegdysiejszej brawurowej śła- bości i desperacji, coś im są winne, choćby poczucie wła- snej odmienności, dojrzałości, na którą pracowały różne dramaty i doświadczenia wieku.

W tej perspektywie i ja sam, mimo że z biegiem lat co- raz bardziej zatracający tożsamość z młodym narratorem *Dziennika węgierskiego*, odczytuję go obecnie... Ta niezu- pełna tożsamość oznacza, że dzisiejszy ja, przeniesiony w ówczesne okoliczności, z pewnością inaczej rozłożyłbym niektóre akcenty i na przykład mniej kłopotałbym się o szansę ocalenia z pożogi miłej sercu utopii; ale nie ozna- cza, ma się rozumieć, że odwracałbym oczy od tego, co na- prawdę widziałem, a zamiast tego w mgłach i dymach wypa- trywałbym zjaw i zjawisk, których nie było. Kiedy dzisiaj czytam w "Spieglu" nowy sensacyjny serial *Powstanie bez głowy*, w którym Imre Nagy występuje jako błazen, rola Du- dása w powstańczym Budapeszcie jest wyolbrzymiona i zdemo- nizowana, podobnie jak rola Attili Szigethy'ego na prowinc- ji, po dwudziestu pięciu latach znów powraca bajeczka o ekstremistycznym rządzie w Győr, a wreszcie Rosjanie wca- le nie chcą interweniować, tylko zostają do tego zmuszeni przez samych Węgrów, to nie dziwię się specjalnie, bo stan- owisko hamburskiego tygodnika (nie tylko jego) jako straż- nika *status quo* w Europie Środkowej jest mi znane - i do- myślam się aktualnych odniesień tak preparowanej historii - ale ciągle nie pozostaje mi nic innego, jak powtórzyć: byłem tam, widziałem, świadectwo moje spisywałem na żywo...

TRZYDZIEŚCI LAT PÓŹNIEJ: 1996

...nawarstwiając się w czasie, nowym przypadkiem podsu- wając zwierciadło nieco dawniejszych (i odwrotnie), histo- ria pogłębia, uwyraźnia swój sens i nader często skłania do łącznej refleksji nad tym, co g d z i e ś i t u t a j , k i e d y ś i t e r a z . Tak w trzydziestą rocznicę wybuchu i zdławienia Rewolucji Węgierskiej - i w pięta- rocznicę wyprostowania się i ponownego przygięcia do ziemi Polski "Solidarności" - trudno oprzeć się pokusie myśle- nia r a z e m o tych fenomenach wschodnioeuropejskiej (czy, jeśli kto woli, środkowoeuropejskiej) historii.

Pięć lat temu, w drugiej glosie do *Dziennika węgier- skiego*, użyłem zwrotu o trwającym "pierwszym w dziejach Polski zwycięskim powstaniu" - z takiej perspektywy chcia- łem patrzeć na węgierskie, które przegrało - i to było: pochopne: na klęskę węgierską spoglądamy dziś, i nie mo- żemy inaczej, z perspektywy własnej klęski, na naszą - z perspektywy węgierskiej.

Oczywiście, pojęcie to można i nawet należy zrelatywi-

zować. Czym jest klęska, w jakiej sferze ponieśliśmy ją naprawdę? Czy nie jest zwycięstwem, którego społeczeństwu nie można już całkowicie odebrać, to, czego zaszło przez szesnaście miesięcy jawnej "Solidarności"? Czy - mimo wszystko, z czego nas wyzuto - nie staliśmy się inni, nie tylko w sensie duchowym, indywidualnym, ale w sensie powiązań międzyludzkich, odmienionej struktury tkanki społecznej, pohamowanej dezintegracji (sowietyzacji), żywych prądów na różnych głębokościach pod powierzchnią oficjalnej rzeczywistości, czy nie żyjemy inaczej, ciekawiej, wolniej? Czy wreszcie zwycięzcom udało się w pełni restytuować to co przedtem, czy ich model jest naprawdę zdolny do życia, czy jego werbalna powłoka, bardzo natrętna i hałaśliwa, nie kryje dziś kompletnej pustki, wyrażenia, nicości? Czy nie jest prawdą, że Polska posolidarnościowa jest zarazem, mimo że rządzi nią komunistyczny aparat ucisku, Polską p o k o m u n i s t y c z n ą , p o t o t a l i t a r n ą , inną, trudno na razie określić jaką, ale z pewnością inną niż kilka lat temu? Coś się skończyło, nawet jeżeli nie zaczęło się coś z gruntu nowego, jeżeli trudno mu się zacząć, przeżyć, nie zginąć.

Uwzględniając to wszystko, nie musiałbym może odwoływać zdania z maja 1981 o "pierwszym w dziejach Polski zwycięskim powstaniu", a jednak... a jednak klęska była, nie łudźmy się, zdrugotano instytucje, programy, inicjatywy, zahamowano rozwój kultury i gospodarki, wypchnięto - jak po każdej klęsce narodowej - tysiące ludzi, zwłaszcza młodych, świetny materiał ludzki, na emigracyjną tułaczkę, długo możnaby wyliczać, co się składa na klęskę, realną, fizyczną, zinstytucjonalizowaną, zadaną siłą i podstępem, zgodnie z dawno gotowymi planami, pod osłoną obłudnych pseudo-rokowań...

Po każdej rewolucji, każdym wielkim ruchu wyzwolicielskim c o ś zostaje - i po "Solidarności" więcej może zostało, niż po którymkolwiek z poprzednich powstań. Ale i to powstanie poniosło praktyczną klęskę - i trzeba może sobie wreszcie powiedzieć, spokojnie, bez niewczesnych rozterek i żalów, że, jak zryw węgierski 1956, jak "praska wiosna" 1968, musiało ją ponieść, nie ze względu na własne błędy (których nie brakowało), lecz ze względu na czas i miejsce, na Imperium, na jego militarną potęgę, na "realny socjalizm".

We wszystkich trzech - węgierskiej, czeskiej i polskiej - próbach rewolucyjnych dała o sobie znać, w różnej postaci, jedna i ta sama iluzja: że możliwe jest wbudowanie w "realny socjalizm" sprzecznych z nim elementów - pluralizmu, gospodarki rynkowej, wolności słowa... że na drodze dyskusji i negocjacji, pochodów i strajków (a w wariancie węgierskim - także na drodze oporu zbrojnego) można skłonić system, żeby stał się mniej represyjny, bardziej z "ludzką twarzą", żeby się trochę posunął, zrobił miejsce dla innych rozwiązań i aspiracji, żeby trochę mniej przytłaczał, mniej przeszkadzał, mniej kłamał...

W pewnych gronach komunistycznych idealistów natrafiało to nawet na jakiś oddźwięk: chcieli pójść na to w imię pojednania z narodem, wierzyli, że partia (którą uparcie pojmowali jako wcielenie swego utopijnego ideału) da się skłonić do podobnej autoredukcji...

Ze strony innych ludzi, którzy mieli się za antykomunistycznych "realistów", występował (i gdzieś tam występował)

dzień dzisiejszy) inny wariant tej samej iluzji: mieliśmy, że nad głową partii komunistycznej Węgier czy Polski porozumieją się z Moskwą, że Moskwa przyjmie udzielone przez nich gwarancje dla swoich interesów imperialnych, a w zamian pozwoli im na wewnętrzne zdemokratyzowanie czy zliberalizowanie stosunków...

Żadna z tych iluzji nie może się ostać wobec doświadczenia Węgier 1956, Czechosłowacji 1968, Polski 1981. System się nie posunie, w "realny socjalizm" nie da się wbudować wolnych związków zawodowych, reformy ekonomicznej i wyborów, które byłyby wyborami, partia komunistyczna nie zrezygnuje z pełni władzy, Moskwa za żadne "gwarancje" nie udzieli koncesji niekomunistycznym "realistom" na urządzenie kraju po swojemu.

Jeżeli można mówić o "pozytywnym dorobku" klęski - zapiszmy po jego stronie definitywne wyzbycie się tego typu iluzji.

Cokolwiek teraz nastąpi - nie wiem co, nie jestem prorokiem - myślę, że w scenariuszu przemian nie będzie miejsca dla nieszczęsnego Dudása telefonującego do Moskwy i innych jeszcze - anachronicznych w świetle naszych wspólnych doświadczeń - sytuacji odnotowanych w *Dzienniku węgierskim 1956* (a także, być może, przez kogoś innego w *Dzienniku polskim 1981*).

Pamiętając o bliskiej przeszłości i nie zaglądając na razie w zbyt odległą przyszłość, t e r a ż n i e j s z o ś ć społeczeństwa popowstaniowego wyobrażam sobie jak następuje: zachować co się da z tego co nie uległo zniszczeniu, wciąż na nowo odtwarzać to co niszczone, żyć obok systemu swoim życiem, tworzyć swoje życie, kulturę, tkankę ludzkiej solidarności, myśl społeczną i polityczną, jeśli się uda - wyspy sensownej gospodarki, bronić się przed dezintegracją, kłamstwem, rozpaczą, nie ulegać iluzjom, nie ufać w ugodę między tym c z y m się żyje a tym w b r e w c z e m u się żyje, w każdej chwili liczyć na cios, na porażkę, na ranę, dalej żyć, robić swoje.

WIKTOR WOROSZYLSKI

SPROSTOWANIE

Do wywiadu zamieszczonego w nr. 8 "Przeglądu Politycznego" wkradła się poważna nieścisłość. Na str. 11 wśród osób wspomnianych Szczeciński MKR wymieniłem A. Milczanowskiego i J. Zimowskiego. Sugeruje to, że wyżej wymienieni przyczynili się do podpisania Porozumienia Szczecińskiego w dniu 30 sierpnia, czyli wcześniej niż zawarto Porozumienie Gdańskie i bez konsultacji z gdańskim MKS-em. Jest to informacja nieprawdziwa. A. Milczanowski i J. Zimowski strajkowali wprawdzie w sierpniu 1980 r., ale w pracach Prezydium MKR udziału nie brali. Odnieśli się też krytycznie do faktu wcześniejszego zawarcia porozumienia w Szczecinie. Za pomyłkę obydwu Kolegów serdecznie przepraszam.

Lech Kaczyński

CENA 600 zł

W nr 5 m.in.: Marcin KRÓL - O tradycji chrześcijańskiej w polskiej myśli politycznej; Jędrzej BRANECKI - Sylwetka Friedricha A. von Hayeka; Janusz LEWANDOWSKI i Jan SZOMBURG - Historia gdańskiego ruchu samorządowego; Mikołaj BIERDA-JEW - Myśli o Rosji.

W nr 6 m.in.: Ireneusz KRZEMINSKI - Polska i "Solidarność"; Jadwiga STANISZKIS - Forma myślenia jako ideologia; Jędrzej BRANECKI - Sylwetka Ludwiga von Misesa; lem. - Leszka Nowaka teoria nowego totalitaryzmu.

W nr 7 m.in.: Wiesława KWIATKOWSKA - Gdynia, czwartek 17 grudnia 1970; Ireneusz KRZEMINSKI - Świat zakorzeniony; rozmowa z Jackiem MERKELEM o reformie gospodarczej; Tadeusz DONECKI - Cwałę Paryż.

W nr 8 m.in.: "Polityki znieść się nie da" - rozmowa z Lechem KACZYNSKIM; Isaiach BERLIN - Dwa pojęcia wolności; Guy SORMAN - Projekt liberalny; Jędrzej BRANECKI - Ordoliberalizm i niemiecki cud gospodarczy; Jarosław KACZYNSKI i Mirosław GAJDA o pomysłach politycznych Andrzeja Walickiego; O teorii Leszka Nowaka raz jeszcze; Kalendarium pierwszych miesięcy /20 XI - 7 XII 1980/; Marek SOŁTYNSKI - Chile...

Copyright by **PRZEGLĄD POLITYCZNY**
Redaguje zespół

Gdańsk